

Konarzewski:
Przywróćmy rangę jakości

Szostek:
W stanie cyberwojny

Ruchniewicz, Wiszewski:
Granice ingerencji medialnej

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 1-2/2026

PL ISSN 1233-0930 30 zł (VAT 8%)

Starolasy naukowo

Schwabe i in.:
Wyzwania migracji

Kieraciński:
Co nam dał NCN?

Szymborska:
AI to tylko asystent

PERSPEKTYWY
**WOMEN
INTECH
SUMMIT**



NEW ENERGY FROM
10,000
Brilliant Minds
POWERING TECH

JOIN US!

APPLY FOR YOUR FREE TICKET NOW!



STUDENTS



FACULTY
MEMBERS

10-11 JUNE 2026
WARSAW • POLAND

W O M E N I N T E C H S U M M I T . P L



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2
„Gala Nauki Polskiej 2026”	8
Między ambicją a wygodą	10
– Magdalena Musiał-Karg	
Przeciw anglicyzacji nauk społecznych	12
– Aleksander Temkin	
Antyracjonalizm i resentyment, czyli intelektualna hucpa „lokalistów”	14
– Maciej Górecki	
Od projektów pilotażowych do zmiany systemowej	15
– artykuł sponsorowany	
Samodzielność naukowa	16
– Przemysław Kopeć	
Między ustawą a hejtem	18
– Krzysztof Ruchniewicz, Przemysław Wiszewski	
Nowy rok – nowa ortografia	20
– Ewa Kołodziejek	
Neomania	22
– Piotr Tryjanowski	
Anatomia akademickiego pośpiechu	23
– Agnieszka Zimmermann	
Kolejne MAB-y zainaugurowały działalność	24
Nowi starzy mistrzowie	26
Nowi profesorowie	66

ROZMOWA FORUM

Chcemy iść za drogowskazem z napisem „jakość”	
– rozmowa z prof. Markiem Konarzewskim, prezesem Polskiej Akademii Nauk	
Musimy działać wspólnie	
– rozmowa z dr. hab. Dariuszem Szostkiem, przewodniczącym Zespołu ds. cyberbezpieczeństwa KRASP	

BADANIA NAD MIGRACJAMI

Migracje z perspektywy ekonomisty	
– Michał Schwabe	
Transformacja dokonana	
– Agnieszka Fihel, Magdalena Lesińska	
Migracje kompensacyjne	
– Wojciech Janicki	

ŻYCIE NAUKOWE

Niech dalej grają dla nauki	
– Piotr Kieraciński	
Etyka badań z udziałem ludzi	
– Włodzimierz Galewicz	
Bycie filozofem	
– Zbigniew Drozdowicz	

Z archiwum nieuczciwości naukowej (219)

Wbrew woli głównego badacza	
– Marek Wroński	

Z archiwum nieuczciwości naukowej (220)

Plagiat w sztuce projektowania przestrzeni	
– Marek Wroński	

ŻYCIE AKADEMICKIE

I wiem, że nic nie wygenerowałem	73
– Dora Szymborska	
300 moich domów...	
– rozmowa z prof. Jerzym Stillerem z Wydziału Architektury PŚ w Gliwicach	77

Z LABORATORIÓW

Współczesne sportowe identyfikacje	80
– Anna Michalska, Agnieszka Polaniecka	
Starolasy – między nauką, ochroną a zarządzaniem	86
– Janusz Szmyt	
Czy lasy sobie poradzą?	93
– Luiza Tymiriska-Czabańska	
Drewno – kontrowersyjne paliwo	97
– Tadeusz Juliszewski	

W STRONĘ HISTORII

Od syna kasjera do wybitnego uczonego	103
– Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało	
Portrety nauki polskiej	
Badaczka, benedyktynka, humanistka	107
– Marcelina Smużewska	

OKOLICE NAUKI

Mini złudzenia	112
– Celina Olszak	

Książki

Struktury wykluczenia	116
– Zbigniew Chojnowski	
Dobrze, że był	116
– Tomasz Klusek	
Droga do światła przez mrok	117
– Małgorzata Pawełczyk	
Gombro dla wszystkich	117
– Jacek Hnidiuk	
Literackie przejawy chrześcijaństwa	118
– Weronika Zuzanna Jabłońska	
Oczy lalek	118
– Marek Misiak	
Most ponad historią	119
– Lubow Żwanko	
Książki nadesłane	111, 119

FELIETON

Rozmowy o języku

Rewolucja czy reforma?	120
– Krzysztof Goczyła	
Projekt okładki – Sławomir Makal (fot. Piotr Kieraciński)	



Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXIII Nr 1-2 (386-387) Styczeń-Luty 2026

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. Rada Patronacka: prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczuk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. Redaguje zespół: Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). Stała współpraca: Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. Promocja, kolportaż, konferencje: reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). Wydawca: Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. Druk: Akapit Intro Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Prenumerata: Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Grant ERC dla astronoma

BRUKSELA Prof. Grzegorz Pietrzyński z Centrum Astronomicznego im. M. Kopernika PAN zdobył ERC Proof of Concept Grant. To trzeci grant ERC na jego koncie. W 2015 roku sięgnął po Advanced Grant, a pięć lat później po Synergy Grant. Tym razem otrzymał fundusze na realizację projektu, którego celem jest stworzenie



Fot. CAMK PAN

nowatorskiego, profesjonalnego oprogramowania, które umożliwi w pełni autonomiczne i jednocześnie sterowanie wieloma teleskopami oraz instrumentami naukowymi. System będzie podejmował decyzje w czasie rzeczywistym, m.in. na podstawie warunków pogodowych, priorytetów naukowych i harmonogramów różnych projektów. Takie rozwiązanie może zwiększyć efektywność obserwacji astronomicznych nawet o 30%, poprawić jakość danych i znacząco obniżyć koszty operacyjne dużych projektów badawczych. – System dostaje od astronomów listę obiektów do obserwacji i dobiera optymalny teleskop oraz sposób ich prowadzenia. Astronom otrzymuje następnie dane gotowe do analizy wraz z pełnym zestawem informacji dotyczących jakości danych – objaśnia prof. Pietrzyński, który jest światowym ekspertem w dziedzinie pomiarów odległości kosmicznych. Kieruje międzynarodowym projektem Araucaria oraz Polskim Astrofizycznym Obserwatorium w Chile (jest inicjatorem obu tych przedsięwzięć).

Na Śląsku zbadają środowisko poprzemysłowe

KATOWICE Centrum Badań nad Środowiskiem Poprzemysłowym im. Jolanty Wadowskiej-Król powstało na Uniwersytecie Śląskim. Jednostka zajmie się wypracowaniem propozycji strategii rozwiązania problemów zdrowotnych, społeczno-kulturowych, przyrodniczych, na jakie narażone są osoby narażone na skutki działań przemysłowych. Przedstawiciele Centrum skupią się na badaniach historyczno-kulturowo-literaturoznawczych, obejmujących analizę obiektów (artefaktów i materiałów zdeponowanych w archiwach), które w przeszłości, szczególnie w latach siedemdziesiątych XX wieku, rejestrowały skalę zanieczyszczeń oraz ich wpływu na mieszkańców i środowisko ich życia, m.in. w Szopienicach. W ramach badań analizie poddawane są m.in. materiały związane z działalnością Huty Metali Nieżelaznych „Szopienice”. Drugi obszar działalności obejmie badania dotyczące społeczno-przyrodniczych skutków degradacji środowiska przemysłowego. Analizy pozwolą odpowiedzieć na pytanie dotyczące poznania procesów adaptacyjnych mieszkańców do zmieniających się warunków bytowania, a także potrzeby podjęcia działań profilaktycznych lub diagnostycznych w celu poprawy dobrostanu osób mieszkających w środowisku poprzemysłowym.

Powstanie Polsko-Tureckie Centrum Studiów

GDAŃSK Polsko-Tureckie Centrum Studiów powstanie na Uniwersytecie Gdańskim. Będzie służyło rozwijaniu współpracy badawczej pomiędzy uczelniami obu krajów. Porozumienie w tej sprawie zawarto z Uniwersytetem Stambulskim i Politechniką Stambulską. Ośrodek ma wspierać



Fot. Archiwum

rozwój i realizację wspólnych badań m.in. w obszarach sztucznej inteligencji, technologii kwantowych, biotechnologii żywności, migracji i studiów międzykulturowych, nowoczesnej logistyki, a także rozwój wspólnych kierunków studiów, doktoratów oraz mobilności w ramach programu Erasmus+. Politechnika Stambulska to jeden z najbardziej prestiżowych i doświadczonych uniwersytetów technicznych w Europie i regionie Morza Śródziemnego (założony w 1773 roku). Z kolei Uniwersytet Stambulski pełni rolę kluczowego ośrodka naukowego w obszarach nauk społecznych i humanistycznych, stosunków międzynarodowych, badań migracyjnych, nauk przyrodniczych, biotechnologii oraz nauk o komunikacji, aktywnie uczestnicząc w globalnym obiegu wiedzy. Uniwersytet Gdański będzie w tym roku gospodarzem II Forum Rektorów Uczelni Polskich i Tureckich, którego premierowa edycja odbyła się we wrześniu ub.r. w Ankarze.

Najlepsi studenci zagraniczni

KRAKÓW Przyjechali do Polski z różnych zakątków **świata**, a za swoją aktywność i dokonania na różnych polach otrzymali statuetki w konkursie INTERSTUDENT. W tym roku wpłynęło 209 zgłoszeń z 55 uczelni. W kategorii studia licencjackie laureatką została Emilie Horn (Niemcy/Brazylia) z Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. W kategorii stu-



Fot. KRASP

dia magisterskie: Valeria Quintana Solis (Meksyk) z Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Munisa Ziyomukhamedova (Uzbekistan) z Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. W kategorii studia doktoranckie: Jeremy Caldera (USA) z Uniwersytetu Warszawskiego. Po raz pierwszy przyznano nagrodę w kategorii najlepszy student polonijny – wygrał Nicola Secci (Włochy) z Politechniki Wrocławskiej. Dodatkowo Kapituła postanowiła przyznać Nagrody Specjalne dla: Wiktorii Ptak (USA) z Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku, Fatiha Pekcana (Turcja) z Uniwersytetu SWPS, Pascala Muam Maha (Kamerun) z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Wręczenie nagród odbyło się podczas uroczystej gali w Kopalni Soli w Wieliczce. Wydarzenie było częścią konferencji „Studenci zagraniczni w Polsce 2026”.

Na trzecią kadencję

WARSZAWA Prof. Agnieszka Dobrzyń objęła po raz trzeci funkcję dyrektora Instytutu Biologii Doświadczalnej im. Marceliego Nenckiego PAN. Kieruje placówką od 2018 roku. Z instytutem związana jest od 2007 roku. Kieruje w niej Pracownią Sygnałów Komórkowych i Zaburzeń Metabolicznych. Specjalizuje się w zakresie fizjologii mięśni. Jej badania dotyczą szlaków sygnałowych i zmian w regulacji ekspresji genów charakterystycznych dla zaburzeń metabolizmu komórki i patogenezы cukrzycy. Wraz z zespołem odkryła nowe mechanizmy regulujące wydzielanie insuliny oraz autofagię komórek beta trzustki, co doprowadziło do opracowania testu do wczesnej diagnostyki stanu przedcukrzycowego i cukrzycy typu 2. Od 2024 r. pełni funkcję prezydenta International Conference on the Bioscience of Lipids, organizacji zrzeszającej lipidologów prowadzących badania w dziedzinie metabolizmu komórki. Instytut Nenckiego



Fot. Instytut Nenckiego

jest największym pozauniwersyteckim ośrodkiem badań biologicznych w Polsce. Powstał w 1918 roku z inicjatywy Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Obecnie pracuje w nim 356 osób, w tym 180 naukowców. W instytucie kształcą się 100 doktorantów z 13 krajów. Strukturę jednostki tworzy 28 pracowni badawczych oraz 8 pracowni usługowych.

W Tarnowie wybrali nowego rektora

TARNÓW Dr hab. Rafał Kurczab, dotychczasowy prorektor ds. nauki i rozwoju, został wybrany na rektora Akademii Tarnowskiej. Za jego kandydaturą opowiedzieli się wszyscy elektorzy. To pierwszy w historii absolwent tarnowskiej uczelni, który będzie nią zarządzał. Przeprowadzenie wyborów uzupełniających stało się konieczne po śmierci dotychczasowej rektorki dr hab. Małgorzaty Kołpy. Sprawowała tę funkcję od 2020 roku. Jej następcą pokieruje uczelnią do zakończenia obecnej kadencji, czyli do 31 sierpnia 2028 roku. Był jedynym kandydatem na to stanowisko. Od 2008 roku związany jest z Zakładem Chemii Leków Instytutu Farmakologii

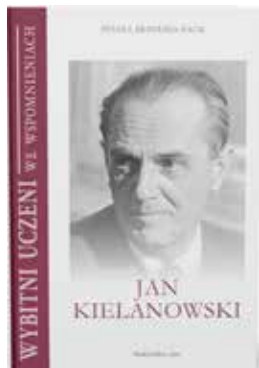


Fot. AT

Polskiej Akademii Nauk w Krakowie, gdzie prowadzi badania naukowe z zakresu wykorzystania metod chemoinformatycznych, bioinformatycznych, kwantowo-mechanicznych oraz sztucznej inteligencji w projektowaniu nowych leków, w szczególności o działaniu przeciwdepresyjnym i przeciwnowotworowym. W latach 2015–2020 kierował Działem Badań Naukowych tarnowskiej uczelni. W 2020 roku został jej prorektorem ds. nauki i rozwoju. Od 2023 roku pełni funkcję prezesa Tarnowskiego Towarzystwa Naukowego. Jest piątą osobą stojącą na czele tarnowskiej uczelni, po Adamie Juszkiewicz, Stanisławie Komornickim, Jadwidze Lasce, Małgorzacie Kołpie.

Prof. Jan Kielanowski we wspomnieniach

WARSZAWA Prof. Jan Kielanowski, wybitny zootechnik, twórca Instytutu Fizjologii i Żywności Zwierząt PAN, jest bohaterem najnowszej tomu serii wydawniczej Polskiej Akademii Nauk „Wybitni uczeni we wspomnieniach” prezentującej sylwetki wybitnych polskich uczonych.



Bohaterami wydanych do tej pory tomów byli już: Tadeusz Orłowski (2017), Andrzej Trzebski (2018), Jerzy Vetulani (2019), Irena Hausmanowa-Petrusewicz (2020), Kornel Gibiński (2022), Szczepan Pieniążek (2022), Stefan Angielski (2023), Ryszard Gryglewski (2025). Teraz do grona bohaterów publikacji dołączył Jan Kielanowski (1910–1989) – naukowiec o międzynarodowej renomie, a zarazem działacz opozycji demokratycznej, człowiek głęboko etyczny i zaangażowany społecznie. Poświęcona mu książka ukazuje jego dorobek naukowy, w tym słynne „równanie Kielanowskiego”, stosowane do dziś w naukach o żywieniu zwierząt na świecie, oraz bogatą działalność społeczną i intelektualną. Tom zawiera wspomnienia współpracowników i uczniów oraz unikatowy materiał ikonograficzny, w tym niepublikowane dotąd obrazy. Prof. Kielanowski był znany bowiem nie tylko jako wybitny naukowiec, lecz także jako pasjonat sztuki, a szczególnie muzyki poważnej i malarstwa.

NCN zweryfikuje wnioski

KRAKÓW Począwszy od marcowych konkursów OPUS i PRELUDIUM badacze starający się o grant Narodowego Centrum Nauki będą mieli obowiązek podawania informacji o swoich wycofanych artykułach z ostatnich dziesięciu lat. W najbliższych miesiącach planowane jest także uruchomienie automatycznej weryfikacji wszystkich wniosków grantowych

pod kątem retrakcji. Publikacja retracted to praca przyjęta do druku lub opublikowana, a następnie wycofana oficjalną notą wydawcy czasopisma, w którym się ukazała. Retrakcje to sygnał mogący świadczyć o naruszeniach standardów publikacyjnych – pochodzą od wydawców, mają formalny status oraz opisaną przyczynę i kontekst. Rada NCN podjęła taką decyzję w odpowiedzi na coraz więcej wykrywanych retrakcji z udziałem badaczy z Polski. Zapis dotyczący retrakcji obejmuje wszystkie osoby, których dorobek podlega ocenie we wniosku, a więc nie tylko kierowników projektów, ale też podanych wykonawców. Jeszcze w tym roku NCN zapowiada uruchomienie systemu, który umożliwi automatyczne weryfikowanie wszystkich wniosków pod kątem retrakcji.

Nowy przewodniczący KEN

WARSZAWA Minister Marcin Kulasek powołał prof. Zbigniewa Kąkolą na przewodniczącego Komisji Ewaluacji Nauki. Organ ten od 2023 roku pracował pod przewodnictwem prof. Filipa M. Szymańskiego. Szef resortu



Fot. MNiSW

zdecydował jednak o cofnięciu mu wskazania na to stanowisko. Prof. Zbigniew Kąkol pracuje w Katedrze Fizyki Ciała Stałego na Wydziale Fizyki i Informatyki Stosowanej Akademii Górniczo-Hutniczej im. Stanisława Staszica w Krakowie. Z uczelnią związany jest od pół wieku. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół własności magnetycznych materii skondensowanej, fizyki przejść fazowych w związkach metali przejściowych z pierwiastkami ziem rzadkich, a także badania materiałów tlenkowych (magnetycznych i nadprzewodzących) oraz izolatorów topologicznych. Jest autorem ponad 80 publikacji naukowych. W latach 1999–2012 pełnił kolejno funkcje prodziekana ds. studenckich, dziekana Wydziału Fizyki i Informatyki Stosowanej oraz prorektora ds. kształcenia AGH (w kadencjach 2008–2012 oraz 2012–2016). Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Fizycznego. Będzie kierował KEN do końca 2027 r.

SUM w gronie członków EUA

KATOWICE Śląski Uniwersytet Medyczny dołączył do European University Association. To największa organizacja reprezentująca europejskie szkoły wyższe. Powstała w 2001 roku. Zrzesza ponad 900 uniwersytetów i krajowych konferencji rektorów z 48 krajów. Na wszystkich uniwersytetach należących do EUA studiuje ponad 20 mln osób. Wśród członków European University Association są także polskie uczelnie oraz Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Po dołączeniu SUM w EUA jest już 51 polskich podmiotów. Śląski Uniwersytet Medyczny jest jedną z największych uczelni medycznych w kraju, na 17 kierunkach kształci ponad 10 tys. studentów. Ofertę edukacyjną uczelnia realizuje na pięciu wydziałach zlokalizowanych w Katowicach-Ligocie, Zabrze, Bytomiu i Sosnowcu oraz w sześciu szpitalach klinicznych. Na uczelni działa ponad dwieście kół naukowych. SUM zatrudnia prawie 3 tys. osób, w tym ponad 1,7 tys. nauczycieli akademickich. Mury uczelni opuściło do tej pory 60 477 absolwentów.

W europejskiej elicie mikrobiologów

GDAŃSK Prof. Grzegorz Węgrzyn z Wydziału Biologii Uniwersytetu Gdańskiego został wybrany do European Academy of Microbiology. Jest drugą osobą z Polski w szeregach organizacji, do której należy około 150 mikrobiologów ze Starego Kontynentu. Europejska Akademia Mikrobiologii



Fot. Arch. prywatne

choroby Sanfilippo. Jest autorem ponad 500 artykułów, głównie w międzynarodowych czasopismach naukowych z zakresu biologii molekularnej, genetyki, biochemii i mikrobiologii, oraz posiadaczem 12 patentów, w tym dwóch dotyczących leczenia mukopolisacharydozy i choroby Alzheimer. Jest wiceprzewodniczącym Rady Doskonałości Naukowej. Już wcześniej do EAM została wybrana dr hab. Anna Karnkowska z Uniwersytetu Warszawskiego.

„Heweliusze” dla fizyka i artysty grafika

GDAŃSK Profesorowie Michał Horodecki i Tomasz Bogusławski zostali laureatami Nagród Naukowych Miasta Gdańska im. Jana Heweliusza. Wyróżnienia wręczono już po raz 38. Uroczystość odbyła się w Wielkiej Sali Wety Ratusza Głównego Miasta. Popularne „Heweliusze”, zwane też gdańskimi Noblami, wręczane są reprezentantom gdańskiego śro-



Fot. Dominik Paszliński

dowiska naukowego w dowód uznania za ich wybitne osiągnięcia. Prof. Horodeckiego z Uniwersytetu Gdańskiego uhonorowano za fundamentalne osiągnięcia w dziedzinie kwantowej teorii informacji i w termodynamice kwantowej. Jest współtwórcą przełomowej teorii splątania kwantowego. Już w 1996 roku, jeszcze jako student, był współautorem pracy, która zapoczątkowała nowy sposób opisu i wykrywania splątania kwantowego, stając się jednym z filarów współczesnej informacji kwantowej i inspirując badania prowadzone na całym świecie. Z kolei prof. Bogusławskiego z Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku doceniono za oryginalny wkład w rozwój retoryki wizualnej jako elementu komunikacji społecznej, a także za wybitne osiągnięcia w zakresie grafiki użytkowej. Od ponad 25 lat kieruje Pracownią Podstaw Projektowania Graficznego, realizując autorskie programy dydaktyczne. Pełnił funkcję rektora ASP w Gdańsku.

Polak wśród ekspertów ONZ ds. AI



Fot. Arch. prywatne

WARSZAWA Prof. Piotr Sankowski, stojący na czele Instytutu Badawczego IDEAS, jako jedyny naukowiec z Polski został powołany do 40-osobowego Niezależnego Międzynarodowego Panelu Naukowego ds. AI. Gremium to będzie oceniać, w jaki sposób sztuczna inteligencja zmienia nasze życie. Panel ma pełnić rolę pierwszego globalnego gremium naukowego w całości

poświęconego AI. Będzie działał na zasadzie systemu wczesnego ostrzegania – jego członkowie pomogą odróżnić prawdę od tego, co jest jedynie szumem medialnym. Wśród zadań jest także budowanie pomostu między badaniami nad AI a kształtowaniem polityki poprzez publikację istotnych dla decydentów rocznych raportów oraz opracowań tematycznych dotyczących ryzyk, możliwości i wpływu sztucznej inteligencji. Istotnym wkładem w wyrównywanie szans w dostępie do wiedzy będzie udostępnianie złożonych analiz wszystkim państwom członkowskim oraz interesariuszom. Prof. Sankowski specjalizuje się w algorytmice, w szczególności w zastosowaniach metod algebraicznych w algorytmach grafowych. Jako jedyny polski naukowiec zdobył cztery granty European Research Council.

Prawie 60 mln zł dla humanistów

WARSZAWA Blisko 60 mln zł rozdysponowano w ubiegłym roku w konkursach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki. Środki te trafiły do 35 podmiotów, w tym do 17 uczelni publicznych, 3 niepublicznych, 3 kościelnych, 9 instytutów (w tym ośmiu Polskiej Akademii Nauk), 1 towarzystwa naukowego, 1 fundacji i 1 księżnicy. Jak wynika z zestawienia opublikowanego przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, najwięcej środków otrzymał Uniwersytet Łódzki (5,5 mln zł). Co ciekawe, uczelnia zdobyła finansowanie na wszystkie złożone wnioski. Wśród nich jest m.in. projekt 11-tomowej edycji krytycznej najważniejszych polskich kompendiów hagiograficznych z okresu od połowy XVII wieku po początek XX wieku; badania historii polskich i żydowskich dzieci deportowanych w latach 1940–1941 w głąb ZSRR oraz tych, które urodziły się tam w czasie II wojny światowej; opracowanie i analiza unikatowych audycji radiowych – dokumentalnych, artystycznych i hybrydowych – realizowanych w Polskim Radiu od zakończenia II wojny światowej do dziś, dotyczących Holocaustu i relacji polsko-żydowskich; a także opracowanie pierwszego w Polsce kompendium bibliograficznego poświęconego kobietom tworzącym kulturę literacką pierwszej połowy XIX wieku: autorkom, tłumaczkom, redaktorkom i wydawczyniom. Na kolejnych miejscach pod względem pozyskanych środków znalazły się: Uniwersytet Warszawski (5,3 mln zł), Instytut Historii im. Tadeusza Manteuffla Polskiej Akademii Nauk (4,8 mln zł), Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk (4,3 mln zł), Uniwersytet Jagielloński (3,6 mln zł).

Powstaje Astrocent

WARSZAWA Decyzją prezesa Polskiej Akademii Nauk utworzono Astrocent: Międzynarodowy Instytut Astrofizyki Częstek PAN. Jednostka, którą pokieruje prof. Leszek Roszkowski, będzie pierwszą placówką w Europie Środkowo-Wschodniej w pełni ukierunkowaną na astrofizykę cząstek



Fot. PAN

i technologie wspomagające. To także pierwsza od lat siedemdziesiątych placówka powstała w ramach Wydziału III Nauk Ścisłych i Nauk o Ziemi PAN. Jej misją jest prowadzenie pionierskich badań podstawowych oraz rozwój technologii, które umożliwiają szybszy postęp naukowy i otwierają drogę do praktycznych wdrożeń. Naukowcy instytutu zajmują się kluczowymi pytaniami dotyczącymi niewidzialnych aspektów wszechświata, tak po stronie rozważań teoretycznych, jak i badań doświadczalnych, a równolegle rozwijają zaawansowane rozwiązania technologiczne: od budowy ultraczułych detektorów, przez fotonikę, po nowoczesne czujniki i zaawansowane systemy danych. Planowane jest zatrudnienie ponad 100 badaczy, m.in. fizyków, inżynierów i programistów,

oraz około 25 pracowników wsparcia administracyjnego. Astrocent do 2030 roku ma zapewnione finansowanie w wysokości 30 mln euro: 15 mln euro z Horizon Europe Teaming for Excellence, 7 mln euro przyznało MNIŚW, natomiast 8 mln euro – Fundacja na rzecz Nauki Polskiej w ramach programu Międzynarodowe Agendy Badawczej.

Odkrywają sekrety egipskiej mumii dziecka

WROCŁAW Zespół badaczy z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Międzynarodowej Fundacji Mummy Research Center przeprowadził pierwsze kompleksowe badania starożytnej egipskiej mumii dziecka przechowywanej w Muzeum Archidiecezji we Wrocławiu. Mumia trafiła do Wrocławia w 1914 roku jako część kolekcji zabytków kardynała Adolfa Ber-



Fot. Mummy Research Center

trama z Hildesheim. Do tej pory nie była przedmiotem systematycznych badań. Zastosowanie nowoczesnych, nieinwazyjnych metod obrazowania – tomografii komputerowej oraz radiografii – pozwoliło na szczegółową analizę antropologiczną, paleopatologiczną i archeotanologiczną bez naruszania struktury szczątków. Badania wykazały, że mumia należała do chłopca, który zmarł w wieku około 8 lat. Zachowane tkanki miękkie oraz rozwój uzębienia umożliwiły precyzyjne określenie płci i wieku. Analizy radiologiczne potwierdziły, że mózg został usunięty przez jamę nosową, a większość narządów wewnętrznych usunięto, przypuszczalnie poza wątrobą, która została w jamie brzusznej chłopca. Analiza stylistyczna kartonażu wskazuje, że mumia pochodzi najpewniej z południowego Egiptu, z rejonu Kom Ombo–Asuan i datowana jest na okres ptolemejski (IV–I w. p.n.e.).

Wpływ zmian klimatu na dietę wilków

WARSZAWA Międzynarodowy zespół badaczy z udziałem naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego potwierdził pokarmową plastyczność wilków i znaczący wpływ klimatu na ich dietę. Naukowcy porównali zęby kilkudziesięciu kopalnych wilków z Wysp Brytyjskich oraz współczesnych wilków zamieszkujących Polskę. Analizie poddano powierzchnię przedtrzonowców zuchw drapieżników pod kątem mikrouszkodzeń szklawi. Wyniki badań wskazują m.in. na udział w diecie twardych elementów, takich jak kości. Wilki kopalne pochodziły z dwóch interglacjałów (okresów pomiędzy zlodowaceniami) mających odmienne warunki klimatyczne i środowiskowe. Ostatni interglacjał, zwany eemskim, był okresem ocieplenia. W tym czasie dominującym środowiskiem były lasy, a wśród dostępnych dla wilków zdobyczy znajdowały się słonie leśne, nosorożce wąskonosy, hipopotamy, dziki, jelenie olbrzymie, danieli, tury i żubry stepowe. Klimat przedostatniego interglacjału był zdecydowanie



Fot. pjabay

chłodniejszy. Znaczące obszary pokrywały wówczas siedliska trawiaste przeplatane słabo zwartymi drzewostanami. Wśród gatunków, które mogły stać się pokarmem wilków, znajdowały się wówczas m.in. mamuty, konie, osły stepowe i kilka gatunków kopalnych nosorożców. Analizy wykazały, że kopalne wilki z przedostatniego interglacjału spożywały znacznie mniej twardego pokarmu niż wilki żyjące wcześniej oraz współcześnie.

Nagroda Banacha dla matematyka z AGH

KRAKÓW Dr Jacek Jendrej z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie został laureatem Nagrody Głównej Polskiego Towarzystwa Matematycznego im. Stefana Banacha. To jedno z najważniejszych polskich wyróżnień dla matematyków. Przyznawane jest od 1946 roku za osiągnięcia w badaniach matematycznych opublikowane w formie książek lub prac naukowych. Dr Jendrej z Wydziału Matematyki Stosowanej AGH został doceniony za przełomowe wyniki badań w dziedzinie równań różniczkowych cząstkowych. Jest wybitnym specjalistą w tej dziedzinie, w szczególności zajmuje się badaniem długoczasowego zachowania rozwiązań równań falowych i dyspersyjnych. Dwa lata temu otrzymał Nagrodę Europejskiego Towarzystwa Matematycznego. Rok wcześniej sięgnął po ERC Starting Grant. Obecnie jest związany także z Sorbonne Université.



Fot. pjabay

Bezpieczeństwo wsparte środkami z KPO

WARSZAWA Politechnika Krakowska i Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie jako pierwsze uczelnie w kraju otrzymały finansowanie na transformację cyfrową z Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności (KPO). Za prawie 270 mln zł zrealizują programy unowocześniania swoich systemów i infrastruktury. Dzięki 254 mln zł PK stworzy



międzybudynkowe połączenia światłowodowe oraz ujednolicić sieć dystrybucyjną wewnątrz budynków. Zaplanowano także budowę nowoczesnej serwerowni z systemami awaryjnego podtrzymania zasilania, klimatyzacji precyzyjnej i monitoringu. Uczelnia kupi nowy sprzęt sieciowy, serwery oraz macierze dyskowe, aby zwiększyć moc obliczeniową oraz przestrzeń na usługi i dane. Stanowiska pracy i laboratoria zostaną wyposażone w nowoczesny sprzęt komputerowy. Wdrożony zostanie system zarządzania budynkami dla optymalizacji zużycia mediów. U uruchomiony będzie również system do monitorowania stanu urządzeń w sieci. Z kolei Uniwersytet Warmińsko-Mazurski przeznaczy 14,43 mln zł na projekt, który obejmuje m.in. prosty elektroniczny obieg dokumentów, rejestr czasu pracy połączony z systemami uczelni, system wjazdu na kampus, szybszą i bardziej niezawodną sieć oraz lepiej zabezpieczoną serwerownię. Wzmocniony zostanie monitoring na kampusie, a dla 200 serwerów uruchomiony będzie całodobowy nadzór nad cyberzagrożeniami.

Niemowlęta „mówią” rękami i nogami

WARSZAWA W pierwszym roku życia rozwój mowy jest ściśle powiązany z aktywnością ruchową całego ciała, a pierwszym wypowiedzianym



For: BabyLab PAN

dźwiękom mowy towarzyszą ruchy rąk i nóg – wskazują naukowcy z Instytutu Psychologii PAN. Badanie zespołu BabyLabPAN dostarcza pierwszych bezpośrednich wyników, które pokazują, na czym polegają zależności między wczesnym rozwojem mowy a rozwojem ruchowym. W szczególności zamierzano ustalić, czy wypowiadanie dźwięków mowy uruchamia także

inne części ciała, niezwiązane bezpośrednio z aparatem artykulacyjnym. W tym celu wykorzystano ubieralne czujniki ruchu (akcelerometry), które pozwoliły precyzyjnie zmierzyć ruchy rąk i nóg w trakcie swobodnych wymian głosowych między niemowlętami a ich rodzicami w trakcie zabawy. Każda podobna do mowy wokalizacja u niemowlęcia została oznaczona. Następnie zmierzono, jak bardzo zmienia się poziom ruchu rąk i nóg podczas wokalizowania. Analiza wykazała silną aktywację zarówno rąk, jak i nóg bezpośrednio przed początkiem wokalizacji. Ruch ten utrzymywał się w jej trakcie i spadał pod koniec wokalizacji. Badacze ustalili, że zależność między ruchem kończyn a wokalizacjami jest równie silna przez większość pierwszego roku życia. Oznacza to, że niemowlęta angażują kończyny w proces wokalizowania w okresie nauki mowy. Wyniki sugerują, że gestykulacja, która często mimowolnie towarzyszy mowie u dorosłych, ma swoje źródło w okresie niemowlęcym.

Humaniści pod nowym adresem

BIAŁYSTOK Uniwersytet w Białymstoku zakończył budowę obiektu, który od października stanie się siedzibą wydziałów humanistycznych. Pracować i uczyć się w nim będzie około 2 tys. osób. Do nowej siedziby przeniosą się: Wydział Filologiczny, Wydział Filozofii i Kognitywistyki, Wydział Historii, Wydział Studiów Kulturowych oraz Studium Praktycz-



nej Nauki Języków Obcych. W budynku znajdzie swoje miejsce także dziekanat Wydziału Socjologii, na którym zajęcia prowadzone będą w całym kampusie Uniwersytetu w Białymstoku. Powierzchnia 3-kondygnacyjnego obiektu wynosi około 10 tys. metrów kwadratowych. Wewnątrz mieści się 55 sal dydaktycznych, jedna duża aula na 300 osób, jedyna amfiteatralna i wachlarzowa na uniwersytecie (z możliwością wydzielania trzech mniejszych). Na parterze znajdują się m.in. dziekanaty i pokoje dziekanów i prodziekanów – to ułatwi studentom i osobom z zewnątrz załatwianie spraw formalnych. Parter to także strefa gastro, strefa odpoczynku, czytelnia. Na pierwszym piętrze zlokalizowane zostaną sale wykładowe, ćwiczeniowe, seminaryjne. Na ostatniej kondygnacji znajdują się katedry i zakłady wszystkich humanistycznych jednostek. Na poziomie I piętra obiekt jest połączony nadziemną zabudowaną kładką z położoną obok Biblioteką Uniwersytecką. Między skrzydłami obiektu znajduje się zielony dziedziniec. Prace budowlane trwały dwa lata. Inwestycja pochłonęła blisko 92,5 mln zł.

Prehistoryczne trzęsienia ziemi na Podhalu

PODHALE Naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego, Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, Uniwersytetu Jagiellońskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego oraz Uniwersytetu w Jenie (Niemcy) przeprowadzili pierwsze w historii kompleksowe badania paleosejsmiczne w Kotlinie Podhalańskiej, ujawniając wyraźne ślady późnoplejstocenijskiej aktywności tektonicznej (od 40 do 10 tys. lat temu) w regionie uznanym dziś za sejsmicznie spokojny. Prace koncentrowały się na nieznanym wcześniej uskoku, nazwanym uskokiem Brzegów, zlokalizowanym w rejonie miejscowości Brzegi, we wschodniej części Kotliny Podhalańskiej. W krajobrazie objawia się on jako ciągła, prostoliniowa krawędź morfologiczna o wysokości do 4 metrów, rozciągająca się na dystansie około 3 kilometrów. Tego typu forma terenu – tzw. fault scarp – jest klasycznym wskaźnikiem powierzchniowego przemieszczenia uskoku podczas trzęsienia



ziemi. Aby rozstrzygnąć, czy forma ta jest efektem procesów osuwiskowych, erozji, czy rzeczywistego ruchu tektonicznego, naukowcy zastosowali szeroki zestaw metod badawczych. Wykorzystano wysokorozdzielczy model terenu LiDAR, szczegółowe kartowanie geomorfologiczne i geologiczne, a także pomiary geofizyczne (georadar GPR oraz tomografię elektrooporową ERT). Wszystkie wykazały istnienie niemal pionowej strefy uskoku bezpośrednio pod progiem morfologicznym. Kluczowym elementem badań było wykonanie szurfu (wkopu) paleosejsmicznego przecinającego próg terenowy. W jego ścianach zidentyfikowano wyraźną strefę zaburzeń, interpretowaną jako strefa uskoku, z pionowym przesunięciem warstw osadowych rzędu około 40 cm. Choć wartość ta jest mniejsza niż sugerowałaby rzeźba terenu, jej obecność stanowi bezpośredni dowód ruchu tektonicznego w plejstocenie.

Lek na glejaka podany inaczej

KRAKÓW Zespół badawczy z Uniwersytetu Jagiellońskiego opracował nową metodę podawania leku stosowanego w terapiach nowotworu mózgu. Nowe rozwiązanie umożliwia podawanie leku na dwa sposoby: bezpośrednio do mózgu podczas operacji resekcji guza, jak również w aerozolu poprzez jamę nosową chorego. Opracowana metoda polega na miejscowym podawaniu temozolomidu (TMZ) – obecnie najczęściej stosowanego leku w chemioterapii złośliwego glejaka mózgu – za pomocą innowacyjnych platform biopolimerowych. Ze względu na



For: UJ

swoje właściwości nośniki te spełniają kluczowe wymagania dla terapii onkologicznej: uwalniają lek stopniowo w wydłużonym okresie i tylko w tym miejscu, gdzie jest on potrzebny, co powoduje, że silnie toksyczny preparat działa z maksymalną efektywnością przy zminimalizowanych skutkach ubocznych; pozwalają ominąć barierę krew-mózg (barierę biochemiczną oddzielającą krwiobieg organizmu od tkanki nerwowej), która stanowi jedno z głównych wyzwań w obecnie prowadzonych chemioterapiach ośrodkowego układu nerwowego; ich skład chemiczny jest w pełni biokompatybilny (biozgodny) z organizmem pacjenta, przy czym komponenty nośnika mają pozytywne właściwości mogące dodatkowo wspierać leczenie; po podaniu do organizmu nośnik leku nie wykazuje negatywnego oddziaływania na zdrowe komórki tkanek.

Centrum Współpracy Polsko-Ukraińskiej

WROCŁAW Z początkiem stycznia na Uniwersytecie Wrocławskim zainaugurowało działalność Centrum Współpracy Polsko-Ukraińskiej. Celem nowej jednostki jest między innymi umacnianie pozycji wrocławskiej uczelni jako wiodącego ośrodka ukraińsznawczego oraz wsparcie odbudowy potencjału dydaktycznego ukraińskich szkół wyższych. Zgodnie z założeniami pomysłodawców, Centrum ma działać na styku nauki, edukacji i społeczeństwa, tak by wiedza i badania stały się realnym narzędziem konstruowania dialogu polsko-ukraińskiego, a jednocześnie impulsem rozwojowym dla środowiska akademickiego Wrocławia i całego Dolnego Śląska. Nową jednostką kieruje prof. Agnieszka Matusiak-Bakuła, literaturoznawczyni, sławistka, od 1998 roku związana z Instytutem Filologii Słowiańskiej UWr. W pierwszych miesiącach działalność będzie się koncentrować m.in. na stworzeniu stałego forum współpracy z polskimi i ukraińskimi uczelniami. Ma ono stanowić podstawę dla budowania sieci i konsorcjów badawczych aplikujących o fundusze krajowe i międzynarodowe (np. projekty badawcze, innowacyjne, kształceniowe). W planach są też akademickie programy wymiany, staże i mentoring dla studentów oraz młodych badaczy z Polski i Ukrainy. Inicjatywy te mają sprzyjać budowaniu trwałych mostów między środowiskami akademickimi obu krajów. Centrum będzie także działało na rzecz dialogu społecznego i współpracy z otoczeniem.

Prorektor AGH prezydentem WFO

KRAKÓW Prof. Rafał Dańko, prorektor ds. studenckich Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, został wybrany na prezydenta Światowej Organizacji Odlewniczej (World Foundry Organization) na kadencję 2026–2027. To uznany autorytet i lider światowego sektora odlewniczego. Od początku swojej kariery naukowej pracuje na Wydziale Odlewnictwa AGH. W latach 2016–2020 był jego dziekanem. W latach 2020–2024 oraz w obecnej kadencji pełni funkcję prorektora ds. studenckich AGH. Jest prezesem Stowarzyszenia Technicznego Odlewników Polskich oraz przewodniczącym Rady Naukowej Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytutu Metali Nieżelaznych. Ma na koncie ponad 350 publikacji naukowych oraz 10 patentów. Jego działalność ponadczasowo łączy naukę z praktyką przemysłową, ze szczególnym uwzględnieniem technologii odlewniczych, wytwarzania przyrostowego, recyklingu mas formierskich oraz zrównoważonej, niskoemisyjnej produkcji. Jego kadencja na stanowisku prezydenta Światowej Organizacji Odlewniczej rozpoczyna się w wyjątkowym momencie – w 2026 roku WFO obchodzi 100-lecie działalności. Związane z tym uroczystości odbędą się podczas Światowego Kongresu Odlewniczego w Turcji.

TOPAZ na Politechnice Śląskiej

GLIWICE Na Politechnice Śląskiej zainaugurowało działalność Centrum Technologii Obronnych i Podwójnego Zastosowania TOPAZ. Dyrektorem nowej jednostki został prof. Arkadiusz Mężyk, były przewodniczący



Fot. Jan Szady

Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. Centrum TOPAZ zostało utworzone w celu prowadzenia działalności badawczej, rozwojowej, wdrożeniowej, upowszechniającej wiedzę, eksperckiej oraz szkoleniowej dotyczącej szeroko rozumianej problematyki technologii obronnych i podwójnego zastosowania. – Powstanie jednostki wynika z potrzeby dyktowanej obecną sytuacją geopolityczną i rosnącym zagrożeniem, olbrzymich inwestycji państwa w sektor obronny, silnym przemysłem zbrojeniowym w naszym otoczeniu, a także olbrzymim doświadczeniem i zainteresowaniem tym obszarem członków naszej społeczności – wyjaśnia prof. Marek Pawełczyk, rektor Politechniki Śląskiej. TOPAZ ma się skupiać na 12 obszarach badawczych: pojazdy bezzałogowe, detekcja i rozpoznanie, cyberbezpieczeństwo, zarządzanie i logistyka, symulacje numeryczne, nowoczesne materiały, budowie ochronne, technologie kosmiczne, pojazdy specjalne, materiały wysokoenergetyczne, medycyna pola walki i bezpieczeństwo energetyczne.

Polak prezydentem-elektem DGS

GDAŃSK Dr Tomasz Janowski z Politechniki Gdańskiej został wybrany na prezydenta-elekta Digital Government Society. To międzynarodowe stowarzyszenie, którego celem jest rozwijanie badań, polityk publicznych i dobrych praktyk w zakresie cyfrowego państwa, tj. wykorzystania technologii cyfrowych do generowania wartości publicznej, transformacji administracji publicznej, polityk publicznych i relacji między państwem a społeczeństwem, oraz realizacji cyfrowej agendy publicznej. Jego członkami są naukowcy, badacze i praktycy z różnych dyscyplin, którzy koncentrują się na rozwoju cyfrowego państwa na całym świecie. W kadencji 2028–2029 funkcję prezydenta będzie sprawował dr Tomasz Janowski z Katedry Informatyki w Zarządzaniu na Wydziale Zarządzania i Ekonomii PG. Będzie dwunastą osobą stojącą na czele DGS (do tej pory stowarzyszeniem kierowali Amerykanie, Kanadyjczycy i Holenderzy). Dr Janowski



Fot. PG

zajmuje się zagadnieniami z obszaru cyfrowego państwa, cyfrowej transformacji i zrównoważonego rozwoju. Posiada blisko dwudziestoletnie doświadczenie w systemie Organizacji Narodów Zjednoczonych, w tym jako założyciel i dyrektor UNU-EGOV, jednostki United Nations University.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Kamil Dziewit, Iwona Flanczewska-Rogalska, Marta Gawina, Katarzyna Górnicz-Mackiewicz, Piotr Kopa, Anna Modzelewska, Magdalena Niecuzja-Goniszewska, Robert Papliński, Patryk Rosiński, Jacek Szymik-Kozaczko, Anna Żmuda-Muszyńska

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej

www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku

i na platformie X



Gala Nauki Polskiej 2026

Nagrody ministra nauki za rok 2025

Dzień Nauki Polskiej, obchodzony 19 lutego w rocznicę urodzin Mikołaja Kopernika – astronoma-rewolucjonisty, który wstrzymał Słońce i ruszył Ziemię, jest świętem państwowym ustanowionym w 2020 r. W roku 2026 Gala Nauki Polskiej miała miejsce 20 lutego w Teatrze Polskim w Warszawie.

– Wszyscy z ogromnym szacunkiem odnosimy się do państwa gotowości dzielenia się wiedzą, doświadczeniem i pasją. To właśnie ta postawa sprawia, że nauka pozostaje żywym, ciągłym procesem – przekazywanym, rozwijanym i twórczo pogłębianym przez kolejne pokolenia polskich naukowców. Państwa dorobek najlepiej świadczy o tym, że konsekwentna, rzetelna praca naukowa ma wymiar nie tylko akademicki, lecz także społeczny i cywilizacyjny – podkreślał minister Marcin Kulasek, zwracając się do wyróżnionych badaczy i wszystkich uczestników uroczystości.

Najważniejszym punktem gali było wręczenie Nagród Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, które honorują wybitne osiągnięcia w polskim środowisku akademickim.

Szczegółowe zasady przyznawania nagrody opisane są w rozporządzeniu ministra nauki z 23 stycznia 2019 roku (z późniejszymi zmianami). W danym roku minister może przyznać najwyżej 200 nagród, z tego nie więcej niż 180 za znaczące osiągnięcia w zakresie działalności naukowej, dydaktycznej, wdrożeniowej lub organizacyjnej oraz nie więcej niż 20 za całokształt dorobku. Maksymalną wysokość nagrody nie może przekroczyć piętnastokrotności minimalnego miesięcznego wynagrodzenia zasadniczego profesora w uczelni publicznej. Wnioski rozpatruje zespół doradczy powołany przez ministra nauki.

Podczas tegorocznej Gali Nauki Polskiej nagrodzono ponad 150 osób. Przyznano wyróżnienia indywidualnie oraz zespołowe. Minister wykorzystał w tym roku całą pulę nagród za całokształt dorobku, honorując tym wyróżnieniem 20 wybitnych naukowców, których wieloletnia praca przyczyniła się do rozwoju dyscyplin takich jak ekonomia, archeologia, chemia czy fizyka. Laureaci to reprezentanci m.in. Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, Uniwersytetu

Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie oraz instytutów Polskiej Akademii Nauk.

Za działalność naukową minister nagrodził 54 osoby. Wyróżnienia otrzymali m.in. badacze z Politechniki Warszawskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych PAN i Instytutu Fizyki Jądrowej PAN.

Minister nauki docenił osiągnięcia 34 osób w działalności dydaktycznej. Nagrody trafiły m.in. do przedstawicieli Politechniki Krakowskiej, Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Za działalność wdrożeniową minister nagrodził 43 osoby. Laureaci to przedstawiciele m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu SWPS, Politechniki Koszalińskiej i Politechniki Łódzkiej. Za działalność organizacyjną – za wkład w rozwój instytucji naukowych – minister nagrodził 7 osób. Są to m.in. przedstawiciele Uniwersytetu Zielonogórskiego, Uniwersytetu Wrocławskiego, Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu i Polskiej Akademii Nauk.

W opublikowanym dzień wcześniej liście, skierowanym 19 lutego do przedstawicieli świata nauki i szkolnictwa wyższego minister nauki dr inż. Marcin Kulasek napisał, że nagrody te przypominają i podkreślają, że „nauka jest źródłem postępu cywilizacyjnego, racjonalnego myślenia i świadomego kształtowania przyszłości”. Siła polskich badaczy to różnorodność i działania, które codziennie zmieniają rzeczywistość.

Gościem specjalnym tegorocznej gali był dr Sławosław Uznański-Wisniewski, polski astronauta, uczestnik międzynarodowej misji kosmicznej, który podczas uroczystości otrzymał złoty medal Zasłużony dla Nauki Polskiej – Sapientia et Veritas.

Laudację na cześć nagrodzonego wygłosiła podsekretarz stanu w MNiSW, Maria Mrówczyńska. – Historia doktora Uznańskiego-Wisniewskiego pokazuje, że nauka nie jest elitarna, niedostępna ani abstrakcyjna, lecz realna, potrzebna i służąca społeczeństwu. Jego życiorys – od studiów na polskiej uczelni technicznej, przez pracę w



Źródło: MNiSW

CERN, aż po udział w misji kosmicznej – jest świadectwem determinacji, konsekwencji i pasji badawczej. To droga, która pokazuje, że polska nauka może nie tylko uczestniczyć w światowych projektach, ale także je współtworzyć – podkreśliła M. Mrówczyńska.

– To dla mnie ogromny zaszczyt – zarówno w wymiarze osobistym, jak i zawodowym. Z tego miejsca chciałbym zadedykować tę nagrodę całemu zespołowi badawczemu zaangażowanemu w realizację polskiej misji kosmicznej. Nad tym przedsięwzięciem pracowało około 1000 osób, których wiedza, determinacja i współpraca miały kluczowe znaczenie dla jego sukcesu. Dziękuję również Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego za zorganizowanie ogólnopolskiego

cyklu spotkań na uczelniach. Odwiedziliśmy 26 uczelni w 16 województwach, co stworzyło wyjątkową przestrzeń do dzielenia się wiedzą, doświadczeniem oraz popularyzowania osiągnięć polskiej nauki – mówił dr Uznański - Wiśniewski na zakończenie części oficjalnej gali Nauki Polskiej.

(źródło MNIŚW)

Pełna lista laureatów Nagród Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego znajduje się na stronie internetowej forumakademickie.pl

Nagrody za całokształt dorobku:

- prof. dr hab. Marian Gorynia, Uniwersytet Ekonomiczny w Poznaniu, nauki społeczne.
- prof. dr hab. Andrzej Kokowski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, nauki humanistyczne.
- prof. dr hab. Arkadiusz Żukowski, Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie, nauki społeczne.
- prof. dr hab. Leszek Marek Marynowski, Uniwersytet Śląski w Katowicach, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. inż. Tomasz Kapitaniak, Politechnika Łódzka, nauki inżynierijno-techniczne.
- dr hab. Maria Magdalena Konarska, Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. Iwo Białynicki-Birula, Centrum Fizyki Teoretycznej Polskiej Akademii Nauk, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. Łukasz Michał Sułkowski, Akademia WSB, nauki społeczne.
- prof. dr hab. Piotr Józef Błędowski, Szkoła Główna Handlowa w Warszawie, nauki społeczne.
- prof. dr hab. Wojciech Maria Kwiatek, Instytut Fizyki Jądrowej im. Henryka Niewodniczańskiego Polskiej Akademii Nauk, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. inż. Janusz Aleksander Kacprzyk, Instytut Badań Systemowych Polskiej Akademii Nauk, nauki inżynierijno-techniczne.
- prof. dr hab. Grażyna Stochel, Uniwersytet Jagielloński, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. Piotr Zielenkiewicz, Instytut Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. inż. Tomasz Sadowski, Politechnika Lubelska, nauki inżynierijno-techniczne.
- prof. dr hab. Jolanta Zakrzewska-Czerwińska, Uniwersytet Wrocławski, nauki ścisłe i przyrodnicze; nauki medyczne i nauki o zdrowiu.
- prof. dr hab. inż. Zdzisław Kowalczyk, Politechnika Gdańska, nauki inżynierijno-techniczne.
- prof. dr hab. Bronisław Marciniak, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. Ewa Ziętkiewicz, Instytut Genetyki Człowieka Polskiej Akademii Nauk, nauki medyczne i nauki o zdrowiu.
- prof. dr hab. inż. Adriana Karolina Zaleska-Medynska, Uniwersytet Gdański, nauki ścisłe i przyrodnicze.
- prof. dr hab. Jacek Włodzimierz Waluk, Instytut Chemii Fizycznej Polskiej Akademii Nauk, nauki ścisłe i przyrodnicze.



Między ambicją a wygodą

O projektowaniu mechanizmów oceny publikacji naukowych

Prof. Magdalena Musiał-Karg, badaczka systemów politycznych, elektronicznej partycypacji, e-votingu oraz demokracji bezpośredniej z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, prezeska Polskiego Towarzystwa Nauk Politycznych i wiceprezydentka International Political Science Association, uzasadnia potrzebę stworzenia dwóch list czasopism jako narzędzia ewaluacji działalności naukowej.

Debata o przyszłym kształcie listy czasopism w Polsce coraz częściej przybiera ton tożsamościowy. Padają określenia „globaliści”, „lokaliści”, „scopusowcy”, pojawiają się sugestie o klasowym charakterze sporu. Tymczasem istota problemu jest znacznie prostsza, ale i znacznie poważniejsza. To jest spór o konstrukcję bodźców w systemie nauki.

Nie zgadzam się z tezą, że sprzeciw wobec arbitralnego podnoszenia punktacji krajowych czasopism wynika z obaw o prestiż czy pozycję „umiędzynarodowionych” badaczy. Takie uproszczenie przesuwając debatę z poziomu projektowania polityki naukowej na poziom emocjonalnych etykiet. A przecież stawką jest to, jak państwo definiuje jakość badań i jakie zachowania będzie premiować. Spór nie dotyczy tego, czy publikacje w języku polskim są potrzebne. Są – i to bezdyskusyjnie. W naukach społecznych i humanistycznych pełnią ważną funkcję: kulturotwórczą, ekspercką i dydaktyczną. Dane pokazują zresztą, że język polski w tych dyscyplinach dominuje i nie jest zagrożony, a na pewno nie znajduje się na marginesie systemu. Różnice w prezentowanych stanowiskach dotyczą raczej tego, czy i w jakim zakresie system ewaluacyjny ma odzwierciedlać różnice w zasięgu, konkurencyjności i widoczności badań. Jeżeli publikacja w krajowym czasopiśmie otrzymuje taką samą lub wyższą punktację niż artykuł w uznanym czasopiśmie międzynarodowym, nie jest to kwestia „sprawiedliwości klasowej”, lecz konstrukcji bodźców. System premiując pozostawanie w obiegu krajowym, zamiast zachęcać do wyjścia poza niego. Twierdzenie, że wzrost punktacji krajowych tytułów „nikomu nie zaszkodzi”, pomija elementarną zasadę działania systemów ewaluacyjnych: bodźce kształtują zachowania. Jeżeli różnica między obiegiem międzynarodowym a krajowym zostanie zniwelowana, motywacja do podejmowania większego ryzyka publikacyjnego będzie słabsza. Nie dlatego, że ktoś obawia się utraty prestiżu, lecz dlatego, że racjonalnie reaguje na sygnały systemowe. Nie chodzi o ochronę czyichkolwiek przewag. Chodzi o to, czy państwo chce budować system, który jasno premiuje obecność w międzynarodowej debacie, a jednocześnie profesjonalizuje i stabilizuje obieg krajowy, czy raczej taki, który relatywizuje różnice w poziomie konkurencyjności.

Mierzyć wyżej, nie cofać się

Warto przypomnieć, że przed reformą Jarosława Gowina funkcjonowało kilka list czasopism. System był wielopoziomowy i nie budził oskarżeń o polaryzację. Nie był doskonały, żaden system ewaluacji nie jest doskonały, ale różnicowanie poziomów postrzegane było jako oczywisty element porządkowania jakości, a nie jako instrument podziałów czy hierarchizacji środowiska. Dziś, po latach nastawienia na umiędzynarodowienie, stoimy przed pokusą wyrównywania punktacji bez względu na realne różnice

jakościowe. To byłby krok wstecz. Zamiast mierzyć wyżej, zaczęlibyśmy relatywizować standardy. Rozumiem intencję wzmocnienia krajowego obiegu publikacyjnego i docenienia roli języka polskiego w naukach społecznych i humanistycznych. To cel, który zasługuje na poważne potraktowanie. Wspieranie profesjonalnych, stabilnych czasopism krajowych jest elementem budowania infrastruktury intelektualnej państwa. Mam jednak obawę, że proponowane rozwiązanie może w praktyce skierować system w dół, nie poprzez jawne obniżenie standardów, lecz poprzez osłabienie



nie bodźców do ich podnoszenia. Jeśli zrównujemy poziomy bez uwzględnienia realnych różnic w konkurencyjności i zasięgu oddziaływania, ryzykujemy przesunięcie akcentu z ambicji na wygodę. Nie byłoby to wzmacnianie jakości, lecz jej stopniowe rozmywanie. Nie chodzi tu o wprowadzanie bodźców negatywnych ani o wykluczanie kogokolwiek. Chodzi o tworzenie takich reguł gry, które nagradzają ambicję, jakość i gotowość do konkurowania na poziomie międzynarodowym, przy jednoczesnym profesjonalnym wsparciu obiegu krajowego. System powinien wzmacniać, a nie wyrównywać w dół. Jeśli przestaniemy premiować wysiłek i konkurencyjność, przestaniemy mieć powód, by mierzyć wyżej. A bez ambicji nie ma rozwoju. Państwo, które rezygnuje z nagradzania jakości

i odwagi konkurowania, samo ogranicza swoje aspiracje i rezygnuje z miejsca przy światowym stole.

Dwie listy jako rozwiązanie systemowe, nie ideologiczne

Proponuję stworzenie dwóch list czasopism – krajowej i międzynarodowej. Nie jako narzędzia służącego uspokajaniu kogokolwiek ani budowaniu kompromisu między „globalistami” a „lokalistami”, lecz jako rozwiązania systemowego, porządkującego role i funkcje różnych obiegu komunikacji naukowej w sposób przejrzysty i sprawiedliwy. Warto zwrócić uwagę, że podobne rozwiązania funkcjonują w mniejszych krajach własnojęzycznych. W Finlandii system Publication Forum (JUF0) opiera się na wielopoziomowej klasyfikacji czasopism, w której najwyższe poziomy przypisane są najbardziej konkurencyjnym tytułom międzynarodowym. W Estonii umiędzynarodowienie traktowane jest jako standard funkcjonowania nauki w małym państwie. To pokazuje, że możliwe jest pogodzenie silnego obiegu krajowego z wyraźnie premiowanym obiegiem międzynarodowym. Co więcej, takie rozwiązania nie prowadzą do polaryzacji. Przeciwnie – są to systemy, które porządkują funkcję i tworzą jasne bodźce. Model dwóch list jest więc kompromisem instytucjonalnym: silny, profesjonalny obieg krajowy oraz wyraźnie premiowany obieg międzynarodowy. Umiędzynarodowienie nie jest tu dodatkiem, jest standardem.

Uważam, że na liście międzynarodowej powinny znaleźć się wyłącznie te tytuły, które są indeksowane w uznanych bazach, takich

jak Scopus czy Web of Science, posiadają udokumentowaną, anonimową procedurę recenzyjną, rzeczywiście funkcjonują w obiegu międzynarodowym zarówno pod względem składu redakcji, jak i struktury autorów publikacji, zachowują stabilność wydawniczą oraz przestrzegają międzynarodowych standardów etycznych. Tego rodzaju lista powinna być wyraźnie wyżej punktowana, ponieważ odzwierciedla realny poziom konkurencyjności, zasięg oddziaływania oraz widoczność badań w globalnym obiegu naukowym. Wykaz krajowy, podobnie jak lista międzynarodowa, powinien obejmować wyłącznie czasopisma recenzowane, transparentne proceduralnie i posiadające stabilną historię wydawniczą. Powinny to być tytuły indeksowane przynajmniej w uznanych bazach specjalistycznych właściwych dla danej dyscypliny oraz spełniające standardy etyki publikacyjnej. Punktacja tej listy musi być niższa niż listy międzynarodowej, nie jako wyraz deprecjacji języka polskiego, lecz jako odzwierciedlenie realnych różnic w zasięgu i konkurencyjności. System powinien jednocześnie konsekwentnie eliminować czasopisma o podejrzanych praktykach redakcyjnych, niskiej przejrzystości procedur czy cechach quasidrapieżnych. Na obecnych listach znajdują się tytuły budzące poważne wątpliwości. Bez ich rzetelnego odsiewania każda reforma pozostanie niewiarygodna i będzie jedynie kosmetyczną korektą.

Transparentność i odpowiedzialność

Kluczowe znaczenie mają transparentne kryteria kwalifikowania czasopism do obu list. System musi być na tyle przejrzysty, aby nikt nie miał wątpliwości, dlaczego jedno czasopismo znajduje się na danej liście, a inne nie. Punkty nie mogą być efektem uznaniowości, środowiskowych sympatii czy doraźnych decyzji. Kryteria powinny być jasno opisane, publicznie dostępne i mierzalne, tak aby każda redakcja wiedziała, jakie standardy musi spełnić. Tylko wówczas system będzie budował zaufanie, a nie podejrzania o ręczne sterowanie czy polityczne wpływy. Brak przejrzystości zawsze prowadzi do utraty wiarygodności całego systemu, nawet jeśli intencje reformy są dobre. Warto pamiętać, że w okresie pełnienia funkcji ministra nauki przez Przemysława Czarńka środowisko już doświadczyło nagłych i trudnych do uzasadnienia zmian w punktacji czasopism. Te doświadczenia pokazały, jak szybko zaufanie do systemu może zostać podważone, jeśli decyzje nie są oparte na jasno zdefiniowanych i konsekwentnie stosowanych zasadach.

I jeszcze jedna kwestia, która wydaje mi się niezwykle ważna w dyskusji nad tworzeniem listy czasopism oraz jej rolą w procesie ewaluacji dyscyplin i dorobku indywidualnego. Awanse naukowe nie mogą odbywać się bez obecności w obiegu międzynarodowym. Minimalny wymóg publikacji w czasopismach indeksowanych w Scopus czy Web of Science powinien stanowić element standardu przy habilitacji i tytule profesora. Nie jest to forma wykluczenia, lecz potwierdzenie zdolności funkcjonowania w globalnej debacie naukowej i gotowości do konkurowania na poziomie międzynarodowym. Równie istotne jest jednak to, by w procedurach awansowych recenzenci zwracali uwagę na jakość i wiarygodność miejsc publikacji. W dorobku kandydatów do stopni i tytułów naukowych nie powinny być uwzględniane publikacje w czasopismach o charakterze drapieżnym lub stosujących wątpliwe praktyki wydawnicze. Jeżeli takie publikacje znajdują się w wykazie dorobku, powinny zostać wyraźnie zweryfikowane i – w przypadku potwierdzenia wątpliwości – wyłączone z oceny. Odpowiedzialność za standardy nie kończy się na poziomie tworzenia list, to także rola recenzentów oraz ciał powołanych do przeprowadzania procedur awansowych (dla przypomnienia: np. NCN takie działania podjął, choć kwestie przejrzystości i jednolitości standardów wciąż wymagają dopracowania). Tylko w ten sposób system awansowy będzie wzmacniał rzetelność badań.

Z jednej strony w debacie słyszymy słuszne argumenty o chronicznym niedofinansowaniu systemu, o braku środków na publikowanie w modelu Open Access, o barierach finansowych utrudniających obecność w międzynarodowym obiegu. To realny problem, z którym mierzy się wiele zespołów badawczych. Z drugiej strony obserwujemy zjawisko trudne do uznania za racjonalne: znaczne środki publiczne trafiają do płatnych czasopism o wątpliwej renomie, nierzadko wykazujących cechy periodyków drapieżnych lub quasidrapieżnych. Artykuły publikowane w takich miejscach bywają wysoko punktowane, a następnie stają się podstawą do przyznawania nagród i premii finansowych. W efekcie publiczne pieniądze najpierw zasilają nieprzejrzyste modele wydawnicze, a później są ponownie rozdysponowywane w systemie motywacyjnym. Jeśli jednocześnie mówimy o braku środków na rzetelny Open Access, a tolerujemy przepływ znaczących kwot do czasopism o wątpliwych standardach, to znaczy, że problem nie dotyczy wyłącznie poziomu finansowania. Dotyczy również konstrukcji systemu i jakości mechanizmów weryfikacyjnych. A także tego, jak zbudowana jest lista i jaką punktację nadaje się poszczególnym kanałom publikacji.

Dlatego tak istotne jest to, jak tworzona jest lista czasopism i jakie kryteria decydują o obecności danego tytułu w systemie punktowym. Doświadczenia z poprzednich lat pokazały, że sposób konstruowania listy ma bezpośredni wpływ nie tylko na strategię publikacyjną, lecz także na przepływ publicznych pieniędzy. Lista nie jest neutralnym narzędziem technicznym. Jest jednym z najważniejszych regulatorów całego systemu. Nie podzielam pojawiającej się w dyskusji publicznej tezy, że komitety naukowe PAN z definicji nie są właściwym podmiotem do oceny czasopism. Uważam, że mogą być – pod warunkiem spełnienia określonych warunków. Zasiadają w nich samodzielni pracownicy naukowcy, często posiadający doświadczenie publikowania za granicą i funkcjonowania w międzynarodowym obiegu. Kluczowe jest jednak to, by zespoły oceniające były wolne od konfliktu interesów, nie powinny w nich zasiadać osoby pełniące funkcje kierownicze w redakcjach ocenianych periodyków ani osoby bezpośrednio zainteresowane wynikiem punktacji. Równie ważne jest, by osoby oceniające miały kompetencje w zakresie oceny jakości czasopism, rozumiały znaczenie indeksacji, procedur recenzyjnych, wskaźników widoczności i standardów etycznych. Transparentność kryteriów jest tu kluczowa.

To nie jest spór o tożsamość

Narracja klasowa nie rozwiązuje problemu konstrukcji systemu. Umiejętność międzynarodowania nie jest przywilejem elit. Jest standardem współczesnej nauki. Argument o prymacie dydaktyki również nie uzasadnia zacierania różnic jakościowych. Niedofinansowanie systemu nie powinno prowadzić do obniżania ambicji systemowych. Jeśli finansowanie badań jest niewystarczające, odpowiedzią powinno być jego zwiększenie, a nie redefiniowanie standardów widoczności. Najlepsze polskie książki, zakorzenione w lokalnym kontekście, bywają tłumaczone i wchodzi do obiegu globalnego. To dowód, że oba poziomy mogą współistnieć, a nawet się wzmacniać: silny obieg krajowy nie jest alternatywą dla umiędzynarodowienia, tylko może być jego zapleczem. To jest spór o to, czy system ma wzmacniać ambicję konkurencji światowej, czy neutralizować bodźce do jej podejmowania. Sprawiedliwy system nie polega na wyrównywaniu wszystkiego do jednego poziomu. Polega na uczciwym odzwierciedlaniu różnic i tworzeniu klarownych reguł gry. Jeśli chcemy poważnie traktować obecność polskich badaczy w świecie, musimy projektować system, który mierzy wyżej, a nie taki, który dostosowuje standardy do wygody kosztem jakości i konkurencyjności.

Przeciw anglicyzacji nauk społecznych

Nakreśliśmy kontekst obecnego sporu o sens anglicyzacji nauk społecznych: ekipa rządząca Ministerstwem Nauki obiecywała w pewnym momencie odejście od konkursowego modelu oceny jednostek naukowych. Był to dobry postulat. Środowisku Komitetu Krytycznego Humanistyki Polskiej, z którym jestem związany, bardzo zależało na nim; byłaby to zmiana logiki ewaluacji. Ministerstwo musiałoby określić zbiór osiągnięć, których oczekuje od danego typu uczelni. Uczelnie mogłyby aktywnie kształtować swoją misję w danym okresie i deklarować, w jaki sposób chcą ją wypełnić. Ministerstwo określałoby oczekiwany poziom umiędzynarodowienia publikacji oraz inne parametry, jak również kontyngent punktowy, po przekroczeniu którego uczelnia mogłaby oczekiwać na odpowiednią dotację etc.

Od pewnego czasu resort nauki zrezygnował z zapowiedzi odejścia od konkursowego modelu jednostek naukowych. Pojawiły się wstępne założenia do projektu rozporządzenia dotyczącego tworzenia listy czasopism i wydawnictw. Wszystkie rozwiązania niestety zostaną wpisane w obowiązującą dotąd logikę konkursową, więc można założyć, że nie zadziałają tak, jak były projektowane. Niemniej wewnątrz tej logiki wciąż niektóre rozwiązania są lepsze, niektóre gorsze.

Są takie, które zasługują na życzliwe przyjęcie. Czytamy na przykład, że inne będą normy oceny dla nauk humanistycznych i społecznych, a inne dla pozostałych dziedzin nauki, że pewną rolę w procesie oceny będą odgrywać komitety PAN i że rozporządzenie wzmocni rolę monografii wobec innych form wypowiedzi naukowej. Doceniony zostanie także polski obieg nauki. Prosiłbym, by ministerstwo pamiętało o podnoszonej często potrzebie poluzowania relacji między pismami a dyscyplinami naukowymi, do których są obecnie przypisane.

Zapowiedzi resortu wzbudziły burzę wśród niektórych naukowców, związanych zwłaszcza z psychologią, kognitywistyką i z naukami ścisłymi, komentujących na twitterze propozycję zmian. Moi dyskutanci twierdzą, że badania naukowe należy publikować po angielsku, w polszczyźnie popularyzując ich wyniki. Sądzę, że mają oni złą wizję tego, czym jest popularyzacja nauki. Celem popularyzacji nie powinno być wyłącznie tworzenie dowcipnego katechizmu na potrzeby ludności, podawanie „w co mają wierzyć ludzie”. Taka wizja popularyzacji dziś się nie sprawdzi. Byłaby możliwa, gdyby ludzie kierowali się hasłem „follow the science”. Nie jest to wizja na czasy kryzysu sfery publicznej, spadku zaufania do naukowców, rozdrażnienia obecnością ekspertów w mediach i ciałach doradczych.

Właściwa popularyzacja tworzy continuum między rodzajami wypowiedzi, między publicystyką i nauką. Dzięki temu continuum powinna umożliwić zainteresowanym czytelnikom zmierzenie się z właściwym tekstem naukowym. Po co? Po to, by mieć dostęp do wstępnie przygotowanego materiału badawczego. Sam wiele razy odkrywałem, że z prezentowanego materiału można wyciągnąć inne wnioski niż te pochodzące wprost od autora książki czy artykułu. Niektóre publikacje naukowe rzeczywiście będą zrozumiałe tylko dla nielicznego grona ekspertów. Wiele z nich powinno jednak być finansowo i językowo dostępnych dla czytelników

niebędących ekspertami: dla polityków, urzędników, kadry think tanków, dziennikarzy, nauczycieli, dla biznesu, dla NGO-sów. Nie dotyczy to tylko spraw ściśle polskich, takich jak polityka demograficzna, bariery solidarności międzypokoleniowej, problemy urbanistyki etc., lecz również debat o polityce monetarnej, o wentylacji budynków, o pojęciu kolonizacji, o problemach psychicznych nastolatków, o modelach globalizacji. Sam jako historyk filozofii konsumuję nie-eksperskie artykuły naukowe (niepopularyzatorskie) z dziedziny historii, religioznawstwa, ze stosunków międzynarodowych, jako działacz społeczny natomiast czytam publikacje epidemiologów oraz inżynierów od obiegu powietrza w budynkach.



Moi rozmówcy z twittera nie wierzą, że w Polsce ktokolwiek poza ekspertami będzie czytał ich artykuły naukowe i książkowe publikacje. Cóż, mamy bardzo antyintelektualną atmosferę społeczną, ale rezygnacja z kontaktu z polskim czytelnikiem jeszcze pogłębi te procesy. Trudno również wyjaśnić polskim dziennikarzom, urzędnikom etc., dlaczego należy finansować naukowców, którzy nie wierzą, że struktury samorządu, biznes, nauczyciele mogą skorzystać intelektualnie z badań prowadzonych na wydziałach nauk społecznych.

Anglicyzacja nauk społecznych i humanistyki sprawi, że debaty toczone w środowiskach tych nauk będą niedostępne cenowo dla czytelników; koszty dostępu są niezwykle wysokie. Podkreślam tu brak dostępności cenowej dla czytelników niebędących ekspertami. Następnie należy zwrócić uwagę na utrudnioną dostępność cenową i językową dla ekspertów z innych dyscyplin.

Ważną rolę w tej argumentacji odgrywa kwestia dostępności językowej dla czytelników niebędących ekspertami, szczególnie dziennikarzy, urzędników, ludzi z think tanków, nauczycieli. Co to za publiczność, jak należy o niej myśleć? To czytelnicy, którzy są fachowcami, ale nie akademickimi ekspertami i potrzebują możliwie na bieżąco uzupełniać swoją wiedzę. Skupiam się na naukach społecznych, ale dotyczy to także dyscyplin stosowanych. Weterynarz, lekarz czy inżynier muszą mieć dostęp do aktualnej wiedzy, niekoniecznie obracając się w międzynarodowym obiegu. Rozumiem niechęć niektórych naukowców do wchodzenia w inteligentnie buty, a jednak ta niechęć zaszła zdecydowanie zbyt daleko.

Zwolennicy anglicyzacji nauk społecznych pospieszenie zarzucają swoim dyskutantom, że ci siedzą w zaścianku. Cóż, jeżeli Polska to zaścianek, wizja naszych kolegów jest prywatną ucieczką z tego zaścianka i pozostawieniem go samemu sobie. Konsekwentna anglicyzacja nauk społecznych i humanistyki to pomysł na deokcydentalizację Polski, na oderwanie krajowych debat od zachodniej humanistyki i nauk społecznych.

Działają to w dwie strony. Anglicyzacja nauk społecznych w latach 90. odcięłaby polskojęzycznych czytelników od zachodnich badań nad pamięcią historyczną w kontekście Holocaustu i nad przeżywaniem płciowości. Z drugiej strony testowanie w języku polskim ważnych koncepcji teoretycznych, zmieniających nasze pole widzenia, pozwala dopiero właściwie ocenić ich

siłę eksplanacyjną. Pozwala nam krytycznie odnieść się do ich roszczeń do uniwersalności, deklarowanej neutralności albo normatywnej słuszności. Dobrym przykładem takiej operacji jest tekst Andrzeja Walickiego *Nacjonalizm i społeczeństwo obywatelskie w teorii Ernesta Gellnera*, w którym na gruncie polskiej optyki semantyczno-historycznej, autor ogranicza zasięg tej teorii pokazując jej „bezrefleksyjnym konsumentom”, że via język angielski staje się dla nich niewidoczny kulturowy kontekst założeń tej teorii (doświadczenie jej autora związane z Imperium Habsburgów: nowe nacje jako „konstrukcje”).

Kolejny punkt: istotna jest zwrotna możliwość aktywnego dyskusowania, podważania, uzupełniania wyników badań nauk społecznych, społecznej korekty wiedzy (naukowcy społeczni nie wiedzą wszystkiego, mają swoje metodologie, wciąż mogą się dużo dowiedzieć od zwykłych użytkowników świata społecznego na temat swoich metodologicznych założeń). Jest to argument szczególnie istotny dla socjologii, dla antropologii kulturowej.

Dalej: wpływ na działalność instytucji organizujących praktyki badanego wycinka świata społecznego. Naukowcy społeczni często bywają współprojektantami instytucji. Na podstawie ich badań instytucje mogą osiągnąć większą samoświadomość co do własnego działania. Nie jest dobrze, jeżeli najgłośniejsi w mediach naukowcy lekceważą ten aspekt oddziaływania nauki na rzecz chęci rozmowy w ekskluzywnym gronie, z paroma anglojęzycznymi ekspertami. Czy to rzeczywiście oznaka wysokich ambicji? Co innego oczywiście, jeżeli mierzą w aktywne kształtowanie swoimi wypowiedziami naukowymi architektury instytucjonalnej świata anglosaskiego.

Sprawą bardzo istotną jest rozwój odpowiedniej terminologii w polszczyźnie. Tej kwestii nie ograniczałbym do twardego jądra nauk społecznych i humanistycznych. Jest ona niesłychanie istotna dla nauk prawnych, ale też dla wielu nauk technicznych, ze względu na ich praktyczne nastawienie, na użytkownika.

Słowo o naukach prawnych. Prawo (niezależnie od stopnia porównawczości badań) „działa” w żywym ekosystemie języka krajowego: w ustawach i innych aktach normatywnych, aktach stosowania prawa (wyroki, decyzje itd.), doktrynie, opiniach prawnych i w codziennej praktyce instytucji. Jeżeli dorobek doktryny prawa ma realnie zasilać kulturę prawną, musi pozostawać dostępny w polszczyźnie nie tylko „popularyzatorsko”, lecz w pełnej, precyzyjnej postaci naukowej. Inaczej traci się ciągłość między badaniem a jego zastosowaniem: sędzia, legislator, urzędnik czy adwokat/radca prawny nie potrzebuje popularyzacyjnego streszczenia, tylko rozumowania, aparatu pojęciowego i argumentacji, które da się wprost przetworzyć na akt stanowienia/stosowania prawa (wyrok, decyzję itd.).

Co więcej, konsekwentna anglicyzacja prawa przyspiesza erozję polskiej terminologii prawniczej i ułatwia import kalk, które roznoszą znaczenia wypracowane przez tradycję i praktykę. Jak się wydaje, to jest tak naprawdę spór o jakość państwa, o to, czy debata o konstytucjonalizmie, prawach człowieka, odpowiedzialności administracji, ochronie konsumenta, technologii i własności intelektualnej będzie toczyć się w języku dostępnym dla obywateli i instytucji, które mają ją prowadzić. Umieźdźnarmodowienie jest potrzebne, ale powinno być dodatkiem wzmacniającym, a nie substytutem polskiego obiegu nauk prawnych. Bez niego tracimy narzędzia samorozumienia i samorządzenia.

Słowo o filozofii. Uważam, że język polski jest skarbem dla ludzkiej myśli. Duże możliwości językowe polszczyzny nie powinny przepaść w anglicyzacji. Do języków należy podchodzić jak do gatunków zwierząt. Wiele z zagrożonych gatunków zawiera w swoim ciele tajemnice ważne dla ludzkiego świata. Polszczyzna jest bardzo precyzyjna

i zarazem elastyczna, dlatego można w niej pomyśleć rzeczy ciekawe filozoficznie.

Sposób pisania do pism anglojęzycznych wymaga standaryzacji stylu i struktury. Jest to ćwiczenie zubażające intelektualnie. Nasi herosi umieźdźnarmodowienia lekceważą literaturę naukową francuską i niemiecką, w których stopień standaryzacji wypowiedzi naukowej nie jest tak wysoki, redakcje pozwalają na więcej ekstrawagancji.

Nie lubię argumentu podnoszonego przez „moją” stronę sporu, że nikogo na świecie nie obchodzi polska tematyka. Obchodzi, od czasu do czasu. Periodyki anglosaskie mogą opublikować pojedyncze wypowiedzi polskich naukowców na temat polskiego systemu prawnego etc., ale nie obsłużą całych dyskusji. Podobny problem mają nauki społeczne i humanistyczne z innymi krajami postrzeganymi jako oddalone od anglosaskiego „centrum”, nie tylko z Europy Środkowo-Wschodniej.

Jest to kwestia: a) zwykłej pojemności; b) modelowania zainteresowań badawczych przez redakcje. Sprawy istotne z punktu widzenia obywateli państw oddalonych od anglosaskiego centrum nie muszą być interesujące dla tychże redakcji. Artykuły niezgodne z obiegową wiedzą na temat regionu niekoniecznie będą się cieszyć dodatkowymi punktami u recenzentów. Czy to uwaga nacjonalistyczna? Raczej nie, to uwaga na temat real-politycznego, a może real-społecznego wymiaru, o którym rzadko pamięta się przy tworzeniu polityki naukowej. Znowu, nie jest to problem przede wszystkim Polaków. Europa Środkowo-Wschodnia po prostu nie jest ulubioną krainą zachodnich elit kulturalnych, na co dramatycznie wskazywało wielu ukraińskich antywojennych aktywistów.

Zasadniczym argumentem przeciwników wzmocnienia punktowego niektórych polskich czasopism i wydawnictw jest kwestia łatwości lub trudności publikacji. Trudność publikacji za granicą miałaby być jednym z kluczowych argumentów na rzecz wyniesienia anglojęzycznych tekstów na górę piramidy.

W jakiej części jest to jednak argument mało poważny. Trudność publikacji, gęstość recenzenckiego sita nie rozstrzyga ani o jakości, ani o wartości społecznej badania. Dlaczego trudność zorganizowania sobie publikacji i dopasowania swojego stylu do stylu konkretnej redakcji miałaby być ważniejsza niż możliwość wpływu instytucjonalnego? Dlaczego trudność ma wyznaczać ostateczną skalę wartości?

Ostatecznie bowiem nie chodzi o to, żeby było trudno. Wartością umieźdźnarmodowienia nie jest jego trudność. Naukowcy zbyt często pozwalają tak myśleć swoim ministrom, wiceministrom i różnym prezesom, że nauka musi być trochę niedożywiona, by była dobra. Podobnie z umieźdźnarmodowieniem: należy je organizować poprzez systemowe, celowe finansowe wsparcie, które ułatwi wejście w obieg, a nie przez system punktowy wartościujący działania trudne.

Spór o anglicyzację nauk społecznych dotyczy w istocie tego, dla kogo nauka istnieje i komu ma służyć. Jeśli przyjmiemy, że jej jedynym adresatem jest wąskie grono międzynarodowych ekspertów, to konsekwentna anglicyzacja jest logiczna. Zarazem jest przyznaniem się do porażki, rezygnacją z ambicji kształtowania własnego społeczeństwa, własnych instytucji, własnej kultury intelektualnej. Polskie nauki społeczne i humanistyczne przez wieki budowały język, w którym to społeczeństwo mogło myśleć o sobie samym. Ten dorobek jest ich najważniejszym zasobem. Polityka naukowa, która nagradza trudność zamiast wpływu, prestiż zamiast użyteczności i angielszczyznę zamiast myśli – nie służy nauce. Służy co najwyżej złudzeniu.

Aleksander Temkin,
Komitet Kryzysowy Humanistyki Polskiej

Antyracjonalizm i resentment, czyli intelektualna hucpa „lokalistów”

Spór między „globalistami” a „lokalistami” o to, jak oceniać dorobek badawczy w naukach społecznych (wyłączam z tych rozważań humanistykę), trwa już od co najmniej 15 lat. Jego pierwsza odsłona miała miejsce na kanwie reform firmowanych przez ministra nauki w pierwszym rządzie Donalda Tuska, prof. Barbarę Kudrycką, krytykowaną przez „lokalistów” za uprzywilejowane potraktowanie publikacji w czasopiśmie z ówczesnej listy A, zawierającej uznane pisma międzynarodowe. Spór i konflikt same w sobie nie są tragedią, są wszak niemal naturalne w społecznościach ludzkich i mogą mieć dla nich wręcz pozytywne skutki. Jednak, jak przekonuje niemiecki filozof i socjolog Jürgen Habermas, spór powinien się toczyć w pewnych ramach, w oparciu o racjonalne, polegające na prawdziwych argumentach. W ramach takiego sporu, wykazanie niedorzeczności lub nieprawdy jednej strony przez drugą ma głębokie konsekwencje dla debaty: strona, której argumentacja została obnażona, powinna wycofać się ze swojego twierdzenia lub ewentualnie wesprzeć je w nowy sposób. Takie podejście, oparte na logice i faktach, jest fundamentem nie tylko myślenia naukowego, ale także demokracji. Jeśli racjonalny spór zdefiniujemy w ten sposób, obecna argumentacja „lokalistów”, na czele z firmującą ewaluacyjne zmiany wiceministrą nauki i szkolnictwa wyższego, stawia ich już niestety poza uniwersum tego, co akceptowalne, i to niezależnie od tego, jak usilnie przedstawicielka Ministerstwa Nauki usiłuje nas przekonać, że proces zmian ma charakter deliberacyjny. Poniżej krótko przytaczam trzy absurdalne i/lub niepolegające na prawdziwych argumentach „lokalistów”, by następnie przejść do próby wyjaśnienia, skąd bierze się to ich wyjście poza racjonalny dyskurs.

Pierwszy argument dotyczy rzekomej konieczności wspierania refleksji naukowej w języku polskim, która to refleksja staje się, jak twierdzą „lokaliści”, ofiarą szybko postępującej „anglicyzacji” nauk społecznych. Ma to wg nich prowadzić do zubożenia naukowej polszczyzny i do innych negatywnych zjawisk. Teza ta jednak w oczywisty sposób nie ma oparcia w faktach; ponad 70% tekstów socjologicznych i ponad 80% politologicznych powstaje obecnie w języku polskim (w naukach prawnych proporcja ta jest jeszcze wyższa). Jednak, co ważniejsze w kontekście stawianych tu tez, wskazanie „lokalistom”, że ich argument jest oparty na fałszywej, łatwej do zweryfikowania przesłance, nie robi na nich żadnego wrażenia. Nie odnoszą się oni do faktu bezsprzecznej, opartej na twardych danych fałsyfikacji tejże przesłanki, a narracja o obronie polszczyzny jak gdyby nigdy nic powraca stale w ich wypowiedziach, w niezmiennie zresztą postaci. Tym sposobem stawiają się poza granicami racjonalnego sporu, tak jakby uwierzyli, że „kłamstwo tysiąc razy powtórzone staje się prawdą”.

Drugi argument polega na stwierdzeniu, że proponowane zmiany nie mają na celu obniżenia punktacji czasopism międzynarodowych, a jedynie podwyższenie punktacji pism polskich. Jest to stwierdzenie zupełnie absurdatne, ponieważ wszelkie oceny mają charakter relatywny. Nie ma znaczenia, na ile dokładnie punktów „wyceniane” są dane osiągnięcia naukowe, liczą się jedynie relacje pomiędzy poszczególnymi ich poziomami. Obecnie osiągnięcia międzynarodowe punktowane są średnio wyżej niż osiągnięcia lokalne, więc dodanie punktów czasopismom polskim doprowadzi do realnej degradacji osiągnięć

o wymiarze międzynarodowym. Co więcej, efekt tej zmiany będzie dokładnie taki sam jak wtedy, gdyby obniżyć punktację czasopism międzynarodowych, pozostawiając punktację tych lokalnych bez zmian. Na gruncie podstaw logiki, powinna to być oczywistość, a jednak „lokaliści”, przynajmniej na obecnym etapie, wydają się być ponad to.

I wreszcie argument trzeci, tj. twierdzenie, że rygorystyczny proces recenzyjny „nie gwarantuje jakości”. Takie twierdzenie jest zwykłe poparte przykładem artykułu w uznanym międzynarodowym czasopiśmie, w którym to artykule są rzekomo trywialne błędy itp. W ustach naukowca jest to argument, delikatnie mówiąc, rozbrajający. Jednym z fundamentów gmachu metodologii naukowej jest bowiem sentencja, że „na przykładach można wszystko udowodnić”. Ponadto oczywistym jest, że prawdziwości, przynajmniej w świecie społecznym, nie mają charakteru deterministycznego, ale wyłącznie statystycznego. Rygorystyczny proces recenzyjny nie ma więc „gwarantować jakości”, ale podnosić ją w sensie statystycznym, co zresztą skutecznie czyni. Tak więc także i tu mamy do czynienia ze swego rodzaju wypisaniem się przez „lokalistów” ze sfery racjonalnej dyskusji.

Jak widać, główne argumenty forsowane obecnie przez „lokalistów” są absurdalne na poziomie logicznym i/lub oparte na fałszywych przesłankach. Zachodzi więc pytanie, dlaczego osoby wykształcone, o aspiracjach intelektualnych, decydują się w sposób tak zdecydowany wyjść poza ramy racjonalnej Habermasowskiej dyskusji? Odpowiedź jest moim zdaniem bardzo prosta. Chodzi o realne interesy, ale także niestety o resentment. „Globaliści” cieszą się pewnymi przywilejami, wynikającymi z tego, że uczelnie potrzebują ich ze względu na proces ewaluacji. Znakomita większość znanych mi „globalistów” relatywnie szybko awansowała w hierarchii stopni i tytułów naukowych, częściej też otrzymują oni nagrody finansowe za działalność naukową oraz granty na badania. Taka sytuacja może owocować resentmentem czy wręcz zawiścią ze strony publikujących wyłącznie lokalnie. Nie bez powodu, moim zdaniem, „lokalistyczni” influencerzy otwarcie drwią z „globalistów”, nazywając ich „herosami”, „rynkowcami” czy „publicystami naukowymi”, wytykając przy tym brak społecznej użyteczności badań prowadzonych przez adwersarzy. „Globaliści” są tu więc przedstawieni jako posiadający nienależne przywileje, które powinno się im odebrać.

Jaka jest rola Ministerstwa Nauki w całym tym procesie? Czy MNIŚW, niebędące w stanie zapewnić godziwego finansowania sektora nauki i mające na koncie serię kompromitacji (IDEAS NCBiR, Oceania i in.), nie jest w stanie oprzeć się pokusie, by zagrać na resentmentie wobec wąskiej grupy „globalistów” i tym samym przekierować, odsunąć od siebie narastający gniew niedofinansowanej „lokalistycznej” większości? Tego nie wiem. Wiem jednak, że na podglebiu złożonym z antyracjonalizmu i resentmentu nie wyrosną przełomowe badania czy odkrycia naukowe, a Ministerstwo Nauki, zamiast bronić złych rozwiązań przy pomocy niedorzecznych argumentów, powinno się skupić na zapewnieniu lepszych, bardziej komfortowych warunków funkcjonowania całego systemu nauki w Polsce.



Maciej Górecki, psycholog z Uniwersytetu Warszawskiego

Od projektów pilotażowych do zmiany systemowej

Jak mentoring w „Uczelniach Przyszłości” wpływa na edukację przedsiębiorczości w Polsce

Mentoring w edukacji przedsiębiorczości zbyt często bywa dodatkiem, ciekawym, ale incydentalnym, zależnym od projektu, budżetu i „chwili”. Projekt „Uczelnie Przyszłości” pokazuje, że mentoring może stać się trwałym elementem kształcenia, zmieniając relację student – uczelnia – rynek. Startup Academy, jako operator programu mentoringowego, sprawdza dziś w praktyce, jak przełożyć tę ideę na skalę systemową.

Edukacja przedsiębiorczości na polskich uczelniach przez lata pozostawała w cieniu, traktowana jako dodatek, kurs fakultatywny, aktywność realizowana „obok” głównego programu studiów. Tymczasem rynek pracy i gospodarka – w szczególności w kontekście przemysłu 4.0 – oczekują od absolwentów czegoś więcej niż wiedzy domenowej. Liczą się kompetencje praktyczne: praca projektowa, umiejętność współpracy w interdyscyplinarnych zespołach, myślenie krytyczne, odporność na ryzyko i gotowość do wdrażania innowacji.

W tym kontekście projekt „Uczelnie Przyszłości”, realizowany przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, można interpretować jako próbę odpowiedzi na fundamentalne pytanie: czy przedsiębiorczości da się uczyć systemowo, a nie tylko incydentalnie? Program opiera się na Modelu Edukacji Spersonalizowanej (MES), w którym student staje się centrum procesu dydaktycznego i rozwija swój projekt w sposób długofalowy, a nie jedynie w rytmie zaliczeń i egzaminów.

Mentoring jako realny transfer kompetencji: praktyka zamiast deklaracji

Jednym z kluczowych elementów MES jest mentoring rozumiany nie jako jednorazowa konsultacja, lecz stała praca z ekspertem. To właśnie w tej warstwie szczególną rolę odgrywa Startup Academy, wybrana na operatora programu mentoringowego, obejmującego docelowo nawet 54 tys. godzin mentoringu i współpracę z grupą do 300 mentorów naukowych oraz biznesowych. Wartość kontraktu przekracza 25 mln zł.

– Dołączenie przez Startup Academy do realizacji projektu „Uczelnie Przyszłości” to dla nas misja strategiczna. Jesteśmy dumni, że zysaliśmy zaufanie w realizacji tego rekordowego projektu. To moment, w którym teoria spotyka się z twardą praktyką rynkową – podkreśla Michał Misztal, CEO Startup Academy.

Mentoring jest tu narzędziem transferu kompetencji, pomaga studentom nie tylko lepiej rozumieć procesy biznesowe, ale też

sprawdzać swoje pomysły w praktyce. Z perspektywy edukacji przedsiębiorczości kluczowe jest, że mentoring w MES łączy dwie perspektywy: naukową (merytoryczną, badawczą) oraz biznesową (wdrożeniową i rynkową). Takie holistyczne podejście pozwala studentom zobaczyć realny łańcuch wartości: od idei, przez prototyp, po możliwość komercjalizacji lub wykorzystania projektu w przyszłej karierze.

Nowy model relacji uczelnia – student – rynek

Co istotne, mentoring w „Uczelniach Przyszłości” zmienia także relacje w ekosystemie uczelnia – student – rynek. Student przestaje być jedynie odbiorcą wiedzy, a staje się twórcą projektu, który wymaga iteracji, podejmowania decyzji i mierzenia się z ryzykiem. Uczelnia staje się przestrzenią rozwoju kompetencji, a nie wyłącznie transmisji treści. Rynek natomiast nie jest abstrakcyjnym „pracodawcą przyszłości”, tylko realnym punktem odniesienia dla jakości projektu.

– „Uczelnie Przyszłości” to projekt nowatorski, wymagający i ambitny. Wierzę, że udowodnimy w nim wartość oraz efektywność praktycznego kształcenia w oparciu o realizację własnych projektów – mówi Michał Gajda, koordynator programu w Startup Academy.

W tym sensie mentoring można traktować jako mechanizm systemowej zmiany: jeśli projekt udowodni swoją skuteczność, może stać się argumentem za tym, by mentoring był trwale włączany w programy studiów. Nie tylko jako inicjatywa finansowana ze środków projektowych, lecz jako standard wspierania studentów w budowaniu kompetencji przedsiębiorczych.

W dłuższej perspektywie taki model może wpłynąć na całą dynamikę polskiego ekosystemu innowacji: zwiększyć liczbę projektów, które przechodzą od pomysłu do prototypu, wzmocnić interdyscyplinarność oraz poprawić przygotowanie absolwentów do pracy w warunkach szybkiej transformacji technologicznej.

Od projektu do standardu: co zostanie z nami na dłużej?

Współczesna edukacja przedsiębiorczości nie polega już na przekazaniu definicji i modeli biznesowych. Jej istotą staje się stworzenie środowiska, w którym student może testować hipotezy, uczyć się na błędach i rozwijać się pod okiem praktyków. „Uczelnie Przyszłości” pokazuje, że mentoring może być w tym procesie nie dodatkiem, lecz fundamentem. A Startup Academy, dzięki doświadczeniu w realizacji programów edukacyjnych i mentoringowych, jest jednym z partnerów, którzy potrafią przekuć tę ideę w skalowalny system współpracy z uczelniami.



Na fot. Koordynatorka programu Uczelnie Przyszłości Martyna Kozłowska-Żukowska (NCBR) oraz zespół Startup Academy.

Przemysław Zieliński

Samodzielność naukowa

Problem języka, przyzwyczajień i hierarchii w polskiej nauce

W polskim środowisku naukowym funkcjonuje osobliwy, choć powszechnie akceptowany, podział naukowców na samodzielnych i niesamodzielnych. Nie jest on zapisany w obowiązującym prawie, nie wynika wprost z aktualnych regulacji dotyczących szkolnictwa wyższego i nauki, a mimo to silnie porządkuje relacje w akademii, wpływając na organizację pracy, decyzyjność, udział w gremiach i rozwój zawodowy. Dlatego warto zadać pytanie: czy ten podział ma sens, czy raczej reprodukuje hierarchiczne uprzedzenia i prowadzi do dyskryminowania części środowiska naukowego?

Hierarchiczność akademii opiera się dziś na trzech filarach. Pierwszym są stopnie i tytuły naukowe: doktor, doktor habilitowany i profesor, drugim filarem są stanowiska: asystent, adiunkt, profesor uczelni lub instytutu, trzeci zaś to nieformalna, zwyczajowa „samodzielność”. Ta ostatnia, choć powszechnie używana, pozostaje kategorią nieostro zdefiniowaną. *Wielki słownik języka polskiego* opisuje samodzielnego pracownika naukowego jako osobę posiadającą habilitację lub tytuł profesora, uprawnioną do określonych czynności akademickich, zaznaczając jednocześnie, że nie jest to termin specjalistyczny, lecz środowiskowy. Problem zaczyna się tam, gdzie z tej definicji próbuje się wyprowadzić jej przeciwieństwo. Jeśli bowiem sięgniemy po słownik antonimów, samodzielności przeciwstawione zostają pojęcia takie jak: zależność, podległość, niedojrzałość czy bierność. Nietrudno zauważyć, jak głęboko deprecjonujące skojarzenia niesie ze sobą etykieta „niesamodzielnego” pracownika naukowego. Tymczasem aktualny porządek prawny tego podziału nie zna.

W obowiązującej ustawie o szkolnictwie wyższym i nauce nie znajdziemy pojęcia samodzielnego pracownika naukowego. Co więcej, ustawodawca zrezygnował z obligatoryjności habilitacji jako etapu awansu zawodowego. Historycznie było inaczej. Ustawa o szkolnictwie wyższym i pracownikach nauki z 1951 roku oraz rozporządzenie Rady Ministrów z 1961 roku o instytutach naukowo-badawczych wyraźnie dzieliły pracowników nauki na samodzielnych i pomocniczych. Świat akademicki przeszedł jednak istotną ewolucję. Zniknął pomocniczy pracownik nauki, ale pozostała „samodzielność”, funkcjonująca dziś głównie jako symbol prestiżu.

Rodzą się więc pytania: kim są asystenci i adiunkci posiadający stopień doktora, ale bez habilitacji? Czy rzeczywiście ich głos ma mniejsze znaczenie? Czy ich wkład w rozwój nauki jest mniej istotny? I wreszcie: czy brak habilitacji oznacza brak samodzielności badawczej?

W debacie na temat habilitacji padają różne opinie na temat jej pozostawienia w hierarchii akademickiej. Profesor Grzegorz Węgrzyn, członek Rady Doskonałości Naukowej, zauważa, że habilitacja jest formą kontroli jakości polskiej nauki, która nadaje pewne uprawnienia akademickie i wiąże się z pozycją samodzielnego pracownika, teoretycznie niezależnego od kogoś innego w strukturze instytucjonalnej. Stopień ten pozwala na promowanie doktorantów i stanowi pozycję ustabilizowanego naukowca w strukturach uczelni czy instytutu („Nauka w Polsce”, 21.02.2022). Profesor Marek Przybylski z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, pisał na łamach „Forum Akademickiego” (08.01.2026), że habilitacja potwierdza naukową

dojrzałość, zdolność formułowania problemów badawczych i prowadzenia zespołów.

Wypowiedzi wielu naukowców pokazują, że nawet samo rozumienie „samodzielnosci” nie jest jednoznaczne. Z jednej strony habilitacja ma nadawać autonomię i kontrolę jakości, a z drugiej strony doktorzy bez habilitacji mogą kierować badaniami i prowadzić wykłady, jeśli statut uczelni na to pozwala. To odsłania centralny problem:

czy etykieta „samodzielny” naprawdę odzwierciedla samodzielność naukową, czy raczej reprezentuje dostęp do przywilejów i instytucjonalnych funkcji?

Warto w tym kontekście odwołać się do głosu profesora Dariusza Jemielniaka, wiceprezesa Polskiej Akademii Nauk, który w publicznej debacie o habilitacji podkreśla, iż należy patrzeć szerzej niż tylko na stopień naukowy. Jego argumentacja zaznacza, że habilitacja stanowi element europejskiego standardu jakości akademickiej, który ma sens wtedy, gdy rozumiany jest w kontekście rzeczywistych mechanizmów kontroli jakości naukowców, a nie jak protekcyjna przepustka do hierarchicznych praw i uprawnień („Academia”, 22.12.2025). Z kolei profesor Piotr Sankowski, dyrektor Instytutu Badawczego IDEAS,

zauważył, że sam stopień habilitowany nie gwarantuje kompetencji menedżerskich ani dydaktycznych, a przez młodszych badaczy bywa postrzegany jako narzędzie kontroli i hierarchicznego podporządkowania („wyborcza.pl”, 29.02.2024). Profesor Andrzej Jajszczyk, pierwszy dyrektor Narodowej Centrum Nauki, zwracał uwagę, że habilitacja ma dziś niewielki związek z realną jakością prowadzonych badań, a w niektórych przypadkach daje jedynie „złudne poczucie wielkości” („Academia”, 23.12.2025).

Wypowiedzi profesorów rzucają światło na to, jak łatwo język instytucjonalny – kategorie, stopnie i etykiety – przekłada się na realne praktyki społeczne i zawodowe. Jeśli habilitacja ma służyć jako narzędzie potwierdzania jakości badań, to powinna być częścią mechanizmów, które rzeczywiście weryfikują dorobek, a nie jedynie selekcionują zgodnie z przyjętymi zwyczajami. W przeciwnym razie mamy do czynienia z sytuacją, w której część naukowców jest postrzegana jako „samodzielni”, a inna – często pomimo rzeczywistej autonomii badawczej – jako „niesamodzielni”.

Szczególnie problematyczne staje się to, że właśnie osoby określone mianem „samodzielnych” najczęściej oceniają, opiniują i decydują o kierunkach rozwoju jednostek naukowych, nawet jeśli ich własna aktywność badawcza od lat pozostaje znikoma. Tymczasem tzw. niesamodzielni pracownicy nauki realnie funkcjonują jako w pełni autonomiczni badacze. Samodzielnie formułują hipotezy, planują badania, aplikują o granty, budują zespoły i sieci współpracy międzynarodowej. Mimo tej odpowiedzialności ich wynagrodzenia pozostają niższe niż pozostałych pracowników, a obciążenie pracą znacznie wykracza poza standardowy czas pracy.

Co więcej, system finansowania badań wspiera samodzielność naukowców bez habilitacji. Konkursy Narodowego Centrum Nauki (SONATA, SOANATA BIS, OPUS), program LIDER Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, First Team Fundacji na rzecz Nauki Polskiej finansowany ze środków Funduszy Europejskich dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG) czy prestiżowe granty ERC Starting Grant są adresowane



do badaczy na wczesnym etapie kariery, którzy mają prowadzić niezależne, pionierskie badania i kierować własnymi zespołami. Beneficjenci tych programów spełniają wszelkie kryteria faktycznej samodzielności naukowej.

Mimo to zwyczajowy podział na samodzielnych i „tych pozostałych” wciąż funkcjonuje w praktyce instytucjonalnej. Pojawia się w statutach i regulaminach jednostek naukowych, w ocenach instytutów PAN, w raportach Polskiej Komisji Akredytacyjnej (pomimo braku takiego podziału nauczycieli akademickich w jej procedurach), a przede wszystkim przekłada się na ograniczenie udziału części badaczy w gremiach decyzyjnych i debacie o przyszłości nauki.

Z tej perspektywy język zwyczajowy, instytucjonalna praktyka wobec habilitacji i kategoryzowanie pracowników naukowych nie tylko odzwierciedlają pracę systemu, ale ją wzmacniają. Wskazuje to na konieczność krytycznej refleksji nad tym, czy etykiety w nauce odpowiadają realnym kompetencjom i wkładowi w rozwój dyscypliny.

Nie chodzi mi o negowanie wartości habilitacji jako mechanizmu potwierdzającego kompetencje, ale o sposób funkcjonowania

w praktyce takich kategorii jak „samodzielny” i „niesamodzielny”. Czy to nie blokuje potencjału naukowców i nie reprodukuje hierarchii, które niekoniecznie odpowiadają rzeczywistości badawczej? Równocześnie trudno ignorować fakt, że istnieją mechanizmy oceny jakości badań – prestiżowe granty, międzynarodowe recenzje, ewaluacje – które nie opierają się na formalnych etykietach, lecz na realnych wynikach.

Jeśli Konstytucja dla Nauki miała być krokiem w stronę nowoczesnego systemu, opartego na realnych osiągnięciach, a nie na stopniach i tytułach naukowych, to utrzymywanie zwyczajowego podziału pracowników na „samodzielnych” i „niesamodzielnych” pozostaje z tym celem w sprzeczności. Być może nadszedł czas, by uporządkować hierarchiczne myślenie w systemie akademickim i zrewidować język, którym się w nim posługujemy.

Dr inż. Przemysław Kopeć, nauki rolnicze i ogrodnictwo, Instytut Fiziologii Roślin im. Franciszka Górskiego Polskiej Akademii Nauk



samodzielny i niesamodzielny

Rys. Sławomir Makal

Między ustawą a hejtem

O granicach medialnej ingerencji w działalność instytutów badawczych

Jednostki naukowe działające na podstawie ustawy o instytutach badawczych z 30 kwietnia 2010 r. zajmują w polskim systemie nauki szczególne miejsce. Są finansowane ze środków publicznych i realizują zadania o znaczeniu państwowym, wskazywanym przez nadzorujących założycieli, odpowiednio ministerstwa, a zarazem dysponują istotną autonomią badawczą i organizacyjną. Ustawodawca wyposażył je nie tylko w określony model zarządzania, lecz także w rozbudowany system wewnętrznej i zewnętrznej kontroli. Problem w tym, że co najmniej od dekady system ten coraz częściej bywa omijany i zastępowany przez doraźną presję polityków i mediów społecznościowych.

Ustawowe gremia – nie ornament, lecz zobowiązanie

Każdy instytut posiada dwa ustawowo określone organy: dyrektora i radę naukową. Kluczową rolę odgrywa rada naukowa, która zgodnie z ustawą nie tylko sprawuje nadzór nad działalnością badawczą, opiniuje kierunki rozwoju i ocenia jakość pracy naukowej, ale jest też organem stanowiącym, czyli określa kluczowe ramy szczegółowych norm funkcjonowania instytucji – statut instytutu. Nie dyrektor i nie minister, ale właśnie rada naukowa ma tę kompetencję. Wynika to z założenia, że najważniejszym działaniem instytutu jest prowadzenie badań naukowych, których wyniki będą miały zastosowanie praktyczne. Cała struktura, pragmatyka działania, kultura organizacyjna i kultura pracy tym dwóm aktywnościom powinny być podporządkowane. A organem odpowiedzialnym za weryfikowanie właściwego funkcjonowania instytutu pod tym kątem jest wyłącznie rada naukowa instytutu.

W wielu instytutach funkcjonują dodatkowe gremia: rady biblioteczne, archiwalne, programowe, których zadaniem jest zapewnienie kolegialności i transparentności podejmowania decyzji zarządczych, a także wewnętrzna kontrola ich zgodności z misją instytutu. W przypadkach szczególnych ustawodawca sięga po odrębne regulacje. Tak jest chociażby z Instytutem Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego, którego funkcjonowanie reguluje odrębna ustawa z 2017 r., precyzująca i rozszerzająca ogólne ramy ustawy z 2010 r. Jednak i w tym przypadku niezbędna jest zgodność funkcjonowania instytucji z nadrzędną ustawą o instytutach badawczych. Zgodnie bowiem z zapisem ustawy z 2017 r. (art. 2, ust. 1) Instytut Pileckiego jest instytutem badawczym w rozumieniu ustawy z 2010 r.

Rada naukowa instytutu i gremia określone w statutach instytutów to nie są dekoracje. Działają w trybie kadencyjnym, ich skład ulega zmianie w sposób przewidziany prawem, niezależny od bieżących nastrojów politycznych czy medialnych. Kadencyjność to nie biurokratyczny rytuał, lecz mechanizm zapewniający zarówno ciągłość instytucjonalną, jak i możliwość wprowadzenia do zarządzania jednostką osób mających lepszą, nowszą wiedzę dotyczącą celów instytutu lub po prostu mających inne doświadczenia, których wykorzystanie jest korzystne dla jednostki. Dotyczy to zarówno kierownictwa instytutu, jak i składu rady naukowej. Dodatkowo wyniki prac badawczych instytutu mogą być poddawane ocenie jakości badań naukowych przeprowadzanej przez Komisję Ewaluacji Nauki. Cokolwiek byśmy nie sądzili o bieżącym stanie tej ewaluacji, taka procedura stanowi jedyny zewnętrzny, oparty na kryteriach naukowych werdykt o jakości pracy kluczowego sektora instytutu badawczego. To właśnie ona powinna być punktem odniesienia w debacie o kondycji instytutu.

X kontra rada naukowa – nierówna walka o definicję jakości

Warto to wyraźnie podkreślić – kosztowne w utrzymaniu państwowe instytuty badawcze mają służyć prowadzeniu badań naukowych, które umożliwiają praktyczne zastosowanie ich wyników. Po to, żeby państwo i społeczeństwo polskie uzyskiwało czytelną, klarownie określoną korzyść z prac jednostki, która nie dubluje działalności innych instytucji. Czuwać nad takim działaniem mają rada naukowa instytutu i odpowiedni minister w zgodzie z literą prawa. To nie jest przypadkowa sekwencja słów. To zasada, która pozwala kontrolować sens funkcjonowania jednostek i korzyści, jakie z tego ma państwo polskie w dłuższej perspektywie. Niezależnie od zmieniających nastrojów polityków.

Tymczasem dziś, tak jak w wielu sektorach życia społeczno-politycznego, obserwujemy rezygnację administracji państwowej z troski o właściwe wykorzystanie powierzonego jej zasobu merytorycz-



Krzysztof Ruchniewicz



Przemysław Wiszewski

nego i – co nie jest bez znaczenia – majątkowego instytutów badawczych. Można odnieść wrażenie, że od troski o powierzone sektory funkcjonowania kraju ważniejsza jest dziś troska o własną pozycję urzędniczo-polityczną przedstawicieli administracji mierzona umiejętnością utrzymania ciszy wokół działań naukowych. Bowiem dziś ocena działalności instytutów badawczych, a zwłaszcza ich kierownictwa, przenosi się z sal posiedzeń rad naukowych na platformy społecznościowe i do sekcji komentarzy pod artykułami prasowymi streszczającymi dyskusję (wymianę subiektywnych opinii) na tych platformach.

Na X czy Facebooku dominują skrót, emocja i logika prestiżu – jego budowania bądź niszczenia. Komentatorzy, którzy nigdy nie poznali ani reguł prawa, ani praktyki zarządczej, nie mówiąc o przeczytaniu statutu instytutu, jego sprawozdania finansowego czy planu badawczego, ferują wyroki z pewnością siebie, której pozazdrościłby niejeden audytor. W efekcie powstaje nieformalny system nacisku, w którym opinie formułowane całkowicie poza procedurami instytucjonalnymi zaczynają wywierać realny wpływ na funkcjonowanie instytucji publicznych. Powiedzmy wprost, że złudzeniem jest sugerowanie, że platformy społecznościowe są narzędziem demokratycznego wyrażania opinii. Dyskusje na nich prowadzone są modelowane, najczęściej też inicjowane przez świadomie działające osoby lub instytucje, które wykorzystują emocje uczestników do tworzenia

złudzenia powszechności opinii. A że dla polityków znaczenie mają słupek w sondażach, nie zaś merytoryczne cele sprawowania władzy politycznej, to narzędzie manipulacji i budowania złudzeń składania ich do podejmowania decyzji (nawet jeśli spodziewany zysk sondażowy nie następuje).

Różnica między tymi dwoma rodzajami oceny funkcjonowania instytucji jest fundamentalna. Kierownicy jednostek badawczych odpowiadają finansowo, organizacyjnie i prawnie za decyzje podejmowane w ramach swoich kompetencji. Działają na podstawie przepisów: ustawy o instytutach badawczych, ustawy o finansach publicznych, prawa zamówień publicznych, kodeksu pracy... Podlegają kontroli Najwyższej Izby Kontroli i nadzorowi ministra. Wywołanie burzy w serwisie na platformie X nie niesie ze sobą żadnej z tych odpowiedzialności. Hejterzy i komentatorzy nie odpowiadają za skutki swoich ocen, nie działają na podstawie procedur dowodowych, nie muszą uzasadniać swoich twierdzeń. I nie są odwoływalni. Za to uzurpują sobie prawo ferowania wyroków i obowiązkiem wyrażania świętego oburzenia.

Czy mieszmamy porządki?

Pojawia się więc pytanie, które warto postawić wprost: czy nie mieszmamy tutaj porządków? Demokratyczna kontrola społeczna i medialna jest nie tylko dopuszczalna, lecz wręcz niezbędna. Dziennikarstwo śledcze, krytyczna analiza wydatkowania środków publicznych, ujawnianie nepotyzmu czy niegospodarności – to wszystko należy do kanonu zdrowego życia publicznego. Nikt rozsądny nie postuluje wyłączenia instytutów badawczych spoza tak rozumianej kontroli publicznej.

Problem pojawia się, gdy pozbawiona autokontroli, jaką jest zasada zgodności z faktami, emocjonalna ocena zaczyna pełnić funkcję równoległego, a niekiedy dominującego, mechanizmu rozstrzygania o jakości pracy instytucji i jej kierownictwa. Gdy oderwane od odpowiedzialności za stawiane oskarżenia „konta internetowe” zastępują procedury ustawowe, jeszcze zanim te zdążą zadziałać. Gdy kampania w mediach społecznościowych wywołuje skutki instytucjonalne szybciej, niż rada naukowa zdoła zebrać się na posiedzenie.

Gdy dyrektor instytutu rezygnuje lub jest odwoływany pod wpływem tweetów, a nie w następstwie sformalizowanej oceny kompetentnego gremium.

Stawka: instytucje czy nastroje?

Stawką tej dyskusji nie jest los konkretnego instytutu czy dyrektora. Chodzi o coś poważniejszego: o to, czy instytucje publiczne funkcjonują według reguł prawa, czy według reguł chwili i czyjś doraźnego interesu. Państwo prawa opiera się na procedurach, kompetencjach i odpowiedzialności przypisanej konkretnym organom. Jeżeli te mechanizmy są konsekwentnie zastępowane przez działania wizerunkowe, budowanie kapitału politycznego, rośnie ryzyko podejmowania decyzji pod wpływem presji, a nie na podstawie merytorycznej oceny i ustalonych procedur. Formalne struktury nadzoru przestają być realnym punktem odniesienia, a stają się ignorowaną coraz śmielej fasadą.

Zachowanie proporcji wydaje się tu kluczowe. Media mogą i powinny zadawać pytania. Administracja publiczna powinna na nie odpowiadać we właściwym trybie i z zachowaniem procedur. Ale przede wszystkim każdy, kto formułuje opinię o czyjejś pracy, powinien odpowiadać za kompetentne jej uzasadnienie. W innym przypadku jego opinia jest tym, czym kiedyś były ptasie trele (angielskie tweets): miłą jednemu lub nie miłą drugiemu, ale pozbawioną rangi argumentu ozdobą publicznego dyskursu.

Decyzje o jakości pracy instytutu, o kierunku jego rozwoju, o ewentualnych zmianach personalnych powinny zapadać tam, gdzie prawo je umiejscowiło: w radach naukowych, w procedurach ewaluacyjnych, w trybach nadzorczych ministra. Nie na X-ie. A jeśli dla partyjnych urzędników szum medialnej piany jest istotniejszy niż dobro państwa i społeczeństwa opartego na wspólnych wszystkim zasadach prawa, to znaczy, że czas zmienić definicję państwa, w którym żyjemy. Szkoda złudzeń.

*Prof. dr hab. Krzysztof Ruchniewicz
Prof. dr hab. Przemysław Wiszewski
Autorzy są historykami z Uniwersytetu Wrocławskiego*

Prenumerata

„Forum Akademickiego” w 2026

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy i Sympatycy

„Forum Akademickiego”,

Serdecznie zapraszamy do prenumeraty

„Forum Akademickiego” w 2026 roku.

Roczna prenumerata wydania drukowanego

(12 numerów w 11 zeszytach, w tym zeszyt łączony 1-2)

kosztuje **250 zł**; prenumerata numerów 1-6 kosztuje **118 zł**,

a 7-12: **132 zł**. Cena jednego egzemplarza wynosi **22 zł**.

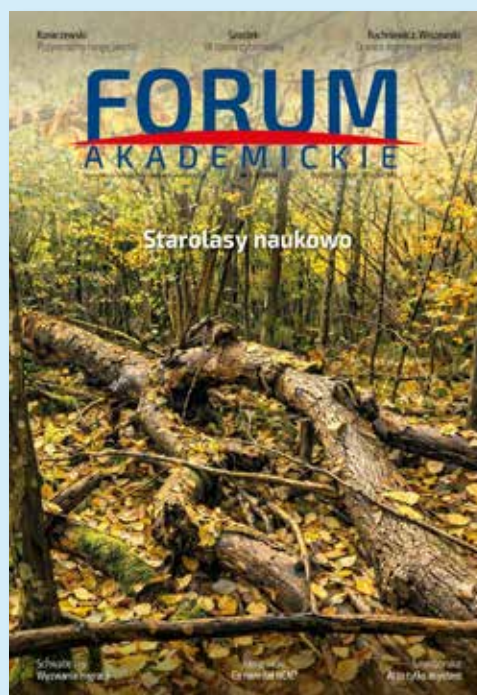
Cena zeszytu łączonego (nr 1-2) wynosi **30 zł**.

Prenumerata wydania elektronicznego w roku 2026

(12 numerów w 11 zeszytach)

kosztuje **165 zł**.

Redakcja



Nowy rok – nowa ortografia

Zapowiadane od dwóch lat zmiany w pisowni weszły w życie 1 stycznia 2026 roku. Wprowadziła je Rada Języka Polskiego na mocy Ustawy o języku polskim z 7 października 1999 roku. Zmiany nie są rewolucyjne, reforma nie narusza podstawowych zasad polskiej ortografii. Nie ingeruje w zasadę historyczną, obejmującą pisownię znaków: ó, u, rz, ż, ch, h, w zasadę morfologiczną utrzymującą tożsamość pisowni części wyrazowych bez względu na ich wymowę (*bab-a, bab-ka*) ani w zasadę fonetyczną, zgodnie z którą piszemy jak mówimy: *kot, dom, sarna, telefon*. Zmiany dotyczą tylko zasady konwencyjnej, opartej na zwyczaju językowym. Obejmują pisownię wielkich i małych liter, pisownię łączną i rozdzielną wyrazów oraz pisownię skrótów.

Przedstawiam wszystkie zmiany z krótkimi komentarzami.

Wprowadzenie pisowni wielką literą nazw mieszkańców miast i ich dzielnic, osiedli i wsi, np. *Warszawianin, Zgierzanin, Ochocianka*. Dopuszczenie alternatywnego zapisu (małą lub wielką literą) nieoficjalnych nazw etnicznych, takich jak *kita-jec* lub *Kitajec, jugol* lub *Jugol, angol* lub *Angol* i in.

Nie będzie już ortograficznej zagadki, dlaczego wszystkie nazwy mieszkańców pisze się wielką literą: *Europejczyk, Polak, Ślązak*, a tylko mieszkańcy miast, wsi i dzielnic byli jej pozbawieni. Teraz reguła ujednoliciła użycie wielkiej litery w całej kategorii nazw mieszkańców: *Szczecinianin, Świnoujścianin, Koszalinianka, Nowogardzianka, Dobrowianin, Reczanin, Pogodzinian, Niebuszewianka*. Wielka lub mała litera w nazwach żartobliwych czy lekceważących będzie zależeć od intencji piszącego.

Wprowadzenie pisowni wielką literą nie tylko nazw firm, marek i modeli wyrobów przemysłowych, ale także pojedynczych egzemplarzy tych wyrobów (*samochód marki Ford* i *pod oknem zaparkował czerwony Ford*).

Zmiana ta cieszy właścicieli samochodów (i innych użytkowników polszczyzny), bo już nie muszą rozważać, jaką literą zapisać nazwę własnego pojazdu: czy wielką, bo tak się pisze nazwy marek, czy małą, bo tak się pisało nazwy pojedynczych egzemplarzy. Dotąd obowiązywał zapis: *Kupiłam samochód Mazdy*, ale: *Kupiłam mazdę*. Zmiana nazwy własnej w nazwę pospolitą była niezrozumiała, wszak chodzi o ten sam samochód. W praktyce wiele osób wybierało w obu zdaniach wielką literę i ten zwyczaj został teraz usankcjonowany. Nowa pisownia nie dotyczy tylko nazw samochodów, ale obejmuje wszystkie nazwy wyrobów przemysłowych i ich pojedynczych egzemplarzy. Teraz będziemy pić *Cisowiankę*, pracować na *Asusie* (komputer), zażywać *Apap*. Z nazwami leków może być trochę kłopotu, bo zmiana zasady dotyczy tylko ich nazw własnych, a nie substancji czynnych będących w składzie leku. Tak więc napiszemy: *Na przeziębienie biorę Apap*, w którego skład wchodzi *paracetamol*.

W nazwach obiektów przestrzeni publicznej wprowadzenie pisowni wielką literą stojącego na początku wyrazu *aleja, brama, bulwar, osiedle, plac, park, kopiec, kościół, klasztor, pałac, willa, zamek, most, moło, pomnik, cmentarz* (przy utrzymaniu pisowni małą literą wyrazu *ulica*), np. *ulica Józefa Piłsudskiego, Aleja Róż, Brama Warszawska, Plac Zbawiciela, Park Kościuszki, Cmentarz Rakowicki*.

Ta zmiana zdejmie z piszących konieczność decydowania, który pałac pisać wielką, a który małą literą, jak było do tej pory: *pałac Krasińskich*, ale *Pałac Staszica*. Który cmentarz wielką, a który małą, który zamek wielką, który małą. I dlaczego *Aleje Jerozolimskie*, ale *aleja Wojska Polskiego*. Od reguły pisowni małą literą nazw gatunkowych było wiele odstępstw. Teraz mamy jasność: wszystkie wymienione wyrazy wchodzi w obręb nazwy własnej i są pisane wielką literą: *Aleja Piastów, Plac Rodła, Zamek Książąt Pomorskich* itp. Jedynie wyraz *ulica* będzie pisany po staremu, małą literą, bo w naszej świadomości nie wchodzi w obręb nazwy własnej. Wszak na pytanie: gdzie się spotkamy, zwykle odpowiadamy: na *Placu Zamkowym* albo na *Krakowskim Przedmieściu*, bez słowa *ulica*.

Wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przymków i spójników) w wielowyrazowych nazwach lokali usługowych i gastronomicznych, np. *Karczma Słupska, Kawiarnia Literacka, Księgarnia Naukowa, Apteka pod Orłem, Hotel pod Różą, Teatr Rozmaitości, Teatr Wielki*.

Raczej niezauważalną zmianą będzie ujednolicona pisownia nazw lokali, obiektów gastronomicznych i instytucji kultury. Skończą się dylematy, dlaczego o jednym lokalu piszemy *Kawiarnia Literacka*, a o drugim *kawiarnia Kryształowa*. I czy to *teatr Współczesny* (wszak mówimy: idę na spektakl do *Współczesnego*), czy *Teatr Współczesny*. Wszystkie nazwy gatunkowe piszemy teraz wielką literą. Ale jeśli mamy pewność, że wyraz gatunkowy nie wchodzi w obręb nazwy własnej, można go pisać małą literą.



Rys. Sławomir Małaj

Wprowadzenie pisowni wielką literą wszystkich członów (oprócz przymków i spójników oraz wyrazów typu imienia) w nazwach orderów, medali, odznaczeń, nagród i tytułów honorowych, np. Nagroda Nobla, Nagroda Kioto, Literacka Nagroda Europy Środkowej Angelus, Nagroda Wielkiego Kalibru, Mistrz Mowy Polskiej, Honorowy Obywatel Miasta Krakowa.

Zmiana zasady rozstrzyga dylemat, czy wyrazy *nagroda*, *medal*, *odznaka* są częścią nazwy czy słowami pospolitymi. Będzie można pisać je wielką literą: *Nagroda Gazele Biznesu*, *Medal za Ofiarność i Odwagę*, *Medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata* albo jak dotąd: *nagroda Gazele Biznesu*, *medal Sprawiedliwy wśród Narodów Świata*.

W nazwach komet wprowadzenie zapisu wszystkich członów wielką literą, np. Kometę Halleya, Kometę Enckego.

Dotąd wyraz *komet* był traktowany jak słowo pospolite, choć zawsze towarzyszył nazwie własnej. Teraz bez żadnych wątpliwości napiszemy: *Kometę Borrelly*, *Kometę Halleya*, *Kometę Hyakutake*, *Kometę ISON* itp.

Wprowadzenie rozdzielnej pisowni cząstek -bym, -byś, -by, -byśmy, -byście ze spójnikami, np. Zastanawiam się, czy by nie pojechać w góry.

Dotychczas reguły określające pisownię cząstki *-by* ze spójnikami nie były łatwe, wymagały nie tylko znajomości gramatyki, lecz także akceptacji postaci niektórych wyrazów, np. *alboby*, *boby*, *zatemby*, *toby*, *zanimby* itp. Teraz owa reguła oddziela cząstkę *-by* od spójnika, możemy więc pisać: *Nie zjadł śniadania, bo by się spóźnił na pociąg*. To logiczne, wszak cząstka *-by* znaczeniowo łączy się tu nie ze spójnikiem, tylko z czasownikiem *spóźnił się*. Nie uległa natomiast zmianie pisownia takich wyrazów jak: *aby*, *ażeby*, *byleby*, *chociażby*, *choćby*, *czyżby*, *gdymby*, *gdzieby*, *izby*, *jakby*, *jakoby*, *jakżeby*, *niby*, *niżby*, *oby*, *żeby*. Zresztą, czy ktoś chciałby je pisać oddzielnie?

Ustanowienie pisowni łącznej nie- z imiesłowami odmienionymi (bez względu na interpretację znaczeniową: czasownikową lub przymiotnikową).

Do niedawna, jeśli piszący chciał podkreślić czynność ukrytą w imiesłowie, to mógł go pisać z wyrazem *nie* rozdzielnie: *nie przygotowany*, *nie kapiący*. Jeśli natomiast chciał uwypuklić cechę podmiotu, pisał łącznie: *nieprzygotowany*, *niekapiący*. Teraz pisownia jest jednolita, łączna, bez wyjątków i bez zastanawiania: *nieprzygotowany*, *niekapiący*, *niemyty*, *niepalący*.

Ujednolicenie zapisu małą literą przymiotników tworzonych od nazw osobowych, bez względu na to, czy ich interpretacja jest dzierżawcza (odpowiadają na pytanie czy?), czy też jakościowa (odpowiadają na pytanie jaki?), np. dramat szekspirowski, epoka zygmuntońska, koncert chopinowski.

Zapewne z ulgą przyjmujemy zmianę pisowni przymiotników utworzonych od nazw osobowych, bo niewiele osób piszących odróżniało interpretację dzierżawczą od jakościowej. Obecnie bez względu na typ przymiotnika zapiszemy go małą literą. Tylko przymiotniki archaiczne, tworzone od imion (rzadziej od nazwisk) mogą mieć pisownię dowolną: miłoszowy albo Miłoszowy wiersz, marysin albo Marysin dwór, jacków lub Jacków dom.

Wprowadzenie łącznej pisowni członu pół- w wyrażeniach: półzabawa, półnauka; półżartem, półserio; półpał, półczuwał oraz pisowni z łącznikiem w połączeniu typu: pół-Polka, pół-Francuzka (odniesionym do osoby będącej w połowie Polką, w połowie Francuzką).

Liczebnik *pół* pisze się łącznie w złożeńiach: *półnauka*, *półpiąco*, *półpał*, *półserio*. Ale dotąd, gdy takie dwa wyrazy służyły określeniu jednego pojęcia, człon *pół* należało zapisać rozdzielnie, jak w tytule znanego filmu: *Pół żartem, pół serio*. Obecnie w takich zestawieniach pisownia wyrazów złożonych z elementem *pół* jest łączna: *utwór półfantastyczny*, *półrealistyczny*.

Dopuszczenie w parach wyrazów równorzędnych, podobnie lub identycznie brzmiących, występujących zwykle razem, trzech wersji pisowni: z łącznikiem, np. tuż-tuż; trzask-prask;

bij-zabij; z przecinkiem, np. tuż, tuż; trzask, prask; bij, zabij; rozdzielnie, np. tuż tuż; trzask prask; bij zabij.

Zmiana nie wymaga większego komentarza. Dotąd pisownia takich połączeń bywała niekonsekwentna. Obecnie można je pisać dowolnie: rozłącznie – *szach mat*, z łącznikiem – *szach-mat*, z przecinkiem – *szach, mat*. Nawet jeśli niektóre z nich są zapisywane w dwóch wariantach (*hip hop* albo *hip-hop*) lub w jednym (*esy-floresy*; *chybił trafił*; *hop, hop*), to zastosowanie innego sposobu spośród podanych trzech nie jest błędem.

Dopuszczenie rozdzielnej pisowni z wyrazami zapisywanymi małą literą cząstek takich jak super-, ekstra-, eko-, wege-, mini-, maksi-, midi-, mega-, makro-, które mogą występować również jako samodzielne wyrazy, np. miniwieża lub mini wieża, bo jest możliwe: wieża (w rozmiarze) mini; superpomysł lub super pomysł, bo jest możliwe: pomysł super; ekstra-zarobki lub ekstra zarobki, bo jest możliwe: zarobki ekstra; eko-żywność lub eko żywność, bo jest możliwe: żywność eko.

Polskie przedrostki nie sprawiają kłopotu, bo wiadomo, że piszemy je łącznie: *dokopać*, *międzyzłudzki*, *nabrudzić* itp. Jednak pisownia obcych cząstek, jak *super-*, *ekstra-*, *mega-*, *eko-*, *mini-*, *turbo-*, *trans-* itp. budzi wątpliwości: czy pisać *superpomysł* czy *super pomysł*, *wege-dania* czy *wege dania*? Jeśli owe cząstki są integralną częścią wyrazu, np. *superarbitr*, *ekstraklasa*, *turbodoładowanie*, ich pisownia musi być łączna. Jeśli jednak są użyte jako samodzielne wyrazy, możemy je zapisać osobno: *super pogoda*, *ekstra zarobki*, *eko żywność*, bo może być też *żywność eko*, *zarobki ekstra*, a *pogoda super*.

Wprowadzenie jednolitej łącznej pisowni cząstek niby-, quasi- z wyrazami zapisywanymi małą literą, np. nibyartyści, nibyludowy, nibyromantycznie; nibyblona, nibyliś, nibynóżki; quasiopiekun, quasipostępowy, quasiromantycznie, przy zachowaniu pisowni z łącznikiem przed wyrazami zapisywanymi wielką literą, np. niby-Polak, quasi-Anglia.

Ta zmiana ma charakter porządkujący. Dotąd pisownia była zróżnicowana w zależności od tego, do jakiej kategorii nazw wyraz należał. Jeśli była to nazwa pospolita, cząstkę *niby-* pisaliśmy z łącznikiem: *niby-artysta*, *niby-ludowy*. Gdy cząstka *niby-* stała przed nazwą przyrodniczą, trzeba było pisać ją łącznie: *nibyto-rebka*, *nibyjagoda*. Teraz wszystkie wyrazy bez względu na kategorię będą pisane łącznie: *nibyartysta*, *nibyludowy*, *nibygwiezda*. Ta sama zasada dotyczy pisowni cząstki *quasi-*: *quasiopiekun*, *quasipostępowy*. Tylko gdy wyraz zaczyna się wielką literą, po obu cząstkach stawiamy łącznik: *niby-Czech*, *quasi-Amerykanin*.

Wprowadzenie łącznej pisowni nie- z przymiotnikami i przysłówkami odprzymiotnikowymi bez względu na kategorię stopnia, a więc także w stopniu wyższym i najwyższym: niemiły, niemiłszy, nienajmiłszy; niedobrze, nielepiej, nienajlepiej.

To kolejna niespójna zasada, która teraz została ujednolicona. Dotąd przymiotniki w stopniu równym pisaliśmy z wyrazem *nie* łącznie, ale ze stopniem wyższym i najwyższym – rozłącznie. Tak sformułowana zasada zmuszała piszących nie tylko do analizy gramatycznej wyrazu, lecz także do pamiętania o różnicy w pisowni: *niemiły*, ale *nie miłszy* i *nie najmiłszy*. Teraz reguła będzie spójna: wszystkie formy przymiotników i przysłówków pochodzących od przymiotników piszemy z wyrazem *nie* łącznie: *niedrogi*, *niedroższy*, *nienajdroższy*, *nieprzyjemnie*, *nieprzyjemniej*, *nienajprzyjemniej*.

I to wszystkie zmiany, które trzeba zapamiętać. Ich przyswojenie może ułatwić nowo wydany *Mały słownik ortograficzny. Nowe reguły pisowni 2026*, bogato ilustrujący wprowadzone zasady. Można go pobrać ze strony Rady Języka Polskiego.

Prof. Ewa Kołodziejek

Autorka jest językoznawczynią, wiceprzewodniczącą Rady Języka Polskiego, przewodniczącą Zespołu Retoryki i Komunikacji Publicznej RJP, członkinią Zespołu ds. Reformy Ortografii.

Jak nauka zakochała się w nowości i wciąż nie może dorosnąć

Wyobraźmy sobie miasto, w którym non stop wbija się łopaty w ziemię i zaczyna budowę kolejnych wieżowców. Koparki dudnią, media ogłaszają historyczne przełomy, inwestorzy klaszczą, mieszkańcy robią zdjęcia przy tablicach z nazwą inwestycji. Tyle że prawie nikt nie wraca, żeby wylać stropy, postawić ściany, założyć dach i okna. W efekcie miasto składa się głównie z głębokich wykopów, szkieletów fundamentów i... pustki, w której nie da się normalnie żyć. Krist Vaesen, filozof z Uniwersytetu Technologicznego w Eindhoven, w książce *Neomania: How Our Obsession With Innovation is Failing Science, and How to Restore Trust* (2026) (książka jest dostępna w otwartym dostępie tutaj: <https://www.openbookpublishers.com/books/10.11647/obp.0507>) opisuje współczesną naukę właśnie w taki sposób. Nie chodzi o pojedyncze wpadki ani o lenistwo poszczególnych badaczy. To systemowy polikryzys – splot kilku nakładających się na siebie załamań. Wyników badań nie udaje się powtórzyć w innym laboratorium. Metody są słabe, statystyka kuleje. Coś działa w jednym miejscu, a w innych już nie. Najpiękniejsze odkrycia z laboratorium nie przekładają się na realne życie. Brakuje spójnych teorii, które trzymałyby całość w ryzach. Te problemy widać w psychologii, ekonomii, medycynie, neurobiologii, ekologii, tak naprawdę w większości dziedzin nauki.

Jednak widząc ów smutny obraz, Vaesen wcale nie zaczyna od moralizowania. Pokazuje, skąd się to bierze: wszyscy – naukowcy, uczelnie, agencje grantowe, media – najbardziej nagradzają nowość. Słowa „nowe”, „innovacyjne”, „przełomowe” wygrywają z „solidnym”, „sprawdzonym”, „powtórzonym”, „użytecznym w praktyce”. To nie wina złych charakterów, to po prostu logika systemu. Nowość przyciąga uwagę, uwaga liczy się w cytowaniach, cytowania budują karierę, granty, awanse. Dlatego nawet dobry wynik musi być dobry i nowy albo nawet odwrotnie.

A co z pracami, które są nudne, ale niezbędne? Tak jak powtórzenie cudzego eksperymentu. Sprawdzenie, czy efekt działa też gdzie indziej. Dopracowanie narzędzia pomiarowego. Budowanie spójnej teorii z wielu puzzli. Vaesen nazywa to czerwoną strefą – tam właśnie wiedza naprawdę dojrzewa i staje się wiarygodna. Tylko że systemowo jest spychana na margines, bo jest „wtórna”, żmudna i mało efektowna w oczach mediów i komisji grantowych. Dzieje się to nawet w ekologii, gdzie lokalność jest kluczowa dla zachodzących procesów. Największy problem nie leży nawet w tym, że niektóre replikacje wypadają słabo. Największy dramat polega na tym, że ogromnej części literatury nikt w ogóle nie replikuje, więc nie wiemy, ile w niej prawdy, a ile złudzenia.

Czy istnieją rozwiązania? Zapewne tak, choć za Vaesenem ostrzegam, że proste recepty – poprawmy statystykę, wprowadźmy prerejestracje, zaostrzmy recenzje – leczą objawy, ale nie chorobę. Choroba jest osadzona głębiej, w ekonomii prestiżu i uwagi. Skąd się to wzięło? Choroba ta rozwija się całkiem długo, a Vaesen poświęca osobny rozdział historii neomanii – nazywają ją wręcz „krótką historią obsesji”. Już w XVII wieku, który historycy nazywają „wiekiem nowego” (Age of the New), nastąpił gwałtowny zwrot. Historyk Lynn Thorndike zauważył w połowie XX wieku, że w tytułach prac naukowych dramatycznie przybyło słów „nowy”, „niesłychany”, „niespotykany”. Wystarczy spojrzeć na klasyków: William Gilbert – *New Physiology* (1600),

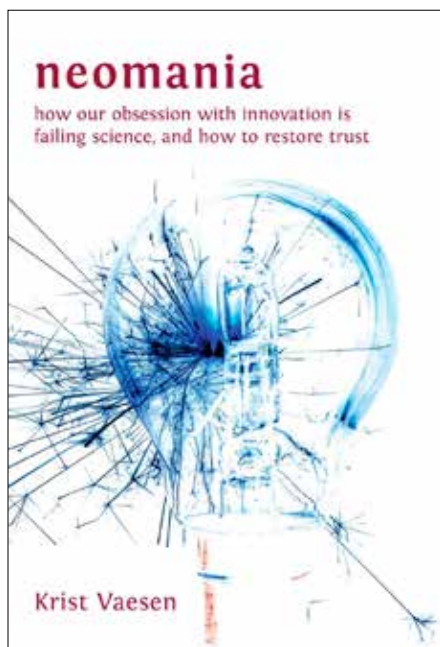
Johannes Kepler – *New Astronomy* (1609), Francis Bacon – *Novum Organum* (1620), Galileo Galilei – *Two New Sciences* (1638), Robert Boyle – liczne *New Experiments*. Ten trend objął niemal wszystkie dziedziny: od metodologii, przez astronomię i fizykę eksperymentalną, po chemię, anatomię i inżynierię.

Filozofowie przyrody tamtej epoki chcieli wyraźnie zerwać z przeszłością, z autorytetem starożytnych (głównie Arystotelesa), ze scholastyką i dominacją teologii w poznaniu natury. Bacon, jeden z symboli tego przełomu, obiecywał nową metodę, nowe organum poznania, nowe moce nad przyrodą, wiedzę, która da ludzkości realną władzę i poprawi byt materialny. To był program rewolucyjny: nauka jako narzędzie postępu, odkrywania nieznanego, budowania nowego świata. I rzeczywiście ta obietnica okazała się historycznie niezwykle płodna, dała impuls rewolucji naukowej. Z czasem jednak idea „nowości” została stopniowo uwięziona w logice wzrostu gospodarczego i globalnej konkurencji. W XX wieku, zwłaszcza po II wojnie światowej, nauka zaczęła być postrzegana przede wszystkim jako motor innowacji technologicznych i wzrostu PKB. Modele takie jak liniowy model innowacji (od badań podstawowych do zastosowań) czy koncepcja Triple Helix (uniwersytety – przemysł – państwo) utrwaliły ten kierunek. W Stanach Zjednoczonych ustawy typu Bayh-Dole Act (1980) zachęcały do komercjalizacji wyników badań i patentowania. Nauka miała dostarczać innowacje, a innowacje napędzać gospodarkę. Presja na szybkość i nowość stała się tak wielka, że fundamenty sprawdzamy później... albo wcale. W biologii środowiskowej co



chwile ktoś ogłasza rewolucyjny mechanizm albo przełomową metodę. W medycynie co kilka miesięcy nowa wielka nadzieja na cudowny lek. Jednak to zjawisko wykracza poza naukę. Jak śpiewał Leonard Cohen: „nie ma lekarstwa na miłość”. Nie ma też prostego lekarstwa na naszą zbiorową miłość do nowości. System po prostu ją wykorzystuje.

Otwarte dane, otwarte kody, prerejestracje – to kroki w dobrą stronę. Jak ujął to Brian Nosek: otwartość nie jest potrzebna dlatego, że naukowcy są nieuczciwi. Jest potrzebna, bo są ludźmi – podatnymi na błędy poznawcze, presję, złudzenia optymistyczne. Ale otwartość usuwa przeszkody, nie tworzy jednak motywacji. Dane leżą otwarte, a mało kto je naprawdę ponownie analizuje, replikuje, testuje w nowych warunkach. Biblioteka już stoi, tylko prawie nikt do niej nie zagląda. Vaesen nie wierzy, że rynek publikacji sam wyselekcjonuje prawdę. W epoce neomanii selekcjonuje głównie powierzchowną uwagę. Proponuje więc coś bardziej radykalnego: zorganizować naukę wokół dużych, wspólnotowych programów badawczych z jasno uzgodnionymi priorytetami. W takich programach czerwona strefa nie jest hobby idealistów, staje się zaplanowanym, szanowanym etapem. Potrzebujemy konferencji i spotkań, które szukają konsensusu i decydują, co warto doprowadzić do dojrzałości. Potrzebujemy podziału pracy, wieloletniego finansowania i instytucji, które traktują „pracę utrzymaniową” jako prestiżową. Brzmi to trochę naiwnie i zupełnie nieseksownie, sam autor to przyznaje. Nie ma tu romantycznego mitu samotnego geniusza. Ale najbardziej solidna wiedza zawsze tworzona była zbiorowo: replikacja, synteza, teoria to społeczna obróbka odkrycia. Neomania tę obróbkę rozbija, bo premiuje sprinty, a nie maratony.



Na koniec Vaesen rzuca cień na możliwości sztucznej inteligencji. To właśnie ona może przyspieszyć wszystko co najgorsze: szybkie pisanie tekstów niż ich sprawdzanie, skalowanie fabryk pseudonaukowych artykułów, jeszcze większy pęd za nowością. Ale może też pomóc: wyłapywać anomalie, robić błyskawiczne przeglądy literatury, wspierać powtarzalność. Kluczowe pozostaje jednak to, co Galileusz nazywał ślimaczym tempem i głębokim brakiem zaufania do własnych odkryć. Nauka potrzebuje instytucji, które w odpowiednim momencie potrafią powiedzieć: Stop! Teraz sprawdzamy poważnie. Nie ma prostych recept, a każda obietnica szybkiego rozwiązania śmierdzi szarlatanerią. Sam lubię nowości. Lubię ten moment, kiedy coś nagle zaskakuje, kiedy nieoczywiste łączy się z nieoczywistym. Ale najlepiej szukać takich połączeń, stojąc na twardym, sprawdzonym gruncie. Bo inaczej budujemy kolejne imponujące fundamenty, w których nikt nigdy nie zamieszka. Może najwyższy czas przestać być bananowymi dziećmi, które chcą tylko nowinek i zwolnień z nudnej roboty laboratoryjnej czy terenowej. Może czas pozwolić dorosnąć – sobie i nauce.

Prof. dr hab. Piotr Tryjanowski,
Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu

Anatomia akademickiego pośpiechu

Funkcjonujemy pod presją rankingów, grantów i „produktywności”. Czy wartości są awangarda? W swej pracy akademickiej zawsze uważałam, że to, co nas odróżnia od świata komercji, jest jednocześnie tym, co nas trzyma we wspólnocie. Dlaczego zatem najwyższą wartość środowiska naukowego – wewnętrzną motywację do nieustannego samorozwoju – decydenci tak usilnie próbowali sprowadzić do bezdusznej „punktozy”? Dlaczego nasze tradycyjne wartości akademickie są zaniedbywane i spychane na marginesy?

Nadrzędnym celem badań jest bezinteresowne poszukiwanie prawdy. Dziś presja finansowania, komercjalizacji i mierzalnych efektów sprawia, że pytania i tematy „nieopłacalne” bywają marginalizowane. To rodzaj legalnej grabieży kreatywności, samodzielności i otwartości, uważanych przecież za potencjał ludzi nauki. Pasja poznania wypierana jest przez promowany model „optymalizacji dorobku”.

Praktyka uniwersytecka przytłacza nas nową wizją: elitarności badań, które są gwarantem osiągnięcia szczybli kariery i uznania w przeciwieństwie do masowego nauczania, które dostarczane studentom w formie podawczej, rodem z XIX wieku, powoduje frustrację i wypalenie.

Idea uniwersytetu jako wspólnoty uczonych (universitas) ustępuje modelowi konkurencyjnego rynku projektów i cytowań. Ani ocena jakości prowadzonej dydaktyki, ani ewaluacja działalności naukowej nie uwzględniają wymiaru wspólnotowości – w formularzach próżno szukać pytań o jakość relacji i więzi, które współtworzą akademicką rzeczywistość. A to one dają nam poczucie zaufania [budują zaufanie]. Ocena dokonywana przez przeprowadzających ewaluację nie uwzględnia istnienia na uniwersytecie kultury otwartego sporu bez lęku, nikt nie pyta czy błędy są traktowane jako element uczenia się, a nie powód do wykluczenia. Coraz rzadziej zadajemy sobie sami pytanie, czy nasza wspólnota to ludzie zdolni do odpowiedzialnych

osądów moralnych. Dodatkowo przywykliśmy do uproszczeń. Nauka zaś rozwija się dzięki świadomości własnych ograniczeń, do których powinniśmy się przyznawać.

Wielkie idee powstają powoli. System grantowy i ewaluacyjny premiuje szybkie rezultaty, a my nie mamy czasu na myślenie. Nie mamy czasu na nieformalne spotkania. Tracimy poczucie sensu.

Pędzimy. Mamy gnać za pozycją, widzialnością, cytowaniem, czyli za formą sukcesu, która nie zawsze ma treść. Ale właściwie dokąd pędzimy?

Najwyższa pora zwolnić. Tak, zwolnić! Gdyby ocena jakościowa wyparła czysto ilościową, gdybyśmy nadali większą wagę dydaktyce i pracy wspólnotowej, jeśli promowane byłoby finansowanie długofalowych projektów, odzyskalibyśmy oddech.

Jeśli nagradzamy tempo, dostajemy pośpiech. Jeśli nagradzamy głębię, zaczyna się zmiana kultury pracy. Zaczniemy głośno i publicznie mówić o sensie nauki, o jej zakorzenieniu w wartościach, które wykraczają poza mierzalność i doraźną efektywność. Zdobądźmy się na odwagę, by bronić czasu na myślenie, na wątplenie, na spokojne dojrzewanie idei. Twórzmy

środowiska, które bardziej niż widzialność i wskaźniki cenią rozmowę, relacje i wspólne poszukiwanie prawdy. Potrzeba nam dziś powrotu do tego, co nadaje pracy akademickiej sens: do odpowiedzialności, rzetelności, ciekawości świata i troski o drugiego człowieka. W świecie przyspieszenia i nieustannej konkurencji formą akademickiej odwagi musi stać się... spowolnienie, by znów usłyszeć pytanie „po co?”, zanim odpowiemy na pytanie „ile?”. Zwolnijmy tempo, bo biegniemy na oślep.

Prof. dr hab. Agnieszka Zimmermann,
prorektor ds. kształcenia Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego,
kierownik Zakładu Prawa Medycznego i Farmaceutycznego GUIMed





Fundacja na rzecz
Nauki Polskiej

Kolejne MAB-y zainauguowały działalność

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej zainauguowała 24 lutego działania kolejnych Międzynarodowych Agend Badawczych. Dziesięć ośrodków otrzyma łącznie 300 mln zł na rozwój innowacji w obszarach m.in. medycyny precyzyjnej, technologii kwantowych, sztucznej inteligencji czy detektorów dla astrofizyki. Środki pochodzą z programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG).

Projekty, które rozpoczynają działalność, koncentrują się na priorytetowych sektorach nowoczesnej gospodarki. Kluczowym celem ich działań jest skrócenie ścieżki od odkrycia naukowego do wdrożenia poprzez opracowanie prototypów i demonstratorów gotowych do bezpośredniego transferu do przemysłu.

– W działaniach kierujemy się naszym mottem: wspierać najlepszych, aby mogli stać się jeszcze lepsi. Wyszukujemy talenty i na różne sposoby pomagamy im rosnąć w nauce. Dlatego w historii Fundacji zbudowaliśmy wiele dróg rozwoju: od tworzenia centrów doskonałości, przez mobilność międzynarodową, po powroty do kraju



– powiedział prof. Krzysztof Pyrcz, prezes Zarządu Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. – Jednocześnie dbamy o to, by finansowane badania odpowiadały na priorytetowe kierunki rozwoju technologicznego i społecznego kraju. Naukowcy wspierani przez Fundację prowadzą badania w szerokim spektrum obszarów, należą do nich m.in. medycyna, biotechnologia, nowe materiały, technologie kwantowe, sztuczna inteligencja czy badanie kosmosu. Zależy nam, aby kolejne pokolenia badaczy i badaczy budowały potencjał Polski: naukowy, technologiczny i gospodarczy.

Rozwijane w nowych centrach technologie mają przynieść konkretne efekty, m.in.: optymalizację zużycia energii w procesach przemysłowych; skokowy wzrost wydajności transmisji danych oraz zaawansowaną integrację systemów AI; podniesienie precyzji prognoz środowiskowych oraz opracowanie nowej generacji narzędzi diagnostycznych dla medycyny. Każde z dziesięciu centrów otrzyma dofinansowanie w wysokości ok. 30 mln zł pochodzących z programu Fundusze Europejskie dla Nowoczesnej Gospodarki (FENG). Środki te pozwolą na rozwój międzynarodowych zespołów badawczych i nowoczesnej infrastruktury oraz realizację programów ukierunkowanych na przełomowe rozwiązania technologiczne.

Działanie Międzynarodowych Agend Badawczych realizowane przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej skierowane jest do wybitnych naukowców z Polski i zagranicy, którzy tworzą w kraju wyspecjalizowane centra badawcze prowadzące prace nad problemami o kluczowym znaczeniu dla nauki i społeczeństwa. Realizowane przez nich projekty łączą badania na najwyższym światowym poziomie z realnym potencjałem wdrożeniowym. Dotychczas FNP przyznała 19 MAB-om (w tym czterem, które zdobyły wsparcie z konkursu Teaming for Excellence) środki w łącznej kwocie ponad 580 mln zł.

(DWŁ)

ENSEMBLE3 – Centrum doskonałości w dziedzinie nanofotoniki, zaawansowanych materiałów i nowych technologii opartych na wzroście kryształów

Główny Wykonawca: prof. Dorota Pawlak. Beneficjent: Ensemble3 Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

Centrum rozwija zaawansowane materiały o kontrolowanych właściwościach elektromagnetycznych, w tym struktury fotoniczne i półprzewodnikowe umożliwiające precyzyjne sterowanie światłem. Badania obejmują m.in. kryształy fotoniczne, ultraszybkie detektory, nowe źródła światła oraz technologie konwersji energii słonecznej i produkcji wodoru. Projekt łączy kompetencje materiałowe, optyczne i aplikacyjne, budując pełen łańcuch od wzrostu kryształów po demonstratory technologii.

CKCOM – molekularne memrystory i memcomputing

Główny Wykonawca: prof. Daniel Gryko. Beneficjent: Instytut Chemii Organicznej PAN

Projekt koncentruje się na opracowaniu organicznych memrystorów molekularnych wykorzystujących zjawiska kwantowe w procesach przełączania. Celem jest stworzenie energooszczędnych elementów łączących funkcje pamięci i przetwarzania informacji w jednym układzie (memcomputing). Rozwiązania te mogą znaleźć zastosowanie w sprzęcie AI oraz systemach obliczeniowych nowej generacji, ograniczając rosnące koszty energetyczne przetwarzania danych.

Centrum Godnej Zaufania Sztucznej Inteligencji dla Nauk o Życiu

Lider: prof. Paweł Dłotko. Beneficjent: Uniwersytet Warszawski

Projekt rozwija metody AI umożliwiające nie tylko generowanie predykcji, ale także oszacowanie wiarygodności wyników. W centrum uwagi znajdują się analizy sygnałów biologicznych (m.in. EEG) oraz modele pracujące na ograniczonych zbiorach danych. Integracja narzędzi matematycznych, topologicznych i uczenia maszynowego ma prowadzić do powstania systemów wspierających decyzje medyczne w sposób transparentny i weryfikowalny.

COWK – Centrum Obliczeń Wspomaganych Kwantowo

Lider: prof. Remigiusz Augusiak. Beneficjent: Centrum Fizyki Teoretycznej PAN

COWK rozwija narzędzia prowadzące do praktycznej, weryfikowalnej przewagi obliczeń kwantowych. Badania koncentrują się na skalowalności, energooszczędności i integracji rozwiązań kwantowych z istniejącą infrastrukturą cyfrową. Agenda buduje zaplecze kompetencyjne i teoretyczne umożliwiające zastosowanie efektów kwantowych w realnych problemach technologicznych.

TREAT-EXP – terapie chorób genetycznych

Lider: prof. Krzysztof Sobczak. Beneficjent: Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Projekt tworzy platformę do opracowywania terapii dla chorób neurologicznych wynikających z ekspansji powtórzeń nukleotydowych w genach. Badania koncentrują się na identyfikacji związków ukierunkowanych na patogenne RNA i opracowaniu biomarkerów umożliwiających monitorowanie skuteczności terapii. Agenda łączy genomikę, biologię molekularną i modele przedkliniczne.

GaN-Unipress – półprzewodniki azotkowe nowej generacji

Lider: prof. Michał Boćkowski. Beneficjent: Instytut Wysokich Ciśnień PAN

Centrum rozwija technologie oparte na azotku galu (GaN), obejmujące wzrost kryształów, epitaksję oraz projektowanie urządzeń dla energoelektroniki i fotoniki. Badania prowadzą do wytwarzania wysokiej jakości podłoży i przyrządów o potencjale wdrożeniowym, w tym zastosowań w technologiach kwantowych.

SOWA – strukturyzowana optyka włóknista

Lider: prof. Ryszard Buczyński. Beneficjent: Uniwersytet Warszawski

Agenda rozwija nową klasę nanostrukturizowanych światłowodów typu free-form oraz rozwiązania łączące optykę z mikro-optofluidyką. Celem jest stworzenie zaawansowanych komponentów dla systemów laserowych, czujników i urządzeń fotonicznych pracujących w szerokim zakresie widma.

P4Health – precyzyjne fenotypowanie mózgu

Lider: prof. Bastian Hengerer. Beneficjent: Sieć Badawcza Łukasiewicz – PORT Polski Ośrodek Rozwoju Technologii

Projekt bada rolę astrocytów i komórek glejowych w chorobach neurologicznych i ośrodkowych. Opracowywane są strategie terapeutyczne oraz biomarkery umożliwiające stratyfikację pacjentów i testowanie interwencji w modelach komórkowych oraz zwierzęcych.

Astrocent – technologie detekcji dla astrofizyki wielozakresowej

Lider: dr hab. Marcin Kuźniak. Beneficjent: Centrum Astronomiczne im. M. Kopernika PAN

Centrum rozwija wysoko skalowalne systemy detekcji światła, jonizacji i drgań dla badań nad ciemną materią, neutrinami i falami grawitacyjnymi. Technologie te mają również zastosowania w medycynie, monitoringu klimatu i systemach wczesnego ostrzegania.

QLAB – hybrydowe technologie kwantowo-klasyczne

Liderka: prof. Magdalena Stobińska-Moretto. Beneficjent: Uniwersytet Warszawski

QLAB buduje rozwiązania integrujące algorytmy kwantowe, programowalne układy foniczne i aplikacje interoperacyjne. Celem jest przejście od demonstracji laboratoryjnych do rozwiązań przemysłowych wspierających europejską suwerenność technologiczną.



Fot. M. Gwiazdowska/FNP

Nowi starzy mistrzowie

W Poznaniu zakończyły się pierwsze w tym sezonie finały Akademickich Mistrzostw Polski. Akademickimi mistrzyniami kraju w fut-salu zostały studentki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, zaś złoto w rywalizacji mężczyzn wywalczyli futsaliści Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach, którzy po rzutach karnych pokonali gospodarzy z Politechniki Poznańskiej. Obie zwycięskie drużyny powtórzyły swój ubiegłoroczny sukces.

Po pięcioletniej przerwie zmagania najlepszych futsalistek i futsalistów wśród studentów wróciły do Poznania. Przez trzy dni w czterech halach zmierzyło się po 16 najlepszych drużyn męskich i żeńskich. Łącznie w zawodach wzięło udział blisko pięćset uczestników.

Grupowe zmagania mężczyzn bez straty punktów zakończyli zawodnicy Uniwersytetu Wrocławskiego, wśród których wyróżniał się Michał Bober, zdobywca sześciu goli, oraz Wyższej Szkoły Gospodarki w Bydgoszczy, która prezentowała niezwykle skuteczną i w trzech meczach zaaplikowała rywalom aż siedemnaście goli. Świetna postawa Wrocławian i Bydgoszczan w grupach pozwoliła na rozstawienie w ćwierćfinałach, na których musieli jednak zakończyć swój marsz ku strefie medalowej. UWrocław był bez szans w starciu z gospodarzami z Politechniki Poznańskiej, którzy pokonali zespół z Dolnego Śląska aż 4:0. Z kolei WSG Bydgoszcz po zwycięstwie w pojedynku musiała uznać wyższość Politechniki Łódzkiej (2:3). Grono półfinalistów uzupełnili futsaliści Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu (5:2 z Uniwersytetem Jana Kochanowskiego w Kielcach) oraz AWF Katowice (5:3 z AWF Wrocław).

Los sprawił, że w jednym z męskich półfinałów spotkały się dwie poznańskie drużyny, a o awansie do wielkiego finału zadecydowały rzuty karne. Skuteczniejsi od rywali z UAM byli gospodarze z PP (4:4, k. 3:2) i to oni zameldowali się w najważniejszym meczu dnia. Ich przeciwnikami byli w nim studenci AWF Katowice, którzy w drugim

półfinale nie dali większych szans PŁ, wygrywając aż 5:1. Przez większość meczu o złoto utrzymywał się remis 1:1, a do wyłonienia triumfatora potrzebne były dogrywka i rzuty karne. Więcej zimnej krwi zachowali Katowiczanie, którzy wygrali karne 3:2 i cieszyli się ze zwycięstwa w turnieju. Brązowymi medalistami AMP w fut-salu mężczyzn została ekipa UAM, która w meczu o trzecie miejsce pokonała 3:0 PŁ.

– W finale spotkały się dwie bardzo dobre i równe drużyny. Możliwe, że mieliśmy więcej akcji i strzałów, ale najważniejsze jest to, żeby piłka wpadła do bramki. Do końca były nerwy i sprawiedliwe było to, że rzuty karne rozstrzygnęły sprawę tytułu – uważa Jakub Dobias, kapitan AWF Katowice.

– Te mistrzostwa to był „strzał w dziesiątkę”. Brakowało tylko jednego celnego strzału do naszej wygranej. Fut-sal to piękny sport. Mam nadzieję, że uczestnicy ocenią pozytywnie organizację całego turnieju – podkreśla rektor Politechniki Poznańskiej, prof. Teofil Jesionowski.

Z kolei starcia grupowe futsalistek zdominowały cztery ekipy, które w swoich grupach zanotowały komplet zwycięstw. Do półfinałów z tego grona nie dostała się jedynie drużyna Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, która po rzutach karnych uległa zespołowi Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie (1:1, k. 0:2). Karne były również potrzebne do wyłonienia półfinalistek w pojedynku Uniwersytetu Warszawskiego z Uniwersytetem Rzeszowskim (3:3, k. 3:1). Pewne wygrane w ćwierćfinałach odniosły ekipy Akademii Kultury Fizycznej w Krakowie (6:1 z Uniwersytetem Medycznym w Łodzi), a także broniących złota gospodyń z UAM Poznań (3:0 z Akademią Nauk Stosowanych w Nowym Sączu).

W meczach 1/2 finału kobiet nie brakowało dramaturgii, bowiem o awansach decydowały rzuty karne. Zwycięsko z boju prze-ciwno UJD wyszły zawodniczki AKF Kraków, zaś gospodynie z UAM wykazały się lepszą skutecznością strzałów z szóstego metra od



Klasyfikacja końcowa finału AMP w futsalu kobiet w Poznaniu

1. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
2. Akademia Kultury Fizycznej w Krakowie
3. Uniwersytet Warszawski
4. Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie
5. Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie
6. Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu
7. Uniwersytet Medyczny w Łodzi
8. Uniwersytet Rzeszowski
9. Akademia Tarnowska
10. Uniwersytet Gdański
11. Politechnika Łódzka
12. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
- 13-16. Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach, Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku, Uniwersytet Wrocławski, Politechnika Warszawska

Klasyfikacja końcowa finału AMP w futsalu mężczyzn w Poznaniu

1. Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach
2. Politechnika Poznańska
3. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
4. Politechnika Łódzka
5. Uniwersytet Jana Kochanowskiego w Kielcach
6. Wyższa Szkoła Gospodarki w Bydgoszczy
7. Akademia Wychowania Fizycznego we Wrocławiu
8. Uniwersytet Wrocławski
9. Uniwersytet Warszawski
10. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
11. Akademia Nauk Stosowanych w Lublinie Wincentego Pola w Lublinie
12. Uniwersytet Jana Długosza w Częstochowie
- 13-16. Politechnika Białostocka, Politechnika Lubelska, Akademia Wychowania Fizycznego i Sportu w Gdańsku, Akademia Wychowania Fizycznego w Warszawie

studentek UW. Miejscowe zawodniczki stanęły więc przed szansą na obronę złota i w finale dopięły swego. UAM pokonał 2:1 ekipę AKF, a emocje były do ostatnich sekund. Z kolei w meczu o brąz zdecydowanie lepsze od UJD były zawodniczki UW. Stołeczne futsalistki prowadziły 2:0, w pewnym momencie Częstochowianki zdołały zdobyć kontaktowego gola, ale następne dwa trafienia były dziełem Warszawianek, które ostatecznie zwyciężyły 4:1.

– Po wyjściu z grupy miałyśmy nadzieję, że będzie ten medal. Każda z nas włożyła serce w półfinał z UAM. Co do meczu o brąz, to miałyśmy w głowie, żeby udowodnić coś sobie i fajnie, że udało się wygrać – mówiła Kinga Rosłoń z drużyny UW, wybrana najlepszą zawodniczką meczu o brąz. Podkreślała coraz wyższy poziom AMP. – Widać, jak bardzo rozwijają się zespoły. Nie ma dużej różnicy w umiejętnościach. Poziom jest wysoki i fajnie jest zagrać w takim turnieju – dodała.

– Jestem jedynym w Polsce trenerem, który był ze swoją drużyną na wszystkich turniejach AMP od piętnastu lat. Widzę, jak futsal kobiet się rozwija, jak rośnie jego poziom. Cieszy mnie to, że jest w kim wybierać – nie ukrywał Wojciech Weiss, trener drużyny UAM Poznań, a także trener reprezentacji Polski w futsalu, który wraz z władzami uczelni i klubu uczelnianego czyni wiele, aby przyciągnąć do gry u siebie najbardziej uzdolnione zawodniczki.

Organizatorami Akademickich Mistrzostw Polski w futsalu kobiet był AZS Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Organizatorem Akademickich Mistrzostw Polski w futsalu mężczyzn był AZS Politechnika Poznańska. Cykl jest współfinansowany ze środków Ministerstwa Sportu i Turystyki.

Biuro prasowe AZS, fot. Adam Jastrzębowski



Fot. Adam Jastrzębowski

Rozmowa z prof. Markiem Konarzewskim, prezesem Polskiej Akademii Nauk

Chcemy iść za drogowskazem z napisem „jakość”

Gdy patrzę, jak bardzo ewaluacja zrujnowała projakościowy sposób myślenia w polskiej nauce, jestem jak najgorszej myśli. Przerodziło się to w dramatyczną pogoń za punktacją, zalewem byle jakich prac produkowanych w czasopismach drapieżnych, udziałem naszych naukowców w papierniach. . . Toniemy!

Jestem pewien, że za pięć, a najdalej dziesięć lat Nobel trafi do Polski – powiedział pan z przekonaniem parę miesięcy temu. Czy widzi pan realne przesłanki ku temu, czy to jedynie myślenie życzeniowe?

Sądzę, że mój optymizm jest uzasadniony. Przez ostatnie tygodnie zbieraliśmy kandydatury do Nagrody PAN, która ma być swoistym indykatorem tego, czy rzeczywiście mamy wśród nas badaczy i badaczki mogących w dalszej perspektywie pokusić się o najbardziej prestiżowe wyróżnienie na świecie. Nadeszło 25 zgłoszeń, będziemy więc mieli w kim wybierać. Samo środowisko odpowiedziało zatem na pana pytanie.

Rzecz jasna, z punktu widzenia mizerni finansowej polskiej nauki, można skwitować, że porywamy się z motyką na słońce. Tyle że aktywność naukowa w dużej mierze opiera się właśnie na takim odważnym, śmiałym stawianiu przed sobą kolejnych wyzwań. Wpisujemy się w to naszą inicjatywą. I zachęcam do tego, żeby myśleć w ten sposób – per aspera ad astra – bo inaczej nigdy się nie wydzwigniemy z lokalnego albo wręcz zaściankowego pojmowania nauki.

W jaki sposób Nagroda PAN ma nas zbliżyć do najbardziej prestiżowych międzynarodowych laurów?

W założeniach ma to być wyróżnienie, które wzmocni konkretnego badacza bądź badaczkę, odciąży od ciągłego zastanawiania się, w jaki sposób zdobyć pieniądze na przetrwanie. Nagrodę – a przypomnę, że mówimy o kwocie 400 tys. zł – będzie można wykorzystać wedle własnych potrzeb. Z pewnością to ułatwi wiele rzeczy. Ale jest jeszcze perspektywa na zewnątrz: chcemy dać jasny, czytelny sygnał, że wybieramy, promujemy najlepszych.

Dla mnie to szczególnie istotne. Gdy patrzę, jak bardzo ewaluacja zrujnowała projakościowy sposób myślenia w polskiej nauce, jestem jak najgorszej myśli. Przerodziło się to

w dramatyczną pogoń za punktacją, zalewem byle jakich prac produkowanych w czasopismach drapieżnych, udziałem naszych naukowców w papierniach... Toniemy! Wydaje mi się, że Polska Akademia Nauk jest predestynowana do tego, by iść za drogowskazem z napisem „jakość”. Dlatego Nagroda PAN ma pokazać, dokąd naprawdę w nauce powinniśmy zmierzać.

Wysokością nagrody pobiliście wszystkie dotychczasowe wyróżnienia przyznawane w kraju.

Wartość uznanych nagród światowych to około 100 tys. dolarów. Był to dla nas swego rodzaju wyznacznik, chcieliśmy stworzyć nagrodę, która będzie lokowała się właśnie na tym poziomie finansowym. Jednocześnie oczekujemy, że laureaci w przedziale czasowym, o którym mówiliśmy na początku, będą ubiegać się o nagrody poza Polską już nie jako „ubodzy krewni” zagranicznych badaczy.

Jeśli w podtekście pyta pan o konkurencję z Nagrodami Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, to od razu zapewniam, że nie chcemy się ścigać. Zresztą bardzo bym się zdziwił, gdyby się okazało, że to są nagrody rozłączne. Przecież osoby, które będą wyróżniane przez FNP, z pewnością zostaną dostrzeżone również przez naszą kapitułę. Nie oszukujemy się, pula wybitnych uczonych jest ograniczona z definicji. Nie ma więc, jak sądzę, żadnego powodu, żeby spierać się, która z tych nagród będzie bardziej prestiżowa. Wyróżnikiem Nagrody PAN jest odmienny niż w przypadku innych laurów powód, dla którego ją przyznajemy. I chciałbym, żebyśmy w ciągu – trzymajmy się tej perspektywy – 10 lat mogli powiedzieć „sprawdzam” i stwierdzić, czy ten eksperyment się udał.

Pod koniec ubiegłego roku był pan na spotkaniu z premierem Donaldem Tuskiem. Kilka miesięcy wcześniej szef



Prof. Marek Konarzewski (ur. w 1961 r.) jest biologiem ewolucyjnym i fizjologiem; prowadzi badania z pogranicza ekologii, fizjologii i genetyki. Interesuje go też dyplomacja naukowa. Pracuje w Katedrze Ekologii Ewolucyjnej i Fizjologicznej Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku. Wykładał na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego. Zatrudniony był też w Zakładzie Badania Ssaków PAN. Pracował w ambasadzie RP w Waszyngtonie, pełnił funkcję doradcy Ministra Spraw Zagranicznych ds. nauki i technologii. Jest prezesem Polskiej Akademii Nauk.

Jest autorem kilkudziesięciu prac naukowych. Przekazał wyróżnioną nagrodą Pulitzera książkę „Strzelby, zarazki, maszyny” Jareda M. Diamonda, w którego zespole naukowym w Los Angeles odbył staż podoktorski. Jest autorem książki „Na początku był głód”. Fotografuje przyrodę, a wynikiem jego pasji są albumy poświęcone m.in. Puszczy Knyszyńskiej i Dolinie Biebrzy.

rządu także gościł naukowców. Dlaczego z tych rozmów niewiele wynika? Naukowcy są mało przekonujący?

Dlaczego pan twierdzi, że nic nie wynika?

Proszę zatem opowiedzieć o efektach.

Pan premier prosił w trakcie tego spotkania o dyskrecję, więc nie chciałem mówić o jego przebiegu, ale zapewniam, że to nie jest tak, że nic z niego nie wynika. Lejtmotywną była troska o to, w jaki sposób nauka mogłaby partycypować w rozwoju możliwości obronnych Polski. Taka jest w tej chwili potrzeba chwili i jako środowisko daliśmy na to odpowiedź.

Nie chcę być poświadczony o militaryzacji PAN, ale ze względu na te potrzeby państwa dokonaliśmy wewnętrznego przeglądu naszych kompetencji i możliwości. One są naprawdę bardzo duże. W najbliższym czasie będziemy prezentować konkretne projekty w Ministerstwie Obrony Narodowej.

Wydaje mi się, że – jak w każdym kryzysie – to również pewna szansa dla nauki. Gdy popatrzymy na kraje będące w podobnym położeniu jak my obecnie, a więc mierzące

się z zagrożeniem zewnętrznym, np. Koreę Południową, Izrael, Finlandię, to tam poziom wydatków na zbrojenia jest porównywalny z nakładami na rozwój technologii. Jednym słowem, nie ma rozwoju technologii wojskowych bez rozwoju technologii cywilnej i ten kierunek myślenia, nie chcę zapeszać, już powoli znajduje zwolenników także wśród naszych decydentów. W tym upatruję szansy dla środowiska naukowego.

Czy zatem badania dla obronności staną się, przy wysychających innych źródłach finansowania, jednym z głównych filarów finansowych instytutów PAN?

Bez dwóch zdań, kończymy już w zasadzie pracę nad porozumieniem z MON w tej sprawie. Tworzymy konsorcjum wewnątrz Akademii, które będzie partnerem w różnego rodzaju przedsięwzięciach. Nie pojedyncze instytuty, tylko właśnie sojusz wszystkich pod jednym parasolem. To znacznie ułatwi sprawy administracyjne. Jeżeli którakolwiek z naszych placówek będzie miała pomysł na działanie w zakresie obronności, to oczywiście może

dołączyć, jesteśmy otwarci. W tej chwili zgłosiło się z konkretnymi projektami ponad dwadzieścia instytutów PAN.

Oczywiście, nie zamykamy się tylko w obrębie Akademii. Musimy działać jako ekosystem wraz z uczelniami i instytutami Sieci Łukasiewicz. Sądzę, że nauka znalazła się w miejscu, w którym się powinna znaleźć. Już wkrótce zademonstrujemy konkretne projekty.

Jakie są plany?

Już 12 marca w Centrum Badawczym Polskiej Akademii Nauk Konwersja Energii i Źródła Odnawialne w Jabłonie odbędzie się pokaz aerostatu, czyli mówiąc wprost – balonu na uwięzi. To urządzenie, które umożliwi wynoszenie różnego rodzaju aparatury obserwacyjnej na wysokość paruset metrów. Takie rozwiązanie nadaje się idealnie do uszczelnienia i bardziej efektywnego monitorowania naszej wschodniej granicy. Bierny Aerostacyjny System Informacyjno-Analityczny umożliwia także przekazywanie w czasie rzeczywistym zebranych, zagregowanych informacji pochodzących z różnych kanałów obserwacji. W sytuacji coraz częstszych incydentów związanych z naruszaniem naszej przestrzeni powietrznej przez rosyjskie drony tego typu zdolności są dziś niezbędne. Co ważne, nasz system jest rozwiązaniem komplementarnym w stosunku do wielokrotnie droższych i operujących na wyższych pułapach urządzeń kupionych przez Wojsko Polskie w Stanach Zjednoczonych. Działając wspólnie, oba typy aerostatów zapewnią pełne możliwości wykrywania różnego rodzaju obiektów na wysokościach już od kilku do kilkuset metrów.

Planujemy kolejne tego typu pokazy, w których nasze instytucje pokażą się decydom z Ministerstwa Obrony Narodowej. Wierzę, że wspólnie wypracujemy ścieżkę umożliwiającą efektywne wdrażanie naszych pomysłów w życie. Rzecz jasna, jednym z jej elementów będzie też wsparcie finansowe tych projektów.

W tworzenie nowych wykazów list i czasopism mają być zaangażowane komitety naukowe PAN. Część środowiska oburza się, uważając, że nie stanowią one reprezentacji środowiska naukowego. Poza tym wyniki wyborów do tych ciał nie są w pełni transparentne.

Protestuję przeciwko podważaniu legitymizacji demokratycznych wyborów dokonanych przez samo środowisko. Poczytuję to jako złą wolę i nie widzę żadnych, absolutnie żadnych argumentów za tym, żeby można było te wybory, a tym samym legitymizację komitetów jako oddolnych ciał reprezentujących środowisko naukowe, podważać. To zwykłe insynuacje i nie będę się do nich odnosił.

Rozumiem, że dla pana udział komitetów w ocenie to krok w dobrym kierunku?

Czas pokaże, czy lista czasopism stworzona w ten sposób będzie bardziej miarodajna niż ta, która funkcjonuje w tej chwili. Z udziału komitetów bardzo się cieszę, bo to rzeczywiście oddolny głos nauki, więc jeżeli zrobimy coś złe, będziemy mogli mieć pretensje tylko do siebie.

Przypomnę także, że w czerwcu 2024 roku powołałem zespół pod kierownictwem prof. Andrzeja Jajszczyka, który przygotował propozycję co do tego, jak powinna wyglądać przyszła ewaluacja. Żałuję, że tak niewiele elementów tej rekomendacji jest w grze, ale cały czas liczę na zainteresowanie tym dokumentem.

Prezentowaliśmy go także na naszych łamach.

Czy nie jest zbyt rewolucyjny jak na mocno zachowawcze kraje środowisko?

Od dawna powtarzam, że system nauki w naszym kraju jest postawiony na głowie i apeluję, by przywrócić jego właściwą

pozycję. Na całym świecie naukę tworzy się tak, że jest dobry pomysł, na który zdobywa się finansowanie, a potem publikuje wyniki. Jakościowe publikacje sprawiają, że stajemy się bardziej wiarygodni, znowu zdobywamy pieniądze i publikujemy dalej. W efekcie powinno nam to dać splendory, o których rozmawialiśmy na początku.

W Polsce ten proces został całkowicie zaburzony. W tej chwili można bez problemu opublikować cokolwiek w czasopiśmie drapieżnych i dostać za to odpowiednie apanaże w swojej instytucji. Zastanówmy się, w jaki sposób ten system funkcjonuje, jeśli około 60% naukowców w ogóle nie aplikuje do Narodowego Centrum Nauki, a z tych, którzy składają wnioski, wsparcie uzyskuje co dziesiąta osoba. To znaczy, że system jest chory, dogłębnie chory i nie przystaje do standardów, do których aspirujemy. U nas po prostu przestał działać i jakoś nikt się nad tym specjalnie nie zastanawia. A powinno nam to spędzać sen z powiek. Dlatego moim marzeniem jest, by kolejna ewaluacja przywróciła logiczny porządek prowadzenia działalności naukowej.

Zapowiadał pan, że upubliczni analizę, pokazującą jak wygląda publikowanie w poszczególnych instytutach PAN.

Zrobiliśmy taką analizę, bardzo szczegółowo przyjrzelśmy się jej wynikom. W niektórych instytutach prawie 40% wszystkich publikacji umieszczono w „predatorach”. Przecieraliśmy oczy ze zdumienia. Skoro uważamy PAN za crème de la crème polskiej nauki, to taki proceder nie powinien mieć miejsca. Był czas na poprawę i zobaczymy, jak to będzie wyglądało w ostatecznym rozliczeniu trwającej właśnie ewaluacji.

Nie chcę uciekać od problemu, możemy próbować rozwiązać go w obrębie Akademii, ale nie uzdrowimy w ten sposób całego systemu. Jestem przekonany, że jako środowisko umożliwiliśmy się w nim, dopasowaliśmy i czujemy się bardzo dobrze, bo doskonale poznaliśmy mechanizmy obchodzenia reguł. Boję się, że niezwykle trudno będzie to naprawić.

Wyczuwam, że chce pan powiedzieć: jest to niemożliwe.

Liczę na ministerstwo, bo to ono ma narzędzia w postaci odpowiednio sformułowanych rozporządzeń. Jeżeli zechce się przeciwstawić tym zastanym mechanizmom, może coś ulegnie poprawie. Niestety, jako środowisko nie zdaliśmy egzaminu. Poszliśmy na łatwiznę.

A co z tą analizą? Zobaczymy ją?

Przedmiotowe opracowanie powstało ad hoc. Przygotowując się do ewaluacji, chcieliśmy wiedzieć, w którym miejscu jesteśmy. Teraz podobną analizę wykonamy powtórnie, już na bazie danych z całego okresu ewaluacyjnego. To będą bardziej miarodajne wyniki. I obiecuję, że wtedy je upublicznimy. Przypomnę, że parę miesięcy temu Prezydium PAN wydało bardzo jednoznaczne stanowisko, w którym stwierdza, że publikowanie w czasopiśmie uznawanych za drapieżne jest absolutnie niedopuszczalne.

Pod koniec ubiegłego roku do instytutów PAN trafiła z ministerstwa dodatkowa pula 50 mln zł. Jej podziałem zajmowało się Zgromadzenie Dyrektorów PAN, a więc również potencjalni beneficjenci. Taką formułę wpisano też do projektu ustawy o PAN. Czy to właściwe?

Rozumiem intencję pytania, ale uważam, że wbrew pozorom konflikt interesów w tej sytuacji nie zachodzi. Któż bowiem wie lepiej od dyrektorów, w jaki sposób rozdzielać pieniądze? A ponieważ tych środków jest mało w stosunku do oczekiwań, wywołuje to zrozumiałą frustrację. W ciągu ostatnich lat różnica między tym, co dostaje Akademia, a co uczelnie, sięga

już ponad 200 mln zł. Kolejna „dosypka” w żaden sposób tego nie wyrównuje. Przy tak krótkiej koldrze zawsze będzie ktoś poszkodowany, ktoś dostanie za mało. Dyrektorzy instytutów przyjęli sztywny algorytm podziału, transparentny, bez grama uznaniowości. To była wspólna decyzja Prezydium, Zgromadzenia Dyrektorów i moja.

Dotarli do pana głosy z instytutów Wydziału I? Dyrektorzy części z nich pisali listy do ministra z prośbą o interwencję.

Nie pozostaję na to głuchy. Rzeczywiście, instytuty, które czują się szczególnie poszkodowane, reprezentują Wydział I Nauk Humanistycznych i Społecznych. I ta sytuacja powtarza się od lat. Po części wynika to ze specyfiki finansowania, bo przypomnę, że bardzo wiele jednostek z pozostałych wydziałów częściej sięga po środki zewnętrzne. Subwencja stanowi wtedy około 50% całego ich budżetu. W sytuacji, gdy instytut opiera się w całości na subwencji, a tak zdarza się właśnie w Wydziale I, to każde 100 tys. zł ma znaczenie. Ale dopóki mamy taki system, musimy z nim żyć. Nie mam sumienia, żeby na przykład instytutom reprezentującym nauki przyrodnicze zabrać część pieniędzy i przeznaczyć na instytuty, które są w gorszej sytuacji. Nie mogę i nie chcę karać nikogo za to, że mimo mocno niedoskonałego systemu dobrze sobie radzi.

Z problemem dramatycznego niedofinansowania mierzymy się od dawna i na horyzoncie nie widać szans na zmianę. Mam ogromną nadzieję na to, że jeżeli uda się pozyskać dodatkowe środki ze współpracy z MON, to będziemy mogli więcej pieniędzy z ministerialnej puli przeznaczyć na te instytuty, które z uwagi na swoją specyfikę w wojskowych projektach nie znajdują dla siebie miejsca.

Czy projekt ustawy o PAN spełnia pana oczekiwania?

Jest kompromisem i jak zawsze w przypadku kompromisów nie jest do końca tym, co w całości się akceptuje, ale sądzę, że ustawa w takim kształcie pomoże Akademii uporządkować wiele istotnych kwestii. Wewnątrz PAN jest duże poparcie dla tego projektu i liczę, że już wkrótce wyjdzie on z ministerstwa. Przed nami ostatnie spotkanie z zespołem minister Karoliny Ziolo-Pużuk. Wierzę, że chwilę później projekt trafi do uzgodnień międzyrządowych, a potem na komisję sejmową.

Co ważne, przyjęcie tej ustawy zdejmie wreszcie z Akademii odium instytucji, która się bez przerwy i w sposób nieskuteczny reformuje. Po kilkunastu latach dyskusji o tym, że trzeba zmienić PAN, będziemy to mieli wreszcie za sobą.

Niektóre z rozwiązań są jednak mocno krytykowane przez związkowców. Pisali u nas, że w projekcie pominięto kwestię dodatkowego wynagrodzenia rocznego (tzw. trzynastek), mimo że instytuty i inne jednostki PAN są przecież finansowane z budżetu państwa, a więc zasługują, by traktować je jako część sfery budżetowej.

Bardzo bym chciał, żeby przepisy zwiększające możliwości finansowe instytucji zostały „na sztywno” włączone do ustawy. Jak się pan jednak domyśla, ani ja, ani dyrektorzy instytutów, ani nawet MNiSW nie byliśmy stroną, która zawyrokowała, że „trzynastki” nie będzie. To są ograniczenia wypływające z wyższego poziomu. Bardzo nad tym boleję, bo mam graniczące z pewnością wrażenie, że w ten – zupełnie nieefektywny – sposób próbuje się zaoszczędzić tam, gdzie te oszczędności są pozorne. Ale żeby ustawa mogła być dalej procedowana, musieliśmy, jak wspominałem, pójść na kompromis.

Tym bardziej, że są w niej zawarte rozwiązania, które pomogą zdobywać pieniądze ze źródeł zewnętrznych, np. będziemy mogli tworzyć spółki celowe. Mam też nadzieję,

że przywrócony zostanie przepis, na tym etapie wykreślony, o możliwości tworzenia fundacji. Szukamy różnych mechanizmów, które pozwolą nam w większym stopniu zdobywać środki poza budżetem, bo dziś – jak doskonale wiemy – finansowanie instytutów z tego źródła jest na rażąco niskim poziomie.

Ile powinno się zarabiać w PAN? Pytam w kontekście ogłoszenia o pracę w jednym z waszych instytutów, które ostatnio zrobiło furorę w internecie. Jakiego rzędu wzrostu płac pan by oczekiwał?

W pierwszym rządzie powinniśmy dorównać do wysokości wynagrodzeń na uczelniach. Wydaje się, że nie jest to zbyt wygórowane oczekiwanie. Natomiast wspólnie, wraz ze środowiskiem akademickim, nie ustajemy w wysiłkach, żeby ponownie uczynić pracę naukową po prostu bardziej atrakcyjną. Przeżywam déjà vu, bo kiedy zaczynałem, 40 lat temu, nauka również nie dawała bezpieczeństwa materialnego, po prostu trudno było utrzymać rodzinę za wynagrodzenie w PAN. W jakim kierunku idziemy, jeżeli tak traktujemy obszar, który ma de facto decydować o tempie rozwoju kraju? Mam wrażenie, że w ten sposób podcinamy gałąź, na której siedzimy.

Skoro mówimy o pieniądzach – powstają nowe instytuty PAN.

Warunkiem, który postawiło tu ministerstwo, jest to, aby w ciągu najbliższych lat nowe placówki nie generowały dodatkowych potrzeb finansowych. Międzynarodowy Instytut Astrofizyki Częstek PAN, pierwszy od pół wieku, który powstał w ramach Wydziału III, jest w całości finansowany z pieniędzy unijnych. Spoza budżetu finansowany jest też Międzynarodowy Instytut Chemii Analitycznej PAN. Dodam, że pierwszy członek w nazwach obu jednostek jest kluczowy – nie wyobrażam sobie dziś tworzenia w Akademii instytutów innych niż międzynarodowe, a więc opierających się na współpracy z partnerami zagranicznymi.

A co z Międzynarodowym Instytutem Nauk Obliczeniowych i Matematycznych PAN?

Mam ogromną nadzieję, że ten instytut także uruchomimy. Ale proszę mnie zwolnić od odpowiedzi, która by wskazywała konkretną datę. Na razie trwa dialog z MNiSW.

Nie będzie konkurencją dla instytutu IDEAS, kierowanego przez prof. Piotra Sankowskiego?

Nie wydaje mi się. IDEAS ma charakter bardziej aplikacyjny, natomiast nasz instytut będzie koncentrował się na fundamentach algorytmiki, na teoretycznych podstawach sztucznej inteligencji. W tej niebywale dynamicznej rzeczywistości potrzebne są nam dwie nogi: wdrożeniowa i teoretyczna. Dzisiaj wszyscy bez wyjątku zajmują się AI i uważam, że również w strukturze PAN jest miejsce na to, by taka jednostka naukowa powstała.

Jesienią wybory władz Polskiej Akademii Nauk. Czy będzie pan ubiegał się o drugą kadencję w fotelu prezesa?

Odpowiedź na to pytanie wciąż jeszcze przede mną, więc proszę mi wybaczyć, ale w tej chwili się od niej uchylę. Tym niemniej decyzja już coraz bliżej, bo przecież nie mogę trzymać w niepewności moich współpracowników.

Od kilku lat robimy w Kancelarii PAN ankiety oceniające satysfakcję zawodową pracowników. Jedno z pytań brzmi: Czy polecilibyś pracę w Akademii swoim przyjaciołom? Jeszcze ponad dwa lata temu ponad połowa odpowiedzi brzmiała: „nie”. Dziś na to samo pytanie ponad 60% odpowiada: „tak”. To jeden z aspektów, który wskazuje na to, że powinienem bardzo poważnie rozważyć start w najbliższych wyborach.

Rozmawiał Mariusz Karwowski

Rozmowa z dr. hab. Dariuszem Szostkiem, przewodniczącym Zespołu ds. cyberbezpieczeństwa KRASP

Musimy działać wspólnie

To służby obcych państw, w tym białoruskie lub rosyjskie, najczęściej atakują infrastrukturę akademicką. To nie są ataki przypadkowe, tylko celowe, świadome i wrogie. Gdyby to byli niezadowoleni z oceny studenci, byłoby całkiem dobrze. Wykrylibyśmy ich, znaleźli i zatrudnili.

Czy pan się boi, gdy uruchamia swój komputer?

Nie, nie boję się, ale jestem świadomy zagrożeń związanych z używaniem komputerów w sieci. Mam wprowadzone odpowiednie zabezpieczenia, odpowiednie backupy, możliwość odtworzenia danych, które mógłbym utracić w wyniku ataku hakerskiego. Bo dla mnie najważniejsze są dane, a nie sam sprzęt. Pamiętam sytuację sprzed bardzo wielu lat, kiedy pojechałem do kolegi profesora. Na drugi dzień miałem mieć wykład. I akurat wtedy padł całkowicie mój laptop. Kolega był trochę przestraszony, jak ja jutro wystąpię bez prezentacji. Tymczasem dla mnie nie był to jakiś większy kłopot. Rano kupiłem nowego laptopa. Potrzebne mi dane, w tym prezentację, ściągnąłem z chmury i normalnie przeprowadziłem zajęcia. Dzisiaj, po wielu latach, kiedy zajmuję się cyberbezpieczeństwem, wiem, że podświadomie wprowadziłem tak zwane zasady ciągłości działania. Najpierw analiza ryzyka, co mogę utracić w prywatnym komputerze, a potem co jest dla mnie najważniejsze, czyli jakie dane, a potem ciągłość działania, czyli takie działanie, ażeby odzyskać te dane z powrotem, gdybym je stracił.

Na czym polegają cyberzagrożenia? Czy chodzi jedynie o kradzież danych zapisanych w komputerach, na serwerach?

Trojany i włamania na prywatne komputery to oczywiście są zagrożenia, ale nie tylko je mamy na myśli, gdy mówimy o cyberbezpieczeństwie. Jeśli ktoś utraci prywatne dane, to dla niego jest to kłopot, ale dla państwa i jego infrastruktury nie ma to większego znaczenia. O cyberbezpieczeństwie mówimy w przypadku ochrony publicznej infrastruktury krytycznej. Mówimy zatem o cyberbezpieczeństwie państwa. Powiedzmy sobie wprost: jesteśmy w środku wojny cyfrowej, w nocy dronów z 9 na 10 września 2025 roku nasza infrastruktura krytyczna była bardzo poważnie atakowana cyfrowo. Nie trzeba wysyłać żadnych rakiet, żeby obezwładnić państwo. Wystarczy, że zostanie wyłączona elektrownia czy wodociąg i już miasto przestaje funkcjonować. A to wywołuje od razu kryzys. Mamy ogromną ilość ataków na infrastrukturę krytyczną. Dane za 2024 rok, które były raportowane przez NASC, mówią o ponad 114 tysiącach ataków w jednym tylko roku. To jest magia wielkich liczb. To jest około 13-14 ataków na godzinę, czyli podczas naszej rozmowy był już co najmniej jeden poważny atak na infrastrukturę krytyczną państwa. W zeszłym roku 29 grudnia został przeprowadzony poważny, skoordynowany atak wymierzony w sektor energetyczny w Polsce. Atak objął farmy wiatrowe oraz fotowoltaniczne, spółkę z sektora produkcyjnego oraz elektrociepłownię dostarczającą

ciepło dla prawie pół miliona odbiorców. Cel – zachwianie i zakłócenie działania infrastruktury energetycznej. Ale także, i to jest bardzo poważna sprawa, były ataki na wodociągi, zarówno w kilku mniejszych miasteczkach, jak też poważny atak w bardzo dużym mieście. Nie mogę ujawnić w którym, ale chodziło o zmianę parametrów uzdatniania wody. Byliśmy tuż przed tragedią. Gdyby tego nie wyłapano, istniało ryzyko, że woda powodowałaby co najmniej rozstroje żołądków mieszkańców tego miasta. Więc jeżeli mówimy o cyberbezpieczeństwie, to nie mamy na myśli tylko hakera, który będzie nas szpiegował albo wykradnie dane z prywatnego komputera. Oczywiście to też jest ważne, ale mam zwłaszcza na myśli bezpieczeństwo państwa.

Czy to informatyzacja i cyfryzacja wszystkiego spowodowała na nas cyberzagrożenia?

Możemy powiedzieć, że gdybyśmy zostali przy kamiennych tabliczkach, to nie mielibyśmy problemu z cyberbezpieczeństwem, ale nie mielibyśmy też sztucznej inteligencji, nie mielibyśmy rozwoju naszej cywilizacji, nie mielibyśmy dostępu do książek z całego świata, bibliotek. Tylko znowu tak, jak lata temu, jechalibyśmy na staż i przywozili walizki kopii materiałów potrzebnych do pracy naukowej (robiąc odbitki tabliczek). Tak, gdyby nie było cyfryzacji, nie byłoby cyberbezpieczeństwa. To są po prostu koszty rozwoju.

Słynne ataki hakerskie na poważne instytucje, choćby banki czy instytucje rządowe w Ameryce, są dokonywane od wielu lat. Dlaczego w ostatnich latach mówimy o tych zagrożeniach głośniej? Czy to ma związek z wojną na Ukrainie?

Powiem tak: o tych zagrożeniach specjaliści mówili zawsze, lecz nie przebiegało się to do mainstreamu, ponieważ wszystkim się wydawało, że nas to nie dotyczy. Trochę uspokoił się w Europie, ponieważ przez długi okres nie było u nas żadnych złych zdarzeń ani wojny w Europie Zachodniej czy Środkowej. Natomiast dzisiaj widzimy, że świat wygląda zupełnie inaczej, że to zagrożenie było zawsze, tylko go nie dostrzegaliśmy. Wojna w Ukrainie była poprzedzona bardzo poważnymi atakami cyfrowym. Ona nie rozpoczęła się w rzeczywistości 24 lutego 2022 roku, ale kilka dni wcześniej potężnym atakiem cyfrowym, który miał zablokować wszystkie systemy informatyczne państwa ukraińskiego. A państwo bez systemów informatycznych nie działa. Atak na Teheran i ajatollaha poprzedziło zhakowanie kamer miejskich, dzięki czemu służby atakujących doskonale wiedziały, kto z władz irańskich gdzie się znajduje. Z dokładnością do kilku metrów.

Wyobraźmy sobie teraz, że nie działają systemy cyfrowe – po pierwsze nie byłoby tej rozmowy, nie byłoby telewizji, nie byłoby banków, nie działałaby kolej, nie byłoby prądu, nie byłoby wody, nie byłoby kompletnie niczego. Zaatakowanie takiej infrastruktury powoduje to, że państwo przestaje działać. Ale i że może być podglądane, śledzone.

I to jest powód, dla którego cyberbezpieczeństwo jest aż tak wielkim wyzwaniem, że musimy w nie angażować ogromne siły i środki publiczne, a nawet tworzyć specjalne prawo?

Zawsze muszą być środki na bezpieczeństwo. Zapewnienie bezpieczeństwa to podstawowe zadanie państwa. Tak jak kiedyś chodziło o bezpieczeństwo fizyczne, twierdze i okopy, tak dzisiaj zbroimy się i przygotowujemy także na odparcie innego rodzaju ataków. Mamy równoległą wojnę cyfrową w świecie wirtualnym, czego często nie widzimy. Mamy w Polsce jedno z najlepszych wojsk obrony cyfrowej. Żołnierze pod dowództwem generała Molendy w rzeczywistości są już teraz na linii frontu. Chyba nikt nie ma wątpliwości, że musimy wydawać pieniądze na zbrojenia, na czołgi i samoloty, ale także musimy je wydawać na czołgi cyfrowe, na rakiety cyfrowe, które z jednej strony nas chronią, a z drugiej strony muszą być gotowe, żebyśmy mogli zaatakować tych, którzy próbują zwalczać nas.

Dlaczego uczelnie zostały zagrożone cyberatakami i to aż tak bardzo, że KRASP postanowiła powołać specjalny zespół poświęcony właśnie temu zagadnieniu?

Uczelnie, instytucje naukowe w ogóle, są jednym z ważnych elementów tkanki państwa. O naszej kluczowej roli w tym systemie świadczą kilka komponentów. Po pierwsze komponent edukacyjny, dalej komponent badawczy i rozwojowy, i wreszcie infrastruktura informatyczna. Przecież internet jest dostarczany przez NASK, przedsiębiorstwa telekomunikacyjne, ale także przez politechniki i instytuty naukowe. A to jest infrastruktura krytyczna. Więc tutaj już jest odpowiedź, dlaczego uczelnie, które stanowią oś kręgosłupa dystrybucji informacji w państwie, muszą się bardzo dobrze zabezpieczyć przed atakami cybernetycznymi. Po drugie, przede wszystkim prowadzimy bardzo poważne badania naukowe mające wpływ na rozwój państwa, które są oczywiście chętnie pozyskiwane przez podmioty konkurencyjne, również zagraniczne, ale coraz poważniej w ramach strategii cyfrowej podejmujemy badania dotyczące autonomii i suwerenności cyfrowej. Wiele uczelni, nie tylko te wojskowe, w szczególności techniczne, ale także inne, podejmuje badania bezpośrednio na rzecz wojska, na rzecz obronności. Mamy przecież uczelnie medyczne, które nie tylko kształcą, ale prowadzą zaawansowane badania, a także mają szpitale, a służba zdrowia w całości stanowi infrastrukturę krytyczną, która jest potrzebna i w okresie pokoju, i na wypadek wojny. Więc trudno wyobrazić sobie, że uczelnie medyczne i szpitale nie są infrastrukturą krytyczną, i nie są objęte ochroną w zakresie cyberbezpieczeństwa. Rozumiem, że można zadać pytanie, dlaczego akademia muzyczna ma mieć wysoki poziom cyberbezpieczeństwa. I odpowiem, że nowelizacja ustawy spowodowała to, że nie będzie musiała mieć tak wysokiego zabezpieczenia, jak uczelnia medyczna czy politechnika.

Jaki był bezpośredni powód powołania zespołu KRASP? Czy to była potrzeba zmiany prawa?

Nie. Kilka lat temu opublikowałem w „Forum Akademickim” artykuł na temat zagrożeń atakami cybernetycznymi i potrzeby zbudowania właściwego poziomu odporności, zabezpieczeń instytucji naukowych. Reakcją było zdumienie, potem negacja, odrzucenie, krytyka, no i wreszcie pogodzenie się z losem przez środowisko akademickie. Mówię to trochę żartem, ale nie do końca. Mówiąc poważnie, bardzo ważnym elementem



Fot. Małgorzata Dymowska

Dr hab. Dariusz Szostek, prof. Uniwersytetu Śląskiego, jest prawnikiem, radcą prawnym, specjalistą w zakresie prawa nowych technologii, w tym blockchain, smart contract, tokenizacji procesów, AI. Jest ekspertem Obserwatorium AI Parlamentu Europejskiego w Brukseli. Jest założycielem Śląskiego Centrum Inżynierii Prawa, Technologii i Kompetencji Cyfrowych „CYBER SCIENCE” – konsorcjum zrzeszającego Uniwersytet Śląski, Uniwersytet Ekonomiczny w Katowicach, Politechnikę Śląską oraz NASK. Kieruje pracami Zespołu ds. cyberbezpieczeństwa Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.

były działania poprzednich władz KRASP, profesora Arkadiusza Mężyka, profesora Wiesława Banysia, którzy też dzięki temu artykułowi uświadomili nowemu kierownictwu Konferencji, że jest to bardzo istotne z punktu widzenia uczelni. Bardzo poważnie do problemu podeszła i podchodzi przewodnicząca KRASP prof. Bogumiła Kaniewska oraz inni rektorzy. Dlatego został powołany zespół, w skład którego wchodzi zarówno prorektorzy, czyli zarządzający, jak i dyrektorzy IT, którzy siedzą bardzo głęboko w cyberbezpieczeństwie. Reprezentują różne uczelnie: od medycznych, poprzez artystyczne, do technicznych. Braliśmy także pod uwagę niezrzeszone w KRASP instytuty badawcze i placówki Polskiej Akademii Nauk, gdyż w tym wypadku działamy na rzecz i w imieniu całego środowiska akademickiego, a nie tylko członków KRASP.

Zdawałoby się, że od cyberbezpieczeństwa są informatycy. Tymczasem w tym zespole są nie tylko informatycy, a na jego czele stoi prawnik.

Bo prawnicy wszędzie są potrzebni, a cyberbezpieczeństwo to nie tylko kwestie informatyczne, ale także organizacyjne, zarządcze i prawne. Uczelnie już od wielu lat podlegają wymogom cyberbezpieczeństwa. Od momentu kiedy została uchwalona Ustawa o informatyzacji podmiotów publicznych, przepisy wykonawcze do tego aktu (Rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie Krajowych Ram Interoperacyjności) nakładały obowiązki zabezpieczenia cybernetycznego uczelni, ale nie było tam określonych kwestii dotyczących odpowiedzialności, kontroli, nie było jasne, kto ma weryfikować działania uczelni w tym zakresie. No i powiedzmy sobie też szczerze, dla rektora i władz uczelni ważniejsze są inne aspekty działalności, aniżeli jakieś cyberbezpieczeństwo. To bardzo różnie wygląda dziś na uczelniach. Uczelnie techniczne, które już są infrastrukturą krytyczną, które dostarczają internet, prowadzą badania rozwojowe na rzecz służb specjalnych, wojska i biznesu, reprezentują bardzo wysoki poziom bezpieczeństwa. Ale mamy wiele takich, w tym akademickich, gdzie wygląda to

dosyć słabo, a dla niektórych ten problem wręcz do tej pory nie istnieje. W większości uczelni cieszą się, że jest jakiś dział IT, jakiś dyrektor, który tym się zajmuje. Zresztą nasze wyobrażenie o cyberbezpieczeństwie wygląda tak, że przy komputerach siedzą faceci w t-shirtach i ratują świat przed złem. W rzeczywistości nie ma kogoś takiego jak informatyk, tak jak nie ma po prostu prawnika. Jest specjalista od prawa nowych technologii czy od prawa rzeczowego. Tak samo informatyk musi być specjalistą od cyberbezpieczeństwa. Za miesiąc wchodzi w życie Ustawa o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. Oczywiście jest okres przejściowy, de facto rok, a pierwsze kary będą mogły być nakładane dopiero za dwa lata. To zmienia całkowicie perspektywę. Po pierwsze, cyberbezpieczeństwo to bardzo szerokie zagadnienie. Rzeczywiście są ludzie, którzy siedzą przy komputerach – żołnierze na pierwszej linii. Natomiast tu mówimy o szerszym problemie bezpieczeństwa informacji. To wymaga nie tylko odkrycia zagrożenia i szybkiego załatwienia dziur w systemie informatycznym. Natychmiast należy też powiadomić władze uczelni, że są ataki, wszcząć procedury weryfikacyjne i naprawcze. To jest cały proces, angażujący ludzi różnych specjalności. Za miesiąc już nie dyrektor IT będzie odpowiadał za cyberbezpieczeństwo, nawet jeżeli ma to w swoich obowiązkach. To kierownik ważnego podmiotu, w naszym przypadku rektor albo dyrektor instytutu, będzie odpowiadał indywidualnie i osobiście za zapewnienie cyberbezpieczeństwa, zapewnienie odpowiednich środków, kadr, za wprowadzenie odpowiednich procesów w organizacji. Nawet jeżeli deleguje różne zagadnienia na podmioty trzecie, to i tak zawsze będzie ponosił odpowiedzialność indywidualną. Ustawa mówi o karach za zaniedbania w tym zakresie w wysokości miesięcznej płacy, ale i większych. Do tej pory rzeczywiście rektorzy nie ponosili odpowiedzialności za ten obszar, bo Ustawa o informatyzacji podmiotów publicznych (i akty wykonawcze do niej) nie nakładała takiego obowiązku.

Mamy trzy poziomy. Pierwszy: strategiczny, gdzie rektor jest odpowiedzialny za analizę ryzyka, zatwierdzenie polityk bezpieczeństwa (według nowych zasad), zapewnienie budżetu i środków, nadzór poważnych incydentów itd. Na przykład niektóre informacje powinniśmy w ramach przetargów publicznych utajnić. Jakie i kiedy – decyzję powinien podjąć rektor. Przecież dzisiaj jest tak, że mamy przetarg publiczny, mamy dialog techniczny i podmioty niekoniecznie nam przyjazne, a my lekkomyślnie podajemy wrażliwe informacje na temat naszych systemów: jakie mamy serwery, ile mamy danych. No bo jawność przetargów. Otóż nie, dostęp do niektórych informacji, także w ramach zamówień publicznych, może i powinien być ograniczony.

Dalej mamy zarządzanie taktyczne, a potem elementy operacyjne, za które odpowiadać może kanclerz ze swoim zespołem, CISO (CISO - lider bezpieczeństwa Chief Information Security Officer, lider bezpieczeństwa), CIO (CIO Chief Information Officer, dyrektor IT), dział prawny, IOD (IOD Inspektor Danych Osobowych) itd. Kluczowe kompetencje: przygotowanie polityk, klasyfikacja incydentów, współpraca z CSIRT (CSIRT – Computer Security Incident Response Team, Zespół Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa komputerowego), przygotowanie audytów, nadzór. I tutaj też ciekawostka. Dotychczas sprawdzano, czy było szkolenie. Za miesiąc rektor będzie ponosił odpowiedzialność nie za to, żeby ono się odbyło, tylko za to, by pracownicy mieli wiedzę w zakresie cyberbezpieczeństwa. Kontrola nie będzie pytała, czy było szkolenie i nie sprawdzi listy, tylko będzie weryfikowała wiedzę pracowników.

Dopiero na samym końcu mamy poziom operacyjny, czyli zespół IT, administratorzy systemów itd., którzy będą robili to, co robili do tej pory. Ale dotychczas wystarczyło odeprzeć atak. Teraz trzeba będzie w 24 godziny poinformować odpowiednie podmioty, w tym CSIRT nauka, że takie zdarzenie nastąpiło.

W 72 godziny trzeba przygotować zgłoszenie, a w miesiąc raport. Przecież tego nie robi informatyk, to musi robić specjalista, który ma wiedzę procesową, zarządczą, prawną i trochę techniczną.

Czy to wszystko, o czym mówi pan w tej chwili – terminy, kompetencje, odpowiedzialność – jest zapisane w ustawie, która za miesiąc wejdzie w życie?

Nie, ale ustawa odwołuje się do odpowiednich norm cyberbezpieczeństwa, a to są między innymi normy ISO. Problematyka cyberbezpieczeństwa znajduje się w wielu regulacjach. Wymagana jest o wiele szersza wiedza niż tylko znajomość ustawy. Dodam jeszcze, że za miesiąc minister nauki i szkolnictwa wyższego dostanie obowiązki w zakresie wsparcia budowy cyberbezpieczeństwa, ale i uprawnienia kontrolne. W zakresie cyberbezpieczeństwa podlegają mu wszystkie uczelnie i instytuty naukowe z wyjątkiem tych, które podlegają ministrowi obrony narodowej. Więc minister nauki będzie miał obowiązek – i ma na to 18 miesięcy – utworzenia właśnie tak zwanego CSIRT sektorowego, który między innymi będzie wspierał uczelnie, ale także potem weryfikował, co i jak zrobiono. Mało tego, jeżeli na uczelni nastąpi zdarzenie, które należy zgłosić, to minister nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko wysłać tam kontrolę. To jest obowiązek wynikający z ustawy.

Co to jest zdarzenie krytyczne? Kiedy atak staje się krytyczny?

Ustawa jasno to określa: zdarzenie krytyczne ma miejsce wtedy, kiedy istnieje zagrożenie dla życia ludzkiego albo interesu państwa i jego zasobów. Zdarzenie krytyczne w cyberbezpieczeństwie to nagle, nieoczekiwane naruszenie bezpieczeństwa informacji lub infrastruktury IT, które przytłacza normalne mechanizmy obronne organizacji, powodując znaczne zakłócenia w działalności, utratę danych, straty finansowe lub zagrożenie dla bezpieczeństwa fizycznego.

W odróżnieniu od zwykłego zdarzenia (jak np. nieudana próba logowania) zdarzenie krytyczne wymaga natychmiastowej reakcji (Incident Response) w celu ograniczenia szkód. Wyobraźmy sobie, że zaatakowano politechnikę, która dostarcza internet do dwóch miast. Z całą pewnością zdarzenie jest krytyczne, ponieważ wywołuje duże szkody. Oczywiście, rektorzy nie ponoszą odpowiedzialności za ataki, bo one będą miały miejsce tak czy inaczej. Ponoszą natomiast odpowiedzialność za wadliwe wdrożenie procesów informowania o ataku i reagowania na atak. Mamy kilka poziomów reakcji na zagrożenia, regulowanych przez przepisy prawa. Procedury wynikające z norm prawa musimy przygotować na potrzeby każdej uczelni osobno, bo każda jest inna i dysponuje innymi zasobami i możliwościami. Ale możemy wspólnie wypracować wzorce działania.

To zacznijmy od prawa.

Na początku wszystkie uczelnie były wpisane do Ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa jako podmioty kluczowe, czyli do najwyższego poziomu ochrony. Uznaliśmy jednak, że nie jest to racjonalne, bo nie ma potrzeby, żeby mniejsze uczelnie, które nie mają własnej infrastruktury krytycznej, w ogóle tam wpisywać. Dyrektywa europejska (NIS 2) wprowadza takie pojęcie jak organizacja badawcza, którą jest organizacja prowadząca badania rozwojowe lub stosowane. Teraz krajowa ustawa wprowadza obowiązek odpowiedniego zabezpieczenia na wypadek cyberataku. Wszystkie uczelnie są tak zwanymi podmiotami ważnymi, tyle że organizacje badawcze tylko w takim zakresie, w jakim prowadzą badania rozwojowe lub stosowane, i wyłącznie tam, gdzie używają systemów informacyjnych, będą podlegały bardzo wysokim wymagom cyberbezpieczeństwa, wynikającym z załącznika numer dwa do Ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa. Ale jeżeli uczelnia ma wydział artystyczny czy

humanistyczny, to tam te wysokie wymogi nie będą potrzebne. Podobnie w takich strukturach jak akademiki. Natomiast to nie oznacza, że nie będą one podlegały tej ustawie i jakimkolwiek rygorom bezpieczeństwa. Będą, ale tym niższym, opisanym w załączniku numer cztery. Na uczelniach trzeba będzie przeprowadzić analizę, gdzie w organizacji jest infrastruktura czy dane krytyczne. Na wydziałach chemii czy fizyki z pewnością prowadzone są badania naukowe, jest aparatura naukowa. I one mogą podlegać procedurom z załącznika drugiego. Natomiast polonistyka czy pedagogika zapewne zmieści się w mniej wymagających procedurach, które opisuje załącznik czwarty. Uczelnia czy inna organizacja badawcza musi odpowiednio sklasyfikować ryzyko, zasoby, dane, systemy. Czekają nas olbrzymia i ciężka praca. Niewielu rektorów w tych kategoriach myślało czy też działało. Podobnie naukowcy. Od znajomych słyszałem nawet, że niektórzy polscy naukowcy korzystają z chińskiej sztucznej inteligencji, nie widząc żadnego problemu w tym, że dane naukowe przetwarzane są od razu w Chinach. Teraz trzeba będzie to analizować, badać i w wielu przypadkach uniemożliwić.

Już zdarzały się cyberataki na uczelnie.

Co było atakowane: systemy informatyczne, urzędnicy badawcze, dane studentów?

Wszystko to, co pan wymienił. Były zdarzenia, gdzie wyłączono na przykład działanie połowy uczelni, gdzie nie działały systemy. Wiem na przykład o zdarzeniu polegającym na tym, że wyłączono wszystkie drukarki na całej uczelni. I to już było poważne niebezpieczeństwo dla działalności tej instytucji. Były ataki, które spowodowały zniknięcie danych z systemów informatycznych. Były ataki na serwery, były ataki na infrastrukturę, były próby zniszczenia fizycznego pewnych infrastruktur. To wszystko już się działo. Mówię m.in. o zdarzeniu na Uniwersytecie Warszawskim sprzed dwóch tygodni, ale także o Zielonej Górze, Uniwersytecie Śląskim, Uniwersytecie Wrocławskim, uniwersytetach medycznych i wielu innych instytucjach naukowych. Sporo tego było, właściwie chyba mało która uczelnia nie doświadczyła ataków w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat.

Jak uczelnie sobie z tym radziły: samodzielnie czy musiały korzystać z zewnętrznych specjalistów?

Nauka to także specjaliści od cyberbezpieczeństwa. W tym zakresie to naukowcy pracują dla służb i wojska. Wiem, że wiele uczelni, głównie technicznych, ma swoich specjalistów. Zapewne jest jednak sporo uczelni, na których mamy niedobór specjalistów; choćby byli tam informatycy, to nie są przygotowani do realizacji zadań z zakresu cyberbezpieczeństwa. Trzeba też jasno powiedzieć, że specjalista od cyberbezpieczeństwa zarabia więcej niż profesor i należy na to znaleźć środki.

Bardzo dobrym dużym uczelniom technicznym, gdzie rektorzy od lat podchodzą poważnie do cyberryzyka, udawało się opanować takie zdarzenia w dużej mierze samodzielnie. Ale jest wiele innych, które kompletnie się przy takich atakach rozłożyły. Są też uczelnie, gdzie ignorowano takie ataki.

W takich sytuacjach najczęściej działa tak zwana pierwsza linia, czyli działy „cyberbezpieczników”, którzy siedzą, monitorują i widzą, co się dzieje. One zwracają uwagę dyrektorowi IT, a ten próbuje przekazać informację kanclerzowi czy rektorowi. Często okazuje się, że on nie jest tym zainteresowany. Zatem w ogóle informacja nie trafia powyżej działów IT. Kiedy byłem pełnomocnikiem rektora do spraw informatyzacji, to czy była piąta nad ranem, czy osiemnasta wieczorem, informowałem rektora o tym, że nie działa to czy tamto. Pewnie nie było to radosne komunikaty, ale gdy rektor przychodził na uczelnię, to wiedział, co się stało, czy system już działa i w jakim zakresie.

Dotychczas to była tylko dobra praktyka. Za miesiąc będzie to już obowiązek, wymagana prawem procedura.

Kto interpretuje określone wydarzenie jako atak?

Działy IT, które widzą cały system informatyczny, a w drugiej kolejności CISO (specjalista od cyberbezpieczeństwa). Każda uczelnia ma taki dział i każdy z nich działa samodzielnie w swojej organizacji. A musi działać w trybie 24 godziny przez 7 dni w tygodniu. To bardzo kosztowne. Musimy zacząć współpracować i tworzyć regionalne centra, wspólne SOC (Security Operations Center), np. jedno w Katowicach, drugie w Poznaniu, trzecie w Warszawie, kolejne w Trójmieście. Ich pracownicy będą patrzyli na infrastrukturę wszystkich uczelni regionu. To oni poinformują odpowiednie organy, że jest atak, ale także CISO lub kanclerza. Ten musi zweryfikować ostrzeżenie i poinformować, choćby w nocy, rektora. Gdy coś się dzieje na uczelni, na przykład mamy pożar czy atak terrorystyczny, to wzywamy natychmiast policję i informujemy władze. Podobnie w przypadku cyberataku – choćby to było w środku nocy, budzimy CISO lub kanclerza i rektora. Władze organizacji muszą wiedzieć o takich zdarzeniach, bo ich konsekwencje bywają ogromne. I do tego konieczni są specjaliści na uczelni. Mamy 24 godziny na poinformowanie o zdarzeniu, potem trzy dni na zgłoszenie, a raport jak to wyglądało oraz jak rozwiązano problemy musi powstać w 30 dni. A potem czekamy na kontrolę...

Czy w takich przypadkach natychmiast uczelniom pomaga Ministerstwo Nauki albo Ministerstwo Cyfryzacji lub zewnętrzni specjaliści?

Do dzisiaj nie pomagały, bo nie było takiego obowiązku. Musieliśmy sami o siebie zadbać. W Polsce będziemy potrzebowali kilkadziesiąt tysięcy specjalistów od cyberbezpieczeństwa. A kto ma ich wykształcić? My, przecież to uczelnie tworzą kadry. Musimy stworzyć swoje własne zasoby kadrowe, ale także dla innych podmiotów, rzesze specjalistów. Nie mam wątpliwości, że zaraz pojawi się mnóstwo kursów cyberbezpieczeństwa, nawet z certyfikatami, i będziemy mieli weekendowych cyberspecjalistów, a nie o to chodzi. Nam zależy na rzetelnej, głębokiej, ciągłej wiedzy, która permanentnie się zmienia. I na wysokiej klasy specjalistach.

Kto najczęściej atakuje polskie uczelnie? Czy to są niezadowoleni studenci, młodzież dla zabawy, hakerzy dla jakichś korzyści czy też agencje innych państw?

Żadna młodzież! Raport NASK za rok 2024 pokazuje, że to służby obcych państw, w tym białoruskie lub rosyjskie, najczęściej atakują naszą infrastrukturę. To nie są ataki przypadkowe, tylko celowe, świadome i wrogie. Gdyby to byli niezadowoleni z oceny studenci, byłoby całkiem dobrze, wykrylibyśmy ich, znaleźli i zatrudnili.

Jak się neutralizuje i usuwa szkody powstałe w wyniku takiego ataku, przywraca wszystko do normalnego funkcjonowania?

Najpierw trzeba zrobić dokładną analizę zasobów i analizę ryzyka. Musimy przez najbliższy zanalizować łańcuch dostaw, czyli wiedzieć, jakie mamy oprogramowanie, od kogo kupione, czy na przykład nie mamy oprogramowania rosyjskiego lub chińskiego, jakie są podatności w tych oprogramowaniach. Następnie musimy przygotować się do odzyskiwania danych. Chodzi o stworzenie procedury ciągłości działania. Na jednej z uczelni został odcięty prąd do głównego systemu informatycznego uczelni. Żaden atak hakerski, po prostu koparka przebrała kabel. Przez kilka dni w ogóle nic nie działało. Trzeba na

taką okoliczność mieć procedurę przywrócenia funkcjonowania uczelni: jak włączać poszczególne elementy, jak odzyskać dane. Musimy mieć dla głównych systemów dwa źródła prądu lub generatory odpowiedniej mocy. Ustawa wchodzi w życie za miesiąc, ale jest roczny okres przygotowawczy. Natomiast same kary – to słuszna zmiana legislacyjna – będą nakładane na podmioty dopiero po okresie dwóch lat. Niemniej jest to bardzo mało czasu, ale jeżeli zabierzemy się za pracę teraz oraz będziemy mieli odpowiednich merytorycznych pracowników, którzy uzyskają w tym zakresie wsparcie, na przykład ministra nauki, i jeżeli poprzez szkolenia podniesiemy kompetencje kadry, to jesteśmy w stanie przez dwa lata w dużej mierze nadrobić dług cyberbezpieczeństwa, który dzisiaj mamy. Niektóre uczelnie już są gotowe – te, w których sprawę już dawno potraktowano poważnie. Natomiast są takie, gdzie problem w ogóle do tej pory nie istniał i świadomość rektorów była niska.

Czy możliwe jest stworzenie infrastruktury akademickiej całkowicie odpornej na cyberataki?

Nie ma takiej możliwości, tak samo jak nie ma możliwości zrobienia samochodu, który się nie popsuje. Natomiast trzeba mieć procedury naprawcze, procedury wyjścia z takiego kryzysu. Teraz jest moment, kiedy powinniśmy na uczelniach bardzo poważnie przemyśleć strukturę bezpieczeństwa i uwspółnotować to, co możemy, tę część zasobów, od której zależy bezpieczeństwo organizacji. Wyobraźmy sobie, że jest ośrodek, w którym jest 10 uczelni, który ma 10 serwerowni, 10 zabezpieczeń, 10 budynków, 20 specjalistów. Nie lepiej zrobić jedno porządne centrum cyberbezpieczeństwa, które będzie kosztowało pewnie trzy razy więcej niż centrum na każdej uczelni, ale nie tyle, co 10 takich centrów, i mieć jeden zespół, który będzie ingerował w razie ataku? Musimy też na to popatrzeć pod kątem suwerenności cyfrowej Polski. Niedawno minister spraw zagranicznych powiedział – ku memu zdumieniu – że 80 procent chmury polskiej nie jest polska. Więc myślę, że jako nauka powinniśmy przywrócić to, na co przez bardzo wiele lat nie zwracaliśmy uwagi.

Czy polska nauka też trzyma dane w chmurze zagranicznej?

A jak są prowadzone zajęcia online? Przez Teamsy. Francja już wprowadza francuski „pakiet Office” dla administracji, który jest niezależny od dostawców spoza Unii Europejskiej. Potrzebujemy także szyfrowanych łącz, suwerennych serwerów, utajnienia niektórych badań itd.

Czy widzi pan uczelnie, których rektorzy mogą się za dwa lata spodziewać kar, bo na pewno nie zdążą?

Ależ oczywiście. Czarna lista już jest przygotowana, a niektórzy nawet wiedzą, że na niej są. To oczywiście żart. A poważnie: wiele wydarzyło się po artykule sprzed półtora roku – pojawiła się świadomość wagi problemu. Niektóre uczelnie się przebudziły i zaczęły traktować zagrożenie poważnie, a przynajmniej zaczęły rozmawiać o wynikających z niego obowiązkach. Wierzę w naszych rektorów, bo to są wyjątkowe osobowości, rozumieją powagę sytuacji. Jeżeli zrozumiemy, że tu nie chodzi o atak na jakiś komputer, choćby nawet rektora, kanclerza czy kwestorki, ale o bezpieczeństwo państwa, zaczynamy inaczej do tego podchodzić. Tu nie chodzi o kary, choć są przewidziane, ale o zabezpieczenie uczelni, zabezpieczenie państwa. To jest najważniejsze.

Jeszcze chciałbym wrócić do samej ustawy. Co takiego zmieniono w niej, że przewodnicząca KRASP niedawno wyraziła z tego faktu zadowolenie?

Przed wszystkim już we wrześniu po rozmowach z dyrektorem Wysockim odpowiedzialnym za ustawę w Ministerstwie

Cyfryzacji, uczelnie zostały „ściągnięte” z koszyka podmiotów kluczowych do grona podmiotów ważnych, co dało nam oddech. Podmioty ważne podzielone są na dwie kategorie. Tak zwany załącznik drugi określa wymogi cyberbezpieczeństwa dla grupy organizacji, uczelni, instytutów, które prowadzą badania strategiczne, rozwojowe. Natomiast cała reszta, jak chociażby przywoływane już uczelnie artystyczne, które nie są aż tak krytyczne z punktu widzenia bezpieczeństwa państwa, mają nieco łagodniejsze wymogi cyberbezpieczeństwa, określone w załączniku czwartym. Kolejna zmiana polegała na tym, że jeżeli wcześniej zaliczano uczelnie do podmiotów ważnych, to obejmowało to wszystko. Wysoki poziom cyberbezpieczeństwa musiałyby one wprowadzić zarówno do kosztownej aparatury naukowej, jak i do akademików czy muzeów uniwersyteckich. Tak to było skonstruowane, że cały podmiot musiał być na tym samym poziomie bezpieczeństwa. Natomiast obecnie odpowiednio wysoki poziom bezpieczeństwa wprowadzamy tylko tam, gdzie są prowadzone ważne badania rozwojowe, a po drugie – wyłącznie w takim zakresie, w jakim wykorzystujemy systemy informatyczne.

Czy te zmiany, zabezpieczenia sfinansuje Ministerstwo Nauki, które pod koniec ubiegłego roku zwiększyło subwencję właśnie z myślą o tym celu?

Chyba nawet już dwa razy, bo w poprzednim roku też przeznaczono pewną kwotę na cyberbezpieczeństwo. Tylko po pierwsze, tę subwencję otrzymały wyłącznie uczelnie podlegające Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Po drugie, nawet jeżeli byśmy dodali uczelniom i rektorom tyle pieniędzy, ile by sobie życzycy, nie zbudujemy cyberbezpieczeństwa. Pieniądze są potrzebne do nadrobienia długu technologicznego. Znam uczelnie, w których kable wiszą w osłonkach na korytarzu, w ogóle nie zabezpieczone, gdzie serwery są w piwnicach, które mogą zostać zalane wodą, gdzie nie ma podwójnych linii zasilania serwerowni, gdzie do UPS-ów ma dostęp każdy. Trzeba przede wszystkim zmienić procesy i procedury, do czego bardzo często nawet nie są potrzebne duże pieniądze. Jeżeli ich nie zmienimy, jeżeli nie nauczymy ludzi, nie uświadomimy im wagi problemu, żadne pieniądze nie pomogą. Dwa lata temu uczelnie zostały przez ministra nauki zobligowane do przeprowadzenia audytu w tym zakresie. O ile wiem, wyniki są dramatyczne, a poważnie potraktowało go zaledwie 30% uczelni. Reszta nawet audytu nie przesłała. Za miesiąc, jeżeli minister poprosi o taki audyt, wszystkie uczelnie będą musiały go rzetelnie zrobić. Minister będzie miał już uprawnienia nadzorcze w tym zakresie. I to właśnie się zmieniło. Nie chodzi o karanie, ale o uświadomienie.

Czy pański zespół zakończył już działalność po załatwieniu tej sprawy?

Sądziłem, że tak, ale okazało się, że uczelnie czekają nowe wyzwania, o których wspominałem i nasz zespół będzie dalej działał. Pani profesor Bogumiła Kaniewska poprosiła nas o dalszą pracę, a rozmawiamy też z ministrem nauki o podjęciu działań, które mają na celu ujednolicenie pewnych zasad. Chodzi o to, żeby działania, procedury, dokumentacja, które w związku z systemem cyberbezpieczeństwa będą wprowadzać uczelnie, były kompatybilne ze sobą, żeby to samo słowo znaczyło to samo w dokumentach w całej Polsce. Można też zrobić wspólne szkolenia dla wszystkich pracowników nauki czy studentów. Bez tego nie da się np. utworzyć wspólnych centrów, o których wspominałem. To jest moment, kiedy możemy zacząć działać wspólnie. Liczę na mocne wsparcie ministerstwa, ale także rektorów i wzajemną współpracę.

Rozmawiał Piotr Kieraciński

Michał Schwabe

Migracje z perspektywy ekonomisty

Czy na kanwie nauki jesteśmy w stanie przewidzieć, dokąd ludzie z poszczególnych państw będą migrować, czy może wybór kierunku migracji jest czysto losowy i sprowadza się do wyboru któregośkolwiek spośród państw z wyższym dochodem?

Co skłania ludzi do podjęcia decyzji o migracji? Mierzący się z takim pytaniem podczas pierwszych zajęć studenci zazwyczaj niepewnie rozglądają się po sali wykładowej, próbując dociec, czy jest to pytanie tak banalne, że wręcz nie przystające do powagi uczelni wyższej, czy może jest w nim jakaś podchwytliwość, której nie udało im się wychwycić.

Pytanie jest jednak wielowymiarowe, a sam problem migracji bardziej złożony niż mogłoby się wydawać. O ile dwie najczęściej udzielane, intuicyjne odpowiedzi („żeby poprawić swoją sytuację materialną” oraz „bo są zmuszeni do opuszczenia swojego miejsca zamieszkania”) rzeczywiście odpowiadają najczęstszemu przyczynom migracji w skali globalnej, to jednak nie wyczerpują tematu. Problem zostaje najczęściej obnażony przy próbie odpowiedzi na pytanie postawione à rebours, a mianowicie dlaczego ludzie nie decydują się na migrację, pomimo występowania obiektywnych przesłanek do jej rozważenia.

Według ostatnich szacunków Międzynarodowej Organizacji Pracy, migranci międzynarodowi stanowią ponad 4% globalnych zasobów pracy. Z jednej strony wartość ok. 170 milionów wydaje się znacząca, z drugiej jednak strony, patrząc przez pryzmat nauk ekonomicznych, pojawia się w tym miejscu wątpliwość: czy oznacza to, że zaledwie 4% globalnej populacji pracowników działa w myśl ukutej przez J.S. Millę koncepcji homo oeconomicus? A może cała reszta żyje w dostatku i dobrobycie, a tym samym jest na tyle zadowolona ze swojej sytuacji materialnej, że nie znajduje wystarczających przesłanek do migracji?

Aby przekonać się, że tak nie jest, wystarczy rzut oka na najnowsze dane Banku Światowego, według których w 2025 roku około 10% globalnej populacji żyło poniżej progu ubóstwa, tj. za mniej niż 3 dolary dziennie. Co więcej, dla Afryki Subsaharyjskiej odsetek ten wyniósł ponad 40% populacji. Czy zatem, w szczególności w obliczu przewidywanej w tym regionie „bomby demograficznej” (wg. szacunków ONZ do roku 2100 nastąpi tam potrojenie populacji, której liczebność ma wynieść wówczas 3,4 mld), oznacza to nieuchronny i niekontrolowany napływ migrantów do Europy? Pomimo tego, co wieszczą niektórzy eksperci, odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest

niestety możliwa, podobnie jak nie możemy udzielić odpowiedzi na większość pytań dotyczących przyszłości.

Jednak głos rozsądku nakazuje wstrzymać się w tej kwestii z ferowaniem wyroków, co wielokrotnie podkreślali znawcy tematu, w tym m.in. prof. Paweł Kaczmarczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami UW. Historia pokazuje bowiem, że nawet w przypadku klęsk żywiołowych i wojen tylko część osób decyduje się na ucieczkę za granicę. Jako przykład można przytoczyć obecną sytuację w Ukrainie, gdzie (stan na listopad 2025) według danych UNHCR blisko 13 milionów osób wciąż wymaga pilnej pomocy humanitarnej, a ponad 3,5 miliona pomimo konieczności opuszczenia terenów działań wojennych nie zdecydowało się na migrację zagraniczną, lecz pozostało w kraju.

Zatem jedyne co możemy stwierdzić, to że w przypadku dynamicznego wzrostu populacji w Afryce wiele zależeć będzie nie tylko od rozwoju sytuacji geopolitycznej, ale również od decyzji państw wysokorozwiniętych o udzielonej państwom afrykańskim pomocy oraz jej formule. Tym samym przekładanie prognoz demograficznych w skali 1:1 na prognozy migracyjne świadczy najczęściej o niezrozumieniu tematu, a tym samym trywialnym podejściu do odpowiedzi na pytanie o decyzje migracyjne bez wcześniejszego uważnego rozejrzenia się po sali wykładowej.

Modele neoklasyczne

Czy na kanwie nauki jesteśmy zatem w stanie przewidzieć skalę oraz najbardziej prawdopodobne kierunki migracji?

Odpowiedzi na tak zadane pytanie próbowano na gruncie nauki udzielić już pod koniec XIX wieku, kiedy to brytyjski geograf E. Ravenstein spisał swoje obserwacje dotyczące procesów migracyjnych przybierających wówczas na sile wskutek forsownej industrializacji procesu produkcyjnego. Pomimo że Ravenstein obserwował tylko migracje wewnętrzne w ramach Wielkiej Brytanii, większość jego wniosków można ocenić jako ponadczasową i uniwersalną. Między innymi zauważył on, że główny spiritus movens migracji to przyczyny ekonomiczne, a także, że ludzie migrują najczęściej na krótkie dystanse.

Jako pokłosie spostrzeżeń Ravensteina w ramach nauk ekonomicznych w kolejnych latach próbowano tworzyć modele opłacalności migracji na poziomie mikro, czyli przyjmując perspektywę pojedynczego migranta, działającego w myśl koncepcji homo oeconomicus. Oparte one były jednak na uproszczonym rozumowaniu, w myśl którego głównym czynnikiem była krańcowa produktywność pracy, znajdująca odzwierciedlenie w otrzymywanym przez pracowników wynagrodzeniu. Jako że w centrach rewolucji przemysłowej zapotrzebowanie na pracę rosło bardzo dynamicznie, w modelach eksponowano czynnik płac, pomijając w dużej mierze jakiegokolwiek inne zmienne.

W perspektywie mikroekonomicznej, w myśl modelowej rzeczywistości migrowano zatem, gdy pojawiała się szansa na lepsze wynagrodzenie w innym mieście lub państwie. Przyjmując to za aksjomat, przeniesienie tego rozumowania do wymiaru makroekonomicznego wydawało się być oczywiste i opierano je na założeniu, że skoro jednostka migruje zawsze, gdy może otrzymać wyższe wynagrodzenie, to migracje będą występować dopóty, dopóki między poszczególnymi państwami będą istniały różnice w poziomie płac. Ergo, ostatecznie migracje doprowadzą do wyrównania płac w skali globalnej.

Pomimo że od czasu powstania powyższych, zaliczanych do ekonomii neoklasycznej paradygmatów minęło już sporo czasu, to ewidentnie płynące z nich wnioski nie znalazły do dziś potwierdzenia w rzeczywistości. Poszukując przyczyn takiego stanu rzeczy, można zacytować znane w gronie ekonomistów powiedzenie, głoszące, że „nie ma złych modeli, są tylko błędne

założenia”. Jako dwa główne nierealistyczne założenia w tym przypadku można wskazać asumpcje, że ludzie będą migrować zawsze, gdy będą mieli szanse na wyższe zarobki w innym miejscu (bez względu na wysokość tej różnicy!) oraz że nie istnieją bariery dla mobilności pracy pomiędzy państwami, tj. w dostępie do poszczególnych rynków pracy.

Modele neoklasyczne spotkały się więc z zasłużoną krytyką jako nierealistyczne, przy czym należy im oddać, że właściwie odzwierciedlały najczęstszą przyczynę dobrowolnych migracji, tj. chęć uzyskania wyższego dochodu.

Co prawda do modeli neoklasycznych próbowano w kolejnych latach dodawać poszczególne zmienne wykraczające poza różnice w stawkach płac (np. kwantyfikować ryzyko migracji), ale nie miało to większego znaczenia w kontekście ich przydatności do oceny realnych decyzji i procesów migracyjnych – wypracowywane teorematy stanowiły raczej wkład do ekonomii matematycznej niż nauki o migracjach.

Model czynników wypychających i przyciągających

Punktem przełomowym w analizie migracji z punktu widzenia jednostki okazał się być przedstawiony na prostym rysunku dość ogólny model autorstwa E. Lee, w myśl którego decyzja o migracji winna być rozpatrywana jako bilans czynników przyciągających (w kraju docelowym), wypychających (w kraju zamieszkania) oraz barier w procesie migracyjnym. Całość rozumowania osadzała się na prostym założeniu, że jeśli w kraju zamieszkania potencjalnego migranta dostrzeżę



Rys. Sławomir Makal

on więcej czynników negatywnych (wypychających) niż pozytywnych, a w wybranym kraju docelowym odwrotnie, tj. więcej aspektów pozytywnych (przyciągających) niż negatywnych, oraz (tutaj uwaga!) jeśli stwierdzi, że będzie w stanie pokonać zidentyfikowane uprzednio bariery w procesie migracyjnym, to prawdopodobnie osoba taka zdecyduje się na migrację.

Model ten zyskał dużą popularność przede wszystkim ze względu na swoją pojemność analityczną, jego autor nie stworzył bowiem zamkniętej listy aspektów pozytywnych i negatywnych, precyzując, że jest to subiektywna ocena potencjalnego migranta. Podobnie z barierami w procesie migracyjnym. Owszem, można wskazać w każdej z tych kategorii na pewne uniwersalizmy, jednak co do zasady ocena zarówno czynników, jak i barier musi zostać dokonana przez potencjalnego migranta. Jako przykład można tu wskazać wysokie podatki przekładające się na wysokie nakłady na szkolnictwo. Czynnik taki może być oceniony pozytywnie przez rodziny z dziećmi, a negatywnie przez osobę samotną o liberalnym podejściu do gospodarki. Podobnie w przypadku barier, trudno jest oszacować znaczenie bariery w postaci np. określonego kosztu migracji, ponieważ ta sama nominalna wartość będzie miała różne znaczenie dla różnych osób, w zależności od ich sytuacji finansowej.

Model E. Lee, określany w literaturze modelem czynników wypychających i przyciągających (ang. push – pull), jest chyba najczęściej eksplorowanym podejściem w literaturze migracyjnej. Jak wspomniano, jest to wyjątkowo proste i uniwersalne narzędzie służące do analizy przyczyn migracji – co ważne, nie

tylko zarobkowych. Jego dużą zaletą jest to, że pozwala również na inkorporację do bilansu potencjalnych kosztów i korzyści migracji elementów wykraczających poza czynniki mierzalne, które ekonomiści często pomijają. Są to np.: przywiązanie do miejsca zamieszkania, bliskość przyjaciół i rodziny, konieczność opieki nad osobami bliskimi czy po prostu awersja do zmian.

Problem jednak w tym, że o ile potencjalny migrant jest w stanie dość dobrze określić czynniki wypychające (a także te skłaniające do pozostania) w swoim obecnym miejscu zamieszkania i podobnie oszacować bariery w procesie migracyjnym (choć już na tym etapie mogą pojawiać się jakieś niespodzianki), to rzadko jest w stanie realnie oszacować swoje szanse na osiągnięcie sukcesu w miejscu docelowym. Nawet jeśli popyt na rynku pracy kraju imigracji jest wysoki, to trudno przecież stwierdzić, czy przełoży się to na dobrą pracę dla samego zainteresowanego i na możliwość jego integracji, zarówno zawodowej, jak i społecznej.

Próbując pomóc skonfundowanemu migrantowi rozwikłać jego dylemat, sprowadzający się w zasadzie do refrenu znanej piosenki brytyjskiej grupy The Clash (*Should I stay or should I go?*), można przytoczyć dysputę pomiędzy G. Borjasem a B. Chiswickiem, która miała miejsce pod koniec XX wieku w Stanach Zjednoczonych. Chiswick odkrył wówczas, że zarobki imigrantów w USA rosną szybciej niż zarobki ludności rdzennej, co mogło świadczyć o pozytywnej selekcji migrantów (tj. na migrację decydowali się ludzie pracowici i przedsiębiorczy, którzy wierzyli, że dzięki pracy mogą osiągnąć sukces). Zainspirowany badaniami Chiswicka G. Borjas, przeanalizował wyniki spisu powszechnego z dwóch dekad, stwierdził jednak, że pozytywna selekcja, o której pisał Chiswick, nie występuje zawsze, lecz wymaga spełnienia kilku warunków. Pierwszym z nich była pozytywna i silna korelacja pomiędzy zarobkami w kraju zamieszkania i w kraju docelowym, a także (co istotne) bardziej nierówna dystrybucja dochodów w USA niż w kraju pochodzenia migranta. Ponadto migrant musiał posiadać pewne cechy charakteru, które przekładały się na wydajność jego pracy. Borjas wskazywał tym samym na autoselekcję migrantów, precyzując, że na migrację powinni decydować się ci, którzy mają pewne cechy charakteru umożliwiające im osiągnięcie sukcesu w gospodarkach liberalnych, dotychczas pracujący w państwach, gdzie niskie zróżnicowanie dochodów nie pozwala na monetyzację ich potencjału.

Konkluzje Borjasa, który – przypomnijmy – sam był imigrantem z Kuby, odzwierciedlały dość dobrze ducha XX wieku, w którym USA jawiły się jako ziemia obiecana dla najbardziej uzdolnionych i pracowitych migrantów z całego świata. Ci z nich, którzy byli gotowi przezwyciężyć niedogodności związane z procesem migracyjnym, mogli liczyć na szybkie kariery, sukcesy i międzynarodową rozpoznawalność, których nie mogliby prawdopodobnie osiągnąć w żadnym innym państwie na świecie.

Względne zubożenie

Zostawmy jednak na chwilę amerykański sen i przenieśmy się odrobinę na południe, a konkretnie do Meksyku, gdzie badania nad społecznościami agrarnymi prowadzili m.in. O. Stark i M. Taylor, pozostając jednak przy interesującym wątku zależności pomiędzy nierównością dochodów a skłonnością do migracji. Stark i Taylor stwierdzili, że to właśnie zróżnicowanie dochodów jest w badanych społecznościach bodźcem do migracji, tj. migrują zazwyczaj ci, którzy osiągają niższe dochody niż ich bezpośrednia grupa odniesienia. Zjawisko to badacze określili mianem *relative deprivation*, co oznacza względne zubożenie.



W tym miejscu konieczne jest doprecyzowanie, które pomoże w zrozumieniu wyjątkowości konkluzji wspomnianych autorów: otóż w podejściu Starka i Taylora zanika tożsamość pomiędzy podmiotem decyzyjnym w sferze migracji a osobą migrującą. Tym pierwszym nie jest już jednostka, lecz całe gospodarstwo domowe, które kolektywnie podejmuje decyzję o migracji, a także kto z jego członków powinien to uczynić. Jednak teoria ta pokazuje, że życie bywa przewrotne, a potencjalne rozwiązanie problemu często tę przewrotność wzmacnia. Konsekwencją migracji jest bowiem w omawianym podejściu pogłębianie dysproporcji dochodowych (migranci przesyłają środki finansowe do domów, tzw. remittances), przyczyniając się do wzrostu nierówności, a tym samym migracje stają się samonapędzającym się mechanizmem. Nota bene, wspomniani autorzy w toku swoich badań stwierdzili dodatkowo, że społeczności agrarne traktują migracje często jako ubezpieczenie na wypadek klęski nieurodzaju. Migracja nie musi prowadzić w tym przypadku do uzyskiwania wyższego dochodu, lecz do zapewnienia jego ciągłości przy braku adekwatnych instrumentów ubezpieczeniowych w przypadku niskich plonów.

Fenomen nadreprezentacji

Powyższe teorie wskazują na określone motywacje migrantów, które są pochodną dążeń do zwiększenia (bądź zapewnienia stabilności) dochodu czy poziomu dobrobytu. Gdy posiada się wiedzę na temat przesłanek do migracji, zasadne wydaje się pytanie, czy można również przewidzieć, dokąd ludzie z poszczególnych państw będą migrować, czy może wybór kierunku migracji jest czysto losowy i sprowadza się do wyboru któregośkolwiek spośród państw z wyższym dochodem, który w ekonomii można najprościej wyrazić poprzez poziom pkb per capita (i jego wzrost) i poziom stopy bezrobocia?

Badanie Instytutu Gallupa wykonane pod koniec pierwszej dekady XXI wieku pokazuje, że jeśli nie istniałyby bariery w dostępie do rynków pracy państw wysoko rozwiniętych, do USA napłynęłoby kolejne 165 mln migrantów. Jednak (o dziwo!) realne dane migracyjne wskazują, że nie wszyscy migranci kierują się do USA. Czy zatem można wyjaśnić fenomen nadreprezentacji migrantów określonych narodowości w poszczególnych państwach? Dlaczego w Luksemburgu najwięcej jest Portugalczyków, w USA Meksykanów, a w Wielkiej Brytanii Hindusów i Polaków?

Pomimo, że to zagadnienie również jest dość złożone i nie jest możliwe udzielenie uniwersalnej odpowiedzi wyjaśniającej wszystkie przypadki, to można jednak próbować odnaleźć pewne prawidłowości w sferze wyborów państw docelowych, w zależności od państwa pochodzenia migrantów.

Pierwszym istotnym czynnikiem wyboru jest tu bliskość geograficzna, której rolę w ekonomii szacuje się za pomocą modeli grawitacyjnych, będących pochodną słynnego modelu I. Newtona. Nie wchodząc w zawiłości rozumowania formalnego, modele te pokazują, że najwięcej osób migruje do państw ościennych lub na jak najbliższe odległości (kłaniają się tu wspomniane na początku eseju XIX-wieczne prawa migracyjne Ravensteina). Świat realny dostarcza nam wielu przykładów na potwierdzenie tej tezy, np. mniejszość meksykańska w USA, Ukraińcy w Polsce czy Algierczycy we Francji.

Kolejnym czynnikiem kreującym migracje pomiędzy poszczególnymi państwami jest brak barier w dostępie do rynku pracy, logiczne bowiem jest, że mając do wyboru państwa o podobnym poziomie rozwoju, migranci wybiorą te, gdzie mogą legalnie pracować. Dwa przykłady na poparcie tej tezy to Polacy w Wielkiej Brytanii, która jako jedna z trzech pierwszych państw umożliwiła dostęp do swojego rynku pracy pracownikom z nowych państw członkowskich UE, czy Turcy

w Niemczech, gdzie w latach 60. XX wieku prowadzono program importu siły roboczej w celu odbudowy państwa po zniszczeniach wojennych. Nota bene, wracając do modelu E. Lee, wydaje się, że to bariery formalnoprawne, ograniczające dostęp pracowników zagranicznych do rynków pracy państw wysoko rozwiniętych, są najważniejszymi z barier w procesie migracyjnym i gdyby nie one, skala migracji byłaby znacząco wyższa, niż jest obecnie. Ponadto, jak widać na przykładzie Polaków w Wielkiej Brytanii, rola braku tej bariery może być dla wyboru państwa docelowego bardziej istotna niż bliskość geograficzna.

Dwa powyższe czynniki (bliskość geograficzna i możliwość legalnego zatrudnienia), szczególnie w połączeniu ze sobą, dość dobrze tłumaczą, dlaczego migranci z poszczególnych państw wybierają ściśle określone lokalizacje jako państwa docelowe.

Sieci migracyjne

Jednak w procesie szacowania potencjalnych kierunków migracji największą rolę odgrywa poziom mezo, a konkretnie sieci migracyjne, rozumiane najprościej jako powiązania potencjalnych migrantów z osobami, które już wyemigrowały z danego kraju i mieszkają zagranicą.

Jeśli przyjmiemy zatem, że w kreowaniu poszczególnych korytarzy migracyjnych istotne są powyższe dwa czynniki i że wybór państwa docelowego nie jest losowy i nie podlega dyktatowi suchych danych makroekonomicznych, to okaże się, że sieci migracyjne powodują, że kolejni migranci z poszczególnych państw wybierają te same kraje docelowe. W literaturze proces ten określa się mianem migracji łańcuchowych.

Dlaczego sieci migracyjne są tak ważne? Otóż jako ludzie po prostu bardziej ufamy informacjom pochodzącym od osób, które znamy. Do tego znajomi lub rodzina przebywający już w państwie docelowym często mogą służyć migrantowi pomocą, oferując np. darmowe zakwaterowanie w okresie poszukiwania pracy, wsparcie w kontaktach z urzędami czy tłumaczenia. Taka holistyczna pomoc pozwalająca odnaleźć się w miejscu docelowym i obniżająca często w sposób znaczący koszty migracji jest oceniana jako szczególnie wartościowa, zwłaszcza przez migrantów bez unikalnych umiejętności i z relatywnie słabą znajomością języka kraju docelowego.

Okazuje się, że to właśnie perspektywa możliwości otrzymania pomocy, w połączeniu z bliskością znajomych (lub krewnych) ma w procesie migracyjnym znaczenie fundamentalne, determinując w dużej mierze kierunki docelowe migracji. Co więcej, można postawić tezę, że zależność taka utrzyma się, pomimo dynamicznego rozwoju komunikacji na odległość czy (znającej odpowiedź na każde pytanie) sztucznej inteligencji.

Powoduje to, że największe mniejszości etniczne w poszczególnych krajach docelowych mają tendencję do powiększania swoich populacji szybciej niż inne, a próba szacowania kierunków migracji z poszczególnych państw nie jest do końca wróceniem z fusów.

Problemem natomiast jest to, jak umiejętnie wykorzystać tę wiedzę i zagospodarować potencjał drżący w imigrantach, przy czym konsekwencje masowych migracji to już temat na zupełnie inne opracowanie.

Zainteresowanych zgłębianiem wiedzy na temat przyczyn, a także konsekwencji masowych migracji dla państw wysyłających i przyjmujących odsyłam do mojej najnowszej książki pt. *Migracje zarobkowe. Wprowadzenie*, wydanej nakładem wydawnictwa Wolters Kluwer w 2025 roku.

Dr hab. Michał Schwabe, prof. SGH, ekonomista, pracownik Katedry Integracji i Prawa Europejskiego w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie

Agnieszka Fihel, Magdalena Lesińska

Transformacja dokonana

Polska jako kraj imigracji

W niniejszym tekście podsumowujemy historię migracji z i do Polski od 1989 r. do dziś, pokazując nieodwracalność przekształcenia Polski w kraj imigracji, a także identyfikujemy kluczowe wyzwania, jakie ta zmiana stawia przed polityką publiczną i instytucjami państwa.

Jeszcze ćwierć wieku temu Polska była postrzegana niemal wyłącznie jako kraj emigracji. Wyjazdy na Zachód stanowiły oczywisty element doświadczenia transformacji ustrojowej, a obecność cudzoziemców miała charakter marginalny. Tymczasem w 2010 r. w książce *Transformacja nieoczywista. Polska jako kraj imigracji* postawiono pytanie, czy Polska ma szansę stać się krajem imigracyjnym. Piętnaście lat później możemy stwierdzić, że pytanie to straciło aktualność: transformacja migracyjna dokonała się szybciej niż przewidywano, a Polska stała się krajem przyciągającym migrantów. Dynamiczny rozwój gospodarczy, kurczenie się kolejnych roczników młodych osób podejmujących aktywność zawodową, a także otwarcie polskiego rynku pracy na cudzoziemskich pracowników znacznie przyczyniły się do tego zwrotu. W rezultacie bilans migracyjny stał się dodatni, obcokrajowcy coraz częściej myślą o Polsce nie jako o punkcie tranzytowym w drodze na Zachód, ale atrakcyjnym miejscu do osiedlenia się na dłużej lub na stałe, a rynek pracy przyciąga nie tylko osoby nisko wykwalifikowane, ale także specjalistów oraz ich rodziny. Polkę wybierają nie tylko migranci z państw sąsiednich, Ukrainy czy Białorusi, ale także z dalekich krajów Azji czy Ameryki Południowej. W niniejszym tekście podsumowujemy historię migracji z i do Polski od 1989 r. do dziś, pokazując nieodwracalność przekształcenia Polski w kraj imigracji, a także identyfikujemy kluczowe wyzwania, jakie ta zmiana stawia przed polityką publiczną i instytucjami państwa.

Migracje z i do Polski w okresie po 1989 r.

Początki transformacji ustrojowej oznaczały przede wszystkim masowe zwolnienia z zakładów pracy przechodzących restrukturyzację, dewaloryzację waluty, obniżenie się stopy życiowej ludności. Już pod koniec 1988 r. obywatele Polski uzyskali prawo do posiadania i przechowywania paszportów umożliwiających wyjazdy zagraniczne, a państwa Europy Zachodniej zaczęły otwierać swoje granice dla Polaków, początkowo w ramach ruchu wizowego, a następnie, od początku lat dziewięćdziesiątych, bez obowiązku posiadania wizy. Bezrobocie oraz znaczna dysproporcja między zarobkami za granicą i w kraju skłaniały Polaków do krótkookresowych wyjazdów zarobkowych na Zachód, najczęściej do prac fizycznych

o charakterze sezonowym, niewymagających znajomości języka ani formalnych kwalifikacji, często wykonywanych bez wymaganego pozwolenia na pracę. Tysiące Polaków zaangażowały się w migrację o charakterze zarobkowym, jednak osiedlić się w krajach zachodnich było niezwykle trudno ze względu na restrykcyjne polityki krajów przyjmujących. W zasadzie poza studentami i osobami, które miały już rodziny w Europie Zachodniej czy Stanach Zjednoczonych, nielicznym udawało się uzyskać status prawny pozwalający legalnie pozostać i pracować w tych krajach. Wobec tych ograniczeń, dominującą formą migracji stała się tzw. mobilność „wahadłowa”, polegająca na podejmowaniu tymczasowych prac za granicą i powrocie do Polski, gdzie zarobione środki były przeznaczane na bieżącą konsumpcję lub remont bądź zakup mieszkania czy domu. Tysiące rodzin było utrzymywanych z zarobków uzyskanych z takiej „wahadłowej” migracji: można podać przykład zmagających się wówczas z wysokim bezrobociem miejscowości, Biłgoraja czy Moniek, gdzie pionierzy migracji zarobkowych, niczym w reakcji łańcuchowej, pomagali swoim krewnym, znajomym i sąsiadom w organizacji wyjazdu i znalezieniu pracy za granicą. Te migracje, które obserwowaliśmy w naszych badaniach realizowanych w małych miejscowościach, przekładały się na potężne strumienie migracyjne na poziomie ogólnopolskim; tylko w jednym z takich strumieni, do legalnej, sezonowej pracy w niemieckim rolnictwie w przeddzień polskiej akcesji do Unii Europejskiej uczestniczyło prawie 300 tysięcy polskich obywateli.

Rozszerzenie Unii zmieniło wszystko. Na początku 2004 r., gdy stopa bezrobocia w Polsce wynosiła około 19%, rządzący i społeczeństwo odliczali dni do 1 maja. Tego dnia polscy przedsiębiorcy zyskali możliwość świadczenia usług w całej Unii, a polscy obywatele otrzymali prawo do podejmowania pracy bez dodatkowych pozwoleń, początkowo jedynie w wybranych krajach Unii (Irlandii, Szwecji i Wielkiej Brytanii), a w kolejnych latach też w pozostałych krajach członkowskich. Główny Urząd Statystyczny oszacował, że zaledwie w ciągu czterech lat od rozszerzenia Unii, tj. do końca 2007 r., liczba polskich obywateli przebywających za granicą przez co najmniej trzy miesiące wzrosła o 1,3 miliona, a w szczytowym momencie, tj. pod koniec 2017 r., liczba polskich emigrantów wynosiła 2,5

miliona osób (Rys. 1). Dziś można powiedzieć, że poza granicami Polski długookresowo, tj. przynajmniej rok, przebywa 1,5 miliona naszych obywateli. Masowa fala wyjazdów poakcesyjnych składała się przede wszystkim z ludzi młodych, urodzonych na przełomie lat 70. i 80. XX wieku, o wykształceniu średnim i wyższym, pochodzących praktycznie ze wszystkich regionów kraju i typów miejscowości.

Krajobraz migracyjny Polski zmienił się pod wpływem rosnącego zapotrzebowania na pracowników na krajowym

rynku pracy. Splot kilku czynników wywołał to zapotrzebowanie: z jednej strony poprawiająca się sytuacja gospodarcza Polski, związana ze wzrostem przedsiębiorczości, produkcji, inwestycji oraz dopływem funduszy unijnych, a z drugiej strony kurczenie się najmłodszego segmentu ludności, związany z niską płodnością w okresie transformacji ustrojowej i odpływem młodych generacji za granicę. Najtrudniejsza sytuacja związana z brakiem chętnych do pracy miała miejsce w rolnictwie, gdzie pensje są z reguły niskie, zatrudnienie dodatkowych



pracowników jest tylko sezonowe, a praca wiąże się z wysiłkiem fizycznym. Wobec trudności z rekrutacją pracowników polskie władze umożliwiły w 2006 r. rolnikom sprowadzanie obywateli z krajów wschodnich (np. Białorusi, Gruzji i Ukrainy) do Polski i ich sezonowe zatrudnienie na czas zbiorów. Procedura ta, zwana uproszczoną, bowiem realizowana wyłącznie w oparciu o deklarację pracodawcy o chęci zatrudnienia, a nie o faktyczne zatrudnienie, została w następnych latach rozszerzona na pozostałe sektory gospodarki, a okres zatrudnienia został wydłużony

do dwóch lat. Równocześnie liberalizowano system wydawania wiz pracowniczych dla obywateli innych krajów oraz wprowadzono nowe ścieżki administracyjne dla wybranych kategorii migrantów, np. obywateli Białorusi. W rezultacie pojawili się w Polsce pracownicy cudzoziemscy z całego świata, w tym Indii, Kolumbii, Nepalu czy Uzbekistanu.

Wydarzeniem, które przypieczętowało przejście migracyjne w Polsce była pełnoskalowa agresja Rosji na Ukrainę w 2022 r. Rzecz jasna, migracja zarobkowa z Ukrainy do Polski rozpędzała się od lat 90. XX wieku, zwłaszcza od czasu wprowadzenia uproszczonej procedury zatrudnienia cudzoziemców, jednak przez długi czas charakteryzowała się czasową, tzn. nieosiedleńczą mobilnością. Sytuacja zaczęła się zmieniać w 2014 r., gdy Rosja zaanektowała Krym i część Donbasu, w wyniku czego mieszkańcy tych terenów szukali schronienia w innych regionach Ukrainy i krajach sąsiednich, w tym Polsce, a sytuacja gospodarcza Ukrainy zaczęła się pogarszać. Wybuch wojny w 2022 roku pociągnął za sobą napływ ponad miliona uchodźców wojennych do Polski. Badania sondażowe realizowane na Uniwersytecie Warszawskim, w Narodowym Banku Polskim czy innych instytucjach wskazują na stosunkowo wysoką aktywność zawodową uchodźców z Ukrainy, co tylko świadczy o tym, jak chłonny jest polski rynek pracy. Badania te jednocześnie pokazują wysoką niepewność i niezdecydowanie uchodźców odnośnie do osiedlenia się w Polsce, ponieważ decyzje o powrocie czy pozostaniu zależą przede wszystkim od czasu i warunków zakończenia działań wojennych.

Dane Urzędu ds. Cudzoziemców, które w chwili pisania niniejszego tekstu są najbardziej aktualne (stan na 31 grudnia 2024 roku), wykazują 1 975 tys. cudzoziemców posiadających prawo pobytu w Polsce. Jest to liczba ponad 10 razy większa niż dekadę wcześniej.

10 wyzwań państwa imigracyjnego – lekcje dla Polski

Transformacja w kraj imigracyjny niesie ze sobą poważne konsekwencje dla instytucji państwa i społeczeństwa i jako taka wymaga konkretnej reakcji ze strony decydentów politycznych. Najważniejsze wyzwania, jakie można sformułować na podstawie wiedzy o procesach migracyjnych oraz doświadczeń państw, które taką przemianę już przeszły, są następujące:

Zmiana myślenia o migracji. Wraz z rozwojem gospodarczym migracja przestaje mieć charakter „tymczasowego zjawiska”, ale staje się trwałym elementem społecznej rzeczywistości z wszystkimi tego konsekwencjami. Napływ cudzoziemców stał się ważnym czynnikiem rozwoju społeczno-gospodarczego Polski, mając wpływ na strukturę demograficzną i rynek pracy. Migracja jest wyzwaniem, ale i szansą rozwojową, gdyż migranci realnie podtrzymują wzrost gospodarczy i wypracowują coraz większy kawałek polskiego PKB. Cudzoziemcy stanowią obecnie ok. 6,8% wszystkich osób wykonujących pracę w Polsce (dane GUS <https://stat.gov.pl/statystyki-eksperymentalne/kapital-ludzki/cudzoziemcy-wykonujacy-prace-w-polsce-w-grudniu-w-2024-r-15,25.html>), a w 2024 r. tylko uchodźcy z Ukrainy wygenerowali 2,7% PKB Polski (Raport UNHCR *Analiza wpływu uchodźców z Ukrainy na gospodarkę Polski*).

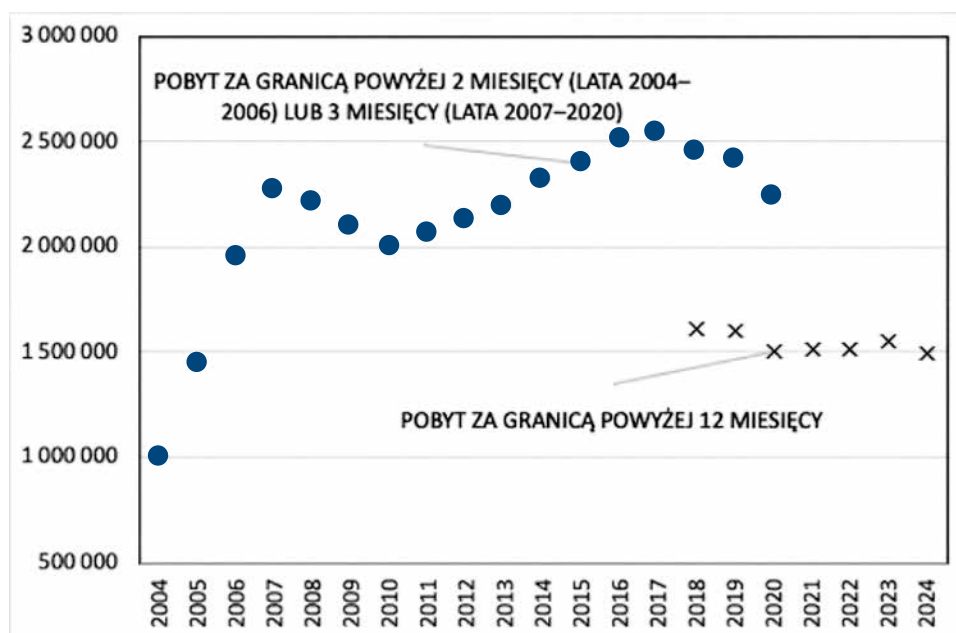
Spójna polityka migracyjna oparta na wiedzy. Skuteczna polityka migracyjna powinna być długofalowa i powiązana z polityką społeczną, demograficzną i gospodarczą, a jej założenia powinny być oparte na wiedzy (badaniach i prognozach demograficznych) oraz konsensusie społecznym. W 2024 roku rząd przyjął dokument pt. *Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo. Kompleksowa i odpowiedzialna strategia migracyjna Polski na lata 2025–2030*. Dokument został, mimo wcześniejszych zapowiedzi, przyjęty bez konsultacji społecznych, co spotkało się z krytyką środowisk pozarządowych (zob. *Obywatelskie wysłuchanie dotyczące założeń polityki migracyjnej i sposobów jej wdrażania, 25 listopada 2024*) i akademickich (zob. *Stanowisko Komitetu Badań nad Migracjami PAN oraz Komitetu Nauk Demograficznych PAN na temat treści Strategii migracyjnej Polski na lata 2025–2030*).

Priorytet polityki integracyjnej. Proces integracji cudzoziemców nie zachodzi samoistnie, ale wymaga wsparcia państwa i aktywnego udziału społeczeństwa przyjmującego. Stworzenie kompleksowej polityki integracyjnej na szczeblu krajowym nie jest opcją, ale koniecznością. Zaniechanie w tym obszarze oznacza negatywne konsekwencje w postaci izolacji, wykluczenia i marginalizacji migrantów, a w dalszej przyszłości wzrost napięć i konfliktów społecznych. Polska w zestawieniu krajowych polityk integracyjnych Migrant Integration Policy Index (MIPEX <https://www.mipex.eu/poland>) uzyskała 44 punktów (na 100 możliwych). Autorzy opisali podejście do kwestii integracji w Polsce jako „równość tylko na papierze”: migranci w Polsce korzystają z niektórych podstawowych praw i bezpieczeństwa, ale w praktyce istnieją poważne bariery w kluczowych obszarach życia społecznego, takich jak rynek pracy, edukacja czy opieka zdrowotna. W tym obszarze Polska ma nadal wiele do nadrobienia, poczynając od przyjęcia strategii integracyjnej.

Zaangażowanie społeczeństwa przyjmującego. Integracja jest procesem dwustronnym, wymaga przygotowania, zaangażowania i wysiłku nie tylko ze strony migrantów, ale także społeczeństwa przyjmującego. Od cudzoziemców wymaga się znajomości i przestrzegania podstawowych norm i wartości obowiązujących w państwie przyjmującym (w tym systemu prawnego, języka oraz norm kulturowych). Z drugiej strony w państwie imigracyjnym niezbędna jest także otwartość społeczeństwa przyjmującego na różnorodność kulturową oraz gotowość do współpracy z nowymi mieszkańcami.

Przeciwdziałanie dezinformacji i mowie nienawiści. Migranci często są przedstawiani jako zagrożenie w różnych kontekstach: konkurencji na rynku pracy, zagrożenia dla dominującej kultury, bezpieczeństwa państwa i spójności społecznej. Upolitycznienie tematu migracji jest stałym procesem w państwach imigracyjnych. Migranci są wykorzystywani





Rys. 1. Liczba osób przebywających za granicą powyżej 2, 3 i 12 miesięcy
Źródło: opracowanie własne na podstawie serii publikacji Głównego Urzędu Statystycznego pt. *Informacja o rozmiarach i kierunkach emigracji z Polski, różne lata*, Warszawa.

w konfliktach politycznych i stają się wiodącym tematem kampanii wyborczych (w Polsce po raz pierwszy miało to miejsce w kampanii parlamentarnej w 2015 roku). Niezbędnym zadaniem państwa staje się prowadzenie odpowiedzialnej polityki informacyjnej i edukacji publicznej w postaci rzetelnego, skoncentrowanego na faktach przekazu o procesach migracyjnych i integracyjnych, promowania pozytywnego obrazu cudzoziemców w przestrzeni publicznej oraz przeciwdziałania dezinformacji i mowie nienawiści.

Działania antydyskryminacyjne. Podstawą udanej integracji jest zasada niedyskryminacji, a państwo przyjmujące jest odpowiedzialne za stworzenie prawa i praktyk antydyskryminacyjnych ze względu na narodowość, wyznanie, rasę, status migracyjny etc. oraz ich skuteczne egzekwowanie. Oznacza to także przeciwdziałanie działaniom dyskryminacyjnym w różnych obszarach życia społecznego, m.in. dostępie do rynku pracy, edukacji, mieszkań czy usług zdrowotnych. Znaczna część polskiego społeczeństwa nie wie, jakie zachowania są prawnie zakazane jako dyskryminacyjne (Raport Rzecznika Praw Obywatelskich *Ochrona przed dyskryminacją w Polsce*). Badania praktyk dyskryminacyjnych w dostępie do rynku najmu w Polsce wskazują, że ich poziom i forma jest zróżnicowana m.in. ze względu na płeć czy kraj pochodzenia (zobacz np. wyniki projektu RentMaD).

Edukacja. System edukacji jest jednym z najbardziej obciążonych obszarów w kraju imigracyjnym. Realnym wyzwaniem jest rosnąca liczba dzieci cudzoziemskich o zróżnicowanym pochodzeniu kulturowym, religijnym i etnicznym w szkołach przy jednoczesnych brakach kadrowych (niezbędni stają się asystenci międzykulturowi oraz nauczyciele języka polskiego jako obcego). Doświadczenia państw imigracyjnych wskazują, że szkoła jest najważniejszą instytucją, gdzie zachodzi integracja dzieci i młodych dorosłych, a grupy te są kluczowe, by zapobiec wykluczeniu kolejnych pokoleń migrantów. W Polsce uczniowie cudzoziemscy to 5% wszystkich uczniów, są oni obecni w 67% wszystkich polskich szkół (badanie Centrum Edukacji Obywatelskiej „Uczniowie-cudzoziemcy w polskich szkołach w roku szkolnym 2024/2025”).

Infrastruktura administracyjna. Polityka migracyjna i integracyjna wymaga współpracy między administracją rządową i samorządową, ale także przygotowanej kadry

urzędników obsługujących cudzoziemców. Problem przeciążonych urzędów (w szczególności urzędów wojewódzkich), wielomiesięczne (a czasami wieloletnie!) oczekiwanie na decyzje w sprawie legalizacji pobytu pozostaje nierozwiązany i świadczy o słabości państwa polskiego. Nieprzygotowana infrastruktura administracyjna zwiększa znacząco ryzyko szarej strefy i wykluczenia prawnego migrantów, a także wiąże się z realnymi kosztami finansowymi. W latach 2022-2024 Dolnośląski Urząd Wojewódzki wypłacił ponad 12 mln zł zasądzonych kosztów za przewlekłość postępowań lub bezczynność w związku z legalizacją pobytu i pracy cudzoziemców (wyniki kontroli NIK nr ewidencyjny: I/24/002/LWR).

Dostęp do danych i rozwój badań migracyjnych. Skuteczna polityka migracyjna powinna opierać się na rzetelnej wiedzy empirycznej oraz systematycznie gromadzonych i analizowanych danych. W Polsce jednym z głównych problemów jest rozproszenie danych (są one zbierane przez różne instytucje) oraz brak spójnych baz danych i ograniczony dostęp do nich dla przedstawicieli środowiska naukowego. Dodatkowo systemowy problem niedofinansowania nauki oraz brak długofalowych programów badawczych utrudnia prowadzenie analiz, które mogłyby stanowić podstawę dla racjonalnych i długoterminowych decyzji politycznych oraz służyć ocenie skuteczności polityki migracyjnej i działań integracyjnych.

Kluczowa rola samorządów i organizacji pozarządowych. W praktyce polityka migracyjna, w szczególności integracyjna, jest wdrażana na poziomie regionalnym oraz lokalnym i wymaga realnego wsparcia samorządów i organizacji pozarządowych. Obecność cudzoziemców w państwie imigracyjnym nie jest jedynie zjawiskiem dotyczącym największym miast, z czasem zachodzi bowiem rozproszenie terytorialne migrantów i ich osiedlenie się także w mniejszych miejscowościach. Ten proces ma miejsce także w Polsce. Odpowiedzialność za nowych mieszkańców spada na władze lokalne (samorządy) i organizacje społeczne, które stają się bezpośrednimi wykonawcami działań integracyjnych i pomocowych (zob. publikacje Laboratorium Polityk Migracyjnych Miast i Regionów OBM UW).

Dr hab. Agnieszka Fihel, demografka, ekonomistka, dr hab. Magdalena Lesińska, prof. UW, politolożka, Ośrodek Badań nad Migracjami, Uniwersytet Warszawski

Wojciech Janicki

Migracje kompensacyjne

czyli słowo o przyszłości polskiej demografii

Polityka migracyjna państwa w znaczącym stopniu wpływa na wielkość przepływów migracyjnych. Efektywności można jej pozazdrościć, i to zarówno wtedy, kiedy chodzi o zwiększenie, jak i o zmniejszenie napływu imigrantów. Przykładów są setki.

Przyszłość Polski jest przedmiotem troski nas wszystkich. Do kwestii najsilniej przyciągających uwagę od co najmniej kilkunastu lat należą zmiany demograficzne. Jeśli wierzyć oficjalnym statystykom, liczba ludności Polski zaczęła nieznacznie spadać za sprawą powoli rosnącej liczby zgonów oraz gwałtownie spadającej liczby urodzeń. Statystyczna mieszkanka Polski rodzi przez całe swoje życie zaledwie 1,1 dziecka (Wszystkie cytowane liczby pochodzą z serwisów statystycznych Eurostatu, GUS, statista.com oraz ourworldindata.org), podczas gdy w 1960 roku miała troje dzieci. Ostatni raz poziom tzw. prostej zastępowalności pokoleń, a zatem wskaźnik dzietności wynoszący 2,1 dziecka na jedną kobietę, co pozwala na utrzymanie stabilnej liczby ludności w długim horyzoncie czasowym, mieliśmy w 1989 roku. Jako społeczeństwo starzejemy się w przyspieszonym tempie: rośnie liczba osób starszych, zmniejsza się liczba dzieci. Uzupełnieniem tego pejzażu niech będzie wzrost liczby rozwodów oraz urodzeń pozamażeńskich. Nicco upraszczając, co trzecie zawarte małżeństwo kończy się rozwodem, a rodzice więcej niż co czwartego dziecka nie pozostają ze sobą w związku sformalizowanym.

Nakreślona tu pokrótce sytuacja jest przedmiotem rosnącego zainteresowania nie tylko naukowców, ale także polityków i samorządowców, sprawą interesują się też media. Związek frazeologiczny „katastrofa demograficzna” wszedł do języka codziennego. Często pierwszym pytaniem, jakie słyszę od dziennikarza rozpoczynającego ze mną wywiad na tematy demograficzne, jest pytanie o szanse, jakie mamy na to, aby odwrócić tę katastrofę. I konsekwentnie odpowiadam: to nie katastrofa. To normalna kolej rzeczy.

Wszystkie wspomniane powyżej zmiany, a także inne, jeszcze bardziej nieprzyjemne, jak wzrost zachorowań na Alzheimera, Parkinsona (dwukrotny na przestrzeni ostatnich 30 lat), choroby psychiczne czy wzrost liczby osób umierających na raka (o 80% w ciągu ostatnich 40 lat) są skutkiem poprawy sytuacji społeczno-ekonomicznej w Polsce. Jesteśmy coraz zamożniejsi: od 1990 moc nabywczą przeciętnego obywatela Polski wzrosła ponad 3,5-krotnie. Żyjemy o 8 lat dłużej, także dłużej cieszymy się dobrym zdrowiem. Takie zmiany zawsze przekładają się na spadek dzietności kobiet. Zmieniają nam się priorytety, system wartości, postawy kulturowe i wyobrażenia na temat tego, jak chcemy żyć. Zmienia się także model rodziny.

I nie ma w tym niczego nadzwyczajnego; ujęcie teoretyczne dla tych przemian można odnaleźć w teorii drugiego przejścia demograficznego powstałej jeszcze w latach 80. XX wieku. Nawet bogate Saudyjki nie rodzą dziś siedmiorga dzieci, jak było jeszcze w latach 70., lecz niewiele ponad dwoje. Ponad dwie trzecie ludności świata mieszka dzisiaj w państwach, w których współczynnik dzietności całkowitej jest niższy niż 2,1, a do tej grupy co roku dołączają kolejne.

A nam w Polsce marzy się, że można zjeść ciastko i mieć ciastko. Że będziemy jedynym państwem na świecie, któremu uda się znacząco podwyższyć dzietność kobiet, a mówiąc bardziej bezpośrednio: skutecznie namówić Polki do zwiększenia poziomu prokreacji. Jedynym, bo nie istnieje dzisiaj ani jedno państwo na świecie, w którym dzietność spadła znacząco poniżej 2,1, a następnie ponownie przebiła ten pułap od dołu i stała utrzymuje się na podwyższonym poziomie.

Nie będziemy takim państwem, na tej ścieżce sukces nas nie czeka. Wystarczy przywołać wyniki znanego sondażu CBOS z początku 2023 roku, w którym zaledwie 32% kobiet zadeklarowało chęć posiadania choćby jednego dziecka. Program 500+, przez pierwsze lata po wprowadzeniu reklamowany jako prodemograficzny, a około 2020 roku bez zbędnego szumu przemianowany na prorodzinny, radykalnie wyższa niż niegdyś dostępność miejsc w przedszkolach, a także prawna ochrona kobiety w ciąży i po urlopie macierzyńskim też niczego nie zmieniły.

To problem ekonomiczny

Co zatem robić w obliczu sytuacji, kiedy liczba ludności będzie spadała?

Przede wszystkim powinniśmy uświadomić sobie, że wbrew powszechnej narracji spadek liczby ludności nie jest problemem demograficznym. Jest to problem ekonomiczny. W połączeniu z narastającym tempem starzenia się społeczeństwa będą rosły koszty emerytur i opieki zdrowotnej, a spadały wpływy z tytułu podatku dochodowego. Kurczący się zasób siły roboczej to dla firm rosnące trudności w znalezieniu pracowników i wyższe jednostkowe koszty pracy. Zmniejszy się tempo wzrostu gospodarczego, spadnie wewnętrzny popyt na usługi i towary. W mniejszych, wyludniających się miejscowościach będzie rosła liczba opuszczonych domów i mieszkań – już dzisiaj co roku kilka wsi w Polsce traci ostatniego stałego mieszkańca.

Biorąc pod uwagę powyższe, widzę cztery możliwości.

Po pierwsze, możemy nie robić nic i czekać na rozwój sytuacji. Liczba ludności Polski będzie spadała, ale – co warto podkreślić – nie wiemy, jak szybko. Projekcje dla roku 2100 pokazują, zależnie od przyjętych założeń, od 13,7 do 31 milionów ludzi. To gigantyczna różnica, co pokazuje skalę naszej niepewności co do tempa zmian. Co uzyskamy? Na pewno niższe emerytury i wszystko to, o czym napisałem w poprzednim akapicie.

Po drugie, możemy podwyższyć wiek emerytalny. Jeśli zrobimy to systemowo, dla wszystkich, wówczas wprowadzająca tę potrzebną zmianę partia polityczna może pożegnać się ze zwycięstwem w następnych wyborach. Jest jednak druga możliwość, którą nieśmiało realizujemy od lat: pozwalamy osobom, które nabyły uprawnienia do emerytury pracować dłużej, jeśli tylko chcą. Skuteczną zachętą jest tu informacja z ZUS o wysokości emerytury naliczonej dziś i o jej wysokości, jeśli popracujemy jeszcze rok lub dwa. To pozwala każdemu z nas na podjęcie autonomicznej decyzji o własnej przyszłości. Czy to zmienia trajektorię zmian demograficznych? Nie zmieni. Ale przynajmniej niektóre z problemów gospodarczych nieco złagodzimy.

Po trzecie, możemy nadal mieć samych siebie perspektywą znacząco zwiększonej dzietności polskich kobiet. Możemy powoływać kolejne instytuty, rady i komitety, które będą doradzały decydentom wysokiego szczebla w sprawach rodziny i demografii, twierdząc, że w Polsce stanie się demograficzny cud – wystarczy tylko odpowiednio długo zaklinać rzeczywistość.

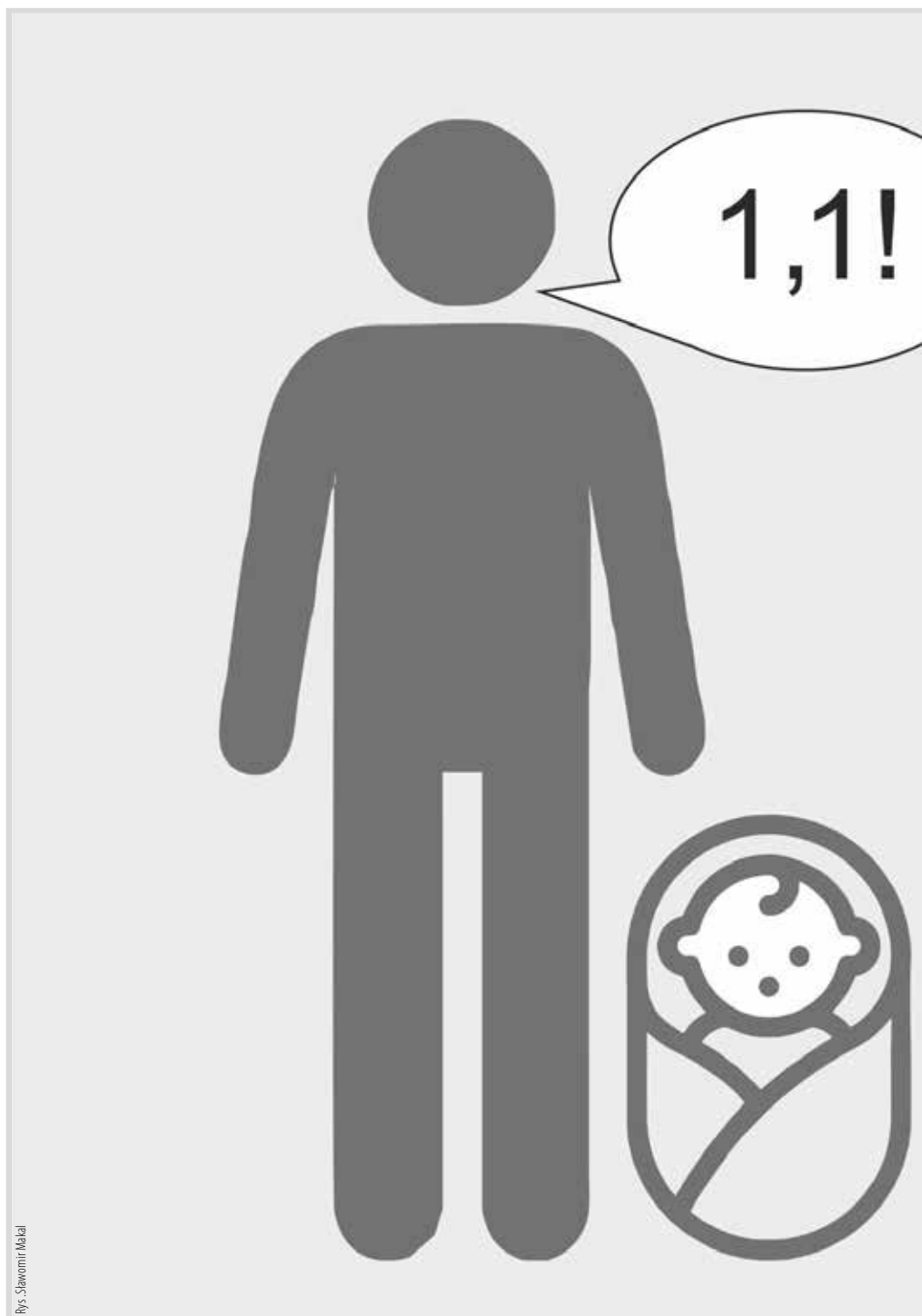
Po czwarte, możemy przypomnieć sobie, że na zmiany liczby ludności ma wpływ nie tylko przyrost naturalny, ale także migracje. A w odróżnieniu od urodzeń, na których wysokość nie mamy żadnego realnego wpływu, i zgonów, na które nasz wpływ jest tylko pośredni, poprzez opiekę zdrowotną i bezpieczeństwo wewnętrzne, na migracje możemy mieć wpływ przemożny. I to w tym miejscu leżą narzędzia potencjalnej zmiany demografii w Polsce.

Zagrożenie czy szansa?

Polityka migracyjna państwa w znaczącym stopniu wpływa na wielkość przepływów migracyjnych. Efektywności można jej pozazdrościć, i to zarówno wtedy, kiedy chodzi o zwiększenie, jak

i o zmniejszenie napływu imigrantów. Przykładów są setki. Słynne zaproszenie Angeli Merkel adresowane do migrantów uciekających przed wojną w Syrii – „Wir schaffen das” – wzmocniło przekonanie migrantów, że Niemcy są dobrym wyborem jako destynacja, i niewiele później to właśnie w Niemczech pojawiła się największa w Europie grupa Syryjczyków. W tym samym czasie, latem 2015 roku, Węgry wybudowały płot na granicy z Serbią, co spowodowało, że płynący m.in. do Niemiec strumień migrantów zaczął omijać Węgry.

Jesienią 2024 roku Polska przyjęła pierwszą w swojej historii strategię migracyjną. Już w tytule mówi ona o kontroli i bezpieczeństwie. Dobrze, że o tych kwestiach jest mowa w tym dokumencie, one są ważne. Szkoda, że niewiele mówi o tym, że migracja jest dla Polski szansą na złagodzenie negatywnych



Rys. Sławomir Makal

skutków przemian demograficznych, o których mowa była na wstępie. A już zupełnie, ale to zupełnie nic nie wspomina o tym, że jest prawdopodobnie jedyną szansą dla regionów peryferyjnych, które w sposób zupełnie naturalny tracą mieszkańców.

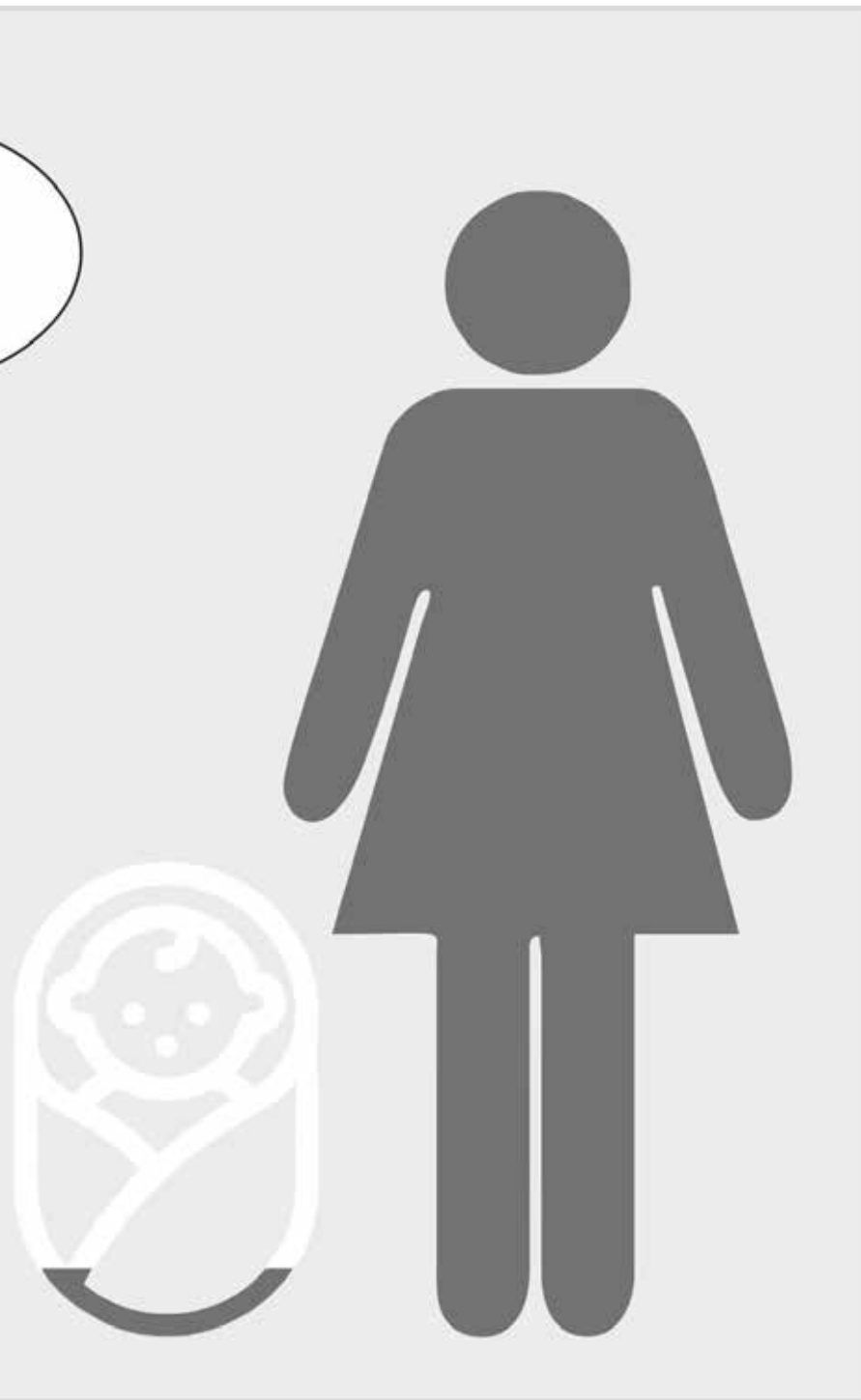
Polityka migracyjna państwa może, a wręcz powinna inaczej traktować regiony rdzeniowe, a inaczej regiony peryferyjne. Jeśli zgodzimy się co do tego, co od przynajmniej pół wieku mówią wyniki analiz ekonomicznych, że kluczowym czynnikiem rozwoju jest kapitał ludzki i społeczny – nasze kompetencje zawodowe, relacyjne i pokrewne – a nie kapitał fizyczny (finansowe) lub środowiskowy (zasoby natury, np. kopaliny), to uzupełnienie jego braków w regionach peryferyjnych może być kluczowe. Może być znacznie ważniejsze niż poprawa dostępności komunikacyjnej, system zachęt

finansowych dla inwestorów czy szkolenia dla mieszkańców, czyli typowy zespół działań mający na celu poprawę poziomu życia lokalnych społeczności i nakłonienie ich do pozostania w miejscu dotychczasowego zamieszkania. Chociaż działania takie podejmujemy w Polsce oraz w wielu innych państwach wysoko rozwiniętych od lat, to żadna z tych metod nie jest jednak na tyle skuteczna, aby odwrócić bądź przynajmniej zatrzymać tendencję do wyludniania się obszarów peryferyjnych. Siła przyciągania tzw. wielkiej piątki – Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Poznania i Gdańska – jest tak wielka, a atrakcyjność polskich obszarów peryferyjnych tak niska, że ludzie nadal je opuszczają. Skoro obszary te tracą najlepszą część swojego kapitału ludzkiego – przede wszystkim ludzi młodych, zdolnych i przedsiębiorczych – to zapełnienie powstałej luki kapitałem ludzkim imigrantów zdaje się być rozwiązaniem wartym rozważenia.

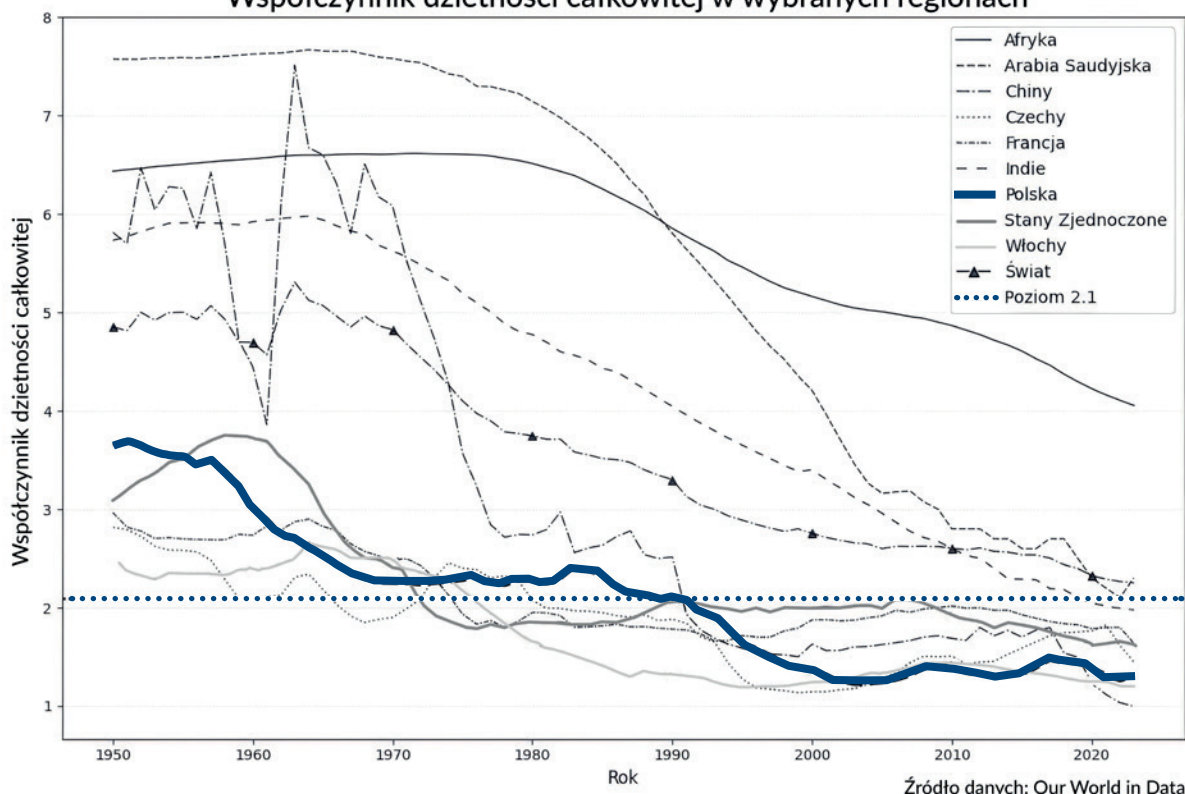
Jak spowodować, aby imigranci osiedlali się nie tam, gdzie zapewne by chcieli, w dużych miastach, ale na wyludniających się obszarach peryferyjnych? Kluczowe jest przyjęcie założenia, że polityka migracyjna i polityka rozwoju regionalnego są analizowane i realizowane wspólnie. Migracje nie powinny być traktowane tylko jako zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa wymagające nadzoru kontroli. Powinny być traktowane przede wszystkim jako szansa na rozwój, w tym w szczególności jako narzędzie rozwoju regionalnego. Na tak skonstruowanym fundamencie można próbować stworzyć system zachęt administracyjnych dla imigrantów nakłaniający ich do pozostania w regionach peryferyjnych, o ile tam właśnie znaleźli się w efekcie podjęcia migracji, lub do przeprowadzenia się tam z innych miejsc.

Co mogłoby skłonić migranta do osiedlenia się w Polsce powiatowej? Pakiet ulątwień niedostępnych w wielkich miastach. Niech będzie to na przykład możliwość podjęcia legalnej pracy w Ciechanowie, ale nie w Warszawie. Możliwość wykonywania pracy w swoim zawodzie w Dębicy, ale nie w Krakowie. Możliwość uzyskania obywatelstwa w krótszym czasie przy zamieszkanu i pracy w Elblągu, ale nie w Gdańsku. Możliwość sprowadzenia rodziny do Wałbrzycha, ale nie do Wrocławia. Objęcie opieką socjalną państwa w szerszym zakresie w Gorzowie Wielkopolskim niż w Poznaniu.

Zgoda, Polska jest państwem unitarym, wszędzie obowiązuje takie samo prawo. Ale jednocześnie samorządy mają określone uprawnienia do kształtowania pewnych elementów życia społecznego na zarządzanym przez siebie obszarze. Zastosowanie tego założenia do regionalnej polityki migracyjnej wymagałoby upodmiotowienia władz samorządowych regionów w zakresie realizacji przyjętej na szczeblu krajowym polityki migracyjnej na własnym obszarze. Poruszając się w ramach nakreślonych przez politykę ogólnokrajową, władze regionalne



Współczynnik dzietności całkowitej w wybranych regionach



Źródło danych: Our World in Data

Współczynnik dzietności całkowitej to liczba dzieci, które urodziłyby kobieta w ciągu całego okresu rozrodczego (15–49 lat) przy założeniu, że w poszczególnych latach rodziłyby tak, jak kobiety w tym wieku w badanym roku. Upraszczając: to liczba dzieci, które rodzi statystyczna kobieta.

powinny mieć możliwość samodzielnego kształtowania szczegółowych rozwiązań, dzięki którym potrzeby kierowanych przez nie regionów będą mogły być zaspokojone w najlepszy z ich perspektywy sposób.

Pilotażowe rozwiązania różnicujące warunki prawno-administracyjne pobytu imigranta w zależności od regionu, jaki wybrał on sobie jako miejsce pobytu, są na naszych oczach wprowadzane między innymi w Kanadzie i w Australii, nieco wcześniej testowano to rozwiązanie w Niemczech. We Włoszech czy Szwecji za symboliczne 1 euro można nabyć nieruchomości w wydłużającej się miejscowości. W każdym przypadku celem jest to samo: przyciągnięcie imigrantów w konkretne miejsca, w których deficyty ludnościowe są wyjątkowo dokuczliwe. Dlaczego Polska nie miałaby zostać prekursorem podobnych rozwiązań o systemowym charakterze, dzięki którym deficyty demograficzne wywołane niską dzietnością oraz odpływem migracyjnym zostałyby przynajmniej częściowo skompensowane napływem migracyjnym?

Czas na poważną debatę

Zgodnie z oficjalnymi danymi statystycznymi Polska stała się państwem migracji netto, tj. wielkość napływu imigrantów przekroczyła wielkość emigracji, w 2016 roku. To nie przypadek. Stajemy się coraz bardziej atrakcyjnym celem na migracyjnej mapie świata. Rozwijamy się szybko, jesteśmy coraz zamożniejsi. Mamy dziś bezrobocie niemal o połowę niższe niż średnia w Unii Europejskiej (odpowiednio 3,1% i 5,9%), zapotrzebowanie na pracowników stale wzrasta, a płacę minimalną niższą niż Polska ma już dziewięć innych państw UE. Koszty życia w Polsce, w porównaniu z większością państw Europy Zachodniej, są stosunkowo niskie, możemy swobodnie podróżować po niemal całym świecie (polski paszport otwiera obecnie 185 granic), mamy przyjemny, umiarkowany klimat. Przyjmujemy coraz więcej imigrantów i nic nie wskazuje na to, aby ten stan miał ulec zmianie. W 2023 roku Polska wydała dziesięciokrotnie

więcej pozwoleń na pobyt imigrantom niż dekadę wcześniej. W tej liczbie nie ma ani obywateli Ukrainy ani obywateli państw członkowskich Unii Europejskiej, oni mogą przyjechać na innych zasadach. Analogiczne porównanie wydanych pozwoleń na pracę wskazuje na wzrost ośmiokrotny. Nie sposób nie dostrzec, że działo się to w czasie rządów formacji politycznej, która imigracji mówiła głośne „nie”. Obecnie rządzący kontynuują linię swoich poprzedników i także przyjmują znaczne liczby imigrantów.

Imigranci są potrzebni gospodarce, nie da się tego ukryć. A jednocześnie jako społeczeństwo nie tylko nie jesteśmy gotowi na zmianę jakościową naszych struktur społecznych i etnologicznych, ale nawet nie zbliżamy się do tego celu. Sprzeciw wobec przyjmowania imigrantów werbalizowany przez niemal wszystkie partie polityczne w Polsce przyczynia się do pogłębiania obaw społecznych przed tym, co nadchodzi, a deklaracja obrony Polski przed zalewem imigrantów stała się warunkiem sine qua non sukcesu wyborczego.

Chyba nadszedł czas na poważną debatę o migracjach. Debatę, w której polskie społeczeństwo przestanie być straszone chochłem kleconym przez polityków na potrzeby zwycięstwa wyborczego. Rozmowę, w której – oprócz zagrożeń, które oczywiście istnieją – będziemy widzieć także szanse. W tym tę najważniejszą: szansę na skompensowanie części strat demograficznych dzięki imigrantom i zmniejszenie dzięki temu problemów ekonomicznych, jakie rysują się przed nami w nieodległej przyszłości.

Dr hab. Wojciech Janicki, prof. UMCS, geograf polityczny, członek Rządowej Rady Ludnościowej, członek Komitetu Nauk Demograficznych Polskiej Akademii Nauk, członek Rady Naukowej Polskiego Towarzystwa Geopolitycznego

Przedstawione w tekście tezy są interpretacją procesów społecznych i politycznych zachodzących w Polsce i na świecie dokonaną przez autora i nie należy traktować ich jako oficjalnego stanowiska żadnego z wymienionych wyżej organów.

Piotr Kieraciński

Niech dalej grają dla nauki

Narodowe Centrum Nauki w ciągu 15 lat przekazało 18,5 mld zł na badania podstawowe.

Marzenie o narodowej agencji grantowej kielkowało w polskim środowisku naukowym od przełomu ustrojowego w 1989 roku. W pewnym sensie taką rolę początkowo pełnił Komitet Badań Naukowych, który oprócz finansowania działalności statutowej instytucji naukowych przydzielał też granty. To była oczekiwana nowość, jednak KBN był częścią rządu, a nie niezależną agencją grantową. Swoją drogą, pieniądze na granty stanowiły wówczas ok. 30 proc. budżetu nauki. Czy dzisiaj wydajemy na badania taki odsetek środków na szkolnictwo wyższe i naukę? Kto się podejmie obliczyć? Spory o to, jak taka agencja miałaby wyglądać, trwały długie lata. Faktycznie mówiono o dwóch instytucjach, powielając znany z KBN podział na badania podstawowe i stosowane. W 2008 roku minister nauki prof. Michał Seweryński doprowadził do powołania Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, odpowiedzialnego za tę część badań, za którą do tego czasu odpowiadała Komisja Badań Stosowanych KBN. Dopiero w 2011 roku kolejnej minister nauki prof. Barbarze Kudryckiej udało się doprowadzić do powstania Narodowego Centrum Nauki, odpowiadającego za konkursowe finansowanie badań podstawowych. Agencja powstała na podstawie Ustawy o Narodowym Centrum Nauki z 30 kwietnia 2010 roku. Pełnomocnikiem ministra nauki ds. utworzenia Narodowego Centrum Nauki był prof. Szczepan Biliński, biolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prorektor UJ ds. badań i współpracy międzynarodowej. W tym samym roku 15 grudnia minister nauki wręczyła nominacje 24 członkom Rady NCN pierwszej kadencji. Pierwszym jej przewodniczącym został prof. Michał Karoński, matematyk z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wcześniej członek KBN i Rady Nauki. Działalność nowej agencji zainaugurowano oficjalnie 4 marca 2011 roku w Krakowie, gdzie NCN od początku miało siedzibę. Pierwszym dyrektorem NCN został prof. Andrzej Jajszczyk z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, specjalista w zakresie telekomunikacji, laureat Nagrody FNP. Nominację na nowe stanowisko otrzymał właśnie 4 marca. Pierwszy pracownik został zatrudniony w NCN już w październiku 2010 roku, a w dniu inauguracji działalności etatowa kadra agencji liczyła 8 osób. W końcu roku 2011 w Centrum pracowało 71 osób.

Dwuwładza

Narodowe Centrum Nauki było dość specyficznie zorganizowane, bowiem funkcjonowało od początku – i nadal tak jest – w swojej dwuwładzy: Rady NCN i dyrekcji NCN. Kluczową rolę w podejmowaniu decyzji strategicznych, czyli dotyczących programów i ich finansowania, odgrywa Rada NCN. Dyrektor Centrum pełni funkcje wykonawcze. W pierwszej kadencji

władz NCN widać było swego rodzaju rywalizację między przewodniczącym Rady i dyrektorem Centrum. System grantów NCN oparty został w dużym stopniu na rozwiązaniach, jakie stosowała Europejska Rada Badań Naukowych, choć środki, jakimi dysponowała nasza krajowa agencja, były niepomierne niższe. Wnioski o finansowanie projektów rozpatrywane są w 26 panelach dyscyplinowych (do końca 2022 r. było ich 25), zgrupowanych w 3 obszarach: nauk humanistycznych, nauk ścisłych i technicznych oraz nauk o życiu. Ten podział nie pokrywa się z oficjalnymi wykazami dyscyplin obowiązującymi w Polsce (w okresie funkcjonowania NCN były 2 różne systemy, które na dodatek ewoluowały w tym okresie) ani z podziałem stosowanym przez OECD (na którym podobno bazował nowy polski system, choć w obowiązującej w kraju liście dziedzin i dyscyplin trudno znaleźć potwierdzenie tego faktu). Naukowcy jakoś odnajdują się w tym „uproszczonym” podziale nauk, który stosuje NCN. Czy nie jest to wskazówka dla krajowego systemu?

Na początku i ostatecznie

W pierwszym roku istnienia NCN ogłosiło 11 konkursów w 6 programach, które otrzymały muzyczne nazwy: OPUS, PRELUDIUM, SONATA, MAESTRO i HARMONIA oraz FUGA, czyli program na staże doktorskie. To ważne, bo wprowadzenie postdoków do polskiej kultury badań naukowych, typowe dla świata zachodniego, zawdzięczamy właśnie NCN. W roku 2011 rozstrzygnięto 4 konkursy, w wyniku czego zdecydowano o sfinansowaniu 1869 projektów o łącznej wartości 510,1 mln zł. Średnia wartość przyznanego w 2011 roku grantu wyniosła 272,9 tys. zł, a współczynnik sukcesu 24% (w tych czterech konkursach zgłoszono 7826 wniosków o finansowanie projektów naukowych). W pierwszych latach NCN nadzorowało również realizację i rozliczało 6685 projektów przejętych od Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

W ciągu 15 lat, do końca 2025 roku, na konkursy NCN zgłoszono 157 423 wnioski o łącznej wartości 92,76 mld zł, co oznacza, że średnia wnioskowana wartość projektu wynosiła 589 tys. zł. Przez 15 lat NCN przyznało 33 027 grantów o łącznej wartości 18,53 mld zł. Średnia wartość projektu z okresu piętnastu lat wyniosła 561 056 zł (a zatem była bardzo zbliżona do wnioskowanej), a średni współczynnik sukcesu niemal 21%. O granty NCN wnioskowały 61 773 osoby, a dostało je 23 807 badaczy. Średnia liczba wykonawców w jednym projekcie to 4 osoby.

Życiorys i pokonani

W chwili obecnej nie dysponujemy jeszcze pełnymi danymi za rok 2025, jednak w latach 2011-2024 najwięcej grantów

otrzymał Uniwersytet Jagielloński – 3273. Tuż za nim jest Uniwersytet Warszawski z 3262 grantami, a dalej Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu z 1657 grantami. Także pod względem wartości najwięcej od NCN otrzymał UJ – nieco ponad 2 mld zł w ciągu 14 lat. UW w tym samym okresie zdobył 1,8 mld zł, a UAM 860 mln zł. Czwartą instytucją naukową pod względem liczby zdobytych grantów NCN jest Uniwersytet Wrocławski – 1123 granty, a piątą Akademia Górniczo-Hutnicza – 870 grantów. Jediną uczelnią spoza wielkich metropolii w gronie liderów finansowania konkursowego projektów naukowych z zakresu badań podstawowych jest Uniwersytet Mikołaja Kopernika na miejscu 7. z 794 grantami. Warto też zwrócić uwagę na awans Politechniki Wrocławskiej, która w latach 2023 i 2024 wdrapała się na 4. miejsce wśród beneficjentów grantów krajowych NCN, choć średnia z całego okresu 2011-2024 lokuje ją dopiero na miejscu 6. Miejsca 8-11 zajmują: Uniwersytet Łódzki (789), Uniwersytet Gdański (771), Politechnika Warszawska (697) i Uniwersytet Śląski (666). Politechnika Gdańska z 12. pozycji ma już ponad 150 grantów mniej. Ogółem w latach 2011-2024 uczelnie otrzymały 24 299 grantów NCN o wartości 12 mld zł. Średnia wartość grantu od NCN wyniosła 494 tys. zł, czyli 88% średniej z całej działalności NCN.

Warto zwrócić uwagę na pewną zmianę tendencji. Przez wiele lat dwaj liderzy, UJ i UW, prowadzili zdecydowanie; potem była przepaść, a za nią UAM i nieco mniejsza przepaść. W ostatnich latach pierwsza z przepaści pozostała, a nawet się pogłębiła, druga w ostatnich dwóch latach zmalała do niewielkiego dołka. Dominacja dwóch największych uczelni i dwóch największych beneficjentów grantów NCN rośnie.

Instytuty Polskiej Akademii Nauk w tym samym okresie otrzymały 6005 grantów o wartości 4,5 mld zł. Średnia wartość grantu NCN dla placówki PAN wyniosła 749,4 tys. zł, a zatem 134% średniej dla całego okresu działalności NCN. Ten wskaźnik pokazuje, jak sędziwie, istotność i złożoność badań prowadzonych w instytutach PAN. Liderami w tej grupie beneficjentów grantów NCN są: Instytut Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego – 386 grantów o wartości 357 mln zł, Instytut Biochemii i Biofizyki – 269 grantów o wartości 245,5 mln zł oraz Instytut Chemii Fizycznej – 255 grantów o wartości 249,5 mln zł. To prawie milion zł na grant, a odpowiednio 925 tys. zł, 912,6 tys. zł i 978,4 tys. zł. Z instytucjonalnego punktu widzenia są to najwyższe średnie wartości grantu NCN.

Instytuty badawcze dostały 1130 grantów o wartości 656,8 mln zł, co daje średnią wartość grantu 581,2 tys. zł, czyli 104% średniej wartości grantu NCN. Najwięcej z NCN uzyskało Narodowe Centrum Badań Jądrowych – 111 grantów o wartości 48,9 mln zł, Sieć Badawcza Łukasiewicz – Instytut Mikroelektroniki i Fotoniki – 83 granty o wartości 48,9 mln zł oraz Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie – 72 granty o wartości 45,7 mln zł.

Grantowa geografia

Warto spojrzeć na rozkład geograficzny aktywności grantowej polskich uczonych. W konkursach krajowych w latach 2011-2014 dominowało zdecydowanie województwo mazowieckie (o jego pozycji decyduje Warszawa). Tamtejsi naukowcy zdobyli 9847 grantów, co stanowi 31,7% wszystkich. Wykazali się też najwyższą skutecznością – 26%. Na kolejnych miejscach są województwa: małopolskie – 5707 grantów, skuteczność 25%; wielkopolskie – 3468 grantów, skuteczność 23% i dolnośląskie – 2874 granty, skuteczność 23%. Kolejne województwa – pomorskie i łódzkie – mają po ponad tysiąc grantów mniej od woj. dolnośląskiego. Najsłabsze w pozyskiwaniu grantów NCN są województwa lubuskie – 94 granty, 13: sukcesu; świętokrzyskie – 125 grantów, 11% skuteczności; opolskie – 143 granty, 11% skuteczności i podkarpackie – 203 granty, 12% skuteczności. Warto zwrócić uwagę na woj. kujawsko-pomorskie z 947 grantami i 19% skutecznością (niższą od średniej, która wynosi 21,55%). Ten wynik zawdzięcza ono wspomnianemu już fenomenowi UMK (794 granty); pozostałe dwie uczelnie publiczne (świadomie pomijam najmniejszą wrocławską Państwową Akademię Nauk Stosowanych) nie mogą się poszczycić znaczącymi sukcesami w tej konkurencji, biorąc łącznie raptem 153 granty NCN w ciągu 14 lat (19% tego, co zdobyli badacze z UMK).

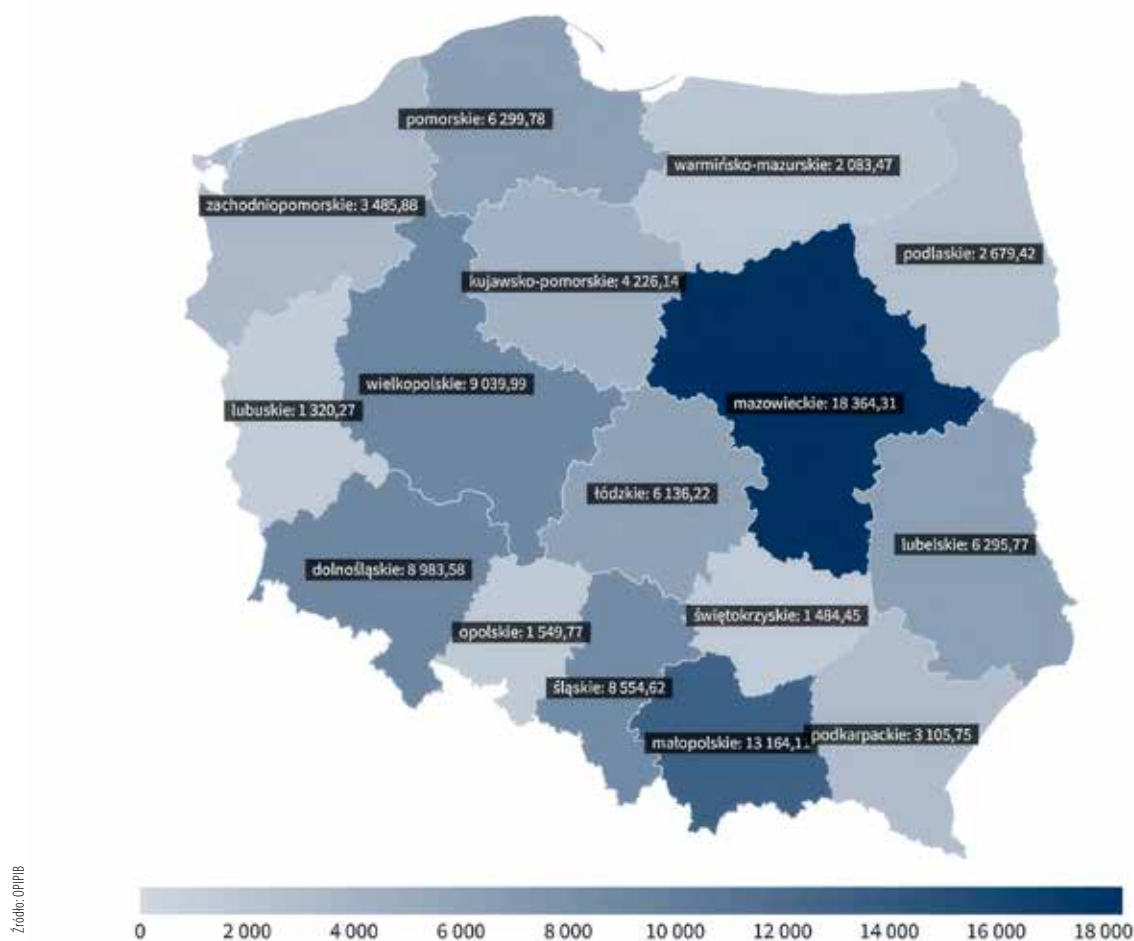
Teraz kilka podsumowań. Najlepsi biorą wszystko, a precyzyjnie mówiąc: nieproporcjonalnie dużo. UJ i UW zdobyły łącznie 6535 grantów z 31 057 przyznanych w tym okresie. To 21%. Obie uczelnie zasilone zostały przez NCN kwotą 3,8 mld zł, co daje 22,8% wypłaconych beneficjentom środków agencji w latach 2011-2024. Gdy weźmiemy pod uwagę dane geograficzne, okazuje się, że w latach 2011-2024 województwa mazowieckie i małopolskie uzyskały 48,4% wszystkich grantów i aż 50,1% środków finansowych. Połowa środków NCN trafia do dwóch województw. Mamy bardzo scentralizowaną naukę. Nie

Granty krajowe Narodowego Centrum Nauki w latach 2011-2024

Rok	Liczba wniosków	Liczba grantów	Współczynnik sukcesu (liczbowy)	Wartość finansowania w mln zł	Średnia wartość grantu w tys. zł
2011	7 826	1 869	24 %	509,5	272,6
2012	12 093	2 488	21 %	1 027,3	413,0
2013	10 522	2 433	23 %	972,0	399,5
2014	11 373	1 804	16 %	760,0	421,3
2015	10 939	2 038	19 %	958,0	470,0
2016	9 632	2 371	25 %	1 140,0	480,8
2017	10 032	2 940	29 %	1 150,0	391,2
2018	11 704	2 292	23 %	1 200,0	523,6
2019	10 438	2 533	22 %	1 270,0	501,4
2020	12 227	2 100	17 %	1 440,0	685,7
2021	10 611	2 370	22 %	1 560,0	658,2
2022	10 127	1 893	19 %	1 530,0	808,2
2023	10 043	1 559	16 %	1 150,0	737,7
2024	10 186	2 177	21 %	1 860,0	854,4

Opracował Piotr Kieraciński na podstawie danych NCN

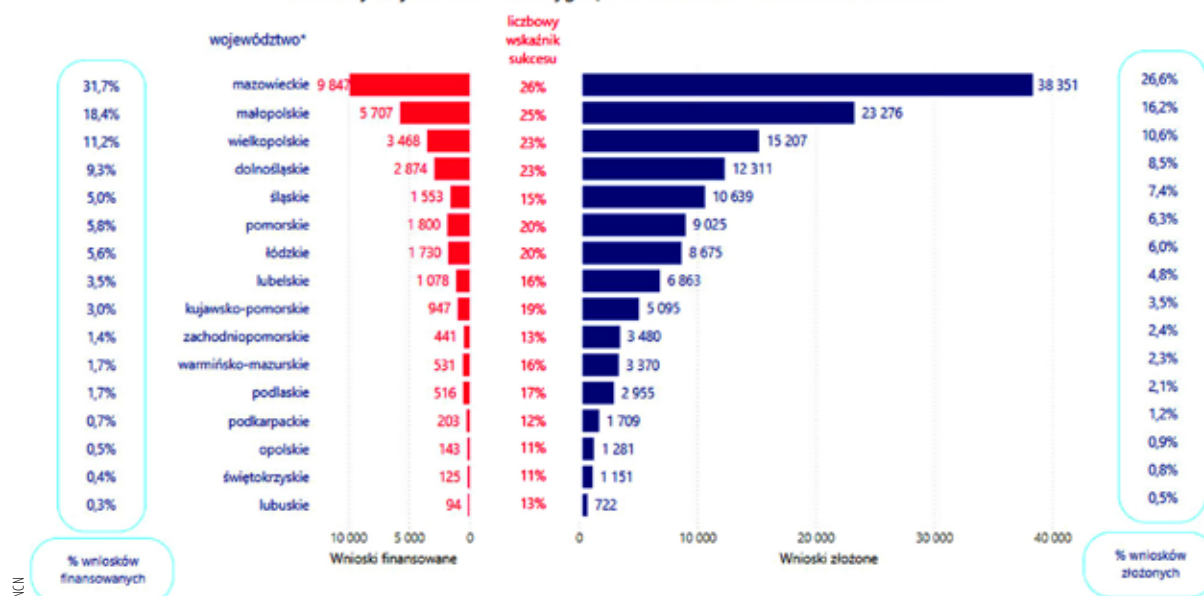
Liczba etatów nauczycieli akademickich w poszczególnych województwach



wiem, czy to źle, czy dobrze. Prof. Zbigniew Błocki, dyrektor NCN w latach 2015-2023, przytaczał kiedyś dane z innych państw europejskich, wskazujące, że także w innych krajach europejskich widoczna jest koncentracja środków grantowych w wielkich centrach administracyjno-gospodarczych i naukowych. Może to być powiązane z liczbą badaczy pracujących w określonych regionach. W dwóch czołowych województwach

jest 31,5 tys. etatów nauczycieli akademickich na prawie 97 tys. w całym kraju – to 32,5%, czyli mniej niż odsetek grantów w tych województwach. Oba te województwa mają wysoki wskaźnik sukcesu, wyższy niż średnia w NCN w tym okresie zarówno pod względem liczbowym, jak i kwotowym. To wskazuje na dominację największych uczelni i najsilniejszych naukowo regionów.

Konkursy krajowe NCN rozstrzygnięte w latach 2011–2024: liczba wniosków*



Także pod względem wartości najsilniejsze dwa regiony mają średnio najwyższe granty: w mazowieckim jest to prawie 600 tys. zł (598,2), a w małopolskim 560 tys. zł. Zbliżone średnie wartości finansowania projektów uzyskali badacze z województw: dolnośląskiego (559,5 tys. zł), wielkopolskiego (546 tys. zł) i pomorskiego (545 tys. zł). Najniższe średnie wartości grantu uzyskali najsłabsi gracze na tym rynku, naukowcy z woj. opolskiego (195,8 tys. zł) i z woj. świętokrzyskiego (232 tys. zł). Nie wymieniałem w tej ostatniej grupie podkarpackiego i lubuskiego, bowiem pod względem wartości grantów weszły do kolejnego poziomu z wartościami odpowiednio 344,8 tys. zł i 372,3 tys. zł.

Dzieło

Oferta Centrum przez 15 lat bardzo się rozbudowała, m.in. dzięki współpracy z zagranicznymi i innymi krajowymi agencjami grantowymi (w tym wypadku NCBR i NAWA). Obecnie agencja, oprócz kilku do kilkunastu programów krajowych, ogłasza i rozstrzyga rocznie od kilku do kilkunastu konkursów międzynarodowych. Nb. rozproszone i relatywnie niewielkie programy i konkursy międzynarodowe bardzo obciążają załogę NCN pracą. Wciąż jednak podstawowym programem pozostaje OPUS, który skierowany jest do najszerzego grona badaczy, i w którym przyznawana jest największa liczba grantów i środków finansowych. Warto przytoczyć kilka liczb. W 2012 r. w dwóch konkursach OPUS przyznano 1076 grantów o łącznej wartości 461,2 mln zł (cały budżet na granty to wówczas 808,7 tys. zł). W 2015: 869 grantów za 544,4 mln zł (całe nakłady na granty: 958 mln zł). Rok 2018: 755 grantów OPUS za 716,7 mln. zł (przy budżecie 1,2 mld zł). Rok 2020: 705 grantów OPUS za 914 mln zł (całość wydatków na granty – 1,44 mld zł). Rok 2023 (kryzysowy, współczynnik sukcesu w programie OPUS spadł do 10%): 404 granty OPUS za 674,5 mln zł (całe nakłady na granty – 1,15 mld zł). I wreszcie rok 2024: 676 grantów OPUS o wartości 1,12 mld zł (przy nakładach 1,86 mld zł). Widać, że granty OPUS zawsze pochłaniają więcej niż połowę budżetu grantowego NCN, np. w 2018 r. – 59,7%, w 2020 – 63,5%, w 20213

– 58,7%. W roku 2024 wartość grantów OPUS stanowiła 60% nakładów na granty.

Wspominałem, że średnia wartość grantu krajowego NCN w ciągu 15 lat wyniosła 589 tys. zł. Jednak w różnych latach było różnie. W roku 2011 było to 272,9 tys. zł, w 2018 już 523,6 tys. zł, a w 2024 – 854 tys. zł, co stanowi ponad 300% tego, co w pierwszym roku działania agencji. Tempo wzrostu średniej wartości grantu krajowego NCN znacząco przewyższało tempo inflacji w tym okresie. W przypadku programu OPUS średnia wartość grantu wzrosła z 321 tys. zł w roku 2011 do 1 mln 670 tys. zł w roku 2024, czyli o 420% (dziś jest to 520% tego, co w 2011 r.). Współczynnik sukcesu w pozyskiwaniu grantów NCN najniższy był w latach 2014 i 2023 – 16%, a dalej w roku 2020 – 17%, w latach 2015 i 2022 – 19%. Najobfitsze w krótkiej historii NCN były lata 2012 i 2020, gdy złożono po ponad 12 tys. wniosków. Najwięcej grantów – 2940 – przyznano w roku 2017; wtedy też wnioskodawcy osiągnęli najwyższy współczynnik sukcesu w ich pozyskiwaniu – 29%. O przyczynach tego sukcesu piszę poniżej.

Miniatura ciągnie w górę

Współczynnik sukcesu w pozyskiwaniu grantów NCN zmieniłby się, gdybyśmy w ostatnich ośmiu latach odjęli liczbę grantów uzyskanych w programie Miniatura. Program małych grantów „na początek” – w założeniu miały stanowić „przed-szkole” grantowe, umożliwiając zaznajomienie się z procedurami, ośmielenie do udziału w konkursach NCN badaczy, którzy wcześniej nie aplikowali o granty. W praktyce wyglądało to trochę inaczej, jednak konkursy cieszą się powodzeniem, a współczynnik sukcesu – funkcja zachęcania! – wynosi średnio ponad 30%, w czterech ze wskazanych 8 lat wyniósł 35% i więcej, a w samym 2024 r. aż 40%. W latach 2017-2024 przyznano w tym programie 5194 granty, co oznacza, że stanowiły one ponad 29% wszystkich grantów z lat 2017-2024. Na konkursy Miniatura wpłynęło 17 140 wniosków, co stanowi 20% wszystkich w tym okresie. Bez Miniatury współczynnik sukcesu pozostałych konkursów rozstrzygniętych w latach 2017-2024 wyniósłby 19%, czyli o 2% mniej niż z Miniaturą.

Program OPUS 2011-2024

Rok	Liczba grantów	Wartość sumaryczna	Średnia wartość grantu
2011	901	289 383 691	321 180
2012	1 132	461 200 000	429 625
2013	1 000	457 800 000	459 639
2014	756	415 000 000	553 333
2015	880	544 400 000	626 467
2016	918	605 600 000	662 582
2017	890	694 011 000	779 788
2018	758	716 662 000	945 464
2019	673	732 542 000	1 088 472
2020	706	914 000 000	1 294 617
2021	743	979 752 603	1 318 644
2022	617	899 818 992	1 458 377
2023	404	674 450 000	1 669 430
2024	676	1 120 000 000	1 656 804

Opracował Piotr Kieraciński na podstawie danych NCN

Kwestia humanistyki

O ile przedstawiciele nauk ścisłych i technicznych oraz nauk o życiu zwykle nie mają żadnych problemów z systemem oceny wniosków i finansowania badań przez NCN, to inaczej jest z badaczami z grupy HS, zwłaszcza z humanistami. Warto zauważyć, że w tym obszarze wyodrębniono najmniej „dyscyplin” – tylko 6 w porównaniu do 11 w naukach ścisłych i technicznych i 9 w naukach o życiu. W naukach humanistycznych i społecznych najniższy jest współczynnik sukcesu – 18,6% (za lata 2012-24), w porównaniu do 21,5% w naukach o życiu i 22,5% w naukach ścisłych i technicznych. Można powiedzieć, że humaniści wraz z przedstawicielami nauk społecznych zaniżają go. Humanisci zdobyli też najmniejszą liczbę grantów – 8797 (w latach 2011-2024), przy 10 441 w naukach o życiu i 12 493 w naukach technicznych. W tych latach NCN wydał na granty humanistyczne 2,8 mld zł, na granty w naukach o życiu 7,1 mld zł, a w naukach ścisłych i technicznych 7,3 mld zł. Także średnia wartość grantu humanistycznego była najniższa – 317,8 tys. zł, przy 684,2 tys. zł w naukach o życiu i 587,7 tys. zł w naukach ścisłych i technicznych. Trudno ocenić, na ile na tę sytuację wpłynęło istnienie osobnego programu grantowego dla humanistów (NPRH), rozdającego pokaźnie granty o wartości znacznie powyżej miliona złotych, a na ile to, że wielu przedstawicielom tej grupy badaczy wystarczą środki na badania, które oferują z własnych zasobów zatrudniające ich instytucje.

Taki mały budżet

Pieniądze, którymi dysponuje Narodowe Centrum Nauki, nie są imponujące, zwłaszcza w skali międzynarodowej. Stanowią ok. 2% całego budżetu polskiej nauki i szkolnictwa wyższego. Jednak na środki pozostające w dyspozycji tej agencji warto spojrzeć z różnych punktów widzenia. Po pierwsze jest on podzielony na część podmiotową, przeznaczoną na funkcjonowanie NCN, i wielokrotnie większą część przeznaczoną na finansowanie projektów naukowych. Część podmiotowa w 2011 roku wynosiła 34,7 mln zł, a NCN zatrudniało wówczas 71 osób (nie przez cały rok). W 2025 roku jej wartość to 63,4 mln zł, co stanowi ok. 3,5% środków przeznaczanych na finansowanie projektów naukowych. Środki na działanie NCN wzrosły przez 15 lat raptem o 83%, gdy tymczasem zatrudnienie wzrosło z 70 do ok. 170 pracowników, znacząco wzrosły liczby zatrudnianych ekspertów i recenzentów, wielokrotnie zwiększyły się środki na granty, które rozdziela NCN, znacznie wzrosły zadania pracowników Centrum, m.in. ze względu na obsługę programów międzynarodowych. Nie jestem pewien, czy ten wzrost dotacji podmiotowej pokrywa koszty skumulowanej inflacji w ciągu ostatnich 15 lat, wszystko natomiast wskazuje, że wymaga ona poważnego zwiększenia. Tymczasem część grantowa wynosiła w 2011 r. 471 mln zł, a w 2015 r. – 1,7 mld zł. wzrosła zatem o ok. 260%, czyli znacznie powyżej wartości skumulowanej inflacji.

Przyczyny wzrostu

Trwa walka środowiska akademickiego o wzrost nakładów na NCN, a motywuje się ją koniecznością wzrostu współczynnika skuteczności do 25%. Jak już wskazałem, do takiej wartości zbliżają się badacze z obszaru nauk ścisłych i technicznych. Ten współczynnik zależy – wedle przedstawionych przez NCN danych – w znacznej mierze nie tyle od tego, ile przyznaje się grantów, ile raczej od tego, jakiej wartości są te granty.

Warto spojrzeć na lata 2016 i 2017. W 2016 roku współczynnik sukcesu wyniósł 25% – był na oczekiwanym dziś poziomie. Co się zatem stało w roku 2017, że wzrósł on do poziomu 29%? Czy tak gwałtownie zwiększył się budżet NCN? Nie. Na granty wydano zaledwie 10 mln zł więcej niż w roku 2016 (wzrost z 1 mld 140 mln do 1 mld 150 mln zł). Czy gwałtownie spadła liczba wniosków. Nie, wzrosła o 4,2%, z 9632 do 10 032. Jak zatem był możliwy tak znaczący wzrost liczby grantów w 2017 r. – o 24% w stosunku do roku 2016, z 2371 do 2940 bez znaczącego wzrostu nakładów? Wzrost liczby przyznanych grantów oraz współczynnika sukcesu był spowodowany spadkiem średniej wartości grantu o 19%, z 480,6 tys. zł w 2016 r. do 391,2 tys. zł w roku 2017. Nie wiem, czy była to świadoma decyzja Rady NCN, czy wynik pracy paneli eksperckich (czyli przypadek, jak powiedziałoby wielu zawiedzionych decyzjami tych ciał). Jednak ta sytuacja dobitnie obrazuje moją tezę, wynikającą z analizy danych finansowych o wartościach grantów z całego okresu istnienia NCN, że spadek wartości współczynnika sukcesu w największej mierze spowodowany jest gwałtownym, przekraczającym wszelkie inne wzrosty w gospodarce kraju, zwiększeniem średniej wartości grantu przyznanego przez Narodowe Centrum Nauki.

Warto zwrócić uwagę na kilka charakterystycznych momentów. Pierwszy przykład stanowi porównanie lat 2019 i 2020. W tym okresie liczba aplikacji wzrosła o 17,1%, wydatki na granty wzrosły o 13,4%, a liczba grantów spadła o 17,1% (z 2533 na 2100), współczynnik sukcesu spadł z 22% w 2019 r. do 17% w 2020 r., czyli aż o 5 punktów procentowych. To bardzo dużo. Co naprawdę spowodowało ten spadek? Otóż w roku 2020 wartość grantu wzrosła średnio o 36,8% w stosunku do

roku 2019, z 501,4 tys. zł do 685,7 tys. zł. To była, moim zdaniem (liczby nie kłamią), główna przyczyna gwałtownego spadku współczynnika sukcesu w pozyskiwaniu grantów w tym okresie. Większy spadek – z 23% na 16%, czyli o 7 punktów procentowych – nastąpił tylko w latach 2013–2014, gdy również wzrosła wyraźnie średnia wartość grantu, ale w tym wypadku także inne czynniki mocno wpłynęły na te wyniki (proszę zerknąć w tabelę nr 1). Podobne zdarzenie miało miejsce w latach 2021–2022. Wartość grantu wzrosła aż o 22,8% rok do roku, a współczynnik sukcesu zmalał z 22% do 19%, czyli o 3 punkty procentowe (pomijam w tym wypadku inne czynniki, bo nie istotne). W latach 2022–2023 współczynnik sukcesu znów spadł o 3 punkty procentowe (z 19% na 16%), a wartość grantu o zmalała o 8,7%, spadła też znacząco – o 17,6% – liczba przyznanych grantów. W tym wypadku odpowiadało za to znaczące obniżenie finansowania grantów aż o 24,5% rok do roku.

Z kolei w latach 2023–2024 nastąpiło odbicie. Przy podobnej liczbie aplikacji, liczba grantów wzrosła o prawie 40%, a ich wartość o 15,9%. Współczynnik sukcesu skoczył z 16% na 21%, czyli o 5 punktów procentowych. Odpowiada za ten sukces – bo tak należy interpretować zwiększenie współczynnika sukcesu po dwóch latach mocnych spadków – skokowy wzrost nakładów na realizację projektów naukowych z 1 mld 150 mln zł w 2023 r. do 1860 mln zł w roku 2024, czyli o 61,7%. Osobną sprawą jest to, czy ten wzrost rekompensuje spadek nakładów (wyborczego) roku 2023. Ten chwilowy spadek wiele mówi o stosunku polityków do nauki.

Sprawdźmy jednak, co by się stało, gdyby w roku 2024 wartość grantu spadła o 19% w stosunku do jej wysokości w roku 2022 (pomijam rok 2023 z oczywistych powodów)? Zamiast wynieść 854,4 tys. zł, wyniosłaby 750 tys. zł, czyli byłaby niższa o raptem 6,8% niż w roku 2022 (808,2 tys. zł), ale znacząco wyższa – o 14% – niż w roku 2021 (658,2 tys. zł). Otóż przy tej samej liczbie aplikacji (10 186) i takich samych nakładach (1,86 mld zł) współczynnik sukcesu wzrósłby do 24,3%, zbliżając się do oczekiwanego 25%, zaś finansowanie otrzymałoby 2480 projektów naukowych (o 303 projekty więcej, niż to miało miejsce), czyli o 14% więcej, niż to się stało przy najwyższej w historii (zapewne dane za rok 2025 mogą tu wnieść nowe interesujące informacje) wysokości grantu 854,4 tys. zł. To w kolei potwierdza także inną tezę, że samym wzrostem nakładów nie osiągniemy oczekiwanego poziomu sukcesu, jeśli średnia wartość grantu będzie rosła w dotychczasowym, szybkim tempie. Wzrost wysokości grantu połączony ze wzrostem współczynnika sukcesu zapewne spowoduje zwiększone zainteresowanie aplikowaniem o granty, co wpływa na poziom sukcesu, obniżając go przy takim samym budżecie i liczbie przyznanych grantów.

Oczywiście, państwo (społeczeństwo) może podjąć decyzję, że krajowe granty muszą dorównać wysokością grantom europejskim (już bardzo niewiele im brakuje), ale też muszą pełnić znacznie ważniejszą rolę w systemie badań naukowych w Polsce. Ponieważ, jak się wydaje, zjedliśmy (pozwoliliśmy na to) część obciążeń związanych z prowadzeniem badań z subwencji na działalność instytucji naukowych, to może należałoby odpowiednio zwiększyć budżet agencji grantowych, a zwłaszcza Narodowego Centrum Nauki, o ile badania podstawowe uznamy za szczególnie ważne? Wtedy można by na przykład podnieść nakłady na NCN do 5% budżetu nauki i szkolnictwa wyższego, nie zapominając o odpowiednim wzroście środków na funkcjonowanie samej agencji. Nie mogłoby się to dokonać kosztem finansowania pozostałych elementów tych obszarów, zwłaszcza subwencji, a zatem wymagałoby odpowiedniego podniesienia nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę.

Styl, promocja, eksperci, nagrody

Centrum w uporządkowany sposób promuje swoją działalność. Od 2013 roku organizuje Dni Narodowego Centrum Nauki w poszczególnych ośrodkach akademickich. Rada i dyrekcja NCN spotykają się wówczas z określoną społecznością na wielu różnych płaszczyznach. Prowadzone są kursy i szkolenia, m.in. dotyczące przygotowania wniosków grantowych. W tym samym roku 2013 po raz pierwszy przyznano Nagrody NCN w trzech obszarach, odpowiadających podziałowi nauk stosowanemu w agencji. Dotychczas to wyróżnienie – połączone z gratyfikacją finansową, ufundowaną przez sponsorów – otrzymało 39 laureatów, a są nimi młodzi naukowcy. Warto zwrócić uwagę na korpus ekspercki NCN. To są już tysiące specjalistów z całego świata. Większość stanowią eksperci i recenzenci zagraniczni, co budzi niepokój pewnej części polskich naukowców.

Jako dziennikarz poszukujący informacji bardzo dobrze oceniam politykę informacyjną i otwartość Narodowego Centrum Nauki. Już po pierwszym roku działalności powstał powszechnie dostępny raport. Nie był on klarowny dla odbiorców zewnętrznych, dlatego kolejny taki dokument był nieco zmieniony – poprawiono jego czytelność. W ciągu kilku lat wypracowano bardzo klarowną formułę raportu. Centrum publikuje też szereg analiz i raportów dotyczących określonych aspektów swojej działalności. Na stronie NCN dostępne są dynamiczne statystyki (dane z nich nieco różnią się od tych z raportów rocznych, nie na tyle, żeby to zmieniało ogólny obraz działalności agencji). Bardzo łatwo jest uzyskać niezbędne informacje i wypowiedzi kierownictwa i Rady NCN. Powiedziałbym, że NCN jest wzorem otwartości dla innych instytucji naukowych.

Jedyną informacją ściśle chronioną pozostają recenzje i opinie ekspertów (tu zachodziła pewna ewolucja, wynikająca z postępowań sądowych) oraz ich nazwiska w połączeniu

z konkretnymi wnioskami. Rada NCN uznała, że dbając o anonimowość ekspertów w tym zakresie, broni ich niezależności. Ten aspekt procedury oceny wniosków budzi liczne zastrzeżenia, podobnie jak, w niektórych środowiskach, konieczność przedstawienia wniosku w języku angielskim. Pracownicy agencji, jej dyrekcja i Rada odnotowują uwagi społeczności akademickiej, dyskutują nad nimi, a te, które uznają za słuszne, wdrażają. Widać to w krótkiej historii NCN na przykładzie licznych poprawek procedur, zasad konkursów, wprowadzania nowych i modyfikacji dotychczasowych programów NCN. Warto dodać, że w Radzie NCN funkcjonuje Komisja Odwoławcza, jednak rozpatruje ona jedynie zażalenia na uchybienia proceduralne, a nie uwagi do merytorycznej oceny wniosków, dbając w ten sposób o niezależność ekspertów. Narodowe Centrum Nauki w swojej działalności kieruje się jasno określonymi zasadami etycznymi. Są one zawarte w Kodeksie Narodowego Centrum Nauki, dotyczącym rzetelności badań naukowych i starania o fundusze na badania oraz w kilkupunktowych Zasadach etycznych ekspertów NCN, które każdy z nich musi przyjąć – dostaje do podpisu przed rozpoczęciem pracy dla NCN.

Mimo rozmaitych potknięć, zastrzeżeń zgłaszanych z różnych stron, zwłaszcza przez autorów odrzuconych wniosków, nawet, gdy uznamy, że ich uwagi bywają słuszne, działalność Narodowego Centrum Nauki cieszy się szerokim poparciem środowiska akademickiego i trudno dziś wyobrazić sobie polską naukę bez tej instytucji. Od decyzji politycznych będzie zależał jej dalszy los. Czy pozostanie ważnym i wpływowym, ale, jak dotychczas, dość incydentalnym źródłem finansowania badań naukowych, czy też środowisko akademickie, a za nim polityczne, uzna, że finansowanie konkursowe ze źródeł zewnętrznych ma być istotnym elementem polityki naukowej państwa i znacząco wzmocni agencję finansowo.



15
LAT NCN

Włodzimierz Galewicz

Etyka badań z udziałem ludzi

Narodowe Centrum Nauki i etyczna ocena badań naukowych

Wartość badań naukowych dzieli się na różne odmiany, a najbardziej ogólnie: na wartość naukową (lub merytoryczną) i wartość etyczną. Narodowe Centrum Nauki zamierza przypuszczalnie dbać o jedną i drugą, choć niekoniecznie w równej mierze i w taki sam sposób.

Na jednej z tytułowych stron internetowych Narodowego Centrum Nauki przedstawiających zadania tej instytucji (zob. <https://ncn.gov.pl/o-ncn/zadania-ncn>) mówi się, że NCN jest „agencją wykonawczą powołaną do wspierania działalności naukowej w zakresie badań podstawowych”, a następnie podaje najistotniejsze zasady jego własnej działalności. Na pierwszym miejscu pośród tych „pryncypiów działania NCN” zostaje wymieniona „identyfikacja i finansowanie najlepszych badań naukowych”. Najlepsze badania można by także określać jako badania o najwyższej wartości. Wartość badań naukowych dzieli się wszakże na różne odmiany, a najbardziej ogólnie: na wartość naukową (lub merytoryczną) i wartość etyczną. Narodowe Centrum Nauki zamierza przypuszczalnie dbać o jedną i drugą, choć niekoniecznie w równej mierze i w taki sam sposób.

Jeżeli zastanawiamy się nad podziałem pracy, jakiego można dokonać w kontroli merytorycznej i etycznej wartości badań naukowych pomiędzy ich publicznym sponsorem i ewentualnym administratorem (np. uczelnią, w której finansowane badania miałyby być prowadzone), wchodzi w rachubę kilka możliwości. W pierwszym toku postępowania publiczny płatnik wymagałby, aby spływające do niego projekty badawcze były już zaopatrzone przez ich ewentualnego administratora w pozytywną ocenę etyczną wydaną przez powołane przez niego (i akceptowane przez płatnika!) gremium opiniodawcze. W drugim wariantcie publiczny płatnik powołuje własnych ekspertów, którzy w trakcie oceny projektów badawczych, skupiającej się głównie na ich wartości naukowej, biorą pod uwagę także ich wartość etyczną. W trzecim wreszcie przypadku publiczny płatnik w trakcie rozpatrywania wniosku ocenia jedynie jego wartość naukową, ale zobowiązuje stronę wnioskującą, aby po jego (warunkowym) zaakceptowaniu poddała go również kontroli etycznej.

Narodowe Centrum Nauki przez pewien czas wahało się (o ile mi wiadomo), jak rozwiązać zarysowaną kwestię podzielenia kompetencji, lecz ostatecznie zdecydowało się na rozwiązanie mieszane, w pewien sposób łączące niektóre zalety (ale

niestety i wady) wyżej wymienionych. Zgodnie z przyjętym przez nie scenariuszem publiczny płatnik nie wymaga wprowadzenia wniosku kontrolującej ocenie etycznej, ale zobowiązuje go, aby przeprowadził taką kontrolę po otrzymaniu decyzji o merytorycznej akceptacji planowanych badań (a zatem jeszcze przed ich rozpoczęciem). Ponadto jednak grantowa agencja nakłada określone obowiązki związane z etyczną kontrolą rozpatrywanych projektów, także na potencjalnego indywidualnego grantobiorcę. Mianowicie zobowiązuje go, aby składając swój wniosek wypełnił również zawarty w nim formularz etyczny, odpowiadając na całą listę pytań dotyczących etycznych aspektów jego badawczych zamiarów. Na podstawie udzielonych na nie odpowiedzi sama osoba aplikująca, ale także zespół oceniających jej projekt merytorycznych ekspertów, mają rozstrzygnąć, czy w razie jego (warunkowej) akceptacji będzie on jeszcze wymagał dodatkowej kontroli etycznej. Jeżeli tak, merytorycznie zaakceptowany projekt musi jeszcze przejść taką ocenę, przeprowadzoną przez odpowiednią komisję etyczną.

Naszkicowane stanowisko Rady NCN samo w sobie nie przesądza jeszcze, jak rozumieć (czy też „skąd wziąć”) owe odpowiednie komisje etyczne oceniające projektowane badania i w jakim stosunku mają one pozostawać do realizujących te projekty instytucji badawczych. Jest jednak jasne, że Rada była, chcąc nie chcąc, zmuszona „wziąć na warsztat” także ten ostatni regulacyjny i proceduralny problem, i rzeczywiście spróbowała sobie z nim poradzić.

Jakie badania wymagają oceny etycznej?

W 2016 r. ukazał się dokument zatytułowany *Zalecenia Rady Narodowego Centrum Nauki dotyczące badań z udziałem ludzi*. Na samym jego początku Rada pisze, że przygotowała go „[m]ając na uwadze zapewnienie badaniom naukowym finansowanym ze środków Narodowego Centrum Nauki zgodności z wysokimi

standardami etycznymi oraz wsparcie badaczy przy rozstrzygnięciu dylematów etycznych związanych z projektowaniem i prowadzeniem badań”. Twórcy zaleceń są przy tym najwyraźniej przekonani o tym, że dla realizacji tego dwoistego celu (zgodność ze standardami i pomoc w rozstrzygnięciu dylematów) przydatne będzie poddawanie projektów badań finansowanych przez NCN uprzedniej ocenie odpowiednich komisji ds. etyki badań naukowych. Ich rekomendacje kierują się przy tym równocześnie do dwóch grup adresatów: z jednej strony „do jednostek naukowych oraz innych podmiotów aplikujących o granty NCN”, którym zaleca się, aby powoływały stosowne komisje, a z drugiej do wnioskodawców planujących badania z udziałem ludzi, którym zaleca się, aby zwracali się do tych komisji o akceptującą ocenę swojego projektu. Zalecenie kierowane do akademickich podmiotów aplikujących o granty jest przy tym uprzejmie nazywane prośbą. Zalecenie kierowane do indywidualnych wnioskodawców jest przypuszczalnie czymś więcej niż prośbą, ale czym dokładnie, to nie jest zbyt jasne (przynajmniej na tym etapie nie mówi się bowiem, jakiego rodzaju sankcji musi się spodziewać niesubordynowany wnioskodawca, który na przekór wszystkiemu nie podda swojego projektu etycznej ocenie stosownej komisji, pomimo jej istnienia w jego instytucji).

Zarówno dla komisji, które mają opiniować projekty badań wymagających oceny etycznej, jak i dla badaczy zwracających się do nich o taką opinię, pierwszorzędą wagę ma przy tym pytanie, jakie to właściwie badania Rada NCN uważa za wymagające oceny etycznej. Omawiany dokument odnosi się do tej kwestii w dwóch miejscach. Najpierw stwierdza, że zawarte w nim zalecenie (dotyczące tworzenia komisji ds. etyki badań z udziałem ludzi) „nie jest ograniczone do konkretnej dziedziny czy dyscypliny naukowej i dotyczy wszystkich badań, w których planuje się oddziaływanie – w jakiegokolwiek formie – na ludzi”. Następnie zaś podaje pewną listę badań, które wymagają pozytywnej oceny komisji etycznych.

Zarówno wewnętrzny sens obu tych eksplikacji, jak ich wzajemny stosunek pozostawia wszakże sporo niejasności. Pomiędzy punktami bardziej szczegółowe i ograniczając się do spraw zasadniczych, możemy więc najpierw zapytać, czy zawarte w pierwszej z nich określenie badań wymagających oceny komisji etycznej jako „badań, w których planuje się oddziaływanie – w jakiegokolwiek formie – na ludzi” ma się tym samym odnosić do wszelkich badań z udziałem ludzi lub choćby tylko do tych spośród nich, które rodzą jakieś problemy etyczne. Obydwie supozycje wydają się sporne, bo przecież do badań z udziałem ludzi wypada zaliczyć i takie, które nie opierają się na „oddziaływaniu – w jakiegokolwiek formie – na ludzi”, lecz raczej na wykorzystaniu ludzkich danych, przy czym i te ostatnie mogą nie być wolne od wymagających bacznego uwagi problemów etycznych. A podobna wątpliwość odnosi się również do przytoczonej listy typów lub rodzajów badań, które Rada NCN uznaje za wymagające pozytywnej opinii komisji etycznej; również ta enumeracja nie uwzględnia bowiem tak dyskutowanych (szczególnie od ukazania się RODO) badań opartych na wykorzystywaniu czy też „przetwarzaniu” danych określonych osób bez poddawania ich jakiegokolwiek formie bezpośredniego lub nawet pośredniego oddziaływania.

Najbardziej jednak sporna kwestia, związana z interpretacją cytowanych zaleceń, dotyczy samego sensu owej oceny lub też opinii etycznej, której wymagają wyszczególniane w nich rodzaje badań (zwłaszcza jeżeli ich lista ma być zupełna). Nie jest bowiem jasne, czy wymagana ocena ma być za każdym razem pełna i gruntowna, czy też w niektórych przypadkach może ograniczać się do uproszczonego i pobieżnego przeglądu. Możemy to sobie uświadomić, biorąc pod uwagę np. wymieniane na koniec tego zestawienia „badania długotrwałe, męczące,

wyczerpujące fizycznie lub psychicznie”. Gdyby podana lista badań wymagających oceny komisji miała na względzie jakąkolwiek (a zatem niekoniecznie pełną i gruntowną) ocenę etyczną, a równocześnie (w intencji jej twórców) obejmowała ogół tego typu badań, musieliśmy np. powiedzieć, że badania psychologiczne, które nie są „długotrwałe, męczące, wyczerpujące fizycznie lub psychicznie”, tym samym nie muszą być poddawane ocenie komisji (i co najwyżej ocenione jako takie przez samych badaczy). Nie jest jednak pewne, czy stanowisko autorów zaleceń jest pod tym względem aż tak liberalne, czy też raczej chcą oni (i może nie całkiem potrafią) powiedzieć, że psychologiczne badania, które nie są długotrwałe ani męczące, ani też z innych powodów wymagające uważniejszej kontroli etycznej, mogą być poddane kontroli bardziej pobieżnej i na jej podstawie zwolnione z pełniejszej oceny.

Te niejasności i niedopowiedzenia w dokumencie NCN z 2016 r. jesteśmy wszakże skłonni traktować z pewną wyrozumiałością. Rozumiemy bowiem, że pierwsze kroki są trudne i z tym większą nadzieją czekamy na dalsze.

Czym są badania z udziałem ludzi

Tych dalszych regulacyjnych aktów NCN, formułujących zasady etycznej oceny projektów badawczych, nie ma zbyt wiele. W pewien sposób o tę tematykę zahacza *Kodeks Narodowego Centrum Nauki dotyczący rzetelności badań naukowych i starania o fundusze na badania*. Jednak zawarte w nim „standardy praktyk naukowych dotyczące planowania i przeprowadzania badań; dokumentowania wyników badań; publikowania i udostępniania wyników badań; autorstwa; współpracy naukowej; konfliktu interesów” brzmią naprawdę dostojnie, ale nie ułatwiają rozwiązywania dylematów etycznych, jakie nierzadko nasuwają projekty badawcze.

Bardziej konkretne (a przez to też bardziej kontrowersyjne) są zalecenia czy też polecenia skierowane do badaczy wnioskujących o grant NCN pojawiające się w dokumencie *Wytyczne dla wnioskodawców do uzupełnienia formularza dotyczącego kwestii etycznych w projekcie badawczym*. W etycznym formularzu, który musi wypełnić każda osoba wnioskująca o grant NCN, zawarte jest między innymi pytanie „Czy planowane badania odbywają się z udziałem ludzi?”. Aby udzielić na nie odpowiedzi, należałoby oczywiście wiedzieć, czym są badania z udziałem ludzi. Tej wiedzy wnioskodawcom, a zapewne też recenzentom ich wniosków, ma dostarczać definicja podawana na początku 2. sekcji wytycznych, odnoszącej się właśnie do badań z udziałem ludzi. Kłopot w tym, że ta wyjściowa informacja, pojawiająca się w różnych edycjach *Wytycznych* i w dokumentacjach do różnych konkursów, nie jest w nich za każdym razem taka sama, lecz przybiera co najmniej dwie formy: węższą i szerszą. A ponieważ żadna z tych wersji nie została formalnie odwołana ani też uznana za nieaktualną, wypada tutaj wziąć pod uwagę i jedną, i drugą, zwłaszcza że obie w pewien sposób nawiązują do regulacji uznawanych w innych krajach.

Zgodnie z węższą definicją przez badania z udziałem ludzi należy rozumieć: pozyskiwanie próbek biologicznych lub informacji poprzez interwencję medyczną lub interakcję z osobą badaną; wszelkie wykorzystanie, badanie, analizowanie i tworzenie informacji lub próbek biologicznych pozwalające na zidentyfikowanie osoby badanej.

Przytoczona definicja badań z udziałem ludzi zauważalnie nawiązuje do ich amerykańskiej charakterystyki, zawartej w *Kodeksie przepisów federalnych* (zob. U.S. Department of Health and Human Services. (2018), § 46.102).

Aby zdefiniować pojęcie naukowych badań z udziałem ludzi, trzeba najpierw wyjaśnić, jakie czynności poznawcze mają charakter badań naukowych. W amerykańskim *Kodeksie* tego

roku dokonuje się w ustępie § 46.102 (I), który po polsku oddałbym tak oto: „Badaniem naukowym nazywa się systematyczne postępowanie poznawcze, włącznie z pozyskiwaniem, sprawdzaniem i oceną danych badawczych, zaprojektowane w celu rozwinięcia lub przyczynienia się do rozwoju wiedzy ogólnej”.

Zgodnie z przytoczonym ustępem badanie naukowe (research) jest szczególną formą działania w obrębie szerzej rozumianego postępowania poznawczego, w oryginale określanego jako „investigation”. Tym, co znamionuje tę swoistą aktywność, odróżniając ją od innych czynności poznawczych wykonywanych nieraz także w obrębie nauki, lecz niemających statusu badań naukowych, jest połączenie dwóch niezależnych cech: niewyjaśnianej tu bliżej systematyczności oraz charakterystycznej intencji, utożsamianej z nastawieniem na wiedzę ogólną. Badaniem naukowym w znaczeniu przytoczonej definicji nie będzie więc ani postępowanie poznawcze, które jest wprawdzie prowadzone w sposób systematyczny, lecz nie ma wnosić istotnego wkładu ani nawet załączkowego przyczynku do wiedzy ogólnej (jak np. projekt poprawy jakości usług medycznych, które realizuje się w jakimś szpitalu, nie zakładając, że jego wyniki będą przydatne i w innych placówkach), ani też działanie, które co prawda podejmuje się w celu wzbogacenia wiedzy ogólnej, lecz realizuje bez metodycznego porządku lub planu (jak np. seria nieustrukturyzowanych obserwacji, których wyniki zamierza się przedstawić na naukowej konferencji jako wstępnie potwierdzające pewną hipotezę). Konstytutywna dla badań naukowych ogólna intencja ma być przy tym niejako wpisana w ich projekt: badaniem naukowym jest jedynie postępowanie poznawcze zaprojektowane (designed) w celu rozwinięcia lub przyczynienia się do rozwoju wiedzy ogólnej; nie jest nim zatem działanie, które jedynie faktycznie, lecz akcydentalnie przyczynia się – choćby nawet znacząco – do uzyskania ważnych wyników poznawczych, jeżeli było zaprojektowane w jakimś innym celu.

Drugim głównym krokiem, który należy wykonać w celu określenia „badań z udziałem ludzi”, jest wyjaśnienie, jakiego rodzaju czynności poznawcze, a w szczególności badania naukowe odbywają się „z udziałem ludzi”. Na to pytanie w omawianych przepisach odpowiada § 46.102 (e1): „Ludzki uczestnik [badania] oznacza żyjącą osobę, na temat której podmiot przeprowadzający badanie:

- (i) pozyskuje informacje lub próbki biologiczne poprzez interwencję lub interakcję z daną osobą oraz wykorzystuje, bada lub analizuje pozyskane informacje lub próbki biologiczne; lub
- (ii) pozyskuje, wykorzystuje, bada, analizuje lub wytwarza identyfikowalne prywatne informacje lub próbki biologiczne”.

Wąska definicja badań z udziałem ludzi zamieszczona w wytycznych NCN wykorzystuje, jak nietrudno dostrzec, to wyżej przytoczone ogniwo z łańcucha regulacji w amerykańskim Kodeksie. Nie uwzględnia jednak ani pozycji wcześniejszych, ani też – do czego jeszcze powrócę – normatywnych konsekwencji, które po nim następują.

Szeroka definicja badań z udziałem ludzi z innych edycji Wytycznych NCN głosi: „Przez badania z udziałem ludzi należy rozumieć wszelkie badania, w których uczestniczą ludzie.

Badania takie mogą obejmować wywiady, obserwacje, użycie danych osobowych, pozyskiwanie próbek biologicznych, interwencje medyczne i psychologiczne, wykorzystanie wcześniej zebranych informacji, itd.”.

Przytoczony ustęp ma tłumaczyć sens badań z udziałem ludzi i w pierwszym zdaniu oznajmia, że należy przez nie rozumieć „wszelkie badania, w których uczestniczą ludzie”. Ażeby to oświadczenie nie było pustą tautologią, należałoby przyjąć, że „badanie z uczestnictwem ludzi” znaczy co innego niż „badanie z udziałem ludzi” oraz wyjaśnić, co ono oznacza. Przy życzliwej interpretacji takim wyjaśnieniem ma być podane w drugim zdaniu wyliczenie różnych typów badań podpadających pod formułowaną definicję. Z tej raczej przykładowej niż kompletnej listy najbardziej godna uwagi jest jej ostatnia pozycja, w której do badań z udziałem ludzi zalicza się również „wykorzystanie wcześniej zebranych informacji”. Oczywiście zakłada się przy tym milcząco, że mają to być informacje o ludziach, ale nie zastrzega, że tylko o ludziach prywatnych czy też dających się zidentyfikować. Tym samym przytoczona szersza definicja nie wyklucza z zakresu badań z udziałem ludzi również takich badań, jak wykluczane przez węższą definicję badania oparte na danych publicznie dostępnych czy też skutecznie zanonimizowanych. Ponadto zaś na koniec tej enumeracji autorzy Wytycznych dodają jeszcze skrót „itd.”. W ten sposób sugerują,



że w poszerzaniu zakresu badań z udziałem ludzi można posunąć się jeszcze dalej, chociaż nie dają poznać, jak daleko.

Wiarygodną hipotezę w tej ostatniej kwestii możemy sformułować, gdy zauważymy, że przytoczona szeroka definicja badań z udziałem ludzi, jaką znajdujemy w *Wytycznych*, jest (przypadkowo lub nieprzypadkowo) bardzo zbliżona do ich innej charakterystyki, która pojawia się w światowej literaturze, a przy tym występuje w nieco bardziej iluminującym kontekście. Tym poprzednikiem, a może też pierwowzorem szerszej definicji z *Wytycznych* jest mianowicie opis, który badania odbywające się z udziałem ludzi, a w każdym razie odnoszące się do ludzi, uzyskują w australijskim dokumencie National Health and Medical Research Council, Australian Research Council & Universities Australia (2023) National Statement on Ethical Conduct in Human Research. W jego sekcji zatytułowanej „czym są badania odnoszące się do ludzi” (*What is human research?*) czytamy mianowicie: „Badania odnoszące się do ludzi to badania prowadzone z ludźmi lub dotyczące tych ludzi, ich danych albo tkanek (Human research is conducted with or about people, or their data or tissue)”.

Po tej wstępnej formule wymienia się zaś kilka sposobów tak szeroko rozumianego udziału ludzi w badaniach, a na koniec tej listy: „dostęp do ich informacji (w formie umożliwiającej identyfikację, z możliwością ponownej identyfikacji lub w formie nieumożliwiającej identyfikacji) jako część istniejącego, opublikowanego lub nieopublikowanego źródła albo bazy danych” (tamże, s. 7; podkr. moje, W.G.).

Wymóg dobrowolności

Czy przyjmując tak obszerną definicję badań odnoszących się do ludzi, można jeszcze podtrzymywać rygorystyczne normy etyczne, które mają się stosować do tak określonej kategorii badań, a w szczególności bezwzględna reguła wymagająca poddawania ich ocenie komisji etycznych? Otóż wydaje się, że jest to możliwe, ale jedynie przy bardzo elastycznym rozumieniu wymaganej oceny komisji etycznej. Konieczność uelastycznienia tego wymogu, jako warunku możliwości jego rozciągnięcia także na badania oparte na danych nieidentyfikowalnych, dobrze uświadamiają sobie autorzy australijskiego *Oświadczenia*. Zastrzegają oni bowiem, że chociaż wszelkie badania dotyczące ludzi należy poddać etycznej ocenie, to jednak typ i poziom rygoryzmu tej oceny powinien być dostosowany do stopnia towarzyszącego im ryzyka. Badania o wyższym stopniu ryzyka muszą przejść (pełną) ocenę formalnej czy też ustawowej komisji etycznej. Dla badań o niższym stopniu ryzyka odpowiedzialna za nie instytucja musi natomiast wybrać jedną z kilku możliwych odmian oceny niższego poziomu. Co więcej, niektóre badania dotyczące ludzi mogą zostać zwolnione (exempt) z formalnej oceny etycznej. Taką możliwość uznaje już węższa koncepcja badań z udziałem ludzi formułowana w amerykańskim *Kodeksie*, tym bardziej więc nie może jej odrzucić szersza koncepcja z australijskiego *Oświadczenia*. Badaniem kwalifikującym się do zwolnienia z formalnej oceny etycznej jest w jej ujęciu badawcze przedsięwzięcie, które łączy się z ryzykiem niższego stopnia i należy do którejś z klas badań ze względu na swoją metodę niestwarzających zazwyczaj problemów etycznych (np. do badań, które „wykorzystują wyłącznie informacje publicznie dostępne w trybie określonym przez ustawodawstwo lub przepisy wykonawcze i chronione prawem”).

O możliwości zwolnienia badań z udziałem ludzi z wymogu oceny komisji etycznej, ani nawet zróżnicowania tej wymaganej oceny na jej odmianę bardziej lub mniej rygorystyczną nie wspomina się natomiast w polskich *Wytycznych*, i to ani w ich edycji definiującej badania z udziałem ludzi w węższy sposób amerykański, ani w przyjmującej ich szerszą definicję typu australijskiego. Brak takiej wzianki, nie mówiąc już o głębszej analizie, jest szczególnie uderzający w tym drugim przypadku.

Po bardzo szerokiej definicji badań z udziałem ludzi (poszerzonej jeszcze potencjalnie przez zwrot „itd.”) autorzy tej wersji *Wytycznych* zamieszczają akapit: „Udział uczestników badania musi być całkowicie dobrowolny i badacz musi pozyskać świadomą zgodę uczestników lub przedstawiciela ustawowego na udział w badaniach oraz zgodę odpowiedniej komisji przed rozpoczęciem prac. W przypadku badań, w których uzyskanie zgody uczestników nie jest uzasadnione ze względów metodologicznych, badacz powinien przedstawić powody odstąpienia od procedury pozyskiwania zgody oraz opisać jakie starania podjął, aby badania przeprowadzone zostały w sposób etyczny”.

W pierwszym zdaniu przytoczonego ustępu wymienia się dwa rodzaje zgody, jakie musi pozyskać badacz przed przystąpieniem do realizacji swojego projektu: „świadomą zgodę uczestników lub przedstawiciela ustawowego na udział w badaniach” oraz „zgodę odpowiedniej komisji”, która – jak przynajmniej można się domyslać – ma być przyzwoleniem na przeprowadzenie planowanych badań opartym na uznaniu ich etycznej akceptowalności. W kolejnym zdaniu mówi się o sytuacji, w której badaczowi – po spełnieniu określonych warunków – wolno jest odstąpić od procedury pozyskiwania zgody. To warunkowe zezwolenie odnosi się jednak tylko do zgody uczestników badań, a nie do zgody – czy też aprobującej opinii – komisji etycznej. Stąd wynikałoby, że obowiązek uzyskania zgody komisji etycznej na jakiekolwiek badania z udziałem ludzi jest w *Wytycznych* traktowany jako obowiązek bezwarunkowy, a w każdym razie nieograniczany przez żadne explicite podane warunki.

Życiwa pogróżka

Jest rzeczą ciekawą, jak w opisanej sytuacji ma zachować się polski wnioskodawca planujący badania z udziałem ludzi, które zarówno w świetle regulacji amerykańskich, jak australijskich kwalifikowałyby się do zwolnienia z wymogu formalnej oceny etycznej – jak ma on odpowiedzieć na stawiane mu w formularzu pytanie, czy w jego wniosku planowane są badania odbywające się z udziałem ludzi?

To pytanie w obecnym stanie naszych regulacji sprawia kłopot nie tylko aplikującym o grant. Jest ono kłopotliwe, a w każdym razie powinno być takie, również dla recenzentów oceniających ich wnioski. Częścią oceny wniosku o grant jest wszak ocena jego akceptowalności na podstawie informacji podanych w formularzu etycznym. Przystępującym do wypełniania tego kwestionariusza aplikantom nie szczędzi się paternalistycznej przestrogi: „Podane informacje zostaną wykorzystane przez ekspertów do oceny projektu pod kątem etyki oraz dobrych praktyk wypracowanych dla poszczególnych dyscyplin. Nieprawidłowe lub niepełne wypełnienie formularza etycznego może być potraktowane przez zespół ekspertów jako przesłanka do niefinansowania wniosku”.

Tę na pewno życziwą pogrózkę powinni wziąć sobie do serca także członkowie zespołu ekspertów. Z formułowanych przez NCN zasad dowiadujemy się przecież, że ekspert uczestniczący w pracach Zespołu oceniającego ma „zadawać zwięzłe pytania, a jego uwagi powinny być jednoznaczne i konstruktywne”, podobnie jak podczas przygotowania oceny powinien „[u]żywać jasnych, analitycznych i jednoznacznych sformułowań”. Są to niewątpliwie bardzo cenne wskazówki i rady, ale trochę szkoda, że twórcy dokumentów NCN nie zastosowali ich również do siebie.

Pierwsze kroki są zawsze trudne, ale dalsze mogą być jeszcze trudniejsze.

Prof. dr hab. Włodzimierz Galewicz,
filozof, eseista, tłumacz, Zakład Badań nad Etyką Zawodową w Instytucie Filozofii,
Wydział Filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek korespondent Polskiej Akademii Nauk

Zbigniew Drozdowicz

Bycie filozofem

Łatwiej jest się czepiać innych niż zrobić rachunek swojego „filozoficznego sumienia” i przyznać się do akademickich „grzechów”. Zapewne i u mnie trochę by się ich znalazło. Chciałbym jednak powiedzieć nie o tych, które być może nie spotkałyby się z usprawiedliwieniem w środowisku akademickim, ale o tych, które sam potrafię rozgrzeszyć.

W czasach, w których niemal każdy uznaje się za filozofa, nie jest łatwo odróżnić uprawiających jakąś formę profesjonalnej filozofii od tych, którzy mniej lub bardziej udanie ich naśladowają. Rzecz jasna od czasów starożytnych po współczesne wiele się w filozofii zmieniło. Artykuł nie ma być jednak przeglądowym wykładem z historii filozofii, ale krótką prezentacją dwóch jej światów, tj. świata tradycjonalistów i świata modernistów.

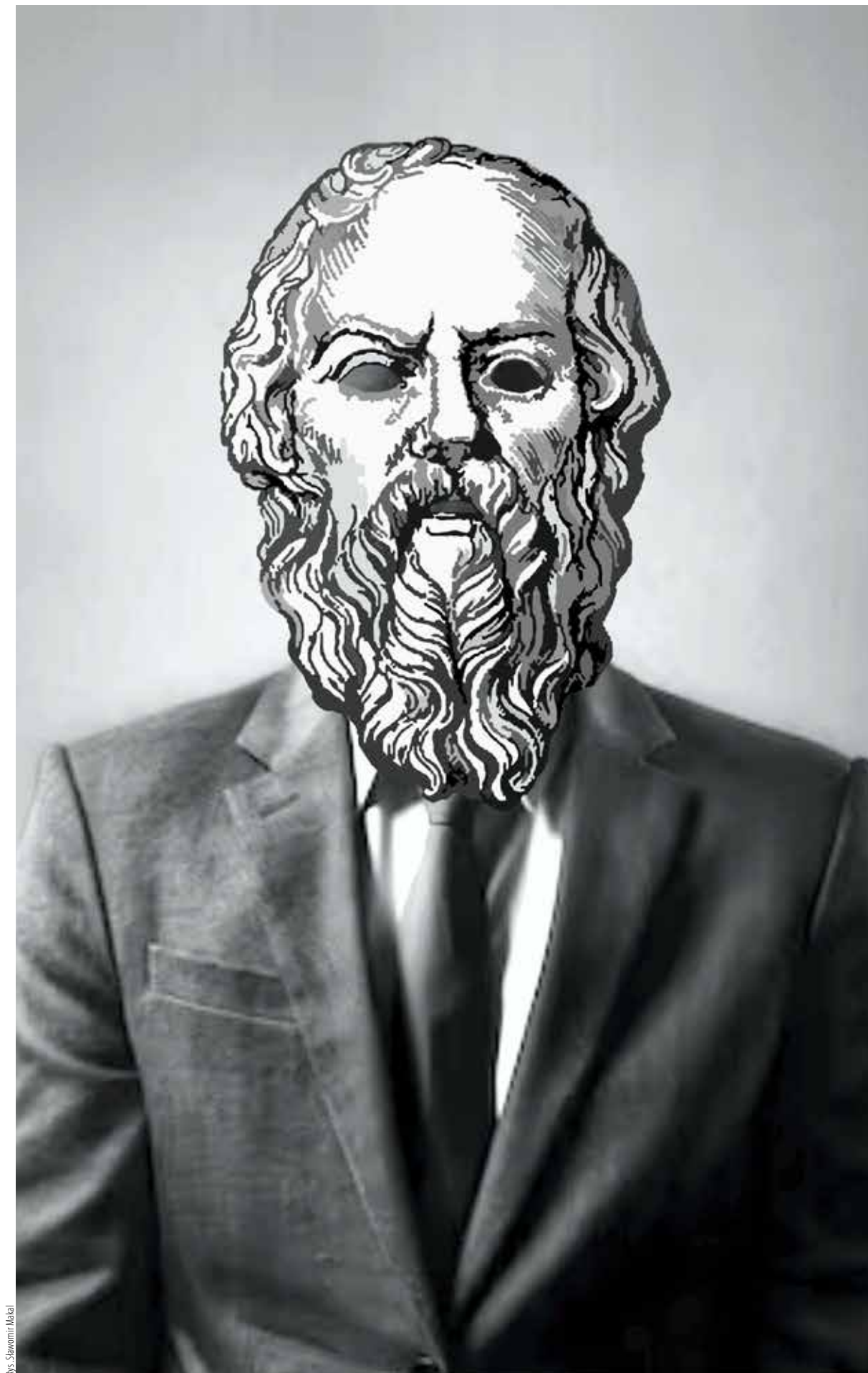
Tradycjonałiści

Pojęcie tradycjonalizmu kojarzone jest nierzadko z pojęciem konserwyzmu. Nie będę z tym polemizował, bowiem chodzi o to, aby wskazać możliwie jasno zasadnicze różnice między tymi światami. Za najistotniejszą cechę świata tradycjonalistów uznaję nie tylko ich dążenie do prawdy (bo dążą do niej różni filozofowie i nie tylko oni), lecz stanowisko, że prawda oznacza prawdę, a fałsz oznacza fałsz. Wszystko, co się pojawia między nimi, zasługuje czasami na zainteresowanie filozofa, ale nie na uznanie za wiedzę, pod którą mógłby się podpisać tradycjonalistyczny filozof. W czasach starożytnych takim filozofem byli zarówno Platon, jak i jego bezpośredni uczeń Arystoteles. Różnili się oni pod niejednym względem, jednak nie pod względem pojmowania i przedstawiania autentycznej wiedzy. Pierwszy z nich odróżniał Logos (to, co jest całkowicie rozumne) od Mythos (mity, którą mogą mieć coś z rozumności, ale więcej jest w nich wiary). Natomiast według drugiego z nich to, czego nie można w pełni dowieść, nie jest w gruncie rzeczy warte zainteresowania i zaangażowania prawdziwego filozofa. Ten bowiem nie tylko jest „miłośnikiem prawdy” (gr. *philō* – miłuję; *sophía* – mądrość), ale także osobą wyposażoną w zdolności poznawcze, które umożliwiają jej osiągnięcie (wg. Arystotelesa rozstrzygającą zdolnością ludzkiego umysłu jest ostatecznie intelekt).

Filozoficzną tradycję czasów średniowiecza kojarzy się nie tylko z jej uleganiem „wdziękom” teologii, ale także ze scholastyką, która bazując na platońskiej i arystotelesowskiej filozofii, doprowadziła sztukę dialektycznego myślenia do takich zawiłości językowych, że dzisiaj trzeba prosić „łacinników” o pomoc w ich rozwikłaniu. Jacques Le Goff w *Inteligencji w wiekach średnich* napisał, że ta „dialektyka pozwalała wyjść poza rozumienie tekstu, aby roztrząsać wyłaniające się z niego problemy, usuwać go na plan drugi wobec poszukiwania prawdy. Egzegezę zastępuje problematyka. Dzięki odpowiednim metodom, *lectio* przekształca się w *questio*. Uniwersytecki intelektualista rodzi

się z chwilą, gdy «bierze na tortury» tekst, będący tylko punktem wyjścia: odtąd jego rola z biernej staje się czynna. Profesor nie jest już egzegetą. Podaje własne rozwiązania, tworzy. Sformułowana przez niego konkluzja owej *questio*, zwana *determinatio*, jest samodzielnym tworzywem jego myśli”. Nie będę tłumaczył z „obcego na nasze” znaczenia łacińskich terminów, bowiem mogłoby to spowodować dyskusję ze znawcami łaciny. Dopowiem jednak, że średniowieczna dialektyka rozwijała się tak dynamicznie, aż w końcu „zjadła własny ogon” (jeśli tak można powiedzieć o prowadzeniu scholastycznych dysput dla nich samych). Już w XVI w. pojawiły się wobec niej poważne zastrzeżenia (np. na kartach *Pochwały głupoty* Erazma z Rotterdamu), a w następnym stuleciu akademicy wprowadzili powszechnie posługiwali się łaciną, ale wyrażali nią przemyslenia, które mocno różniły się od dokonań średniowiecznych teologów i filozofów. Przykładem może być zarówno Kartezjusz, jak Leibniz, Kant czy Hegel. Łączyło ich przekonanie, że dążą do prawdy oraz że prawda, do której doszli, jest w gruncie rzeczy jedyną właściwą. Trzeba przy tym dodać, że nie tylko posilkowali się matematyką, ale także się na niej wzorowali.

Na początku XX w. swoista „twierdza” filozofów może nie upadła, ale doznała sporego ubytku „na urodzie”. Związane to było z wykazaniem przez Kurta Gödla, że „arytmetyka jest niezupełna” lub też – co w gruncie rzeczy na to samo wychodzi – nie można sformułować rozstrzygającego dowodu na niesprzeczność jej twierdzeń. Dla laika może to wyglądać na „zawracanie głowy”. Jednak nie dla matematyków i filozofów, którzy bazowali na niezawodności matematyki. Józef Życiński, przedstawiając to odkrycie w *Granicach racjonalności*, stwierdza, że „najwybitniejsze umysły matematyczne podzielały jeszcze w początkach naszego stulecia wiarę w opinię Davida Hilberta, iż odpowiednie połączenie wysiłku i inteligencji badacza powinno doprowadzić na terenie matematyki do rozwiązania wszystkich kwestii (...) Publiczny szok, niszczący zarówno dominującą filozofię matematyki, jak i niezależne od niej marzenie Leibniza, nastąpił podczas konferencji z zakresu epistemologii nauk ścisłych, którą Towarzystwo Filozofii Empirycznej zorganizowało w Królewcu we wrześniu 1930 roku (Gödel przedstawił na nim i uzasadnił swoje pierwsze twierdzenie)”. Społecznością filozofów nauki wstrząsnęło jeszcze bardziej drugie twierdzenie Gödla, tj. „twierdzenie o niezupełności”. W jego świetle, „dowodu wewnętrznej niesprzeczności bogatych systemów logicznych nie można wypracować za



Rys. Sławomir Makal

pomocą środków dostępnych w tych systemach”; takie „oczekiwanie jest równie nierealne, jak podejmowane przez barona Münchhausena próby wyciągnięcia siebie samego za włosy z bagna”.

Być może był to wstrząs dla tradycjonalistycznych filozofów. Jednak nie aż tak wielki, aby nie podejmowali kolejnych poważnych prób pokonania przeszkód pojawiających się na drodze do obiektywnej prawdy. Takich filozofów było zresztą wielu. Nazywani są filozofami analitycznymi. Stanowią jednak mocno zróżnicowane towarzystwo. Należą do nich bowiem m.in. przedstawiciele różnych wersji pozytywizmu. Karl R. Popper w swojej *Logice odkrycia naukowego* twierdzi, że „Pozytywista wzdryga się na myśl, że sensowne problemy mogłyby istnieć poza sferą «pozytywnych» nauk empirycznych – problemy, którymi warto by się miała autentyczna teoria filozoficzna”. Należą do nich również zwolennicy stawiania śmiałych hipotez i poddawania ich próbom wykazania fałszywości (falsyfikacji), jak przywoływany tutaj Popper. W tym gronie znajdują się również zwolennicy różnych wersji filozofii analitycznej, począwszy od „logistów” jak amerykański filozof i logik Donald H. Davidson, a skończywszy na zwolennikach teorii „semantycznie zorientowanych dyskursów”, jak niemiecki filozof Jürgen Habermas. Do tej formacji zalicza się również szkołę lwowską-warszawską, w tym jej założyciela Kazimierza Twardowskiego. Można oczywiście wymienić jeszcze innych tradycjonalistów, którzy z uporem powtarzają, że prawda jest jedna, a półprawdy czy ćwierćprawdy to po prostu nieprawdy.

Moderniści

W końcu XIX i na początku XX w. tym mianem określano ruch katolicki, który stanowił reakcję na ówczesną liberalizację i sekularyzację życia społecznego. Podpadałby on zatem raczej pod miano tradycjonalizmu niż modernizmu, w rozumieniu, jakie zaproponowane zostało w tych rozważaniach. Bliższe jest mu rozumienie tego pojęcia, które łączy się z występującym w XX w. ruchem literackim i muzycznym, w którym eksponowano elementy subiektywnego doświadczenia. Jednak były w nim również obecne elementy irracjonalizmu, artykułowane w opozycji do racjonalizmu, który stał się wizytówką epoki europejskiego Oświecenia. W przyjętym tutaj rozumieniu modernizmu, moderniści nie tylko go nie odrzucają, ale wręcz się do niego przyznają. Nie będę jednak go dookreślał, dopowiem tylko, że w nowożytnych językach termin „modern” oznacza tyle co „nowoczesność”. Przywołam dwóch przedstawicieli tak rozumianego modernizmu w filozofii.

Pierwszym jest oświeceniowy filozof francuski Wolter. Jego biograf René Pomeau twierdzi, że „szcunkiem dla czegośkolwiek nie grzeszył”, a już z całą pewnością nie dla religii, w której był wychowany i kształcony w jezuickim Kolegium Ludwika Wielkiego w Paryżu. Trzeba mu jednak oddać, że miał talent literacki, który uczynił z niego mistrza złośliwych, a czasami wręcz napastliwych wypowiedzi. Potrafił przy tym znaleźć „ofiara”, która nie chciała albo nie potrafiła się bronić. Przykładem może być przyrodnik Pierre Louis de Maupertuis. Rzecz jasna Wolter nie do końca orientował się, czym ten uczony się zajmuje, a tym bardziej jakie ma osiągnięcia w przyrodznawstwie. Był jednak przekonany, że taka orientacja nie jest mu do niczego potrzebna. Inaczej to wygląda w przypadku osiągnięć angielskiego matematyka i fizyka Izaaka Newtona. Tego uczonego Wolter chwalił. Powoływał się przy tym na jego fundamentalne dzieło *Matematyczne zasady filozofii naturalnej*. Nawet zaawansowany naukowo matematyk i fizyk może mieć trudności w zorientowaniu się, do czego zmierzają zamieszczone w nim liczne wyliczenia i wykresy. Wolter jak gdyby nigdy nic przeszedł nad nimi „do porządku dziennego”

i skupił uwagę na zamieszczonym na końcu dzieła *Scholium ogólnym*. W swoim przekonaniu dobrze je zrozumiał, natomiast w moim – opacznie.

Być może nie warto byłoby przywoływać tego filozofa, gdyby nie fakt, że ma on dzisiaj liczną grupę naśladowców, również takich, którzy nie bardzo się orientują, kto jest dla nich pierwowzorem. Przykładem może być chociażby biolog ewolucyjny Richard Dawkins (do przejścia na emeryturę w 2008 r. profesor Uniwersytetu Oxfordzkiego), autor m.in. książki *Bóg urojony*. W świetle tego dzieła Bóg każdej religii jest urojeniem, a sama religia stanowi „niebezpieczny nonsens, który uczy wrogości wobec innych ludzi”. Nie tylko jest to powiedziane „po wolterowsku”, ale także stanowi powielenie myślenia Woltera o tradycyjnych religiach. Ten współczesny wolterianin nie miał wprawdzie teologicznego wykształcenia, ale przynajmniej był wysokiej klasy akademickim specjalistą w zakresie biologii ewolucyjnej. A ilu jest specjalistów „od niczego”, którzy chętnie wypowiadają się, jakby znali się na wszystkim?

Drugim przykładem współczesnego modernisty jest amerykański filozof Richard McKay Rorty (profesor m.in. uniwersytetów Princeton i Stanforda). W książce pt. *Przygodność, ironia i solidarność* określił siebie jako ironistę, dla którego nie ma nic świętego. Ma jednak jedno wielkie zmartwienie, tj. aby „pewnego dnia jego odlegli potomkowie żyli w globalnej cywilizacji, w której miłość jest w zasadzie jedynym prawem”. Wszystkie inne „uniwersalne” pretensje i oczekiwania należy całkowicie porzucić. W swojej Autobiografii *intelektualnej* napisał, że po opublikowaniu *Przygodności* „często pytano go czy wciąż jeszcze jest filozofem. Jego odpowiedź brzmiała: «Pewnie. Jak inaczej mógłbym siebie nazywać? Przeczytałem za mało książek spoza filozofii, aby określać się mianem przedstawiciela jakiegokolwiek innej dyscypliny». Jestem również pytany, czy nadal jestem filozofem *analitycznym*, na co odpowiadam: «Tylko we wtorki i w czwartki» – z uwagi na fakt, iż ciągle pracuję nad obydwojema typami zagadnień, które wyróżniłem wcześniej”. Z kolei w odpowiedzi na pytanie: „czy filozofia analityczna wygaśnie, czy też «wygra»?” stwierdził: „Nie mam pojęcia, jaka jest odpowiedź, jednak nie sądzę, aby pytanie było szczególnie istotne”. Takie żarty nie przypadły do gustu amerykańskim filozofom analitycznym, którzy cieszyli się sporym uznaniem m.in. w Uniwersytecie Virginia (w latach 1982-1998 Rorty był w nim zatrudniony na stanowisku profesora nauk humanistycznych). W swojej Autobiografii wspomina, że jego *Przygodność, ironia i solidarność* spotkała się z ich strony „z druzgocącą krytyką”.

Rzecz jasna łatwiej jest się czeplić innych niż zrobić rachunek swojego „filozoficznego sumienia” i przyznać się do akademickich „grzechów”. Zapewne i u mnie trochę by się ich znalazło. Chciałbym jednak powiedzieć nie o tych, które być może nie spotkałyby się z usprawiedliwieniem w środowisku akademickim, ale o tych, które sam potrafię rozgrzeszyć. Należy do nich m.in. zauroczenie najpierw filozofią Blaise’a Pascala, a później Kartezjusza. To, że od tej pierwszej dosyć szybko (bo zaledwie w ciągu kilku lat) przeszedłem do tej drugiej, skłonny jestem nazwać (za Maksem Weberem) „odczarowaniem” jednego świata i „zaczarowanie” drugim. Jeszcze później zacząłem się uważnie przyglądać oświeceniowym filozofom, którzy krytykowali Kartezjusza. Nie mogę jednak powiedzieć, że uległem ich argumentacji w takim stopniu jak argumentacji kartezjańskiej. Skłoniła mnie ona jednak do pewnej rewizji ocen profesjonalnej filozofii. Natomiast z „grzechu”, jakim jest częste wypowiadanie się na łamach FA o problemach środowiska akademickiego nie potrafię się wytłumaczyć.

(Pierwotna wersja tego artykułu w: *Bycie akademikiem*, Wydawnictwo UAM, Poznań 2025)

Wbrew woli głównego badacza

Opisana poniżej historia w porównaniu do wielu przedstawianych wcześniej spraw stanowi niewielki uszczerbek na rzetelności naukowej. Pokazuje jednak podejście do tego typu naruszeń etyki zarówno uczelnianych organów dyscyplinarnych, jak i samych poszkodowanych. To powszechna na uczelniach wyższych „Omertà accademica”.

Dr inż. Aneta Lewkowicz jest z wykształcenia chemikiem po skończonych w 2009 r. pięcioletnich studiach magisterskich na Wydziale Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pogłębiła swoją wiedzę uzyskując inżynierski licencjat z technologii chemicznej na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Z kolei studia doktoranckie w zakresie fizyki molekularnej odbywała już na drugim końcu Polski, w Uniwersytecie Gdańskim, gdzie w 2015 r. pod opieką promotorską prof. Piotra Bojarskiego obroniła w języku angielskim doktorat ze spektroskopii. Tam też od października 2016 r. znalazła zatrudnienie na etacie adiunkta w Zakładzie Biomateriałów i Fizyki Medycznej (kierownik: prof. Piotr Bojarski) Instytutu Fizyki Molekularnej na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii UG.

W maju 2024 r. za pośrednictwem Rady Doskonałości Naukowej otworzyła na macierzystym wydziale przewód habilitacyjny. Jako osiągnięcie naukowe przedstawiła cykl 12 publikacji anglojęzycznych pod wspólnym tytułem *Projektowanie molekularne z wykorzystaniem elektronowej energii wzbudzenia oraz wybranych efektów stężeniowych w matrycach fluoryzujących*. Temu osiągnięciu badawczemu towarzyszyły dalsze 4 artykuły w dorobku naukowym oraz zaakceptowany wniosek patentowy. Po otrzymaniu pozytywnych recenzji, 6 lutego 2025 r. Rada Dyscypliny Nauki Fizyczne UG nadała jej stopień doktora habilitowanego.

Szybka nominacja

Wkrótce po habilitacji Anetę Lewkowicz powołano na stanowisko profesora uczelnianego. Jej wieloletnie, aczkolwiek prywatne zainteresowania zbrodnią i karą spowodowały, że od kilku lat wykladała zagadnienia metod badawczych w kryminalistyce, kierując unikalnym, założonym przez siebie Laboratorium Ujawniania Śladów Kryminalistycznych. Powstało ono na Wydziale Prawa i Administracji UG i funkcjonowało przy Katedrze Prawa Karnego Procesowego i Kryminalistyki.

I tutaj zaczyna się ciekawa historia. Jednym z głównych osiągnięć naukowych dr inż. Anety Lewkowicz było odkrycie fizyko-molekularnych mechanizmów uwidocznienia związku chemicznego, którego ślady pozostają w liniach papilarnych.

Pozwala to uwidaczniać odciski palców na papierach światłoczułych (np. kwity kasowe czy potwierdzenia zapłaty z kas fiskalnych), co dotąd było prawie niemożliwe lub bardzo trudne. Co więcej, jej metoda nie wymaga stosowania szkodliwych i trujących odczynników, dlatego można ją wykorzystać w terenie, na miejscu przestępstwa. Metoda została przez dr inż. A. Lewkowicz zgłoszona do opatentowania w Urzędzie Patentowym pod koniec grudnia 2022 r.

Z uzyskanych nieoficjalnie informacji wynika, że gdy gdańscy kryminaliści z Wydziału Prawa i Administracji UG dowiedzieli się o odkryciu i pracach nad nową metodą, zaproponowali dr inż. Anecie Lewkowicz pomoc w finansowaniu prac badawczych. Dr hab. Krzysztof Woźniewski, prof. UG, kierownik tamtejszego Zakładu Kryminalistyki i Prawa Dowodowego Katedry Prawa Procesowego i Kryminalistyki (kierownik Katedry: dr hab. Sławomir Steinborn, prof. UG), wystąpił o grant w programie Opus 2021 Narodowego Centrum Nauki. Wśród 6 osób wymienionych jako współpracownicy w otrzymanym grantie głównym wykonawcą rzeczywistym była dr inż. Aneta Lewkowicz. Trzyletni grant „Nowe fizykochemiczne metody ujawniania śladów daktyloskopijnych jako kryminalistyczne narzędzie zwiększenia efektywności” 2021/41/B/HS5/03250 miał wartość prawie 900 tysięcy złotych. Zrealizowano go w okresie 1 stycznia 2022 – 17 stycznia 2025 r. i rozliczono dwoma artykułami wieloautorskimi w języku angielskim w 2022 r. i w 2024 r.

Chwalimy się sukcesem

W czerwcu 2023 r. na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie odbył się Zjazd Katedr Kryminologicznych. W programie sesji VII został przedstawiony referat pt. *Nowoczesna, nietoksyczna metoda wizualizacji śladów daktyloskopijnych na papierach standardowych i termicznych*, który w części wygłosił dr hab. Krzysztof Woźniewski, w części dr inż. Aneta Lewkowicz, a w części dr Magdalena Kasprzak, adiunkt z Zakładu Kryminalistyki i Prawa Dowodowego UG.

Wystąpienie zostało następnie wydrukowane w monografii konferencyjnej *Oblicza kryminalistyki*, wydanej w Warszawie

przez Polskie Towarzystwo Kryminologiczne jeszcze w 2024 r. Rozdział, który tam widnieje, nosi ten sam tytuł, co wystąpienie konferencyjne, ale autorami byli jedynie dr Magdalena Kasprzak i dr hab. Krzysztof Woźniewski. Jak się dowiedziałem, ówczesna adiunkt Aneta Lewkowicz nie zgodziła się na druk ich wystąpienia w lokalnej publikacji, motywując to tym, że zaplanowała opublikowanie opisu i przydatności swojej metody w czasopiśmie wysoko punktowanym o międzynarodowym obiegu. Argumentowała, że wcześniejsze wydrukowanie polskiej pracy na ten sam temat może powodować zarzut autoplagiatu, a tego chce uniknąć. Współautorzy referatu, prawnicy, nie przyjęli do wiadomości jej protestu i argumentów. Przygotowali maszynopis, w którym nazwisko głównej wynalazczyni metody zostało usunięte, co nie uszło uwagi tych, którzy znali i śledzili detale tej sprawy.

Skarga

Dwudziestego drugiego listopada 2024 r. do dziekana Wydziału Prawa i Administracji UG, dr. hab. Wojciecha Zalewskiego, prof. UG, wpłynęła skarga dr inż. Anety Lewkowicz zarzucająca duetowi autorskiemu, dr Magdalenie Kasprzak i dr hab. Krzysztofowi Woźniewskiemu, naruszenie jej praw autorskich związanych ze złożonym wnioskiem patentowym, dotyczącym jej odkrycia, czyli wizualizacji śladów daktyloskopijnych. Ten, po uzyskaniu wyjaśnień z 30 listopada od współautorskiej dwójki, przekazał 9 grudnia 2024 r. pismo o ewentualnym popełnieniu deliktu dyscyplinarnego rektorowi Uniwersytetu Gdańskiego, prof. Piotrowi Stepnowskiemu.

Stałym rzecznikiem ds. nauczycieli akademickich na całą kadencję była dr hab. Diana Trzecińska, prof. UG, z Katedry Prawa Gospodarczego Publicznego i Ochrony Środowiska Wydziału Prawa i Administracji UG, od roku 2019 sędzia Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Gdańsku. Jednak rektor Stepnowski powołał 19 grudnia 2024 r. jako rzecznika dyscyplinarnego ad hoc prof. Zbigniewa Kaczyńskiego z Katedry Chemii Biomedycznej Wydziału Chemii UG. Zapewne stało się tak ze względu na ewentualny konflikt interesów, gdyż obwinieni są kolegami z tego samego wydziału co D. Trzecińska. Nowy rzecznik, prof. Z. Kaczyński, zajmuje stanowisko prodziekana ds. nauki i jest przewodniczącym Rady Dyscypliny Nauki Chemiczne UG. Sprawa jednak nie została skierowana najpierw do oceny przez Rzecznika Rzetelności Naukowej UG, którym do kwietnia 2025 r. był prof. Sławomir Steinborn. Zrezygnował on z tego stanowiska z chwilą powołania przez ministra sprawiedliwości na Prezesa Sądu Apelacyjnego w Gdańsku. Miał on także konflikt interesów, gdyż „pisarska dwójka” pracowała w jego katedrze, a on sam był współautorem drugiego artykułu rozliczającego grant.

Nowo powołany rzecznik dyscyplinarny wszczął postępowanie wyjaśniające 30 stycznia 2025 r. Początkowo próbował mediacji pomiędzy stronami, ale nie doprowadziły one do rozwiązania sprawy. W toku postępowania rzecznik ustalił, że współpraca między dr inż. A. Lewkowicz a władzami Wydziału Prawa i Administracji UG oraz Katedrą Prawa Karnego Procesowego i Kryminalistyki, kierowaną przez prof. S. Steinborna, zaczęła się w latach 2020–2021 i jej celem był rozwój kryminalistyki. Grantem kierował Krzysztof Woźniewski, zaś głównymi wykonawczyniami były adiunktki: Aneta Lewkowicz (część fizykochemiczna) i Magdalena Kasprzak (część kryminologiczna).

Przesłuchana dwójka autorów publikacji w monografii pokonferencyjnej, K. Woźniewski i M. Kasprzak, nie przyznała się do winy. Terminowo, czyli przed upływem 6-miesięcznego okresu wyznaczonego na przeprowadzenie postępowania wyjaśniającego, rzecznik dyscyplinarny złożył 1 lipca

2025 r. wniosek dyscyplinarny o ukaranie obojga upomnieniem. Zarzucił „popełnienie czynu polegającego na uchybieniu w 2024 r. w Warszawie - wraz z Magdaleną Kasprzak - obowiązkowi rzetelności i staranności ciążącemu na nauczycielu akademickim jako współautorze artykułu naukowego poprzez nieumieszczenie w artykule pt. «Nowatorska, nietoksyczna metoda wizualizacji śladów daktyloskopijnych na papierach standardowych i termicznych», napisanym wspólnie z Magdaleną Kasprzak, a opublikowanym w monografii pt. «Oblicza kryminalistyki» (...) informacji, że autorką metody, której dotyczył artykuł, jest Aneta Lewkowicz”. Upomnienie to najniższa z listy kar przewidzianych przez prawo akademickie.

Wniosek dyscyplinarny

Postępowanie dyscyplinarne w opisywanej sprawie na Uniwersytecie Gdańskim rozpoczęło się 7 lipca 2025 r. Wtedy to przewodniczący komisji dyscyplinarnej, prof. UG Mariusz Bogusz z Katedry Postępowania Administracyjnego i Sądowoadministracyjnego (nawiasem mówiąc – dawny, wieloletni rzecznik dyscyplinarny UG), powołał skład orzekający. Stanowili go: prof. Mariusz Makowski, kierownik Katedry Chemii Bionieorganicznej Wydziału Chemii UG jako przewodniczący oraz dr hab. Anna Zamojska, prof. UG, kierownik Katedry Ekonometrii Wydziału Zarządzania i student Wydziału Zarządzania UG Kacper Wiśniewski, który był też zatrudniony na etacie jako kierownik Biura Wsparcia Studentów i Doktorantów w Biurze Prorektora ds. Studenckich UG.

Warto zauważyć, że obecne przepisy dyscyplinarne już nie wymagają, aby w sprawach przeciwko nauczycielom akademickim w składzie orzekającym był student. Uważam, że nie powinno go tam w ogóle być. Studenci z reguły nie zabierają głosu z obawy np. przed niepowodzeniami na egzaminach prowadzonych przez ewentualnych profesorów – kolegów obwinionego. Równie istotny i oczywisty jest fakt, że nie mają jeszcze wiedzy i doświadczenia, aby ocenić wagę i szkodliwość społecznej osądzanego czynu popełnionego np. przez profesora czy innego nauczyciela akademickiego.

Warte podkreślenia jest również to, że rzecznik dyscyplinarny, prof. Zbigniew Kaczyński, uznał, iż nie znalazł potwierdzenia zarzutu dr inż. Anety Lewkowicz naruszenia jej praw autorskich jako twórcy projektu wynalazczego. Napisał: „Przypisanie sobie autorstwa cudzego projektu wynalazczego (art. 303 § 1 ustawy z dnia 30 czerwca 2000 r. Prawo własności przemysłowej – t. j. Dz. U. z 2023 r., poz. 1170) obejmuje bowiem dwa elementy: (1) przedstawianie cudzego projektu wynalazczego jako własnego, z jednoczesnym (2) zatajeniem faktu, że ten projekt wynalazczy pochodzi w rzeczywistości od innego autora/ twórcy”. Dlatego rzecznik doszedł do przekonania, że „brak jest podstaw uznania, że miało miejsce przypisanie sobie przez dr hab. K. Woźniewskiego, prof. UG oraz dr M. Kasprzak, autorstwa cudzego projektu wynalazczego (...) przede wszystkim z tego powodu, że inkryminowany tekst (...) nie zawiera sformułowań jednoznacznie i wyraźnie wskazujących na przypisanie sobie autorstwa tej metody przez dr hab. K. Woźniewskiego, prof. UG i dr M. Kasprzak”. Dalej prof. Kaczyński argumentuje: „Sformułowania takie jak: «nasze prace badawcze», «nasze badania», «nasza metoda» mają bowiem charakter wieloznaczny i mogą być rozumiane jako odnoszące się do autorstwa metody, ale także jako odnoszące się do wspólnej pracy naukowej w ramach realizacji multidyscyplinarnego projektu (grantu) obejmującego część fizykochemiczną, kryminalistyczną i prawną. Oceniany z perspektywy trzech obszarów nauki oraz trojga autorów – cały projekt (grant) był bowiem «ich».

Podobny – z perspektywy naukowej – charakter miała opracowana metoda ujawniania śladów. Była ona bowiem

Rys. Sławomir Makal



wynikiem wspólnego projektu naukowego (grantu) realizowanego (pod kierownictwem dr hab. K. Woźniewskiego, prof. UG) przez autorów reprezentujących różne dyscypliny. Sformułowania: «nasze prace badawcze», «nasze badania», «nasza metoda», użyte w kontekście wspólnej pracy naukowej i realizowanego wspólnie grantu były zatem uprawnione. Istotne znaczenie w sprawie ma również fakt, że w abstrakcie wystąpienia konferencyjnego, który powstał także przy udziale i został zaaprobowany przez dr hab. A. Lewkowicz, występowały takie same formy gramatyczne («nasz», «nasza», czasowniki w pierwszej osobie liczby mnogiej, np. «podjęliśmy»), jak w późniejszej artykule (...). Formy użyte w abstrakcie nie budziły jednak zastrzeżeń dr hab. A. Lewkowicz mimo, że także wówczas, tj. w czasie tworzenia abstraktu – ani dr hab. K. Woźniewski, prof. UG i dr M. Kasprzak, nie byli twórcami metody ujawniania śladów w jej warstwie fizykochemicznej.

W tej sytuacji nie można uznać, że użyte przez dr hab. K. Woźniewskiego, prof. UG i dr M. Kasprzak, w odniesieniu do nowej metody ujawniania śladów, wieloznaczne sformułowania – takie jak «nasza» oraz «podjęliśmy» – dowodzą zamiaru przywłaszczenia sobie przez nich autorstwa tej metody.

Dalej prof. Kaczyński jednak tłumaczy: „Nie oznacza to jednak, że obwinieni nie popełnili czynu wyczerpującego znamiona innego przewinienia dyscyplinarnego. Ich tekst (...) nie zawiera bowiem wyraźnego i jednoznacznego stwierdzenia, że autorką/twórcą nowej metody ujawniania śladów (w jej warstwie fizykochemicznej) jest dr hab. A. Lewkowicz. Wymogu zamieszczenia tej informacji nie spełnia ani fragment traktujący o finansowaniu projektu NCN (k. 117 akt), ani przypis nr 31 (k. 113 akt). W żadnym z tych fragmentów, ani w żadnym innym miejscu inkryminowanego tekstu, autorzy (...) nie wskazywali wprost, wyraźnie i jednoznacznie (choć powinni byli), że autorką/twórcą fizykochemicznej części nowej metody ujawniania śladów jest dr hab. A. Lewkowicz. Zachowanie to należy jednak postrzegać w płaszczyźnie naruszenia obowiązku rzetelności i staranności naukowej (wadliwości artykułu naukowego pod względem redakcyjno-warsztatowym), a nie w płaszczyźnie ewentualnego przypisania sobie (przez zaniechanie) autorstwa cudzego projektu wynalazczego. Sama wadliwa redakcja tekstu naukowego, nawet uchybiająca wymogom rzetelności i staranności, nie jest bowiem tożsama z przypisaniem sobie autorstwa cudzego projektu wynalazczego w rozumieniu prawnym”.

Z tego powodu rzecznik dyscyplinarny przyjął, że czynny obydwu autorów „wyczerpały znamiona przewinień dyscyplinarnych (...) których istota sprowadza się do uchybienia obowiązkowi rzetelności i staranności przy opracowywaniu tekstu naukowego (uchybienia niemającego jednak cech deliktu polegającego na przypisaniu sobie autorstwa cudzego projektu wynalazczego)”. W końcowym podsumowaniu rzecznik dyscyplinarny stwierdził: „Zachowanie obwinionych nie było bowiem wynikiem nasilonej złej woli z ich strony, lecz rezultatem braku rzetelności i staranności przy redagowaniu tekstu naukowego, opracowywanego w stosunkowo nietypowych (bo multidyscyplinarnych) warunkach”.

Przytoczony obszerny fragment wniosku dyscyplinarnego wskazuje jasno, jak można przeinterpretować podstawowe fakty i przedstawić je w takim świetle, że jednoznacznie naganny czyn dwojga kompetentnych i doświadczonych prawników, dokonany z premedytacją, zostaje zaprezentowany jako czyn małych dzieci, które nie wiedziały co robią.

Przebieg rozpraw dyscyplinarnych

Na pierwszej rozprawie dyscyplinarnej, która odbyła się 30 września 2025 r., po zapytaniu przewodniczącego składu orzekającego obwinieni złożyli jednak chęć mediacji, mimo

że w okresie postępowania wyjaśniającego sprzeciwili się takiej propozycji. Z kolei pokrzywdzona przedstawiła Komisji Dyscyplinarnej, czego oczekuje od obwinionych: „Wycofania spornego fragmentu tekstu z artykułu lub pisemnego oświadczenia przez obwinionych, że jest jedynym autorem wskazanej w tytule artykułu metody wizualizacji śladów daktyloskopijnych na papierach standardowych i termicznych oraz twórcą patentu do tej metody”. W mojej opinii Aneta Lewkowicz powinna zażądać całkowitej retrakcji, czyli unieważnienia spornego artykułu. Dalej ustalono, iż „tekst porozumienia zostanie przygotowany przez Biuro Prawne UG i uzgodniony ze stronami. Przygotowane zostanie również *addendum* do artykułu, które przez obwinionych zostanie rozesłane do wymienionych w porozumieniu podmiotów z prośbą o zamieszczenie na właściwych stronach internetowych tych podmiotów”.

Uгода została podpisana 3 października 2025 r., a dopisek o poniższej treści z prośbą o zamieszczenie go przesłano 22 października do dziewięciu podmiotów. Brzmi on: „*ADDENDUM*: W uzupełnieniu artykułu pt. «Nowatorska, nietoksyczna metoda wizualizacji śladów daktyloskopijnych na papierach standardowych i termicznych», opublikowanego w monografii pt. «Oblicza kryminalistyki» pod red. Mieczysława Goca, Violetty Kwiatkowskiej-Wójcikiewicz i Józefa Wójcikiewicza, Warszawa 2024, Magdalena Kasprzak i Krzysztof Woźniewski, jako współautorzy tego artykułu, oświadczają, że jedynym twórcą wskazanej w tytule artykułu metody wizualizacji śladów daktyloskopijnych na papierach standardowych i termicznych oraz twórcą patentu do tej metody, jest dr hab. inż. Aneta Lewkowicz, prof. UG”.

Na kolejnej rozprawie w dniu 28 października 2025 r. na zgodny wniosek stron i przy akceptacji rzecznika dyscyplinarnego, postępowanie dyscyplinarne zostało umorzone. Oznacza to, że z obwinionych zdjęto wiszące „piętno kary” w postaci upomnienia, a cała sprawa została uznana za niebyłą. Dlatego formalnie nic nie zostaje w dokumentach uczelnianych osób wcześniej obwinianych o delikt dyscyplinarny.

Cena awansu

Kiedy 27 września 2025 r. zapytałem e-mailowo prof. UG Anetę Lewkowicz o przejęcie jej odkrycia badawczego, ku mojemu zaskoczeniu przez ponad dwa tygodnie nie dostałem odpowiedzi. Po kolejnym e-mailu otrzymałem odpowiedź, iż jej brak odpowiedzi na poprzedni email wynika z toczącego się postępowania dyscyplinarnego, a „poczucie lojalności wobec pracodawcy obliuguje mnie do zachowania poufności w tej sprawie”. To nie pierwszy przypadek, gdy osoba okradziona boi się mówić o złodziejstwie, którego ofiarą padła „dla dobra uczelni”, ale zarazem kosztem całej społeczności akademickiej.

Warto też poinformować Czytelników, co się działo w tle trwającego postępowania dyscyplinarnego, gdyż to nam uzmysławia, że czasami trzeba pójść na kompromis. 24 września 2025 r. odbyło się posiedzenie Rady Wydziału Prawa i Administracji UG, na którym dziekan, dr hab. Wojciech Zalewski, prof. UG, zaproponował powołanie z dniem 1 października 2025 r. nowego Zakładu Analiz Sądowych w Katedrze Prawa Karnego i Kryminologii (kierownik: dr hab. W. Zalewski). Na jego kierowniczkę zaproponował dr hab. inż. Anetę Lewkowicz, prof. UG. Argumentował, iż zakład, prowadzony przez fizyka i oparty na specyficznej i unikalnej aparaturze uzupełni od strony badawczej działania istniejącego już w katedrze Zakładu Kryminologii (kierownik: dr hab. Jacek Potulski, prof. UG). Uchwałę przyjęto jednogłośnie.

Po formalnym powołaniu zakładu, w skład pracującego tam zespołu oprócz prof. UG Anety Lewkowicz wszedł również dr Adrian Wrocławski jako adiunkt. Jest on biegłym sądowym

z zakresu badania broni palnej i balistyki oraz dyrektorem Muzeum Kryminalistyki UG. Przewidziane jest, że do personelu Zakładu dołączą też dwie doktorantki pracujące nad swoimi dysertacjami na Wydziale Matematyki, Fizyki i Informatyki UG. Są to: mgr Martyna Czarnomska, biolog medyczny po UG (kończy doktorat w sierpniu 2026 r.), oraz mgr Emilia Gruszczyńska, biolog po UJ w Krakowie (kończy doktorat w sierpniu 2027 r.). Obie doktorantki ukończyły także kryminologię na UG, co pozwala im łączyć wiedzę z obszaru nauk przyrodniczo-medycznych i prawnych.

Emilia Gruszczyńska – jak wynika z komunikatu NCN z 28 listopada 2025 r. – dostała właśnie w konkursie Preludium 24 grant na prawie 140 tys. złotych, celem sfinansowania realizacji projektu badawczego „Analiza Rezonansowego Transferu Energii Förstera (FRET) pomiędzy aktywnymi fluorescencyjnie składnikami obecnymi w substancji potowo-tłuszczowej i wydzielinie pośmiertnej jako potencjalne narzędzie do szacowania czasu zgonu”. Z kolei jej mentorka, Aneta Lewkowicz, w wyniku ostatniego konkursu Opus 29 otrzymała, tym razem własny, trzyletni grant NCN: „Molekularne badania śladów kontaktowych: innowacyjna metoda analizy DNA i śladów daktyloskopijnych (Jigsaw ID) w kontekście identyfikacji ofiar masowych i tanatologii sądowej” o wartości 2 miliony 252 tys. złotych. To solidna podstawa działalności nowego zakładu na UG.

Komentarz

Prof. UG Krzysztof Woźniewski, mimo potwierdzonego w postępowaniu dyscyplinarnym deliktu dotyczącego braku rzetelności akademickiej, nadal zajmuje stanowisko przewodniczącego Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej UG ds. Doktorantów. Tymczasem piastowanie takiej funkcji wymaga nieskazitelnego postawy i rzetelności. Mam nadzieję, że Senat uczelni, któremu przewodniczy JM Rektor UG, prof. Piotr Stepnowski, niebawem zaproponuje stanowisko komuś nie obciążonemu tego rodzaju słabością. Ubolewam, że to postępowanie dyscyplinarne zakończyło się bez konieczności retrakcji kwestionowanego artykułu, a organy je prowadzące doprowadziły do rozmycia odpowiedzialności dyscyplinarnej poprzez umorzenie. Moim zdaniem, niezależnie od polubownego załatwienia sprawy, postępowanie dyscyplinarne nie powinno być umorzone, a obwinionych należało ukarać przynajmniej symboliczną karą upomnienia. Byłoby to sygnałem, że takie zachowania nie są akceptowane na Uniwersytecie Gdańskim.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym. Zajmuje się patologią nauki od 28 lat.

Nowi profesorowie

25 lutego 2026 r. Prezydent RP Karol Nawrocki wręczył akty nominacyjne nauczycielom akademickim oraz pracownikom nauki i sztuki.

Nauki inżynieryjno-techniczne: Jan Barnaba BLACHOWSKI (PWr), Marek MACKO (UKW), Agnieszka MALINOWSKA (AGH)

Nauki medyczne i o zdrowiu: Edyta Diana ADAMSKA–PATRUNO (UMB), Marcin ANDRZEJEWSKI (AWFP), Jolanta ANTONIEWICZ–PAPIS (CMKP Warszawa), Dariusz Mieczysław BAZALIŃSKI (URz), Anna Agnieszka BELCARZ–ROMANIUK (UML), Jowita Joanna BIERNAWSKA (PUM), Łukasz BOŁKUN (UMB), Sławomir Piotr BUDREWICZ (UMWr), Monika Aldona CHORAŻY (UMB), Justyna Joanna CZECH–KOWALSKA (I„PCZD”), Jarosław CZYŻ (UMK-CM), Paweł Sławomir DEREJKO (NIK–PIB), Jarosław DOMARADZKI (AWFWr), Karolina DŻAMAN (CMKP), Ewa Jadwiga EMICH–WIDERA (SUM), Michał Mirosław FARKOWSKI (PIM MSWiA), Wojciech Kazimierz FELESZKO (WUM), Agnieszka Anna GACH (I„CZMP”), Adam Bogusław GESING (UMŁ), Joanna GIEBUŁTOWICZ (WUM), Michał Sergiusz HOFFMANN (GUM), Andrea Anna HORVATH–STOLARCZYK (WUM), Kamil Paweł JONAK (PL), Katarzyna JOŃCZYK–POTOCZNA (UMP), Tomasz Marcin JUREK (UMWr), Agnieszka Anna KACZOR (UML), Katarzyna KACZYŃSKA (IMDiK PAN), Dariusz Andrzej KAJDANIUK (SUM), Anna Karolina KASIELSKA–TROJAN (UMŁ), Mariusz Piotr KORKOSZ (UJ), Magdalena Anna KOSZEWICZ (UMWr), Mariusz KOWALEWSKI (UMK), Edyta KRZYCH–FAŁTA (WUM), Krzysztof KUSY (AWFP), Piotr Marek KUŚ (UMWr), Piotr Zbigniew LULIŃSKI (WUM), Maria Ewa ŁUKASIK (UMP), Bartłomiej Paweł MATEJKO (UJ), Agata MATEJUK (UZ), Joanna Teresa MAZUR (UZ), Piotr MORASIEWICZ (UO), Piotr Albert MYRCHA (WUM), Tadeusz Bogdan NASIEROWSKI (WUM), Janusz Zbigniew OSTROWSKI (CMKP), Jacek PIĄTEK (UJ), Anita Elżbieta PŁAZIŃSKA (UML), Maria Anna PODBIELSKA (IliTD PAN), Anna Maria POKRYSZKO–DRAGAN (UMWr), Anna Maria

POTULSKA–CHROMIK (WUM), Karol Ryszard RAWICZ–PRUSZYŃSKI (UML), Urszula RELIGIONI (CMKP), Alicja Ewa RYDZEWSKA–ROSOŁOWSKA (UMB), Tomasz Piotr RYGIEL (IMDiK PAN), Tomasz Maciej RYWIK (NIK–PIB), Elwira Zofia SIENIAWSKA (UML), Olimpia SIPAK–SZMIGIEL (PUM), Elżbieta Barbara SKOWROŃSKA–JÓŹWIĄK (UMŁ), Dominika Marta STYGAR (SUM), Agnieszka Ewa SUDER (AWFKr), Jolanta Zofia SYKUT–CEGIELSKA (IMiD), Sebastian SZMIT (CMKP), Andrzej Jan SZOPA (SUM), Anna Maria SZUMERA–CIEŹKIEWICZ (NIO–PIB), Wojciech Marek WAŃHA (SUM), Ewa WĄSIK–SZCZEPANEK (UML), Regina Ewa WIERZEJSKA (NIZP–PIB), Paweł Krzysztof WIĘCH (URz), Angelina Magdalena WÓJCİK–FATLA (IMWL), Piotr ZABIELSKI (UMB)

Nauki o polityce i administracji: Teresa Anna ASTRAMOWICZ–LEYK (UWM)

Nauki społeczne: Agata BŁACHNIO (KUL), Aleksandra CIŚLAK–WÓJCIK (USWPS), Marcin Wojciech CZECH (PW), Danuta Katarzyna GIBAS–KRZAK (UO), Monika JAWORSKA–WITKOWSKA (UP Słupsk), Dariusz KROK (UO), Krzysztof Marek MALISZEWSKI (UŚ), Joanna MARSZAŁEK–KAWA (UMK), Przemysław OSIEWICZ (UAM), Norbert Gerard PIKUŁA (UKEN), Krzysztof TOMASZEWSKI (UW), Teresa Anna WILK (UŚ), Beata Ewa ZARZYCKA (KUL), Arkadiusz ŻUKIEWICZ (UKEN)

Nauki ścisłe i przyrodnicze: Rafał Tomasz CZYŻ (UJ), Aleksandra Maria MIROŃCZUK (UPWr), Maria Elżbieta SWIONTEK BRZEZIŃSKA (UMK), Magdalena Dorota SZCZERBOWSKA–BORUCHOWSKA (AGH), Mikołaj Konstanty ZAPALSKI (UW)

Sztuki: Joanna Ewa MAKLAKIEWICZ (UMFC), Anna RUTKOWSKA–SCHOCK (AMKL), Izabella Anna SZAŁAJ–ZIMAK (UMFC), Marcin Dariusz TRZĘSIOK (AMKS), Magdalena WITCZAK (ASZ)

Marek Wroński

Plagiat w sztuce projektowania przestrzeni

Plagiaty naukowe powodują dużą szkodliwość społeczną, gdy umożliwiają nierzetelnym naukowcom niezаслужony awans w hierarchii naukowej i akademickiej. To z kolei powoduje degradację nauki.

Akademia Sztuki w Szczecinie jest jedyną państwową uczelnią artystyczną łączącą różne sztuki: muzyczne i plastyczne, a także jedyną, która powstała w wyniku konsolidacji z udziałem uczelni niepublicznej – Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej. Oprócz niej nową uczelnię współtworzyły dwa wydziały zamiejscowe Akademii Muzycznej w Poznaniu: Instrumentalny i Edukacji Muzycznej oraz Katedra Edukacji Muzycznej z Uniwersytetu Szczecińskiego. To spowodowało, że wśród zatrudnionych nauczycieli akademickich komponent muzyczny przeważał i pierwszym rektorem został dyrygent, prof. Ryszard Handke. Uczelnia przyjęła na studia ok. 400 studentów.

Od pierwszego roku akademickiego 2010/2011 na Wydziale Sztuk Wizualnych nowej uczelni została zatrudniona Katarzyna Utecht. Studia na Wydziale Architektury Wnętrz i Grafiki prywatnej Wyższej Szkoły Sztuki Użytkowej w Szczecinie odbyła w latach 2003-2008 na kierunku architektura wnętrz, a pracę magisterską przygotowała pod kierunkiem prof. Janusza Stankowskiego, kierującego Pracownią Projektowania Wnętrz. Za dyplom uzyskała wyróżnienie i nagrodę Marszałka Województwa Zachodniopomorskiego. W czasie studiów za dobre wyniki w nauce była kilkukrotną stypendystką Prezydenta Miasta Szczecina.

Początkowo pracowała w nowopowstałej uczelni na etacie asystenta. W czerwcu 2015 r. na Wydziale Architektury Wnętrz i Scenografii Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu obroniła doktorat w dyscyplinie artystycznej sztuki projektowej. Tytuł jej dysertacji doktorskiej to *Moduł mieszkalny. Homo – Cyber – Sapiens. Badania architektoniczno-społeczne wpływu powierzchni mieszkalnych na człowieka we współczesnym świecie z analizą i odniesieniem do lat minionych*. Promotorem jej doktoratu był dr hab. Piotr Machowiak.

Od jesieni 2015 roku już jako adiunkt prowadziła Pracownię Projektowania Mebla na Wydziale Sztuk Wizualnych AS, zostając też w roku akademickim 2016/2017 jego prodziekanem, a od października 2017 r. dziekanem. Z początkiem roku akademickiego 2018/2019 dr Utecht zaczęła pracować na drugim etacie w Katedrze Architektury Wnętrz i Rzeźby Wydziału Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Opuściła tę uczelnię z końcem września 2022 r. W styczniu 2019 r. na UAP wszczęto postępowanie

habilitacyjne dr Katarzyny Utecht. Przedstawiła do oceny osiągnięcie habilitacyjne pt. *Doświadczenie przestrzeni w procesie tworzenia i percepcji miejsca*. Jego filarem był projekt wnętrza prywatnego mieszkania o powierzchni 68,86 m², zrealizowany w 2018 r. w szczecińskim domu w zabudowie wielorodzinnej.

Skarga splagiatowanej

W kwietniu 2019 r. dr Olga Kiedrowicz-Świtalska (obecnie już dr hab.), ówczesna adiunkt i kierowniczka Pracowni Projektowania Architektury Wnętrz i Przestrzeni Terapeutycznych Akademii Sztuki w Szczecinie, napisała skargę do Biura Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów, że przewód habilitacyjny dr K. Utecht narusza jej prawa autorskie. Stwierdziła, że autoreferat habilitantki w kluczowych punktach części teoretycznej jest plagiatem tekstu z jej doktoratu z 2015 r., obronionego na UAP. Tytuł dysertacji to: *Architektura wnętrz jako nośnik wielowymiarowych komunikatów i jej znaczenie w procesie budowania relacji dzieło – odbiorca. Przestrzeń terapeutyczna jako przykład wnętrza wpływającego na odbiorcę – pacjenta*. Promotorem była prof. Katarzyna Radecka.

W tym czasie wyznaczono już recenzentów habilitacyjnych i 3 kwietnia powołano Komisję Habilitacyjną, dlatego Centralna Komisja pismem z 26 kwietnia 2019 r. poprosiła poznańską uczelnię, aby przesłała skargę dołączyć do dokumentów habilitacyjnych. Te materiały wysłano do recenzentów 12 czerwca 2019 r., każdy z nich jeszcze przed wakacjami miał zatem świadomość plagiatowych zarzutów. Dowiedziała się o nich także habilitantka, która wtedy poprosiła o dołączenie do autoreferatu erraty wskazującej, iż fragmenty jej tekstu pochodzą z dysertacji dr Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej, co też zrobiono.

Co stwierdzili recenzenci

Dr hab. Konstancja Pleskaczyńska, prof. UAP, z Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii była recenzentem wydziałowym, w swojej opinii z 19 sierpnia 2019 r. mogła więc odkryć i ujawnić nowe zapożyczenia. Stwierdziła, że w „Przedmowie do Autoreferatu” połowa tekstu została bezpośrednio pobrana ze strony internetowej UAP. Wskazała, że „pod tekstem

znajduje się wprawdzie przypis – jednakże cały tekst nie został zaznaczony w żaden sposób jako cytat. Autorka pisze te słowa jak gdyby z własnej perspektywy, słowa te wydają się jej własnymi. W cytacie jednakże zawsze chodzi o to, że określoną myśl wyraziła inna osoba. (...) W konkretnym przypadku przepisania całego tekstu na temat naszego Wydziału autorka wykazała się lekceważącym stosunkiem zarówno do recenzentów, jak i do pracowników Wydziału”. Profesor Pleskaczyńska zwróciła też uwagę na autoplgiaty. Znalazła w autoreferacie dr Utecht liczne fragmenty jej tekstów, które były wcześniej publikowane zarówno w postaci pojedynczych zdań, jak i całych akapitów – bez cytowania i żadnego odnośnika. Aczkolwiek recenzentka określiła habilitantkę jako osobę „niezwykle aktywną, zaangażowaną w działalność dydaktyczną, projektową, organizacyjną na rzecz swojej Uczelni”, to nie poparła wniosku o nadanie stopnia doktora habilitowanego. Uzasadniła, iż uważa, iż „swobodne czerpanie z wcześniej już publikowanych tekstów i korzystanie z cudzej myśli bez zaznaczenia źródła pochodzenia lub wręcz stwarzanie wrażenia, że owe sądy są własnego autorstwa, dyskredytuje pracownika naukowo-dydaktycznego”. Z kolei oceniając dzieło habilitacyjne dr Utecht, recenzentka stwierdziła, że nie ma ono odpowiedniej warstwy analitycznej, zatem nie wyróżnia się szczególnym nowatorstwem.

Z kolei w drugiej recenzji z 26 sierpnia 2019 roku prof. Jan Nuckowski z ASP w Krakowie, zajmujący się projektowaniem z zakresu komunikacji wizualnej, w ogóle nie odniósł się do zasygnalizowanych naruszeń praw autorskich. Jednak mocno skrytykował język autoreferatu, zarzucając mu górnolotność, pustosłowie i banały, w których zdania są często „pozbawione treści”; określił to jako „kafonię tekstu”. Zdaniem recenzenta „Opis założeń projektowych jest dość pobieżny i rozsypany w mnogości zdań, chyba zupełnie niepotrzebnych. (...) Oceniany projekt jawi się jak zbiór ilustracji magazynów o problematyce architektury mieszkaniowej i nie odbiega od przeciętnej krajowej. Wnętrza chłodne, bezosobowe, bez piętna indywidualności, bez jakichkolwiek emocji. Projekt nie wykracza poza projektową poprawność (...)”. Podsumowując przedstawione osiągnięcie naukowe jako przedwczesne i nie popierając wniosku habilitacyjnego, prof. Jan Nuckowski napisał: „Kandydatka ma wielki talent promowania i zarządzania własną karierą. Brak mi jednak prawdziwej autorefleksji, która musi być oparta z reguły na szczerej i pogłębionej ocenie własnego dorobku. Tymczasem dr Katarzyna Utecht przedstawia swój dorobek szczegółowo, bez lęku, ale i bez żadnych wątpliwości. Niezależnie od tych uwag brakuje mi w załączonej dokumentacji, w całym tego słowa znaczeniu – dokonań wybitnych”.

Trzeci recenzent, prof. inż. arch. Lech Koliński (zmarł w 2025 r.) z ASP w Warszawie, swoją opinię o dokonaniach habilitantki z 12 września 2019 r. w końcowej części tekstu skierował bezpośrednio do dr Utecht, pisząc jak do młodszej „koleżanki po fachu”. Najpierw wysoko ocenił jej dorobek organizacyjny i dydaktyczny. Następnie omówił dość dokładnie przedstawiony projekt wnętrza mieszkania. Wskazał na jego liczne słabe strony i dyplomatycznie napomknął, że w tomie I materiałów habilitacyjnych zawierającym autoreferat na stronie 24 jest tablica nr 2 autorstwa dr Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej. Dalej napisał: „Przywłaszczanie sobie wartości intelektualnej innej osoby w pracy naukowej skutkuje wykluczeniem. Wszystko byłoby dobrze, gdyby pani powołując się na czyjąś wiedzę wyciągnęła wniosek niezależny. Natomiast w pani przypadku wnioski są autorstwa innej osoby. Nie umniejsza to jednak zasług jakie pani ma na niwie zawodowej, uczelnianej, pedagogicznej i organizacyjnej”. Na końcu, w krótkim „Podsumowaniu” prof. Koliński

stwierdził: „Autoreferat, w części teoretycznej w punktach kluczowych, jest plagiatem doktoratu pani Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej, a projekt wnętrza mieszkania przedstawiony jako «dzieło» nie spełnia kryteriów dzieła. Wnoszę o negatywną ocenę pracy habilitacyjnej pani dr Katarzyny Utecht”.

Komisja habilitacyjna pod przewodnictwem prof. Marka Adamczewskiego (ASP w Gdańsku) w dniu 12 września 2019 r., po wysłuchaniu habilitantki, jednogłośnie głosowała za odmową nadania habilitacji. Dwa tygodnie później, 27 września 2019 r., Rada Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii UAP podjęła uchwałę o odmowie nadania stopnia doktora habilitowanego w dziedzinie sztuki, w dyscyplinie artystycznej sztuki plastyczne i konserwacja dzieł sztuki. Spośród 13 głosujących profesorów jedna osoba się wstrzymała, zaś 12 było za uchwałą odmowną. Na końcu uzasadnienia zwrócono się do Akademii Sztuki w Szczecinie, która zatrudniała niedoszlą habilitantkę, aby ta „zbadala postawione zarzuty natury plagiatowej”. Dziekanem Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii UAP był wtedy prof. dr hab. Józef Jurek, od 2010 r. zatrudniony na drugim etacie na Wydziale Sztuk Wizualnych Akademii Sztuki w Szczecinie, którym kierowała w latach 2018-2020 dr K. Utecht.

Nadzwyczajne posiedzenie Senatu

Sprawa plagiatowych zarzutów była od początku głośna na uczelni, gdzie toczył się konflikt między ówczesnymi władzami rektorskimi, na czele z rektorem prof. Dariuszem Dyczewskim, muzykiem i dyrygentem chórów dziecięcych (rektor w latach 2016-2020, zaś wcześniej w latach 2012-2016 dziekan Wydziału Edukacji Muzycznej), a grupą profesorów i adiunktów reprezentujących sztuki plastyczne.

Głośnym echem odbił się fakt, iż 28 października 2019 r. ośmiu członków Senatu uczelni zwróciło się pisemnie do rektora Dyczewskiego z wnioskiem o zwołanie nadzwyczajnego posiedzenia. Zażądali wprowadzenia do porządku obrad siedmiu punktów, dotyczących spraw, które ich zdaniem wymagają szybkiego wyjaśnienia. Pierwszym punktem była prośba o wyjaśnienie przez rektora (jest on z urzędu przewodniczącym Senatu uczelni) zaniechania „wymaganych prawem czynności w związku z uzasadnionym podejrzeniem popełnienia przestępstwa plagiatu w pracy habilitacyjnej dr Katarzyny Utecht”. Uzasadniono to tym, że mimo upływu czterech tygodni od powiadomienia władz uczelni przez Uniwersytet Artystyczny w Poznaniu o naruszeniu praw autorskich osób trzecich w autoreferacie habilitacyjnym dr K. Utecht rektor nie polecił rzecznikowi dyscyplinarnemu wszczęcia postępowania wyjaśniającego. Rzecznikiem dyscyplinarnym ds. nauczycieli akademickich był wtedy dr hab. Ireneusz Kuriata z Katedry Grafiki Projektowej AS (dziś już profesor tytularny).

Senatorzy zwrócili uwagę, że jest to „czyn opisany w art. 231 Kodeksu Karnego – niedopełnienie wykonania obowiązków służbowych, naruszające tym samym interes publiczny (chodzi o brak reakcji rektora na wiadomość o popełnieniu plagiatu – red.). Ustęp 3 tego artykułu wskazuje, iż niedopełnienie czynności służbowych jest karane również wówczas kiedy jest ono dokonane nieumyślnie. Na szczególną uwagę zasługuje fakt, iż osoba wskazana jako sprawca naruszenia (tzn. dr K. Utecht) jest członkiem Senatu Akademii Sztuki, co stanowi okoliczność wymagającą nadzwyczajnej staranności w prowadzeniu czynności. Ich zaniechanie wyrządza bardzo dużą szkodę Uczelni oraz wspólnocie akademickiej”. Podkreślono, że z chwilą wszczęcia postępowania wyjaśniającego rektor ma prawo zawieszenia tej osoby. Taki krok „oddaliłby zarzut o stronnictwo”.

Nadzwyczajne posiedzenie Senatu, w którym wzięli udział wszyscy wybrani senatorowie (w sumie 29 osób), zaczęło się 8 listopada 2019 r. o godzinie 14. Było też na nim obecnych kilkunastu zaproszonych gości. Atmosfera była nerwowa i napięta. Posiedzenie prowadził rektor. Przedstawił projekty uchwał wprowadzone do porządku dziennego i zarządził głosowanie nad akceptacją porządku obrad. Za akceptacją zagłosowało 15 senatorów, 13 było przeciw, a jeden wstrzymał się od głosu. Następnie przedstawiono treść pierwszej uchwały, która brzmiała: „Senat Akademii Sztuki wzywa Rektora oraz Rzecznika Dyscyplinarnego do jak najszybszego podjęcia czynności wyjaśniających w sprawie zarzutów plagiatu wobec dr Katarzyny Utecht. Dotychczasowe unikanie wyjaśnienia bardzo poważnych zarzutów wyrządza szkodę Uczelni oraz wszystkim członkom wspólnoty akademickiej tworząc atmosferę przyzwolenia na łamanie prawa. Senat Akademii Sztuki zwraca się do Rektora o zawieszenie dr Katarzyny Utecht w prawach nauczyciela akademickiego na czas trwania postępowania wyjaśniającego. Pozwoli to uchronić wizerunek Uczelni od zarzutu o stronnictwo Rektora oraz jednocześnie skróci czas postępowania do niezbędnego minimum”.

Dalej rektor Dyczewski przedstawił zgromadzonym, jak w zaistniałej sytuacji wypełnił obowiązki nałożone na niego przez Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Powiedział, że 29 października 2019 r. powiadomił e-mailowo rzecznika dyscyplinarnego, dr. hab. Ireneusza Kuriatę, o sprawie zarzutów plagiatowych (faktycznie zrobił to dopiero następnego dnia po otrzymaniu pisma 8 senatorów), a 4 listopada formalnym pismem nakazał rzecznikowi wszczęcie postępowania wyjaśniającego, co ten wykonał jeszcze tego samego dnia. Następnie 8 listopada, czyli już w dniu obrad, przekazał dr Katarzynie Utecht postanowienie rektora o zawieszeniu jej w prawach nauczyciela akademickiego na okres 3 miesięcy z dniem 12 listopada 2019 r., ale bez zmniejszenia wynagrodzenia.

Następnie rektor udzielił głosu dr K. Utecht, która uczestniczyła w posiedzeniu jako pełnoprawny członek Senatu. Jak wynika z protokołu posiedzenia, oświadczyła ona, że „poddaje się postępowaniu wyjaśniającemu w procedurze rzecznika dyscyplinarnego i postara oczyścić się z zarzutów sformułowanych lakonicznie w piśmie dr Olgi Kiedrowicz. Dodała, że według jej wiedzy procedura postępowania habilitacyjnego jest w toku, bo dotąd nie otrzymała oficjalnie dokumentów końcowych. Kończąc, zaapelowała do obecnych „o powstrzymanie się do momentu wyjaśnienia sprawy od niepotrzebnych komentarzy”. Zapewnienie o nieznajomości stanu postępowania habilitacyjnego nie było zgodne z prawdą, bowiem K. Utecht wiedziała, że komisja habilitacyjna odmówiła nadania jej habilitacji prawie dwa miesiące wcześniej, bowiem była obecna na posiedzeniu komisji 12 września, gdy ową decyzję podjęto. Przypominam, że Rada Wydziału Architektury Wnętrz i Scenografii UAP zakończyła postępowanie negatywną uchwałą w dniu 27 września 2019 roku.

Po tym wystąpieniu zabrał głos prof. Kamil Kuskowski z Katedry Sztuki Mediów, ówczesny dziekan Wydziału Malarstwa i Nowych Mediów AS. Stwierdził, że przecież rektor o zarzucie plagiatu dowiedział się już 21 kwietnia 2019 r. z kopii listu dr Olgi Kiedrowicz do CK, dlatego zapytuje, jakie wtedy podjął kroki? Prof. Dyczewski odpowiedział, że od razu rozmawiał z przewodniczącym CK, który poinformował go, że „sprawa jest już w procedurze postępowania habilitacyjnego, tzn. dokumenty zostały odesłane do Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu”. Do niego jako rektora formalne pismo z Poznania po zakończeniu przewodu habilitacyjnego w końcu września dotarło dopiero 25 października 2019 r.

Wtedy dr Mikołaj Iwański impulsywnie stwierdził, że „zgodnie z ustawą, sprawa już w kwietniu 2019 r. powinna być przekazana do Rzecznika Dyscyplinarnego”. Podobnie skomentował prof. Kuskowski, zaś dr hab. Bartłomiej Otocky z Pracowni Rysunku (dzisiaj już profesor tytularny) zachęcił zebranych do zapoznania się z upublicznionymi na stronie UAP recenzjami w postępowaniu habilitacyjnym dr K. Utecht. Jego zdaniem, „są miażdżące”, zaś ich przeczytanie pozwala każdemu na wyrobienie własnej opinii na temat problemu i stawianych zarzutów. Kolejne pytanie dr M. Iwańskiego dotyczyło terminu zawieszenia dr Utecht: dlaczego dopiero od 12 listopada 2019 r., a nie od dziś (czyli od 8 listopada). Powoduje to, iż może ona pełnić funkcję senatora na trwających obradach Senatu i głosować we własnej sprawie. Odpowiedział na to mecenas Marek Wierbiński, pomagający prawnie władzom uczelni, stwierdzając, że „zawieszenie dotyczy pełnienia obowiązków nauczyciela akademickiego (w rozumieniu art. 115 ustawy) więc dr Katarzyna Utecht nie traci statusu nauczyciela akademickiego. Zawieszenie nie jest jednoznaczne z pozbawieniem mandatu senatora, gdyż wymagania względem członka senatu określone w art. 20 ustawy nie obejmują zawieszenia w obowiązkach”. Na koniec poprosił o zgłoszenie na piśmie obiekcji w tej kwestii.

Po zakończeniu dyskusji nastąpiło jawne głosowanie nad uchwałą, która przeszła 14 głosami „za” i 13 „przeciw”, przy 2 głosach wstrzymujących się. Dr Iwański głośno skomentował, że „dr Katarzyna Utecht głosowała przeciw przyjęciu uchwały czyli we własnej sprawie”. Rektor Dyczewski potwierdził, stwierdzając iż „było to uprawnione”.

Moim zdaniem, to był nieakceptowalny konflikt interesów. Co więcej, odpowiedź mecenas Marka Wierzbickiego nie miała podstaw prawnych i była nieprawdziwa. Zawieszenie nauczyciela akademickiego przerywa jego wszelką działalność na uczelni i pozbawia go prawa brania udziału w obradach organów kolegialnych, do których wybrano go w związku z zatrudnieniem. Z mocy prawa (kpa) członek gremium uczelnianego, wobec którego wysunięto zarzuty, jest automatycznie wykluczony z obrad we własnej sprawie i nie może głosować. Ma przecież jawny i poważny konflikt interesów. Opisana sytuacja pokazuje, jak wielki był wtedy konflikt między grupą muzyków skupionych wokół rektora Dyczewskiego, a grupą plastyków. Ta ostatnia uważała, że na Akademii Sztuki źle się dzieje, gdyż dwa wydziały muzyczne, Instrumentalny oraz Edukacji Muzycznej, rozwijają się kosztem Wydziału Sztuk Wizualnych.

Zwyczajne posiedzenie Senatu

Dwa tygodnie po nadzwyczajnym, 20 listopada 2019 r., odbyło się planowe zwyczajne zebranie Senatu, na którym między innymi poruszano echa wcześniejszego burzliwego posiedzenia. Odczytano dwa pisma: jedno pochodzące od 9 senatorów z grupy muzyków, które wyrażało „dezaprobatę dla sposobu i niskiego poziomu debaty zainicjowanej przez Panów Senatorów: dr M. Iwańskiego i prof. K. Kuskowskiego (...) i brak zachowania wysokich standardów kultury przynależnych pedagogom Akademii, jak i powadze instytucji Senatu wyższej uczelni. (...) Prowokacyjny styl zredagowanych przez Panów Senatorów uchwał, w których agresywny ton i sformułowania budzą niesmak. Uważamy, że nie przystoi Senatowi wyższej uczelni, aby pod głosowanie poddawano dokumenty napisane stylem wartościującym i obraźliwym dla obecnie sprawującego funkcję Rektora prof. zw. dr hab. Dariusza Dyczewskiego”. Drugie pismo przedstawił Samorząd Studencki AS. Jego głównym przesłaniem był fakt, że głosowania w tych zapalnych sprawach były jawne, co zmuszało studentów-senatorów do głosowania zgodnie z tym, jak głosuje dziekan Wydziału, też senator (a dziekanem była też dr K. Utecht).



Rys. Sławomir Makal

Wyrażono obawę, że głosowanie studentów zgodne z ich sumieniem, a wbrew stanowisku dziekana może się skończyć szykanowaniem ich na zajęciach i egzaminach, czego każdy chce uniknąć. Dlatego przewodnicząca Samorządu Studenckiego poprosiła rektora, aby tego typu sprawy były rozstrzygane w głosowaniu tajnym.

Przedstawiono też opinię prawną dr Anny Demenko z Kancelarii Prawnej w Poznaniu, sporządzoną na prośbę Związku Zawodowego Nauczycieli Akademickich Akademii Sztuki w Szczecinie, którego przewodniczącym był dr Mikołaj Iwański. Stanowiła ona, że „osoba zawieszona w pełnieniu obowiązków nauczyciela akademickiego może być zawieszona wyłącznie w odniesieniu do wszystkich wykonywanych przez nią zadań, także tych, które mają charakter organizacyjny i wiążą się z uczestnictwem w pracach senatu uczelni. Osoba taka pozbawiona jest w okresie zawieszenia prawa do realizowania zarówno obowiązków dydaktycznych, jak i naukowych oraz organizacyjnych. W szczególności nie ma uprawnienia do udziału w posiedzeniach senatu uczelni. W konsekwencji obecność takiej osoby nie może być liczona do ewentualnego quorum i wszelkie oddane przez nią w trakcie posiedzenia głosy, traktować należy jako głosy nieważne”.

Kontrastowało to wyraźnie z wcześniejszą, ustną opinią mecenasa Marka Wierzińskiego i jasno wskazywało, że wybrany przez rektora późniejszy dzień zawieszenia dr Utecht – osiem dni po dacie wszczęcia postępowania wyjaśniającego – nie był przypadkowy. Chodziło o posiadanie jednego wspierającego głosu więcej, co miało duże znaczenie w senackich głosowaniach, kiedy obozy plastyków i muzyków miały porównywalną liczbę głosów.

Rektorskie upomnienie

Niemiałym efektem dla dr. Mikołaja Iwańskiego był fakt ukarania go w styczniu 2020 r. upomnieniem rektorskim. Rektor Dyczewski obwinił go, iż „na posiedzeniu Senatu w dniu 20 listopada 2019 r. zarzucił senatorom, w tym Rektorowi uczelni: ukrywanie plagiatu, ukrywanie korupcji, hipokryzję, polegającą na skupianiu się na formie wypowiedzi przy całkowitym zaślepieniu na to, że między senatorami siedziała plagiatorka, którą ci kryli, głosując za uchwałą; brak jakiegś pełnej wiedzy z zakresu historii parlamentaryzmu; naciskanie na studentów żeby pisali listy w stylu «łubu dubu lubimy naszego Rektora», jak również zarzucenie dr Katarzynie Utecht popełnienia przestępstwa oraz użycia wobec niej określenia >plagiatorka<”.

Prof. Dyczewski uzasadnił nałożenie kary tym, że powyższe wypowiedzi podważyły zaufanie do wskazanych senatorów i jego samego – rektora. Tłumacząc upomnienie napisał m.in. też tak: „Ponadto używanie wobec dr Katarzyny Utecht publicznego określenia «plagiatorka» oraz wskazywanie, iż popełniła ona przestępstwo, wobec niezakończenia jak dotąd postępowania wyjaśniającego i nie prowadzenia jakiegokolwiek postępowania karnego w tej sprawie, jest nadużyciem (...) i nie będzie tolerowane przez władze uczelni. Niezależnie od tego jakie są opinie recenzentów pracy habilitacyjnej każdy członek społeczności akademickiej, a w szczególności nauczyciel akademicki, powinien kierować się konstytucyjną zasadą domniemania niewinności, szanować zagwarantowane konstytucyjnie prawo do obrony i nie powinien w sposób publiczny wydawać prywatnych wyroków w stosunku do innego nauczyciela akademickiego. (...) Pana wina polega na umyślnym naruszeniu zasad dobrej dyskusji oraz norm etycznych polegających na poszanowaniu godności drugiej osoby oraz zasady domniemania niewinności, naruszając tym samym godność zawodu nauczyciela akademickiego”.

Takie uzasadnienie w istocie ogranicza się do tłumienia krytyki akademickiej w uczelni. Rektor nie miał też racji co do wyrażania opinii na temat stwierdzenia plagiatu naukowego. Istnienie plagiatu i jego wielkość czarno na białym potwierdzają recenzje. Dlatego taki zarzut ma prawo wysunąć każdy, kto zapoznał się ze sprawą. Jak już kilkakrotnie podkreślono w wyrokach sądowych, opinie recenzentów są wystarczające dla potwierdzenia naruszenia praw autorskich. Od tego upomnienia dr Iwański odwołał się do Izby Pracy Sądu Rejonowego w Szczecinie. Jesienią 2020 r., gdy rektor przegrał wybory, a władzę objęła ekipa plastyków, upomnienie formalnie cofnięto, przez co skarga została umorzona.

Odwołania i przeciągania

Na początku grudnia 2019 r. dr K. Utecht wniosła do CK w Warszawie odwołanie od prawie jednogłośnie uchwały Rady Wydziału UAP odmawiającej jej nadania stopnia doktora habilitowanego. Zarzuciła, że podczas postępowania nie zebrano wystarczających materiałów i nie rozpatrzono ich, jak również nie umożliwiono jej ustosunkowania się do zarzutów dr Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej. Podkreśliła też, że poznańska Rada Wydziału nie przeprowadziła żadnego postępowania w przedmiocie naruszenia przez nią praw autorskich.

Wewnętrzne przepisy CK w przypadku odwołań nakładają obowiązek powołania dwóch recenzentów-rzeczoznawców. Zostali nimi prof. Remigiusz Grochal z ASP w Gdańsku oraz prof. Urszula Smaza-Gralak z ASP we Wrocławiu. Oboje uznali, że odwołanie nie ma podstaw merytorycznych i formalnych. Podkreślono, „że po stronie dr Utecht występuje brak rozumienia istoty habilitacji, w tym regulacji prawnych i znajomości zasad kodeksu etyki pracownika naukowego w procedurach podnoszenia kwalifikacji”. W końcu kwietnia 2020 r. w głosowaniu tajnym zarówno członkowie Sekcji Sztuki, jak i członkowie Prezydium CK jednogłośnie oddalili odwołanie.

Nie przyjmując argumentów ani porażki, dr Utecht złożyła 31 sierpnia 2020 r. skargę do WSA w Warszawie. Skład orzekający – sędzia Agnieszka Góra-Błaszczkowska (przewodnicząca i sprawozdawca), sędziowie: Andrzej Wiczorek i Łukasz Krzycki – po rozpoznaniu na posiedzeniu niejawnym w dniu 19 stycznia 2021 r. oddalił skargę, uznając, że podniesione w niej zarzuty były niezasadne. Na końcu wielostronicowego uzasadnienia Sąd zauważył, że „ani Rada Wydziału ani Centralna Komisja, nie są organami właściwymi do procedowania w sprawie naruszenia praw autorskich. Niemniej jednak – abstrahując od implikacji prawnych, zarzut naruszenia praw autorskich nie mógł zostać w postępowaniu habilitacyjnym pominięty, dotyczył on bowiem w istocie (kwestionowania) osiągnięć naukowych i dorobku skarżącej. Organy nie mogły pominąć tego zagadnienia”.

W połowie maja 2021 r. wpłynęła skarga kasacyjna do NSA, napisana przez mecenas Kamila Utechta, który zresztą reprezentował żonę na wszystkich etapach tego postępowania. W składzie orzekającym znaleźli się sędziowie NSA: Tamara Dzielakowska jako przewodnicząca, Mirosław Wincenciak jako sprawozdawca i Tadeusz Kielkowski. Po trzech i pół roku od wpłynięcia, kasacja, wyrokiem z dnia 14 stycznia 2025 r., została oddalona jako nie mająca podstaw.

Plagiat w prokuraturze i sądzie

Prokuratura Rejonowa w Szczecinie została powiadomiona o podejrzeniu plagiatu przez prof. Dyczewskiego, rektora Akademii Sztuki w dniu 23 stycznia 2020 r. Dostarczył on też materiały, które uprawdopodobniały zarzut naruszenia praw autorskich przez dr K. Utecht, co jest przestępstwem ściganym z oskarżenia publicznego. Ze względu na miejsce popełnienia

czynu sprawę przekazano do Prokuratury Rejonowej Poznań Stare Miasto. Prowadzący postępowanie przygotowawcze prokurator Tomasz Jasiński poprosił o stosowną ekspertyzę biegłego sądowego w zakresie językoznawstwa polonistycznego, dr. hab. Michała Szczyszeke, który też ocenia plagiaty w języku polskim. Jest on profesorem uczelnianym w Zakładzie Frazeologii i Kultury Języka Polskiego UAM w Poznaniu. W obszernej 24-stronicowej opinii z 12 listopada 2020 r. potwierdził on, że nastąpiło wprowadzenie w błąd co do autorstwa 8 zdań pochodzących z doktoratu innego autora, poprzez niepodanie informacji bibliograficznej w przypisach, „co jest naganne z punktu widzenia akrybii naukowej”. Z kolei w odniesieniu do porównywanych diagramów (tabel) nastąpiło przywłaszczenie sobie autorstwa fragmentów cudzego utworu, zaś stopień zależności biegle określił na przynajmniej 80%.

Po przesłuchaniu wszystkich stron prokurator Jasiński 29 kwietnia 2021 r. wystąpił z wnioskiem do Wydziału Karnego Sądu Rejonowego Poznań-Stare Miasto o warunkowe umorzenie postępowania przeciwko 37-letniej architekt, obwiniając ją jednocześnie o przywłaszczenie sobie autorstwa i wprowadzenie w błąd co do autorstwa części cudzego utworu – doktoratu Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej. Poprosił o zawieszenie wyroku na 12 miesięcy, ale także o nałożenie nawiązki (zadośćuczynienia) w wysokości 5 tys. złotych na rzecz splagiatowanej osoby. Wskazał, że dr Katarzyna Utecht przyznała się do popełnienia plagiatu, zaś „w świetle zebranych w sprawie dowodów należy uznać fakt popełnienia przez nią zarzucanego jej przestępstwa i jego okoliczności za niebudzące wątpliwości. Uwzględniając okoliczności zdarzenia oraz charakter naruszonych dóbr należy przyjąć, że społeczna szkodliwość czynu popełnionego przez oskarżoną nie jest znaczna”.

W dniu 14 czerwca 2021 r. zapadł wyrok skazujący w VIII Wydziale Karnym Sądu Rejonowego Poznań-Stare Miasto. Sędzia Stanisław Banach uznał, że dr K. Utecht w swoim autoreferacie do rozprawy habilitacyjnej, przywłaszczyła sobie autorstwo i wprowadziła w błąd, co do autorstwa części cudzego utworu – tj. doktoratu dr Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej. Stwierdził, że aczkolwiek oskarżona dopuściła się czynu wyczerpującego znamiona przestępstwa z art. 115 ust. 1 ustawy z 4 lutego 1994 r. o prawie autorskim i prawach pokrewnych, to jednak Sąd warunkowo postanowił umorzyć wobec niej postępowanie karne na okres jednego roku. Jednocześnie orzekł wobec oskarżonej nakaz wypłaty zadośćuczynienia „za doznaną krzywdę” na rzecz pokrzywdzonej Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej w kwocie 5 tys. zł oraz pokrycie kosztów sądowych w wysokości ok. 10 tys. złotych. Wyrok uprawomocnił się.

Dyscyplinarka: nierychliwa, ale sprawiedliwa

Jak podałem wcześniej, postępowanie wyjaśniające wszczęto 4 listopada 2019 r., zaś dopiero 8 września 2020 r. – z czteromiesięcznym opóźnieniem – prof. Ireneusz Kuriata złożył do Komisji Dyscyplinarnej RGNiSW wniosek dyscyplinarny o ukaranie zwolnieniem z uczelni i trzyletnim zakazem zatrudnienia w szkolnictwie wyższym. Zarzucił obwinionej przywłaszczenie sobie autorstwa części cudzego utworu w trakcie postępowania habilitacyjnego. Istotą zarzutu był fakt przejęcia treści zaczerpniętych z doktoratu Olgi Kiedrowicz-Świtalskiej, jak również skopiowanie fragmentów stworzonej przez nią mapy (w postaci tablic i schematów), dotyczących poznawania przestrzeni terapeutycznych – bez odniesienia do tekstu rzeczywistej autorki. Dopiero po trzech latach orzeczeniem z 15 listopada 2023 r. dr Katarzynę Utecht ukarano usunięciem z uczelni, z zakazem zatrudnienia w charakterze nauczyciela akademickiego

przez okres trzech lat. Jej odwołanie zostało oddalone 9 września 2024 r. przez Komisję Dyscyplinarną przy Ministrze Nauki. Wtedy jej obrońca, mec. Kamil Utecht, złożył apelację do Sądu Apelacyjnego – Izba Pracy w Warszawie. Jak się dowiadywałem w styczniu 2026 r., sprawa nadal czeka na rozpatrzenie. Od strony praktycznej ta apelacja to chyba sztuka dla sztuki, gdyż dr Katarzyna Utecht odeszła z uczelni za porozumieniem stron parę lat wcześniej – 31 sierpnia 2021 r.

Co zdarzyło się tymczasem

Pod koniec czerwca 2020 r. odbyły się wybory rektorskie, w których w szranki wobec kończącego pierwszą kadencję rektorską prof. Dariusza Dyczewskiego stanęła dr hab. Mirosława Jarmołowicz, kierownik Katedry Architektury Wnętrz i Przestrzeni Wizualnej. Kolegium elektorskie stosunkiem głosów 24:19 wskazało ją jako nowego rektora. Urząd objęła 1 września 2020 r. i powołała dr. Mikołaja Iwańskiego na prorektora ds. artystyczno-naukowych oraz, po roku, prof. Kamila Kuskowskiego na prorektora ds. rozwoju i promocji. Dokonano też na uczelni innych zmian kadrowych oraz podjęto decyzje finansowe, które skrytykował były rektor, prof. Dyczewski, udzielając w „Kurierze Szczecińskim” głośnego wywiadu pt. *Wojna w Akademii Sztuki*. Oburzyło to nowe władze rektorskie i z tego powodu w marcu 2021 r. został on zwolniony dyscyplinarnie, co wywołało falę krytyki na łamach szczecińskiej prasy. Po kilku miesiącach, kiedy w mediach wziął udział ówczesny minister kultury i sztuki, wicepremier prof. Piotr Gliński, prof. Dyczewski 24 września 2021 r. sprstował publicznie w „Kurierze Szczecińskim” niektóre swoje „pochopne” bądź „niedokładne” wypowiedzi. Wtedy władze uczelni zatrudniły go ponownie, poczynając od 1 października 2021 roku.

Natomiast dr Olga Kiedrowicz-Świtalska od marca 2020 r. przez pół roku była prodziekanem, u boku dziekana Katarzyny Utecht, a następnie przez rok akademicki 2020/2021 dziekanem Wydziału Architektury Wnętrz. Później zrezygnowała z tej funkcji, zajmując się pracą artystyczną. W 2024 r. na macierzystej uczelni, gdzie do dzisiaj pracuje, uzyskała habilitację na podstawie osiągnięcia „Therapeutic Design Tools – narzędzie wspierające proces twórczy w obszarze dizajnu terapeutycznego”. Z kolei dr Katarzyna Utecht po odejściu z uczelni nadal prowadzi w Szczecinie firmę „Linia Projektowania Przestrzeni” projektującą wnętrza mieszkalne oraz meble.

Komentarz

Wbrew stanowisku kolejnego już prokuratora o „gołębim sercu”, uważam iż plagiaty naukowe powodują dużą szkodliwość społeczną, umożliwiając nierzetelnym i nieetycznym naukowcom niezasłużony awans w hierarchii naukowej i uczelnianej. Powoduje to kolejne i dalsze etyczne psucie środowiska naukowego, gdyż nierzetelni nauczyciele akademicy, ale już samodzielni naukowo, bo z habilitacją, często przyciągają pod swoje naukowe skrzydła kolejnych mało etycznych młodych naukowych spryciarzy. W ten sposób bylejałość i korupcja etyczna środowiska naukowego w kolejnych latach rozwija się i rozrasta bez przeszkód. To powoduje degradację nauki i spadek poziomu nauczania w szkolnictwie wyższym.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym. Zajmuje się patologią nauki od 28 lat.

Dota Szymborska

I wiem, że nic nie wygenerowałem

Sokratejski renesans w dobie powszechnego AI

W dobie algorytmów musimy z całą mocą przypomnieć fundamentalną zasadę: to my – naukowcy, badaczk, wykładowcy – odpowiadamy za każde słowo, wniosek i dane, pod którymi stawiamy swój podpis. AI może być asystentem, ale nie jest podmiotem odpowiedzialności etycznej czy prawnej.

Nowa normalność w murach uniwersytetu

Jeszcze kilka lat temu sztuczna inteligencja w murach uczelni była tematem z pogranicza technicznego science-fiction lub niszowych seminariów z zakresu kognitywistyki. Dziś – z perspektywy katedry i ławy studenckiej, rok 2022, moment publicznego udostępnienia modeli LLM – wydaje się zmianą cywilizacyjną. W mgnieniu oka AI przeszło drogę od technologicznej ciekawostki potrafiącej wygenerować zabawny wierszyk do potężnego, wszechobecnego narzędzia, które redefiniuje pojęcie pracy intelektualnej. Ta zmiana nie jest ewolucyjną korektą, to gwałtowna dekonstrukcja fundamentów, na których od dekad opieraliśmy w Akademii proces kształcenia.

Przez lata żyliśmy w paradygmacie, który roboczo można nazwać „erą tekstu jako dowodu wiedzy”. Zakładaliśmy milcząco, że jeśli student lub studentka jest w stanie dostarczyć spójny, poprawny merytorycznie esej, referat czy pracę dyplomową, to za tym fizycznym artefaktem stoi realny proces myślowy, godziny lektur i wysiłek syntezy. Oczywiście odpowiedzi świata zewnętrznego były tak zwane „spółdzielnie” czy osoby piszące owe prace, jednak był to wciąż precedens a nie norma. Dziś ten fundament zniknął. Skoro maszyna potrafi wygenerować tekst o dowolnej objętości w kilka sekund, tekst przestał być wiarygodnym świadectwem kompetencji. Stoimy przed koniecznością przededefiniowania tego, jak weryfikujemy proces myślowy drugiego człowieka, bo wynik tego procesu, gotowa treść, stał się towarem skrajnie tanim i powszechnym.

W tym miejscu musimy odważyć się przyznać: pruski model szkoły właśnie ostatecznie przestał działać. System oparty na standaryzacji, hierarchicznym nadzorze i sprawdzaniu „wsadu” informacyjnego za pomocą pisemnych testów był skrojony pod potrzeby epoki industrialnej. Dziś, w dobie algorytmów, próba utrzymania tego modelu czyni z uczelni instytucję pozorowaną. Jesteśmy w niezwykle trudnym, a zarazem fascynującym

położeniu. Musimy odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: dlaczego młody człowiek miałby w ogóle chcieć przyjść do Akademii?

W dobie darmowych kursów online i asystentów AI, którzy potrafią streścić dowolny podręcznik, uniwersytet nie może być już tylko „dostarczycielem treści”. Musi stać się przestrzenią, której nie da się zreplikować cyfrowo. Naszym zadaniem jest pokazanie studentom i studentkom, że bycie w murach uczelni to coś więcej niż tylko gromadzenie punktów ECTS i generowanie zaliczeń. To obcowanie z tym, co nazywam „autorytetem białkowym” – żywym mistrzem czy mistrzynią, który nie tylko posiada wiedzę, ale posiada też kontekst, etykę i umiejętność krytycznego osądu, których algorytm jest pozbawiony.

Wartością Akademii, którą musimy dziś na nowo budować, jest wspólnotowość i dynamika tworzenia zespołów. AI jest genialnym samotnikiem, ale nauka w swojej istocie jest procesem społecznym. Budowanie relacji, wspólne ścieranie się poglądów w czasie rzeczywistym, praca projektowa wymagająca empatii i negocjacji – to są bastiony ludzkiej inteligencji, których nie zastąpi żaden prompt. Musimy przekonać studentów i studentki, że prawdziwa wiedza nie rodzi się w interfejsie czatu, ale w dialogu, w gaju Akademosy, gdzie obecność drugiego człowieka jest katalizatorem rozwoju, a nie tylko zbędnym utrudnieniem w drodze po dyplom.

Kryzys autentyczności: Czyj to tekst?

Masowość, z jaką duże modele językowe (LLM) wdarły się do sal wykładowych, przypomina nagle pęknięcie tamy. Jako wykładowcy i wykładowczynie zostaliśmy zalani falą esejów, referatów i prac dyplomowych, które na pierwszy rzut oka wyglądają nienagannie, ale po głębszej analizie sprawiają wrażenie „bezduszných”. Problem nie polega już na tym, czy studenci używają AI, bo używają go niemal wszyscy, ale na tym,

że proces ten stał się przezroczysty, a zarazem całkowicie nieuchwytny dla tradycyjnych metod weryfikacji.

Musimy to sobie powiedzieć wprost, bez akademickiego pudrowania rzeczywistości, jako wykładowcy i wykładowczynie nie mamy dziś narzędzi, które pozwoliłyby w sposób wiarygodny i niepodważalny udowodnić, że dany tekst został wygenerowany przez model. Dostępne na rynku detektory AI to w dużej mierze współczesne różdżkarstwo. Ich skuteczność jest iluzoryczna, generują liczne fałszywe oskarżenia wobec studentów piszących nieszablonowo (często dotykając osoby, dla których polski nie jest językiem ojczystym), a jednocześnie dają się łatwo oszukać prostymi trikami edytorskimi. Poleganie na nich daje złudne poczucie bezpieczeństwa, a w rzeczywistości wprowadza do relacji mistrz-uczeń toksyczną atmosferę podejrzliwości, której nie sposób rozstrzygnąć na gruncie dowodowym.

Prawdziwe zagrożenie czai się jednak gdzie indziej niż w samym fakcie „outsourcingu” pisania. Jest nim postępująca

erozja krytycyzmu. Studenci i studentki, zachłyśnięci płynnością wypowiedzi modeli, przyjmują ich odpowiedzi bez żadnej weryfikacji. Zjawisko „halucynacji”, gdy AI z pełnym przekonaniem zmyśla fakty, daty czy całe bibliografie (numery DOI również), stało się plagą. Spotykam prace z idealnie sformatowanymi przypisami do nieistniejących książek i artykułów. To już nie jest tylko lenistwo, to brak podstawowej higieny intelektualnej. „Kopiuj-wklej” w dobie AI stało się aktem abdykacji z własnego rozumu na rzecz algorytmicznego prawdopodobieństwa.

Błędem byłoby jednak sądzić, że problem ten dotyczy wyłącznie studentów. Pokusa pójścia na skróty dotyka także nas, stronę „białkową” procesu dydaktycznego. Sama łapię się na tym, że w natłoku obowiązków zostawiam przygotowanie prezentacji na ostatnią chwilę, myśląc: „Przecież mam gotowy konspekt wykładu, model przygotuje mi slajdy w minutę”. I wtedy następuje moment zderzenia z rzeczywistością, model się zawiesza, model źle interpretuje niuanse, a ja zostaję z produktem,



Rys. Sławomir Makal

który nie jest „mój”, bywa, że zużywam tyle samo czasu na poprawki, że mogłabym taką prezentację przygotować od podstaw. Na szczęście w większości przypadku sprawdzam, weryfikuję i oszczędzam czas, ale planowanie wciąż pozostaje kluczowe! To i inne doświadczenia z AI zmusiły mnie do wypracowania zupełnie nowego sposobu pracy. Muszę dziś na nowo zdefiniować swoją obecność jako naukowczynie. Jak korzystać z dobrodziejstw modeli, by nie zatracić własnego głosu? To proces ciągłej negocjacji między wydajnością algorytmu a głębią „białkowego” namysłu.

Kiedy w 2019 roku pisałam artykuł naukowy o współpracy „naukowców białkowych” z „niebiałkowymi”, wielu moich kolegów i koleżanek z „branży” patrzyło na mnie z pobłażliwym uśmiechem, jak na autorkę fantastyki naukowej. Dziś te rozważania stały się naszą codziennością. Właśnie teraz, na naszych oczach, rozstrzyga się kwestia tego, ile „człowieka w człowieku” musi pozostać w pracy badawczej.



Przecież w nauce nie chodzi o samą czynność postawienia podpisu pod tekstem. Podpis jest deklaracją „Przejrzałem to, przemyślałem, biorę za to odpowiedzialność”. W świecie, gdzie generowanie treści jest darmowe i natychmiastowe, etyczny ciężar tego podpisu staje się większy niż kiedykolwiek. Jeśli jako Akademia pozwolimy na to, by autentyczność stała się tylko pustą etykietą, stracimy moralne prawo do nauczania innych.

Jasna strona mocy: AI jako partner, nie wróg

Choć moja diagnoza dotycząca kryzysu autentyczności tekstu może brzmieć surowo, byłabym nieuczciwa, gdybym zatrzymała się wyłącznie na ostrzeżeniach. Sztuczna inteligencja, mimo wszystkich ryzyk, które generuje, jest bowiem jednocześnie najbardziej fascynującym narzędziem wspierającym edukację, jakie kiedykolwiek trafiło w ręce akademików i akademiczek. Kluczem do sukcesu nie jest walka z modelem, lecz umiejętne włączenie go w proces dydaktyczny tak, by wzmacniał on, a nie zastępował, ludzką inteligencję.

Największą rewolucją, jaką dostrzegam, jest rola AI jako „cudownego tutora”. W tradycyjnym modelu student często zostaje sam z trudnym tekstem źródłowym lub skomplikowaną teorią o drugiej nad ranem. Wtedy nie ma dostępu do wykładowcy, a wstyd przed przyznaniem się do niewiedzy na forum grupy bywa paraliżujący. AI wypełnia tę lukę. Modele językowe są genialne w „tłumaczeniu z polskiego na nasze”, potrafią rozbić hermetyczny żargon naukowy na przystępne analogie, stworzyć spersonalizowane quizy sprawdzające wiedzę czy pomóc w nauce metodą aktywnego przypominania sobie (active recall). Dla studenta, który chce się uczyć, AI staje się cierpliwym, nieocenianym przewodnikiem, który nigdy nie męczy się powtarzaniem definicji.

Z perspektywy mojej codziennej pracy implementacja AI stała się prawdziwym przełomem w przygotowywaniu zajęć. Modele nie zastępują mojej wiedzy merytorycznej, ale są niezastąpionymi asystentami w fazie procesowej. Wykorzystuję je do między innymi tworzenia dynamicznych scenariuszy. AI pomaga mi generować rozbudowane case studies, które są aktualne i dopasowane do specyfiki danej grupy. Projektowania gier dydaktycznych – dzięki modelom mogę w kilka minut stworzyć scenariusz symulacji lub debaty oksfordzkiej, co wcześniej zajmowało długie godziny namysłu nad strukturą argumentów. Analizy „luk” w sylabusie, tutaj proszę modele o krytyczne spojrzenie na mój program zajęć – czy nie pominęłam jakiegoś istotnego nurtu? Jakie kontrargumenty do prezentowanych treści mogą pojawić się w najnowszej literaturze światowej?

Dzięki temu, że AI przejmuje na siebie ciężar technicznego „opracowania” materiałów, ja zyskuję czas na to, co najcenniejsze – na budowanie relacji ze studentami i studentkami i dopracowywanie tych elementów nauczania, które wymagają empatii i głębokiego kontekstu.

Nowe horyzonty – inkluzywność i personalizacja

Warto wspomnieć o jeszcze jednej, niezwykle ważnej karcie, jaką gra AI w szkolnictwie wyższym. Jest nią demokratyzacja wsparcia dla osób z trudnościami. Studenci neuro różnorodni, osoby w spektrum autyzmu czy z dysleksją znajdują w AI narzędzie, które pozwala im „ustrukturyzować” świat akademickich wymagań. Modele pomagają im w porządkowaniu notatek, planowaniu nauki czy przełamywaniu lęku przed białą kartką. To aspekt etyczny, o którym rzadko mówimy w kontekście lęku przed plagiatem, a który jest ogromnym krokiem naprzód w budowaniu dostępnej dla każdego Akademii.

Również w mojej pracy badawczej AI staje się partnerem w dialogu. Nie pozwalam mu pisać za mnie, ale używam go do wstępnej selekcji literatury, wyłapywania korelacji w dużych

zbiorach danych czy nawet do „testowania” moich hipotez poprzez symulowaną dyskusję z wirtualnym oponentem. To sprawia, że moja praca nad habilitacją zyskuje nową dynamikę. Paradoksalnie technologia, która miała nas od siebie oddalić, zmusza mnie do bycia jeszcze bardziej precyzyjną, jeszcze bardziej wnikliwą i jeszcze bardziej „ludzką” w moich naukowych poszukiwaniach.

Implementacja AI w mury uniwersytetu to nie tylko kwestia techniczna czy dydaktyczna, to przede wszystkim wyzwanie aksjologiczne. Wchodzimy na teren, gdzie stare kodeksy etyczne stają się niewystarczające, a nowe dopiero piszemy „na żywo”, często metodą prób i błędów.

W dobie algorytmów musimy z całą mocą przypomnieć fundamentalną zasadę: to my – naukowcy, badaczki, wykładowcy – odpowiadamy za każde słowo, wniosek i dane, pod którymi stawiamy swój podpis. AI może być asystentem, ale nie jest podmiotem odpowiedzialności etycznej czy prawnej (stan na styzeń 2026 roku). Jeśli model „halucynuje” i wprowadza nas w błąd, a my ten błąd powielimy w publikacji czy na wykładzie, to nie jest to „błąd systemu”, lecz nasza porażka zawodowa. Ta świadomość musi nam towarzyszyć na każdym kroku – podpis na pracy naukowej jest dziś ważniejszy niż kiedykolwiek, bo jest rękopisem ludzkiego nadzoru nad bezdusznym procesem przetwarzania danych.

Musimy być również świadomi, że korzystając z komercyjnych modeli, bezustannie karmimy je naszymi danymi, wynikami badań i unikalnymi przemyśleniami. To sytuacja bez precedensu: oddajemy owoce naszej pracy intelektualnej wielkim korporacjom w zamian za chwilową sprawność obliczeniową. Co więcej, stajemy przed fascynującym, choć niepokojącym zjawiskiem: modele zaczynają być trenowane na danych wygenerowanych przez... inne modele. Wchodzimy w zapętloną autoreferencyjność. Jako naukowcy i naukowczynie wiemy, że to wcale nie musi gwarantować wzrostu poziomu. Wręcz przeciwnie, istnieje ryzyko tzw. zapadnięcia modelu (model collapse), gdzie AI, mieląc w kółko własne błędy i uproszczenia, zaczyna tracić na jakości i oryginalności. Czy Akademia nie powinna być zatem strażnikiem „czystych”, ludzkich danych?

Kolejnym palącym problemem jest wykluczenie cyfrowe. Często dyskutujemy o etyce AI w teorii, zapominając o prawdziwym aspekcie finansowym. Różnica w możliwościach między darmowymi wersjami modeli a ich płatnymi odpowiednikami jest prawdziwą przepaścią. Moja znajoma mikrobiolożka płaci 1500 USD za dostęp do zaawansowanych modeli i agentów, ponieważ chce błyskawicznie opracować specyficzne dane badawcze. To rodzi pytanie o nową formę nierówności w nauce. Czy za chwilę o tempie awansów naukowych i jakości dydaktyki nie będzie decydował wyłącznie talent, ale portfel wykładowcy lub budżet katedry? Jeśli dostęp do „najmądrzejszego” asystenta jest reglamentowany wysoką ceną, to uniwersytecka idea egalitaryzmu staje pod znakiem zapytania.

Na koniec dylemat najbardziej osobisty. Sama łapię się na tym, że zamiast iść do pokoju obok, by przedyskutować pomysł z kolegą lub koleżanką z Wydziału, wolę „zderzyć” ze sobą dwa różne modele językowe lub zaprogramować agenta, który wejdzie ze mną w polemikę. Jest szybciej, sprawniej i bez emocjonalnych kosztów, jakie niesie czasem ludzka dyskusja. Ale czy to jest lepsze? Czy ta szybkość nie zabija przypadkowości i kreatywnego chaosu, który rodzi się tylko w relacji białkowej? Zastanawiam się, czy ucieczka w dialog z maszyną nie jest powolnym wycofywaniem się z tej wspólnoty, która przez wieki definiowała Akademię. Sokratejska maieutika wymagała drugiego człowieka, asystent AI, choćby nie wiem jak sprawny, jest tylko lustrem, w którym odbijają się nasze własne przekonania.

Co dalej z modelem kształcenia?

Stojąc w obliczu tak fundamentalnej zmiany, nie możemy poprzestać na diagnozowaniu problemów. Musimy zdefiniować nową architekturę dydaktyki. Skoro maszyna potrafi wygenerować „wynik”, nasza uwaga musi przesunąć się na proces.

Postuluję odejście od oceniania wyłącznie gotowych prac pisemnych na rzecz ewaluacji etapów ich powstawania. W nowym modelu ocenie powinny podlegać notatki, ewolucja myśli, szkice, a nawet historia interakcji z modelem AI. Chodzi o to, by student udowodnił, jak dochodził do wniosków, a nie tylko co dostarczył w pliku PDF. To wymaga od nas, wykładowców i wykładowczyń, większej uważności, ale jest jedyną drogą do zachowania rzetelności akademickiej. Naszym zadaniem jest kształtowanie kompetencji przyszłości, czyli sprawnego promptingu, ale przede wszystkim rygorystycznego fact-checkingu i etycznego nadzoru nad algorytmami.

Ukryty koszt algorytmu

W rozmowach o AI często zapominamy o jej fizyczności. Kiedy opowiadam moim studentom i studentkom, że zadanie modelowi zaledwie 20 pytań kosztuje planetę około 500 ml wody zużytej do chłodzenia serwerów, widzę na ich twarzach szczere zdumienie. Ile takich interakcji mieli w ciągu dnia? Musimy zacząć rozmawiać o różnicy między „Red AI” (nastawioną wyłącznie na precyzję kosztem ogromnych zasobów) a „Green AI” (efektywną energetycznie). To prowadzi nas do jeszcze trudniejszych pytań o postkolonializm danych. AI to nie tylko bezcielesne LLM-y, to potężna infrastruktura, która często czerpie z zasobów Globalnego Południa (tania siła robocza przy etykietowaniu danych, eksploatacja rzadkich minerałów używanych do produkcji chipów), by służyć wygodzie Globalnej Północy. Jako naukowcy mamy obowiązek uświadamiać, że każde zapytanie do modelu ma swój ślad węglowy i etyczny. Musimy budować jasne wytyczne systemowe, które nie będą tylko listą zakazów, te studenci i studentki zawsze ominą, ale fundamentem odpowiedzialnego korzystania z technologii, która jest czymś znacznie więcej niż tylko „sprytnym chatbotem”.

Humanizm w erze krzemu

Choć technologia AI zdaje się dominować w debacie o przyszłości uniwersytetu, jestem głęboko przekonana, że nie jest ona w stanie zastąpić relacji mistrz-uczeń. Wręcz przeciwnie, ona zmusza nas do jej radykalnego odświeżenia naszego spojrzenia. Sztuczna inteligencja zdejmuje z naszych barków ciężar rutynowych, mechanicznych zadań. Pozwala nam przestać być „automatami do sprawdzania testów” i znów stać się mentorami i mentorkami. W świecie nasyconym algorytmami, to właśnie „białkowa” obecność, zdolność do empatii i wspólne poszukiwanie prawdy w dialogu stają się najwyższą wartością.

Akademia nie może być tylko fabryką dyplomów, chciałybyśmy żeby pozostała wspomnianym wcześniej gajem Akademiosa – przestrzenią, w której krytyczne myślenie rodzi się w spotkaniu twarz w twarz. Jakkolwiek patetycznie to brzmi, AI to potężny wiatr w żagle nauki, ale to my musimy trzymać ster, pamiętając, że ostatecznym celem edukacji nie jest wygenerowanie poprawnej odpowiedzi, lecz ukształtowanie człowieka zdolnego do samodzielnego zadawania pytań.

(Nad interpunkcją w tekście pracowałam z modelem Gemini PRO)

Dr Dota Szymborska – doktora nauk humanistycznych w zakresie etyki, filozofka oraz socjolożka. Akademicka, wykładowczyni i dwukrotna prelegentka TEDx. Liderka grupy roboczej ds. AI i demokracji przy Ministerstwie Cyfryzacji.

Rozmowa z prof. Jerzym Stillerm z Wydziału Architektury Politechniki Śląskiej w Gliwicach

300 moich domów...

Nie można zrozumieć przestrzeni, jeśli się jej nie narysuje ręcznie. Komputer niczego tu nie zastąpi, bo jest tylko narzędziem, a oprogramowanie narzuca pewne ograniczenia.

W swoich rozważaniach na temat rysunku architektonicznego przytacza pan stwierdzenie teoretyka sztuki okresu renesansu, Giorgia Vasariego, który uważał, że architektoniczny rysunek projektowy jest ważniejszy od realizacji. Co to w praktyce oznacza?

Realizacja bywa skażona kompromisami i nie zawsze jest zgodna z pierwotną koncepcją autora, tymczasem rysunek pobudza wyobraźnię i prowokuje do dyskusji, dając szansę na indywidualną interpretację; jest też unikalnym zapisem temperamentu twórcy. Mój wykładowca, prof. Jan Węclawski, któremu wiele zawdzięczam, powiedział mi kiedyś: „Jak nie będziesz miał pracy, to sobie ją wymyśl, ponieważ architektura musi być uprawiana permanentnie, podobnie jak malowanie obrazów”. Zacząłem więc rysować architekturę i robię to do dzisiaj. Po ukończeniu studiów, pracowałem przez jakiś czas z profesorem – robiłem przede wszystkim detale do kościołów, które projektował i była to bardzo ciekawa współpraca. Nie narzekałem więc na brak zajęć, ale ciągle się bałem, że skończy się projekt i co będzie dalej? Nie ma nowego, a tu pieniądze trzeba zarabiać.

Lata 80. były trudnym okresem dla projektantów, na szczęście podjął pan pracę na uczelni.

Nie od razu, dopiero od 1986 roku. Nie marzyłem, żeby zostać nauczycielem, jednak prof. Węclawski przekonał mnie, że to będzie dobra decyzja. Powiedział: „Obojętnie co będzie się działo, niech pan nie rezygnuje z pracy na uczelni, bo kontakt z młodymi ludźmi jest bezcenny, tego nie da się kupić”. I tak się ta moja akademicka przygoda zaczęła. Prawie trzydzieści lat przepracowałem w Poznaniu w Akademii Sztuk Pięknych, a teraz zaczynam siedemnasty rok pracy na Wydziale Architektury Politechniki Gliwickiej. Po habilitacji okazało się, że wszyscy potrzebują samodzielnych pracowników, trafiłem więc także na pewien czas do Instytutu Wzornictwa w Koszalinie. Próbowałem jeszcze żyć zarobkowo

z projektowania poza uczelnią, ale stwierdziłem, że nie można dwóch rzeczy naraz robić dobrze i że trzeba się zdecydować, a ponieważ denerwowały mnie nieustanne uwagi, że muszę coś zrobić na jutro albo na wczoraj, postanowiłem, że nie będę brać zleceń i skoncentruję się tylko na pracy uczelnianej. Po siedmiu latach wróciłem jednak do projektowania zarobkowego, za sprawą mojego już nieżyjącego przyjaciela, który zaproponował mi studialny projekt odbudowy kościoła w Rokietnicy. Pracowaliśmy siedem miesięcy, powstała bardzo ciekawa koncepcja, ale ostatecznie nic z tego dla nas nie wyszło.

Dlaczego? Czy to była praca za „Bóg zapłać”?

Nie, zapłacono nam za koncepcję, lecz odstąpiono od realizacji. Gdy po trzech latach pomysł na realizację powrócił, zrobiła to już inna pracownia. Projekt zawsze funkcjonuje – jak to określam – w trzech różnych etapach. Najpierw jest myśl, którą





trzeba kiedyś zapisać. Zapis, czyli rysunek, to drugi etap, który ma swoje ograniczenia, ale wyłącznie warsztatowe. Kiedy zacząłem pracę, nie było jeszcze komputerów, powiedziałem więc sobie, że jeżeli mam rysować, to będę to robił tak, żeby zawsze rysować to co chcę, jak chcę i kiedy chcę.

Nie myśląc o żadnych ograniczeniach narzucanych przez inwestorów?

Tak. Trudno to sobie wyobrazić, ale przez wiele lat rysowałem dziesięć godzin dziennie i dzisiaj rzeczywiście mogę narysować wszystko, co chcę i jak chcę. Właściwie jest to tylko zabawa, ale gdy studenci pytają mnie, co trzeba zrobić, żeby tak rysować, odpowiadam, że wystarczy rysować codziennie przez 40 lat.

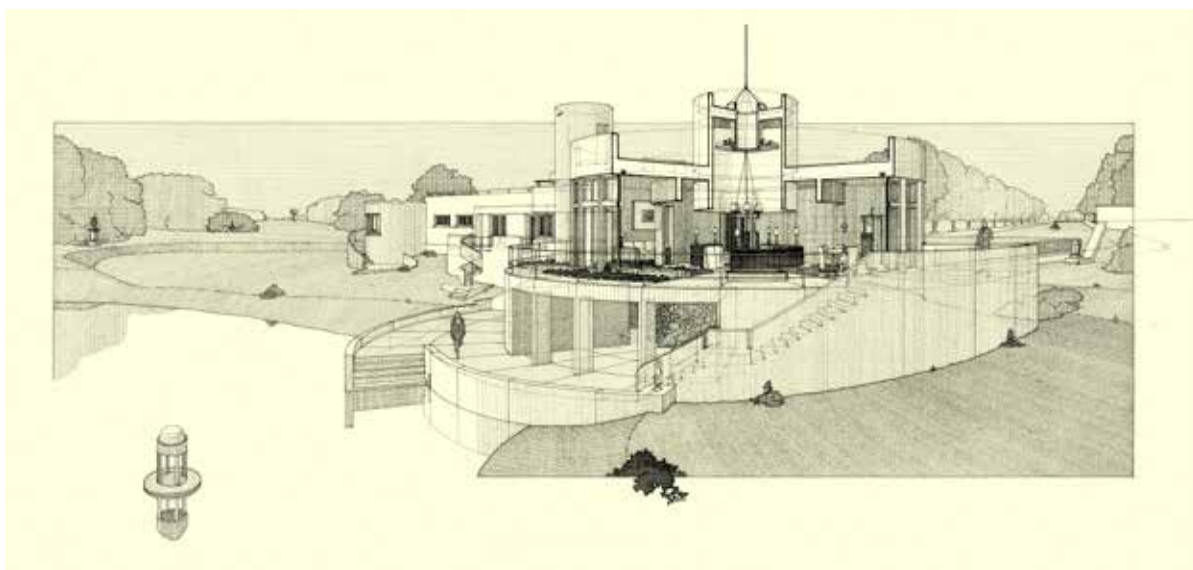
...i na dodatek przez dziesięć godzin dziennie...

Tak. Zawsze. Może poza okresami, kiedy muszę spłacać haracz systemowi i skupiać się nad pisanem prac naukowych, mimo że nie jestem naukowcem, ale obliuguje mnie do tego praca

na politechnice. Mamy więc wspomniany zapis projektowy, a następnie jest etap trzeci, czyli realizacja. Gdybym miał te etapy do czegoś porównać, to przychodzi mi na myśl partytura muzyczna, czyli zapis i wykonanie utworu, które jest interpretacją. W projektowaniu zapisem jest projekt, a realizacja wiąże się z interpretacją projektu. Zdarzają się realizacje zgodne z projektem, ale najczęściej tak nie bywa, zawsze są ograniczenia, np. ekonomiczne, gdy z czegoś trzeba zrezygnować i zamiast okien drewnianych robi się plastikowe albo zamiast wielkiego komina – mały, aby użyć mniej cegieł. W konsekwencji okazuje się, że to, co powstaje, nie do końca jest zgodne z intencją autora.

Realizacje potrafią rozczarować.

Raz są lepsze, raz gorsze. Miałem kiedyś taki epizod w Suchym Lesie, gdzie pierwszy raz w życiu mogłem projektować od podstaw całe domy i wnętrza. Projektowałem nawet witraże, kłamki, rozmaite detale. Problem polegał na tym, że i tam doszło do kompromisu, np. zamiast ceglanych murów





oporowych (dom stał na skarpie) wprowadzono kamień polny. Niby to samo, ale nie to samo, gdyż kamień jest rustykalny, a cegła nie ma takiego charakteru. Kompromisy nie zawsze są do przyjęcia – kiedyś tupnąłem nogą i powiedziałem: dziękuję, nie będę się więcej tym domem zajmował. Czasami bywa też tak, że budynek może zniknąć, bo np. po 20 latach zostaje rozebrany i wtedy pozostają nam tylko rysunki projektowe. Nieistniejącą budowlę możemy ocenić tylko przez pryzmat projektu, który pokazuje, jaki naprawdę był pomysł autora. Co ciekawe, na przykład Leonardo da Vinci nie wybudował ani jednego budynku, ale zostawił po sobie kilkadziesiąt rysunków projektowych architektonicznych i dzisiaj wszyscy wpisują go na listę wybitnych architektów okresu renesansu. Inny przykład to Jacques Androuet du Cerceau, francuski architekt późnego renesansu, po którym nic się nie zachowało, wszystkie jego budynki albo nie zostały dokończone, albo zburzono je w czasie rewolucji. Pozostały tylko fantastyczne rysunki. Jacques Androuet du Cerceau wydał najpierw podręcznik do rysowania perspektywy, a potem zbiór projektów idealnych, gdyż pasjonowało go poszukiwanie idealnych rozwiązań. To bardzo ciekawy pomysł, że studialne prace niekoniecznie muszą być przeznaczone do realizacji, ale powinny stanowić próbę poszukiwania formy. Tymczasem, jak wspomniałem, ja przez pewien czas żyłem z projektowania realnych prywatnych domów. Ostatni projekt przygotowałem dla przyjaciela kolegi, który mieszkał w Niemczech i zapragnął wrócić do Polski. Nie miałem ochoty robić tego domu, zwłaszcza gdy pomyślałem sobie o urzędowych sprawach, ale nie wypadało odmówić. Zrobiłem koncepcję domu zgodnie ze swoim spojrzeniem na architekturę, a nawet mały modelik i powiedziałem: jak się podoba, możemy robić, a jeśli nie, to są inni architekci. Niestety, klient wpadł w zachwyt. Trzeba się było zmobilizować i tak powstał dom w Mosinie,

który stoi do dzisiaj, ale niestety jest skażony kompromisami. Doszło do nich na etapie realizacji, głównie z winy wykonawców.

Pan jednak, jako niespokojny duch rysowniczy, przez cały czas rysował projekty idealnych domów, umieszczając je przeważnie w najbliższej okolicy. Niepokoili pana sytuacja związana z architekturą obserwowaną z okna własnego mieszkania?

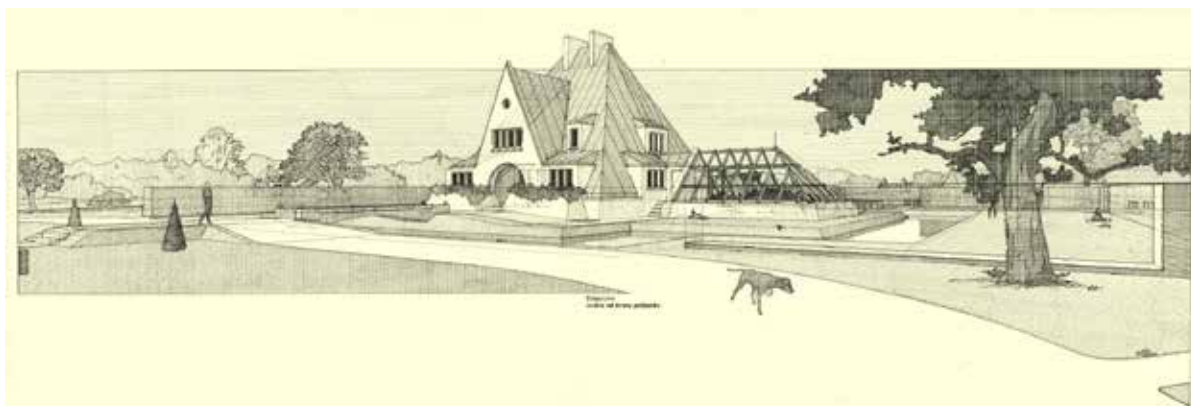
Staram się obłąskawiać przestrzeń, w której mieszkam i moje studialne projekty, których jest już ok 300, to są domy przeznaczone dla mnie.

300 domów – wspaniale!

Nikt nigdy nie zaprojektował dla siebie tylu domów co ja. Nie wybudowałem ich, ale przecież nie o to chodziło. Uważałem, że architekturę trzeba do kogoś adresować, że ona nie może być anonimowa, więc adresowałem ją do siebie. Podzieliłem moje projekty na dwie części: domy na wsi i w mieście. Obie rządzą się różnymi prawami. W przypadku wsi chciałem wrócić do idei staropolskiego dworu.

Od wielu lat podróżuje pan z aparatem fotograficznym, dokumentując zachowane pałace i dwory. W ślad za tym powstają rysunki, niejednokrotnie będące rekonstrukcjami poszczególnych faz projektowania zabytkowych budowli. Czy w ten sposób szuka pan inspiracji do swoich projektów?

Zacząłem się od potrzeby notowania tego, co ginie na naszych oczach. Dziś są to 1023 obiekty, przede wszystkim z Wielkopolski, i ponad 150 000 zdjęć. Przyjaciół, którzy przeważnie ze mną jeżdżą, ma tę zaletę, że jest gadułą, więc rozmawia z gospodarzami, a ja mogę spokojnie fotografować. Kiedyś zrobiłem wystawę wybranych zdjęć zatytułowaną *Okruchy umarłego*



świata. Bo to jest umarły świat, nie można już go wskrzesić, można tylko duchy wywołać.

Wiele z tych dworców jest w stanie postępującej destrukcji.

Zdarzają się obiekty bardzo pięknie zachowane, jak pałac w Rogalinie, ale też dwory, które chył się ku upadkowi i którymi nikt się nie zajmuje. Co jakiś czas zapisuję zdjęcia na twardy dysk i przekazuję konserwatorowi. Wracając do mojego rysowania, muszę opowiedzieć pewną anegdotę. Kiedyś do mojej pracowni przyszedł klient. Siedziałem wśród tych swoich kalek, rysunków, on je ogląda i mówi: „Ładne te pana rysunki i pan sam je wszystkie rysuje? – Sam. – To pan do pieniędzy nie dojdzie”. Taka była jego konkluzja. A potem opowiedział mi, jak się można sprytnie urządzić: „Chciałem mieć sklep – mówi – więc kupiłem lokal dawnego fryzjera z wyposażeniem. I wie pan co zrobiłem? Napisałem na drzwiach, że w czwartek 16-go każdy może to, co chce, wziąć sobie stąd za darmo. Wszystko mi wymontowali i nie miałem żadnych kosztów”.

Jaki projekt ten klient chciał u pana zamówić?

Chciał mieć dom, ale nie mogliśmy się porozumieć, bo rozmawialiśmy na dwóch zupełnie różnych płaszczyznach. Przerobiłem jednak jego lekcję i gdy wychodził, powiedziałem: „Wie pan, godzina mojej pracy kosztuje 150 zł, a pan godzinę mi zajął”. Stał jak zamurowany, ale wyjął pieniądze i zapłacił.

Wracając do rysunków: na początku rysuję w taki płaski, elewacyjny, ortogonalny sposób, jak to robią architekci, a później perspektywicznie, podobnie jak to widać na tym dziewiętnastowiecznym rysunku, który wisi u mnie na ścianie, jako pamiątka sentymentalna, i przedstawia nieistniejący już dom z w Żarach, należący do rodziny mojego dziadka. Niedawno odkryłem, że właśnie rysunki nauczyły mnie podstawowego rzemiosła: określenia właściwych proporcji, użycia detalu, gdzie kolumna jest kolumną, a tympanon – tympanonem. Gdyby nie rysunki, to żaden z moich zrealizowanych projektów nie wyglądałby tak, jak wygląda. Gdy zaczęły się pojawiać rysunki domów, które projektowałem dla siebie, zwłaszcza domów na wsi, próbowałem znaleźć własną drogę estetyczną i stwierdziłem, że punktem odniesienia może być historia, jeśli ją odpowiednio zinterpretuję. Przeczytałem kiedyś tekst fizyka kwantowego, który sugerował, że rozwój sztuki polega na usuwaniu barier, co najlepiej widać na przykładzie muzyki, gdy po usunięciu wszystkich barier powstała muzyka dodekafoniczna. Podobnie w architekturze i sztuce – usunięto już właściwe wszystkie bariery, więc czeka nas kolejny eklektyzm, ale nie taki jak w XIX wieku, tylko polegający na indywidualnym, subiektywnym interpretowaniu historii.

Czyli kolejna odsłona postmodernizmu?

Postmodernizm miał zdecydowanie charakter doktrynalny, był prostą reakcją na modernizm, ale niewątpliwie był ważnym sygnałem. Niektórzy architekci próbują szukać nowego spojrzenia w historii, bo co nam zostało, jak już wszystko zrobiono? I tak trwały te moje zabawy z historią: myślałem o domu na wsi, a jednocześnie interesowałem mnie dwór jako zjawisko socjologiczne. Mam przyjaciela, który kupił i wyremontował zdewastowany dwór w Mielnie pod Śremem. Gdy zgłosili się dawni właściciele, powiedział: „Nie widzę problemu, aby państwo odzyskali swój majątek – przyniosę tylko rachunki, jak mi zwrócić pieniądze, to proszę bardzo”. Już się więcej nie pojawili. Ale u niego czas płynie inaczej, ma własny sad i jest chyba jedynym współczesnym człowiekiem w Polsce, który wybudował sobie w parku kaplicę, gdzie chce być pochowany.

Wracając do rysunku, czy pasjonował pana „od zawsze”?

Nie, chciałem być artystą-malarzem i trzy razy zdawałem na akademię na malarstwo. Na szczęście Pan Bóg nie dopuścił. Pracowałem wówczas w biurze projektów, gdzie pojawiał się prof. Węclawski. Kiedyś obejrzał moje rysunki i mówi: „Dlaczego pan koniecznie chce dostać się na malarstwo, niech pan zdaje na architekturę wnętrz”. Złożyłem papiery, dostałem się i ukończyłem studia na tym kierunku. Wcześniej co jakiś czas malowałem, teraz już od ponad dwudziestu lat nie maluję, ale namawiają mnie, bym do tego wrócił.

Jest pan jednak tak zajęty, że jak tu dodać kolejne godziny do tych dziesięciu przeznaczanych codziennie na rysunek?

Obecnie nie czuję, żebym miał coś do powiedzenia w malarstwie, natomiast w architekturze – tak. Ostatnio rozpocząłem cykl rysunków, pt. *Park*. W Wielkopolsce jest dużo zabytkowych parków, gdzie nie ma dworców, bo albo nigdy nie istniały, albo zostały zburzone. Postanowiłem więc, że będę projektował sobie domy w parkach. Gdy projektuję domy na wsi, to nie dlatego, że chciałem mieć wielką działkę i postawić pośrodku dom, myślę raczej o tym, aby go umieścić w naturalnym pejzażu nieurbanizowanym.

Kolejne zagadnienie, które pan zgłębia, wiąże się z próbami przedstawienia poszczególnych faz projektowania zabytkowych budowli.

Wielu obiektów już nie ma i nawet do końca nie wiadomo, jak wyglądały, a rysunek ma to do siebie, że – jak powiedział pewien mądry człowiek – jeśli nie ma żadnych materiałów ilustracyjnych i źródłowych, to każda wizja jest tak samo bliska prawdy, jak od niej odległa. Postanowiłem podjąć się np.



próby rysunkowej rekonstrukcji pałacu w Opalenicy. Zbieram materiały archiwalne, ale w tym przypadku zachował się tylko jeden rysunek Konstancji Raczyńskiej z czasu, kiedy pałac był już ruiną. Jeśli jednak dobrze zinterpretuję rysunek, wiedząc, w jakim okresie budowla powstała, z pewnym prawdopodobieństwem będę mógł odtworzyć jej wygląd. Opalenica jest już gotowa, być może zarząd gminy zainteresuje się rysunkami, podobnie jak to było w przypadku Zbąszynia, gdzie zdecydowano się na publikację książkową.

Niewiele brakowało, a doszłoby do faktycznej rekonstrukcji dawnych fortyfikacji w Zbąszyniu.

Trafiłem tu na niezwyklego burmistrza, pasjonata Zbąszynia, który zaprosił mnie, bym w czasie Nocy Muzeów opowiedział o fortyfikacjach. Mieszkańcy byli pod wrażeniem, bo nie wiedzieli, że chodząc zimą na „górkę” na sanki, spacerują po relikwach fortyfikacji ziemnych. Burmistrz interesował się nie tylko projektem rewitalizacji fortyfikacji, myślał nawet o odbudowie zamku. W Zbąszyniu znajdowała się jedyna w Wielkopolsce bastionowa twierdza typu staroholenderskiego. Pan Abraham Ciświcki, który był inicjatorem jej budowy, interesował się architekturą i dużo podróżował. Odwiedził Niderlandy w czasie, gdy prowadziły wojnę z Hiszpanią i obserwował jak sygnalizację ziemne, co było tanie, szybkie i efektywne. Postanowił więc otoczyć ziemnymi fortyfikacjami swój zamek odziedziczony po dziadku Abrahamie, ostatnim ze Zbąskich. W XVIII wieku posiadłość przejęła rodzina Garczyńskich, która rozpoczęła niwelację kurtyn, przebudowała zamek na pałac barokowy i założyła piękny ogród francuski z podwójnymi szpalarami grabowymi. Gdy teren przeszedł w ręce Prusaków, oni wysadzili zamek, a fortyfikacje w większej części zniwelowali. Pozostał jeden bastion, kurtyna bramna z bramą oraz resztki drugiego i trzeciego bastionu, który można odtworzyć. Opracowałem więc projekt rewitalizacji i pojechaliśmy z burmistrzem do pani konserwator wojewódzkiej, aby zaprezentować projekt odpowiedniej komisji. Opinia była pozytywna, ale potem zaczęły się schody, gdyż trzeba było wyciąć fragment drzewostanu na wałach, gdzie gniazduje kilka ptaków – cała sprawa rozbiła się o te ptaki i lęk przed ekologami. A propos ekologów, mam z nimi kontakt jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Fortyfikacji w Poznaniu. Prowadzimy trasę turystyczną po Forcie III, położonym na terenie Starego ZOO. Jak w każdym forcie podobno tam też pojawiają się nietoperze, choć ich nigdy nie widziałem. Z tego względu chciano nas wyrzucić, bo podobno nietoperze mogą przestraszyć się ludzkiego głosu. Nie bardzo to rozumiem, skoro często nocują w dzwonnicach kościołów i bicie dzwonów jakoś im nie przeszkadza. Fortyfikacje fascynują mnie od dawna. W okresie nauki w technikum dotarłem do rysunków przedstawiających poznańską cytadelę. Dziś mamy dostęp do planów berlińskich i one dużo nam wyjaśniają, ale wówczas sam próbowałem rozrysować perspektywicznie całą budowlę.

Czy studenci, którzy uczą się w pana pracowni, wykorzystują rysunek odręczny w projektowaniu?

Niestety moi studenci projektując, używają już tylko komputerów, a na zajęciach z rysunku zajmują się jedynie rysowaniem martwych natur. W tym roku zrobiłem im niespodziankę w postaci klauzuli do zadanego ćwiczenia, polegającej na ręcznym narysowaniu koncepcji. Efekty były żałosne, ale pomysł im się spodobał, więc będę go kontynuował. Uważam, że nie można zrozumieć przestrzeni, jeśli się jej nie narysuje ręcznie. Komputer niczego tu nie zastąpi, bo jest tylko narzędziem, a oprogramowanie narzuca pewne ograniczenia, które nie istnieją w przypadku projektowania ręcznego.

Wizualizacja komputerowa wygląda jak zdjęcia istniejącego obiektu, który przecież nie istnieje. Wiele możliwości daje też sztuczna inteligencja, jednak ona niewiele ma wspólnego z inteligencją, chociaż studenci są nią zafascynowani. Uważam, że to właśnie rysunek powinien być punktem wyjścia w projektowaniu. Sam preferuję rysunek czarno-biały. Napiisałem kiedyś w jednym z artykułów, że jak się narysuje różę i pomaluje ją na czerwono, to będzie to czerwona róża i nic więcej, natomiast jak narysuje ją czarno-białą kreską na białym tle, to ona może być w każdym kolorze, jaki sobie wyobraźmy, bo nie stawiam barier wyobraźni.

Uważa więc pan rysunek odręczny za istotny etap w edukacji przyszłych architektów?

Prowadziłem przed laty w poznańskiej ASP zajęcia z rysunku projektowego i uczyłem studentów rysowania perspektywy, ale nowo wybrany rektor zlecił te zajęcia asystentowi, który uczy już tylko w oparciu o komputer. Taką niestety mamuśkę rzeczywistość i trudno odwracać kota ogonem. Gdy rysuję, uspokajam się, wyłączam świat, który jest dookoła. Kiedyś, gdy opowiadałem o swoich rysunkach, kolega zapytał mnie: „A po co ty właściwie to robisz?”. Odpowiedziałem mu: „Pytanie jest źle postawione, bo gdy pytasz po co?, to w tle są merkantylne korzyści, a gdybyś mnie zapytał dlaczego?, łatwiej byłoby odpowiedzieć”. Rysuję dlatego, że do głowy przychodzą mi projekty i jak ich nie narysuje, to mnie prześladowają. Uwalniam się od nich dopiero, gdy zostaną narysowane. Dopóki rysuję, mam do czynienia z żywą materią, a jak projekt zostanie skończony, jest martwy i wówczas czekam, aż pojawi się nowy pomysł. Kiedyś postanowiłem, że będę robił podobnie jak Michał Anioł, który pracował nad czterema rzeźbami naraz. W konsekwencji po jakimś czasie skończyłem cztery projekty w sensie zapisu ortogonalnego, ale teraz muszę je dokończyć, co jest męczące, bo na tym etapie już niczego nowego nie wymyślam.

Najbardziej odpowiada panu faza koncepcyjna?

Najbardziej frapujące jest budowanie formy. Potem trzeba nałożyć kalkę i rysować na czysto, dodać różne postacie itd. A później zaczyna się kropkowanie. Kiedyś policzyłem, że w jednym rysunku postawiłem 87 tys. kropek, a nie był duży, w niektórych jest ich więcej.

Jak długo trawa taka praca?

Jak przychodzi ten etap, pracuję tylko 3 godziny dziennie, bo fizycznie jestem zmęczony tym kropkowaniem i mam nieustanny ból kciuka od trzymania rapidografu. Kiedyś powiedziałem koledze, że jak mnie policja zapyta, co robiłem o poranku 10 lat temu, to ja dokładnie wiem, bo od 7.30 do 11.30 rysowałem. A on mi mówi: „To ty jesteś szczęśliwym człowiekiem, bo wiesz także, co będziesz robił jutro”.

Co jakiś czas pokazuje pan swoje rysunkowe projekty na wystawach, a niedawno opublikował je pan w książce pt. (Dom nieoczywisty) okiem architekta – notatki z „rajzbretra”.

Tak, ostatnio wprowadzam do rysunków trochę irracjonalne elementy, np. wielką muchę, bo architektura nie może być do bólu pragmatyczna. Kiedyś robiłem zdjęcia we dworze pod Kępem, gdzie na końcu schodów prowadzących do piwnicy stała duża stiukowa kula i dziś myślę sobie, czy gdybym projektował dom, dałbym radę przekonać kogoś, żeby na schodach do piwnicy zrobić mu stiukową kulę. A bez tej kuli schody byłyby do niczego. Dziś wszystko musi być pragmatyczne, tanie, ale czy ktoś dyskutuje o pięknie?

Rozmawiała Krystyna Matuszewska

Współczesne sportowe identyfikacje

Jak współczesne społeczeństwo interpretuje dziedzictwo sportu antycznego w kontekście tożsamości lokalnej i narodowej?

Współczesny sport staje się przestrzenią krytycznej reinterpretacji antyku. O ile pojęcia agon czy kalokagathia są nadal przywoływane jako fundament etosu sportowego, o tyle ich znaczenie ulega przeformułowaniu w kontekście norm równościowych i dyskursów praw człowieka. Harmonia ciała i ducha zaczyna funkcjonować jako uniwersalna kategoria rozwoju jednostki.

Sport współczesny, mimo swego głębokiego uwikłania w logikę rynku, medialności i globalnej mobilności, pozostaje zjawiskiem silnie zakorzenionym w kulturowym wyobrażeniu antycznym. Od momentu wskrzeszenia idei olimpijskiej przez Pierre de Coubertina w 1896 roku dziedzictwo Grecji klasycznej stało się jednym z kluczowych punktów odniesienia dla nowoczesnej kultury sportowej. Antyczne pojęcia agon, kalokagathia czy sakralny charakter igrzysk w Olimpii nie są jedynie historycznymi artefaktami, lecz aktywnymi komponentami współczesnych narracji o sporcie, narracji, które organizują wyobrażenia o doskonałości, rywalizacji, wspólnocie oraz moralnym wymiarze wysiłku fizycznego.

Jednakże recepcja antyku w nowoczesnym sporcie nie jest procesem neutralnym ani linearnym. W szczególności problematyczna okazuje się kwestia pozycji kobiet, która unaocznia napięcie pomiędzy tradycją a nowoczesnością. Sport starożytnej Grecji był bowiem przestrzenią wyraźnie zmaskulinizowaną: uczestnictwo w igrzyskach olimpijskich było zastrzeżone dla wolnych mężczyzn, a kobiety – z wyjątkiem nielicznych rytualnych kontekstów – pozostawały wykluczone zarówno z rywalizacji, jak i z publicznej widzialności. Antyczny model sprzężony był z ideałem obywatela-wojownika, w którym sprawność fizyczna stanowiła korelat zdolności do obrony polis i uczestnictwa w życiu politycznym.

Wskrzeszenie idei olimpijskiej w XIX wieku nie oznaczało natychmiastowego zerwania z tym dziedzictwem wykluczenia. Co więcej, sam Pierre de Coubertin wyrażał sceptycyzm wobec udziału kobiet w igrzyskach, postrzegając sport jako domenę męskiej formacji charakteru i obywatelskiej dyscypliny. W pierwszych nowożytnych igrzyskach kobiety były

niemal całkowicie nieobecne, a ich stopniowa inkluzja w XX wieku stanowiła rezultat długotrwałych procesów społecznych, emancypacyjnych i politycznych, nie zaś naturalną kontynuację antycznego wzorca.

Współczesny sport staje się zatem przestrzenią krytycznej reinterpretacji antyku. O ile pojęcia agon czy kalokagathia są nadal przywoływane jako fundament etosu sportowego, o tyle ich znaczenie ulega przeformułowaniu w kontekście norm równościowych i dyskursów praw człowieka. Harmonia ciała i ducha przestaje być utożsamiana z męskim ideałem obywatelskim, a zaczyna funkcjonować jako uniwersalna kategoria rozwoju jednostki, niezależnie od płci. W ten sposób tradycja antyczna zostaje symbolicznie „przepracowana”: jej elementy zostają zachowane jako kapitał kulturowy, lecz poddane transformacji zgodnej z aksjologią nowoczesnych demokracji.

W tym sensie sport współczesny jawi się jako pole symbolicznego konfliktu między przeszłością a teraźniejszością, między antycznym modelem ekskluzywnego obywatelstwa a nowoczesną wizją wspólnoty opartej na zasadzie równego dostępu do przestrzeni rywalizacji i reprezentacji.

Symboliczna redystrybucja chwały

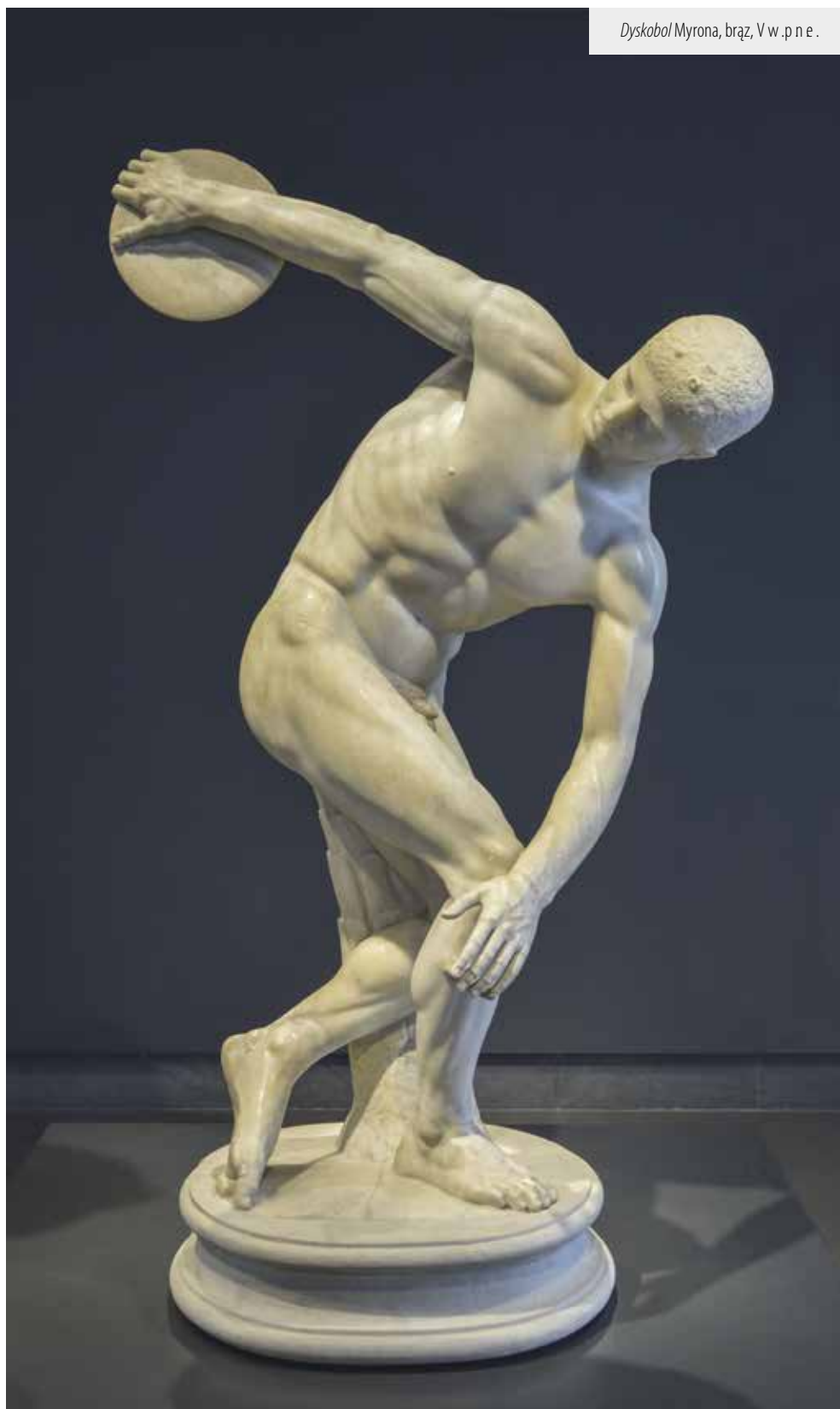
Sport w starożytnej Grecji funkcjonował jako zjawisko o charakterze totalnym: łączył wymiar religijny, polityczny i społeczny w strukturę, której nie sposób rozdzielić na oddzielne segmenty bez utraty jej istoty. Igrzyska olimpijskie organizowane w Olimpii stanowiły integralny element kultu Zeusa, a ich cykliczność wpisywała się w rytym sakralnego kalendarza Hellenów. Zawieszenie broni (ekecheiria) ogłaszane na czas igrzysk potwierdzało religijny charakter wydarzenia, jednocześnie

nadając mu wymiar polityczny. Czasowe wstrzymanie konfliktów umożliwiało bezpieczny przepływ uczestników i widzów, a zarazem symbolicznie sankcjonowało ideę wspólnoty ponad partykularnymi antagonizmami polis.

W tym kontekście sport był narzędziem reprezentacji i rywalizacji międzypaństwowej. Zwycięstwo atlety nie stanowiło wyłącznie osobistego triumfu, lecz przekładało się na prestiż danej wspólnoty, która go delegowała i wspierała. Polis

finansowały treningi, nagradzały zwycięzców i upamiętniały ich sukcesy poprzez inskrypcje, posągi oraz pieśni pochwalne komponowane przez poetów. Sport pełnił zatem funkcję mechanizmu symbolicznej redystrybucji chwały.

Pojęcie agon wyrażało istotę antycznej rywalizacji jako zjawiska o charakterze publicznym i wspólnotowym. Oznaczało ono nie tylko konkurencję, lecz przede wszystkim performatywny akt uznania, w którym obecność widowni nadawała



Dyskobol Myrona, brąz, V w. p.n.e.

Zródło: Wikipedia



Źródło: Wikipedia

sens wysiłkowi atlety. Rywalizacja stanowiła rytuał, w którym ciało stawało się nośnikiem wartości wspólnotowych: odwagi, wytrwałości i samodyscypliny, a zwycięstwo przekształcało się w trwały element pamięci kulturowej. Sport antyczny był zatem praktyką znaczeniową, w której ciało funkcjonowało jako medium symbolicznej komunikacji.

Idea kalokagathii – harmonii piękna fizycznego (kalos) i dobra moralnego (agathos) – ustanawiała normatywny model obywatela-atlety. Doskonałość cielesna była postrzegana jako wyraz ładu etycznego, a wychowanie gimnastyczne stanowiło integralną część paidei, formującej jednostkę zdolną do uczestnictwa w życiu politycznym i obronie polis. Sprawność fizyczna pozostawała nierozdzielnie związana z cnotą i kształtowaniem charakteru.

Współczesny dyskurs na temat promocji zdrowego stylu życia, kultu sprawności czy etosu fair play stanowią przetworzoną i zsekularyzowaną wersję tej antycznej syntezy. Choć utraciły one bezpośrednie odniesienie do sakralności i obywatelskiego obowiązku wobec polis, zachowują przekonanie o wewnętrznej relacji między kondycją fizyczną a jakością moralną jednostki. Sport nadal bywa przedstawiany jako przestrzeń formowania charakteru, uczenia samokontroli i odpowiedzialności, jako instytucja pedagogiczna, w której ciało staje się narzędziem etycznej autokreacji.

W konsekwencji sport antyczny jawi się nie jako archaiczny protoplasta współczesnych dyscyplin, lecz jako matryca symboliczna, której elementy – agonistyczność, performatywność, etos doskonałości – podlegają ciągłej reinterpretacji. To właśnie w tej zdolności do generowania znaczeń i do adaptacji w zmiennych kontekstach historycznych tkwi jego trwała obecność w nowoczesnej kulturze sportowej.

Wskrzeszenie idei olimpijskiej przez Pierre de Coubertina nie było zatem wyłącznie przedsięwzięciem sportowym ani filantropijną inicjatywą edukacyjną, lecz projektem o wyraźnym charakterze polityczno-kulturowym. Coubertin postrzegał sport jako narzędzie formacji moralnej obywateli nowoczesnych państw, a zarazem jako medium międzynarodowego dialogu, które miało przeciwdziałać konfliktom poprzez sublimację antagonizmów w rytualnej rywalizacji. Pierwsze nowoczesne Igrzyska Olimpijskie w Atenach stały się symbolicznym mostem między antykiem a nowoczesnością. Ich lokalizacja, ceremonialna oprawa oraz świadome nawiązania do ikonografii greckiej wytworzyły narrację ciągłości, w której współczesne państwa występowały jako depozytariusze klasycznego dziedzictwa.

Współczesny rytuał integracyjny

W perspektywie teorii Benedicta Andersona sportowe widowiska międzynarodowe można interpretować jako szczególną formę wytwarzania „wspólnot wyobrażonych”. Naród – jako wspólnota symboliczna przekraczająca bezpośrednie relacje interpersonalne – potrzebuje rytuałów umożliwiających doświadczenie jedności w skali masowej. Reprezentacja narodu na arenie sportowej spełnia tę funkcję w sposób wyjątkowo intensywny: miliony obywateli, rozproszone geograficznie i społecznie, uczestniczą w tym samym wydarzeniu medialnym, identyfikując się z barwami, hymnem i narracją sukcesu bądź porażki. Transmisja sportowa staje się współczesnym rytuałem integracyjnym, w którym emocjonalne zaangażowanie konstytuuje poczucie przynależności.

Jednocześnie, jak zauważa Eric Hobsbawm, tradycje narodowe często mają charakter „wynaleziony”, to znaczy są efektem

świadomej konstrukcji symbolicznej służącej do wzmocnienia mandatu politycznego. Antyczne odniesienia w symbolice olimpijskiej – takie jak znicz, laur zwycięzcy, ceremonialne przysięgi czy architektoniczne inspiracje klasycyzmem – stanowią modelowy przykład takiego procesu. Poprzez selektywne przywoływanie elementów przeszłości tworzy się wrażenie nieprzerwanej ciągłości, mimo że nowoczesny sport funkcjonuje w całkowicie odmiennych warunkach społecznych, ekonomicznych i technologicznych niż jego antyczny pierwowzór.

Ciekawa jawi się także sama architektura stadionów, monumentalne ceremonie otwarcia oraz rytualizacja przekazu medialnego współtworzą tę narrację historycznej kontynuacji. W ten sposób antyk zostaje przekształcony w zasób symboliczny, który może być mobilizowany w zależności od potrzeb politycznych i kulturowych. Współczesne państwa, operując językiem tradycji, wytwarzają własną mitologię sportową, mitologię, w której sukcesy atletów stają się dowodem siły, dyscypliny i moralnej wartości wspólnoty.

Proces ten nie jest jednak czysto imitacyjny. Adaptacja antycznych wzorców wiąże się z ich reinterpretacją i instrumentalizacją w warunkach nowoczesnej suwerenności państwowej, masowej komunikacji oraz globalnej konkurencji. Antyk funkcjonuje tu nie jako wiernie odtwarzany model, lecz jako symboliczny punkt odniesienia, umożliwiający konstruowanie narracji o wielkości, ciągłości i historycznym przeznaczeniu narodu.

Współczesne obiekty sportowe pełnią funkcję analogiczną do antycznych przestrzeni zgromadzeń publicznych, rekonfigurując ich znaczenie w warunkach społeczeństwa masowego i mediatyzowanego. Stadion nie jest jedynie infrastrukturą sportową przeznaczoną do rozgrywania zawodów, lecz przestrzenią performatywną, w której materializuje się wspólnota polityczna i kulturowa. Jego monumentalność, symbolika architektoniczna oraz ceremonialny charakter wydarzeń sportowych czynią zeń współczesny odpowiednik agory – miejsca, w którym wspólnota staje się widzialna dla samej siebie.

Wyrazistym przykładem takiej architektury znaczeń jest np. Beijing National Stadium, zaprojektowany jako ikona nowoczesnej potęgi państwowej. Jego forma, określana mianem „Ptasiego Gniazda”, łączy funkcję użytkową z wyraźnym komunikatem politycznym: stadion staje się emblematem aspiracji cywilizacyjnych, technologicznej sprawności i zdolności organizacyjnej państwa. W tym sensie architektura sportowa przestaje być neutralnym tłem wydarzeń, a staje się aktywnym nośnikiem narracji o suwerenności i nowoczesności.

Stadion jest zarazem miejscem intensyfikacji doświadczenia wspólnotowego. Śpiewy, choreografie kibicowskie, barwy narodowe, rytuały poprzedzające rozpoczęcie meczu oraz medialne narracje rekonstruują archaiczne struktury uczestnictwa zbiorowego. Widz nie pozostaje biernym obserwatorem, jego obecność – fizyczna lub zapośredniczona przez transmisję – współtworzy sens wydarzenia. W ten sposób sport współczesny odtwarza performatywną logikę antycznego agonu, przekształcając ją w spektakl o globalnym zasięgu, w którym uczestnictwo ma charakter zarówno cielesny, jak i medialny.

Krytyczna rewizja i reinterpretacja

W tej przestrzeni symbolicznej szczególną rolę odgrywa figura sportowca, który przejmuje funkcję antycznego herosa. Mechanizmy narracyjne obecne w przekazach medialnych – opowieści o przezwyciężaniu słabości, o długotrwałym treningu, kontuzjach, dramatycznych zwrotach akcji i ostatecznym triumfie – wykazują strukturalne podobieństwo do klasycznych mitów heroicznych. Biografia atlety zostaje ujęta

w schemat próby, kryzysu i odkupieńczego zwycięstwa, co nadaje jej wymiar moralny i uniwersalny.

Nowe media intensyfikują ten proces, tworząc swoistą mitologię cyfrową. Platformy społecznościowe, transmisje na żywo oraz kampanie marketingowe umożliwiają bezpośredni kontakt odbiorców z bohaterem sportowym, a zarazem konstruują jego wizerunek jako figury reprezentatywnej dla całej wspólnoty. Globalny zasięg transmisji wydarzeń takich jak igrzyska olimpijskie czy mistrzostwa świata powoduje, że jednostkowy sukces zostaje natychmiast włączony w narrację narodową. Sportowiec staje się symbolicznym depozytariuszem cnót przypisywanych wspólnocie: pracowitości, determinacji, odporności na przeciwności losu.

Proces heroizacji nie jest jednak wolny od napięć. Współczesny sport funkcjonuje bowiem w warunkach głębokiej komercjalizacji. Z jednej strony stanowi element globalnego przemysłu rozrywkowego, podlegając logice rynku, kontraktów sponsorskich i praw medialnych, z drugiej – zachowuje quasi-sakralny charakter pewnego rodzaju „rytuału”. Ceremonie otwarcia, moment zapalenia znicza, odgrywanie hymnów narodowych czy minuta ciszy tworzą aurę podniosłości, która wykracza poza czysto ekonomiczny wymiar wydarzenia.

Analiza tego dualizmu prowadzi do wniosku, że komercjalizacja nie znosi wymiaru symbolicznego, lecz go transformuje. Sponsorzy, transmisje telewizyjne oraz strategie marketingowe stają się współczesnymi mediatorami sacrum. To za ich pośrednictwem rytuał sportowy zyskuje globalną widzialność i emocjonalną intensywność. Sacrum zostaje zatem włączone w obieg kapitalistyczny, nie tracąc jednak całkowicie swej funkcji integracyjnej.

Jednocześnie współczesna refleksja humanistyczna poddaje krytycznej rewizji romantyczną wizję antycznych igrzysk jako uniwersalnego święta pokoju. Badania historyczne wskazują na ich ekskluzywny charakter: uczestnictwo ograniczone do wolnych mężczyzn oraz silne powiązania z polityką polis. Demitologizacja antyku pozwala dostrzec, że również nowoczesny sport nie jest wolny od mechanizmów wykluczenia, związanych z płcią, rasą, klasą czy geopolityką.

W odpowiedzi na te napięcia współczesne instytucje sportowe deklarują dążenie do inkluzywności i równości. Reinterpretacja antycznego dziedzictwa dokonuje się zatem w duchu selektywnej adaptacji. Zachowuje się symboliczny kapitał tradycji, jednocześnie redefiniując jej aksjologiczne fundamenty zgodnie z normami nowoczesnej demokracji. Sport staje się polem negocjacji między pamięcią a krytyką, między celebracją przeszłości a jej rewizją.

Dziedzictwo sportu antycznego stanowi współcześnie dynamiczny repertuar symboliczny, który umożliwia negocjowanie znaczeń tożsamościowych w różnych skalach: od lokalnej po globalną. Nie funkcjonuje ono jako zamknięty zbiór historycznych odniesień, lecz jako zasób kulturowy podlegający nieustannej reinterpretacji i rekontekstualizacji. Antyczne pojęcia agonistyczne, ideał kalokagathii oraz rytualny charakter igrzysk zostały przetworzone i wpisane w nowoczesne struktury państw narodowych, mediów masowych oraz gospodarki rynkowej. W rezultacie sport stał się jednym z najważniejszych mechanizmów symbolicznej artykulacji wspólnoty, zarówno tej zakorzenionej w lokalnym doświadczeniu, jak i tej wyobrażonej w skali ponadnarodowej.

*Dr Anna Michalska, Wydział Nauk o Ziemi i Gospodarki Przestrzennej
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu
Dr Agnieszka Połaniecka, Wydział Nauk Ekonomicznych,
Politechnika Koszalińska*

Starolasy – między nauką, ochroną a zarządzaniem

Działania zmierzające np. do zachowania pojedynczych elementów struktury (np. martwego drewna, starych drzew biocenotycznych) nie uwzględniają całej złożoności naturalnych procesów ekologicznych, które mogą się rozwijać wyłącznie w warunkach długotrwałego braku ingerencji. Podkreślają fakt – czemu leśnicy nie zaprzeczają – że lasy użytkowane nie zastąpią starolasów w ich roli.

Od pewnego czasu ekosystemy leśne określane mianem starolasów znajdują się w centrum zainteresowania zarówno literatury naukowej, jak i mediów ogólnopolskich. W debacie naukowej i publicystycznej podkreśla się ich wyjątkową wartość przyrodniczą, wyraźnie odróżniającą te ekosystemy od lasów młodszych faz rozwojowych. Znaczenie starolasów dostrzegają przedstawiciele różnych środowisk: naukowcy, leśnicy-praktycy oraz tzw. przyrodnicy, przy czym szczególnie aktywny głos w tej dyskusji zabierają leśnicy, ze względu na zawodową odpowiedzialność i bezpośredni wpływ na stan tych ekosystemów.

Państwowe Gospodarstwo Leśne Lasy Państwowe szeroko informuje o działaniach podejmowanych na rzecz ochrony szczególnie cennych przyrodniczo obszarów leśnych, które często pełnią funkcję kluczowych siedlisk dla rzadkich gatunków roślin i zwierząt. Równoległe, zarówno w Polsce, jak i w innych krajach europejskich, prowadzone są prace nad identyfikacją i inwentaryzacją obszarów, które można zakwalifikować jako starolasy. Pojawia się jednak zasadnicze pytanie: czym właściwie jest starolas i jakie kryteria powinien spełniać las, aby można go było tak określić? Odpowiedź nie jest jednoznaczna i, jak często bywa w przypadku złożonych zjawisk przyrodniczych, daleka od prostych rozstrzygnięć.

Starolasy w dokumentach i strategiach

Ochrona środowiska i przyrody wymaga opracowania odpowiednich (racjonalnych) polityk, których kluczowymi elementami są różnego rodzaju dokumenty, strategie, ustawy, rozporządzenia itd. Nie inaczej jest w przypadku opracowywania takich dokumentów w kontekście ochrony lasów i związanej z nimi różnorodności biologicznej.

Od pewnego czasu w przestrzeni publicznej toczy się dyskusja nad koniecznością ochrony starolasów. Są one przykładem obszarów o szczególnej wartości przyrodniczej. To szczególne traktowanie odzwierciedlone jest w dokumentach o zasięgu europejskim i naszym krajowym. Przykładem pierwszego jest *Strategia na rzecz bioróżnorodności 2030*, zaś w kontekście krajowym taką rolę wydają się pełnić *Wytyczne i rekomendacje*

ogólnopolskiej narady o lasach (2024) szczególnie propagowane przez MKiŚ. Jaki jest status prawny tego drugiego dokumentu, trudno określić, chociaż jak w nim napisano: „dokument będzie podstawą dalszych działań MKiŚ po 1 stycznia 2025 na rzecz wzmacniania lasów cennych przyrodniczo i ważnych społecznie”.

Nie ma jednoznacznej definicji starolasów, w literaturze można doszukać się aż 105 definicji starolasów (ang. old-growth forests).

Starolasy wg FAO (ONZ). Definicja opracowana na potrzeby FAO (Food and Agriculture Organization) utożsamia starolasy z lasami pierwotnymi. Według tej definicji starolasy to lasy odnawiające się w sposób naturalny, w których procesy ekologiczne zachodzą niezakłócenie, a w składzie gatunkowym występują rodzime gatunki drzew. Definicja FAO wskazuje, że w starolasach nie ma widocznych śladów działalności człowieka. Co ważne, definicja ta nie wymaga jednak, by lasy te były całkowicie wyłączone z użytkowania przez człowieka, natomiast dotychczasowa działalność człowieka była na tyle ekstensywna, że lasy te odzyskały cechy (strukturalne i funkcjonalne) lasów naturalnych.

Starolasy wg UE. We wspomnianej unijnej strategii dotyczącej różnorodności biologicznej zapisano, że starolas to las, w składzie gatunkowym którego występują gatunki rodzime, ukształtowany głównie procesami naturalnymi i w związku z tym posiadający cechy późnych faz rozwojowych. Z definicji dopuszcza się występowanie śladów antropopresji, jednakże tylko wtedy, gdy ingerencja człowieka nie zakłóca w sposób trwały procesów ekologicznych. Z tej definicji wyłączone są lasy obecnie użytkowane gospodarczo, jednakże definicja dopuszcza antropogeniczne pochodzenie tych lasów.

Starolasy wg wytycznych i rekomendacji Ogólnopolskiej Narady o Lasach (stanowisko MKiŚ). Wytyczne MKiŚ odzwierciedlające wnioski z dyskusji w ramach ONL definiują starolasy zgodnie z definicją strategii na rzecz bioróżnorodności UE. Jest to drzewostan lub obszar lasu składający się z rodzimych gatunków drzew, którego struktura rozwinęła się głównie



Ponad 200-letni starolas sosnowy (Nadl. Gubin)

w wyniku naturalnych procesów i ma dynamikę odpowiadającą późnym fazom rozwojowym drzewostanów obserwowanym w lasach pierwotnych lub nieużytkowanych tego samego typu. Jednocześnie, oznaki przeszłej działalności ludzkiej mogą być widoczne, ale stopniowo zanikają, lub są zbyt ograniczone, by trwale zakłócać naturalne procesy przyrodnicze.

Kryteria wyboru

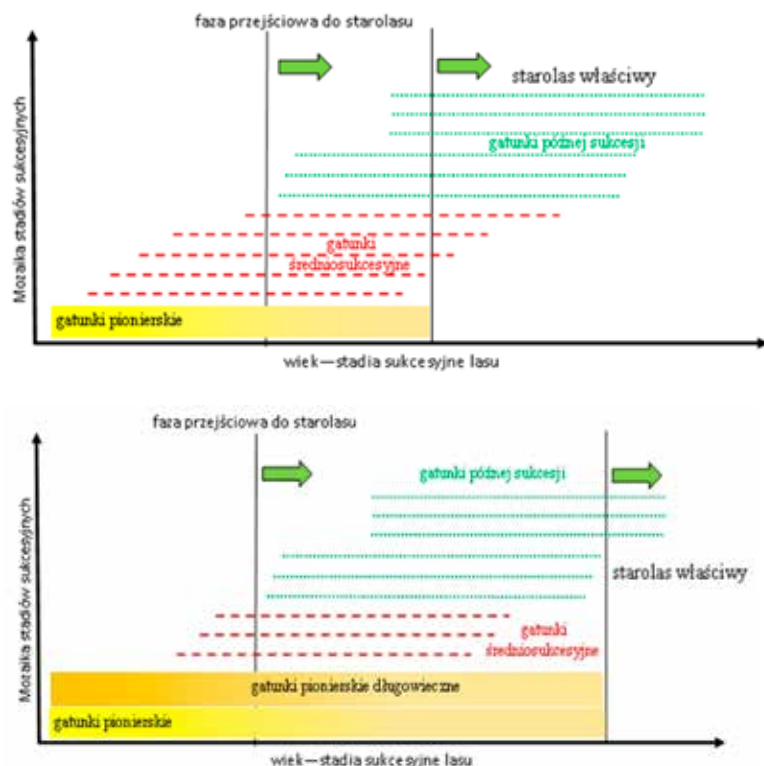
– dlaczego nie ma jednej odpowiedzi

Większość definicji podkreśla wiek i dojrzałość takich lasów, a różnią się one natomiast co do widocznych skutków

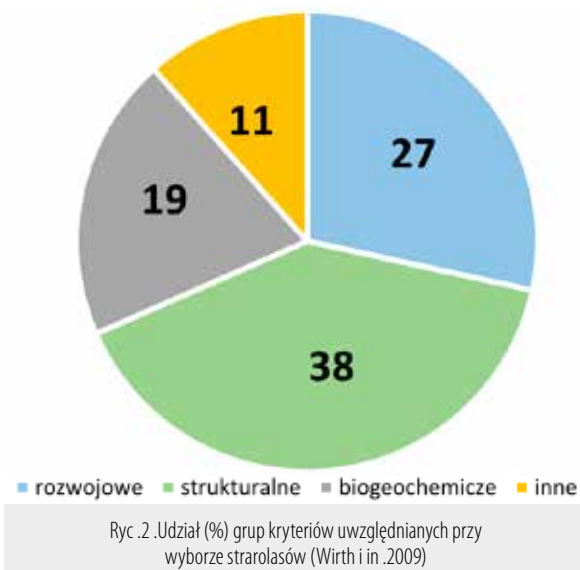
działalności człowieka: jedne dopuszczają, inne nie dopuszczają śladów wpływów antropogenicznych. Kolokwialnie rzecz ujmując, starolasy to lasy o skomplikowanej budowie (strukturze), która wynika z wielu czynników: z wieku drzew, ich etapu rozwoju (fazy rozwojowej), składu gatunkowego i śladów działalności człowieka. Różne definicje uwzględniają różne kryteria i cechy starolasów. Jaki zatem charakter mają kryteria definiujące starolasy?

Kryterium funkcjonalne (związane z fazą rozwoju sukcesyjnego lasu) pozwala na wydzielenie „właściwych” (typowych) starolasów (ang. true old-growth forests) oraz tzw. starolasów przejściowych (ang. transitional old-growth forests). W prawdziwym starolesie, ukształtowanym przede wszystkim przez naturalne procesy sukcesyjne, dominują gatunki długowieczne (tzw. klimaksowe). Rozwój tych lasów następuje bez udziału czynników zewnętrznych, przy czym czynniki te nie wynikają z wzajemnych interakcji między elementami lasu. Czynniki zewnętrzne to przede wszystkim wielkopowierzchniowe zaburzenia, np. pożary, wiatrowały, na skutek występowania których możliwa jest wtórna sukcesja na obszarze, realizowana z udziałem gatunków wczesnych faz sukcesyjnych. We właściwych starolasach nie występują zatem gatunki pionierskie, krótkowieczne. W odróżnieniu od nich starolasy przejściowe to ekosystemy, w których gatunki wczesnych faz rozwojowych mogą towarzyszyć gatunkom późnych faz sukcesyjnych, ale ich liczba ulega redukcji (Ryc. 1).

Niektórzy naukowcy uznają, że z właściwym starolasem mamy do czynienia wówczas, gdy znikną ostatni przedstawiciele gatunków wczesnych faz sukcesji, które pojawiły się na skutek ostatniego zaburzenia wielkopowierzchniowego.



Rycina 1. Starolas właściwy (typowy) (górny panel) i przejściowy (dolny panel)



W strefie lasów umiarkowanych i lasów borealnych długość życia gatunków pionierskich jest wyraźnie zróżnicowana i może wahać się w przedziale 100-150 lat, w przypadku lasów tropikalnych gatunki te ustępują już w wieku 80 lat. Stąd też starolas właściwy może wykształcić się w diametralnie różnym wieku w różnych strefach biogeograficznych. Dla starolasów w kontekście rozwoju sukcesyjnego istotnymi elementami są też drobnoskalowe zaburzenia i martwe drewno odgrywające dużą rolę w procesie odnowienia cienioznośnych gatunków drzewiastych. Definicje starolasu oparte na procesach sukcesyjnych nie uwzględniają konkretnych elementów związanych ze strukturą tych ekosystemów, które stanowią kryteria strukturalne.

Kryteria strukturalne związane są z szeregiem cech drzew (żywych i martwych) tworzących starolas, np. ich wiekiem, rozmiarami czy rozmieszczeniem w przestrzeni. Kryteria te są najczęściej brane pod uwagę przy wyróżnianiu tego rodzaju ekosystemów. Najpopularniejszym z nich jest wiek drzew, który narzuca niejako budowę tych lasów, a więc zróżnicowanie struktury wiekowej, występowanie wiekowych drzew zbliżających się do naturalnej śmierci, rozmiary drzew itp. Zarówno rozkład grubości czy wysokości drzew może być swoistym proxy dla szacowania struktury wieku lasu, przy założeniu, że wiek i rozmiar drzewa są ze sobą dobrze skorelowane, co nie zawsze odpowiada rzeczywistości. Mimo iż wiek drzew jest najczęściej stosowanym kryterium wyznaczania starolasów, cecha ta wcale nie jest łatwa do określenia. Mimo wykorzystania różnych technik przydatnych do określania wieku drzew, wyniki analiz wieku na podstawie nawiartów mogą być obciążone dość dużym błędem (zgnilizna pnia starych drzew, występowanie fałszywych przyrostów, brak niektórych przyrostów, nie trafienie w rdzeń itd.). Im większe drzewo, im starsze, tym większe prawdopodobieństwo popełnienia błędu w określeniu jego wieku. Jest to też metoda bardzo czasochłonna. Jeszcze większy problem z określeniem wieku dotyczy gatunków, które mogą rozmnażać się wegetatywnie, gdzie wiek odrósł jest zupełnie inny niż rzeczywisty wiek osobnika. Inna, i jak dotychczas najdokładniejsza metoda określania wieku, jakim jest datowanie radiowęglowe, to nadal technologia bardzo droga. Kryterium związane z rozmiarami drzew również nie jest kryterium pewnym. Z punktu widzenia człowieka drzewo grube najczęściej postrzegane jest jako drzewo stare. I odwrotnie - drzewa o niewielkich rozmiarach to w potocznym przekonaniu drzewa młodsze. Jaka jest rzeczywistość, pokazuje przykład sosny długowiecznej (*Pinus longaeva*) z Gór Białych, Kalifornia, USA (Fot. 1). Osobniki o niezbyt okazałych rozmiarach

osiągają w tym przypadku nierzadko wiek >3000 lat. Idąc na Śnieżkę, rzućmy okiem na drzewa przy górnej granicy lasu: czy po ich rozmiarach widać, że część z nich osiąga wiek >200 lat?

Poza kryteriami związanymi z rozwojem lasu i jego elementami strukturalnymi, definiowanie starolasów można także oprzeć na **kryteriach biogeochemicznych**. Związane są one z występowaniem równowagi obiegu węgla, specyficznym rozkładem materii organicznej czy też zamkniętym obiegiem pierwiastków. Kryteria te są jednak bardzo rzadko brane pod uwagę w praktyce ze względu na dużą pracochłonność prac laboratoryjnych, a co za tym idzie wysokie koszty badań. Badania te wymagają także długoterminowych obserwacji i pomiarów.

Opracowanie wartościowych i obiektywnych kryteriów służących typowaniu starolasów wymaga zatem bardziej holistycznego podejścia. Ani kryterium funkcjonalne, ani poszczególne elementy strukturalne nie powinny być kryteriami, które należy uwzględniać w izolacji od siebie nawzajem. Stosowanie wieku (przyjętego arbitralnie) jako kryterium decydującego o wyborze nie jest w pełni uzasadnione i obiektywne z naukowego punktu widzenia. Jest jednak łatwe do zastosowania w praktyce. Coraz częściej preferuje się zatem stosowanie definicji opartej na wielu kryteriach strukturalnych, ponieważ to struktura lasu odzwierciedla funkcje tych ekosystemów.

Najczęściej wykorzystywanymi kryteriami wyróżniania starolasów są: wiek drzew, okazałe rozmiary drzew, licznie występujące drzewa martwe, wielowarstwowa struktura drzewostanu (Ryc. 2). Wszystkie to kryteria strukturalne.

Wyjątkowość starolasów

W Polsce powierzchnia lasów, które zostały wytypowane jako starolasy, oszacowano na nieco powyżej 83 tys. ha (cel polityczny to ok. 180 tys. ha). W większości z nich dominują gatunki liściaste (52%). Minimalny wiek, jaki należy przypisać starolasom, to 100 lat, jednakże kryterium to zależne jest od gatunku drzew panujących w drzewostanie (wg. MKiŚ).

Dość żywiołowo tocząca się dyskusja nad starolasami wynika z roli, jaką te ekosystemy pełnią w kształtowaniu naszego dobrostanu. Z jednej strony podkreśla się ich istotność z punktu widzenia ochrony różnorodności biologicznej, z drugiej natomiast zwraca się uwagę na ich wysoki potencjał w kontekście stabilizowania klimatu poprzez dużą zdolność akumulacji węgla z atmosfery.

Wysoki poziom różnorodności gatunkowej w starolasach wynika z ich dużego zróżnicowania strukturalnego, dzięki czemu w ekosystemach tych znajduje się wiele specyficznych mikrosiedlisk, które wykorzystywane są przez liczne grono różnorodnych organizmów. Często są to gatunki, które trudno spotkać lub wręcz wcale nie występują w lasach młodych. Gatunki te są gatunkami wskaźnikowymi starolasów. Nie oznacza to, że w lasach starych optymalne warunki znajdują wszystkie gatunki. Ze względu na fakt, że w starolasach ma miejsce dość duża podaż tzw. martwego drewna, naturalną rzeczą jest liczne występowanie w nich owadów saproksylicznych, a więc zależnych od obecności tego elementu. Nieco inaczej sprawa ma się z roślinami zielnymi, które często obficie (także pod względem liczby gatunków) występują w lasach młodszych faz sukcesji (np. w fazie regeneracji lasu po zaburzeniu).

Starolasy stanowią także element ciągłości biologicznej na danym obszarze, zachowując naturalne elementy krajobrazu. Są też doskonałym poligonem badań naukowych, których wyniki mogą przyczynić się do pełniejszego poznania praw rządzących ekosystemami leśnymi z jednej strony, z drugiej natomiast do lepszego (racjonalnego) zarządzania zasobami naturalnymi choćby w kontekście globalnych zmian.

W kontekście zmian klimatycznych w przestrzeni publicznej podnosi się również istotną rolę starolasów w regulowaniu klimatu i mitygacji niekorzystnych wpływów tych zmian na środowisko człowieka. Naukowcy wskazują, że rola starolasów w tym aspekcie jest wręcz kluczowa. Bez wątpienia obszary starolasów są w tej kwestii ważne. Można zadać sobie pytanie, w czym rola mitygacyjna starolasów przewyższa rolę pełnioną przez młodsze lasy? By sobie odpowiedzieć na to pytanie, trzeba rozróżnić rolę lasów w tempie wychwytywania węgla z atmosfery i ich rolę w pełnieniu funkcji magazynu (akumulacji) tego pierwiastka.

Występowanie wiekowych drzew, często o rozmiarach większych niż we wcześniejszych fazach rozwoju lasu, wskazuje, że ekosystemy te stanowią istotny magazyn węgla, wiążąc go w biomase nadziemnej i podziemnej oraz w glebie. Badania wskazują, że starolasy w wieku >200 lat potrafią magazynować ok. 98 ton C na hektar, podczas gdy lasy w wieku <20 lat magazynują na tej samej jednostce powierzchni jedynie ok. 43 t C. Badania z regionu śródziemnomorskiego wskazują np., że właściwe starolasy sosny pinii (*Pinus pinea*) magazynują ok. 58 t C/ha, podczas gdy starolasy sosny czarnej (*Pinus nigra*) magazynują ok. 70 t C/ha. Dane z Puszczy Białowieskiej (traktowanej w całości jako obszar starolasów) wskazują, że całkowity zasób węgla w lasach tego kompleksu sięga ok. 300 t C/ha, chociaż jest on wyraźnie zróżnicowany w zależności m.in. od siedliska. Na Łotwie starolasy sosnowe (>160 lat) magazynują średnio 291 ton węgla na hektarze, natomiast świerkowe w wieku 167-232 lata magazynują średnio 239 ton na hektarze. Starolasy są zatem bez wątpienia istotnym magazynem węgla, natomiast ustępują lasom młodszym w tempie procesu pochłaniania węgla z atmosfery. Tempo pochłaniania (sekwestracja) CO_2 w procesie fotosyntezy jest największe wówczas, gdy procesy wzrostu i rozwoju przebiegają najintensywniej. Stąd też starolasy pod tym względem wyraźnie ustępują lasom młodszym (30-70 lat).

Dane ze starolasów Ameryki Płn. wskazują, że tempo pochłaniania C w lasach >200 lat wynosi ok. 1,6 t C/ha/rok, natomiast tempo pochłaniania CO_2 przez lasy młodsze w strefie lasów umiarkowanych może wahać się między 2,5-5,2 t C/ha/rok. Lasy młodszych faz rozwojowych są zatem efektywniejszymi ekosystemami leśnymi pod względem rocznego tempa usuwania dwutlenku węgla z atmosfery niż starolasy (Ryc. 3).

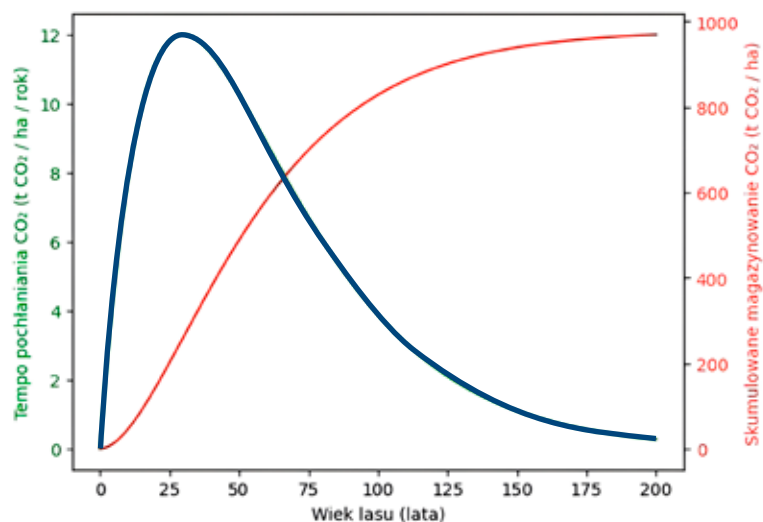
Wysoki potencjał starolasów w kontekście magazynowania węgla oraz ich mniejsza rola w szybkości pochłaniania CO_2 z atmosfery prowokuje pytanie, czy starolasy pełnią rolę pochłaniacza netto CO_2 , czy są pod tym względem neutralne, a może wręcz są źródłem emisji CO_2 do atmosfery. Co te pojęcia oznaczają? Las jest pochłaniaczem netto wówczas, gdy pochłania więcej CO_2 z atmosfery niż go emituje. Gdy oba procesy (pochłanianie i emisja) równoważą się, las jest pod tym względem neutralny. Gdy natomiast emisja CO_2 do atmosfery przewyższa pochłanianie, wówczas można mówić, że las staje się źródłem CO_2 , jest zatem jego emitentem do atmosfery. Analizując poszczególne fazy rozwojowe lasu, można wskazać, kiedy las pełni najefektywniej rolę pochłaniacza, a kiedy istnieje możliwość, że staje się on już emitentem. Z pewnością nie jest tak, że rola lasu w kontekście regulacji klimatu jest stała w całym cyklu jego rozwoju, co wynika z procesów biologicznych i ekologicznych, jakie zachodzą w lesie. Zatem rozpatrywanie roli lasu w kontekście ich funkcji mitygacyjnej wobec zmian klimatycznych winno uwzględniać różne fazy rozwojowe lasu.

Spór o zarządzanie – chronić aktywnie czy pasywnie?

Odpowiedź na to pytanie jest jak zwykle złożona, a strony opowiadające się za zgola odmiennym podejściem do zarządzania odpowiednio argumentują swoje stanowiska. Problem gospodarowania starolasami nie wynika z braku narzędzi technicznych, lecz z istniejącego konfliktu między ochroną



Zróżnicowanie wielkości drzew w ponad 300-letnim lesie z sekwoją wieczniezieloną – północna Kalifornia, USA



Ryc. 3. Tempo pochłaniania i wielkość akumulowania węgla w lasach w zależności od wieku.

naturalnych procesów przyrodniczych, a użytkowaniem zasobów. Jak już wspomniano, starolasy są ekosystemami kształtowanymi długotrwałą ciągłością procesów ekologicznych i naturalną dynamiką, której nie da się odtworzyć 1:1 za pomocą standardowych praktyk gospodarki leśnej. Każda ingerencja człowieka ma swoje konsekwencje przejawiające się utratą części kluczowych elementów dla funkcjonowania starolasów. Zwolennicy biernego podejścia do ochrony starolasów podkreślają, że utracone na skutek ingerencji człowieka cechy mogą się odbudować, ale w długiej perspektywie czasu, często przekraczającej długość naszego życia.

W różnych definicjach wskazuje się, że starolasy wcale nie muszą być ekosystemami, które nie doświadczyły w swoim życiu działalności człowieka. Człowiek może zatem w nich gospodarować, a precyzyjnie mówiąc - może nimi zarządzać. Problematyczna jest jednak odpowiedź na pytanie, jak to zarządzanie ma wyglądać. Dużym i całkowicie niepotrzebnym uproszczeniem podkreślanym w publicznej debacie jest równoważenie zarządzania starolasami z pozyskiwaniem z nich drewna.

Przez zwolenników pasywnej roli człowieka (rola obserwatora) wobec starolasa podnoszony jest argument, że aktywne zarządzanie tymi ekosystemami daje jedynie pozorne efekty. Działania zmierzające np. do zachowania (ochrony) pojedynczych elementów struktury (np. martwego drewna, starych drzew biocenotycznych) nie uwzględniają całej złożoności naturalnych procesów ekologicznych, które mogą się rozwijać wyłącznie w warunkach długotrwałego braku ingerencji. Podkreślają fakt - czemu leśnicy nie zaprzeczają - że lasy użytkowane nie zastąpią starolasów w ich roli. Lasy zagospodarowane nie są i nie będą ich funkcjonalnym odpowiednikiem. Dyskusja dotyczyć powinna ich stabilności wobec obserwowanych globalnych zmian i tego, jak tę stabilność zapewnić.

Problem zarządzania (nie prostego użytkowania) starolasami nie byłby tak skomplikowany w warunkach pewnej dynamicznej stałości środowiska. Obserwowane zmiany w środowisku wskazują, że współcześnie dynamika tych zmian jest większa niż w przeszłości. Dla samej przyrody to raczej nie jest katastrofą, gdyż jedyną stałą rzeczą w układach naturalnych jest zmiana. Z punktu widzenia człowieka, zmiany te mogą natomiast nieść nieakceptowalne konsekwencje. Lasy bez wątpienia przystosują się do nowych warunków, jednak będą to najprawdopodobniej inne lasy, niż gotowi jesteśmy to zaakceptować. Współczesne lasy cenimy za to, co nam one dają w postaci tzw. dóbr i usług ekosystemowych. Nasze podejście do starolasów,

ich postrzeganie wynika z tego samego. Człowiek zmienia otoczenie w imię wyższego komfortu, z którego raczej większość z nas nie chce zrezygnować. Chcemy mieć starolasy, by cieszyły swoją majestatycznością przyszłe pokolenia. Czy jednak są one w stanie przetrwać erę globalnych zmian bez naszego wsparcia?

W warunkach zmieniającego się środowiska w każdym aspekcie naszego życia zaleca się przecież aktywne działanie, po to by łagodzić lub wręcz wykluczyć negatywne konsekwencje tych zmian. Czy w przypadku starolasów (ale i innych lasów) powinniśmy postępować odwrotnie? Susze, pożary, gradacje owadzie, intensywne zamieranie drzew w lasach na całym świecie - by wymienić tylko część nurtujących naukowców problemów doświadczanych przez lasy - nie ominą w cudowny sposób starolasów. Czy nasza bierna postawa

wobec już rozpoznanych problemów związanych z obniżaniem się odporności lasów jest najlepszym sposobem, by chronić te



Starolasy w Parku Narodowym Yosemite, Kalifornia, USA.

specyficzne obszary leśne? Nie wydaje się. Jeżeli więc nie jest to najlepszym wyjściem, to jak zarządzać tymi szczególnie cennymi ekosystemami leśnymi? Nie ma jednej skutecznej recepty.

Większość naukowców zajmujących się ekosystemami leśnymi wskazuje na konieczność aktywnych działań na rzecz obniżenia podatności lasów na stres i zwiększania ich zdolności adaptacji do nowych warunków otoczenia. W nowoczesnej gospodarce leśnej, której celem jest właśnie adaptacja lasów do zmian, proponuje się różne strategie działań adaptacyjnych, w ramach których działania dostosowane są do konkretnych uwarunkowań środowiskowych. Zarówno wybór strategii, jak i samych działań powinien być zatem wyborem kontekstowym: najpierw należy zidentyfikować problem, by dobrać odpowiednią strategię i taktykę działań. Trzeba w tym miejsce podkreślić, że na tyle, na ile pozwala nam dzisiejsza wiedza, współczesna hodowla lasu dysponuje szerokim wachlarzem narzędzi (procedur, taktyk), by oba cele osiągać. Współczesna, adaptacyjna hodowla lasu to większa niż dotychczas elastyczność w podejściu do zarządzania lasami, stały monitoring skutków prowadzonych działań oraz uczenie się poprzez wyciąganie odpowiednich wniosków umożliwiających dostosowanie dotychczasowych procedur do rzeczywistych warunków otoczenia. Jakiegokolwiek działania w starolasach nie powinny mieć skutków

nieodwracalnych, zawsze powinny być poprzedzone stosowną analizą. Brak działań, czyli ochrona bierna również niesie ze sobą konsekwencje ekologiczne. Należy to zatem poddać rzetelnej analizie. Nicnierobienie jest też działaniem i też ma swoje konsekwencje, o czym się często zapomina.

W centrum debaty publicznej

Dyskusja nad starolasami w Polsce ma charakter wyjątkowo złożony i wielowymiarowy. Wynika to zarówno z uwarunkowań przyrodniczych, jak i historycznych, społecznych oraz instytucjonalnych. Polska należy do krajów, w których lasy zajmują znaczną część powierzchni kraju, a zdecydowana większość z nich pozostaje pod zarządem jednego podmiotu – Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe. Ten fakt sprawia, że decyzje dotyczące starolasów nie są jedynie problemem ochrony przyrody, lecz stają się kwestią polityki publicznej, zarządzania zasobami naturalnymi oraz społecznego zaufania. Szczególną cechą debaty jest silne napięcie pomiędzy podejściem biernym a aktywnym w działaniach mających chronić te specyficzne ekosystemy leśne w dobie globalnych zmian. Starolasy postrzegane są z jednej strony jako ekosystemy o wyjątkowej wartości przyrodniczej, z drugiej doświadczają różnego rodzaju stresów. Konflikt ten jest często wzmacniany przez



uproszczone narracje prezentowane w przestrzeni publicznej, w których starolasy przeciwstawiane są lasom zagospodarowanym, mimo że w rzeczywistości tworzą one kontinuum faz rozwojowych ekosystemów leśnych.

Istotnym wyzwaniem pozostaje brak jednoznacznej, prawnie umocowanej definicji starolasu. Obowiązujące w Polsce podejścia, inspirowane dokumentami Unii Europejskiej oraz ustaleniami Ogólnopolskiej Narady o Lasach, opierają się na zestawie kryteriów strukturalnych i funkcjonalnych, które wymagają interpretacji eksperckiej. Z jednej strony daje to elastyczność i możliwość dostosowania do lokalnych warunków siedliskowych, z drugiej - rodzi spory dotyczące transparentności i obiektywności procesu typowania starolasów. Czy ekspertami powinni być osoby, mające właściwe wykształcenie kierunkowe w zarządzaniu zasobami leśnymi (np. leśnicy), czy jednak osoby, których wiedza dotycząca lasów oparta jest na podstawie informacji czerpanych z różnych mediów (np. celebryci, aktywiści, tzw. przyrodnicy). Wydaje się, że naturalnym i w pełni racjonalnym podejściem w tym procesie byłoby korzystanie z szerokiej wiedzy tej pierwszej grupy, przy partycypacji doradczej grupy drugiej.

Polska debata nad starolasami wpisuje się również w szerszy kontekst zmian klimatycznych, szczególnie w kontekście sposobu zarządzania tymi obszarami. Starolasy coraz częściej przedstawiane są jako kluczowy element strategii klimatycznych, zarówno jako magazyny węgla, jak i ekosystemy potencjalnie bardziej odporne na zaburzenia środowiskowe. Jednocześnie badania naukowe wskazują, że ich rola w bilansie węgla jest złożona i zmienna w czasie, co podważa proste tezy o ich jednoznacznej klimatycznej stabilności w porównaniu z pozostałymi lasami. W praktyce oznacza to konieczność odejścia od jednowymiarowego myślenia i uwzględniania aktualnej

wiedzy w opracowaniu efektywnych polityk adaptacyjnych i mitygacyjnych.

Zwolennicy ochrony biernej utożsamiają aktywne zarządzanie starolasami z pozyskaniem drewna, co jest bardzo dużym uproszczeniem, gdyż aktywne działania wcale nie muszą oznaczać użytkowania drewna. Z jednej strony ryzyko utraty stabilności przez starolasy wobec stresów klimatycznych jest większe niż w przypadku lasów młodszych, z drugiej natomiast wiadomo, że właściwie dobrane aktywne działania adaptacyjne zmniejszają podatność lasów na ten stres. Konsekwencje ekologiczne braku aktywnych działań (braku zarządzania) również mogą być negatywne, co jest rzadko podkreślane w przekazie publicznym.

Ostatecznie debata o starolasach w Polsce nie powinna sprowadzać się do prostego wyboru między ochroną a użytkowaniem. Jest to spór o sposób postrzegania lasu jako systemu przyrodniczo-społecznego, o granice ingerencji człowieka w procesy naturalne oraz o odpowiedzialność międzypokoleniową. Starolasy, niezależnie od przyjętego modelu zarządzania, pełnią rolę punktów odniesienia, które pozwalają lepiej zrozumieć funkcjonowanie ekosystemów leśnych i wyznaczać kierunki zrównoważonej gospodarki leśnej wobec zmieniającej się rzeczywistości.

Na zakończenie warto podkreślić, że w debacie publicznej nad sposobami zarządzania tymi szczególnymi obszarami leśnymi w warunkach globalnych zmian powinna towarzyszyć świadomość, iż starolasy nie oferują prostych odpowiedzi, lecz skłaniają do stawiania lepszych pytań. Tego wszystkim zainteresowanym dobrem przyrody życzę.

*Prof. UPP dr hab. inż. Janusz Szmyt
pracuje w Katedrze Hodowli Lasu na Wydziale Leśnym i Technologii Drewna
Uniwersytetu Przyrodniczego w Poznaniu*



Niepozorne rozmiarami, a sędziwe – sosna długowieczna (*Pinus longaeva*)
dożywająca ponad 4000 lat, Inyo National Forest, Kalifornia, USA.

Luiza Tymińska-Czabańska

Czy lasy sobie poradzą?

Odpowiedzi szukamy pod ziemią

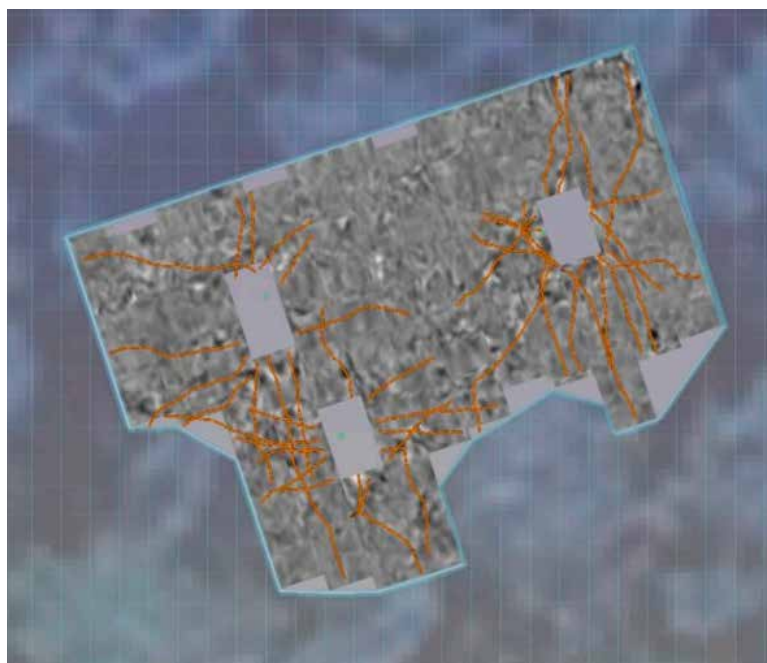
Wyniki analiz drzew w różnym wieku rosnących w różnych warunkach siedliskowych wykazały, że drzewa – zwłaszcza w młodszych fazach rozwoju – potrafią modyfikować swój system korzeniowy, tak by był dopasowany do dostępności wody.

W wielu regionach obserwujemy narastający deficyt wody, mimo że poziom opadów nie ulega istotnym zmianom. To znacznie wyższe niż dawniej temperatury sprawiają, że przy zbliżonym poziomie opadów w wyniku ewapotranspiracji (transpiracji przez rośliny i parowania) obserwuje się ujemny klimatyczny bilans wodny. Ewapotranspiracja przewyższa bowiem wielkość opadów, co zmniejsza dostępność wody dla roślin, w szczególności dla drzew.

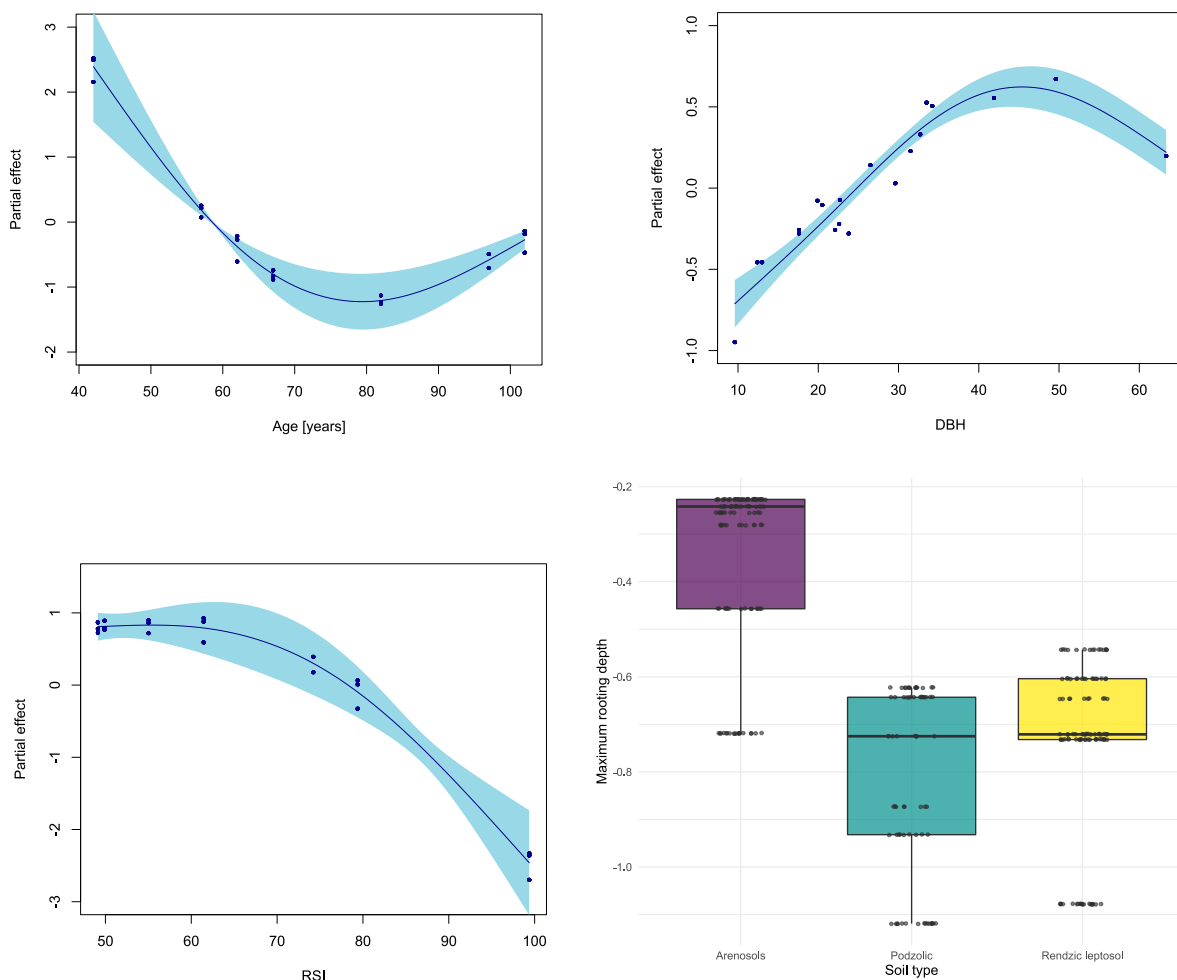
Ten deficyt wody jest główną przyczyną zamierania drzew. Pierwsze symptomy tego zjawiska są zwykle widoczne w ich koronach. Obserwujemy pogorszenie stanu ulistnienia, częstsze pojawianie się pojedynczych zamierających drzew, a w skrajnych przypadkach obumieranie całych połaci lasu. W ostatnich latach zamieranie drzew stało się w Europie zjawiskiem masowym. Kluczowe procesy determinujące to zjawisko zachodzą jednak w dużej mierze pod powierzchnią gleby, w strefie systemów korzeniowych, ponieważ pierwotną przyczyną zamierania jest brak wody dostępnej dla korzeni drzew. O tym, czy drzewa są w stanie pobrać wystarczającą ilość wody w warunkach jej niedoborów, decyduje architektura systemu korzeniowego. W kontekście możliwości adaptacji drzew i lasów do zmiany klimatu rośnie znaczenie badań, które pozwalają zrozumieć zdolność adaptacji systemów korzeniowych do zmieniających się warunków środowiskowych. Na Uniwersytecie Rolniczym w Krakowie do nieinwazyjnego mapowania systemów korzeniowych drzew wykorzystujemy najnowocześniejszy wielokanałowy georadar (GPR).

Sosna pod presją klimatu

Sosna zwyczajna – gatunek o bardzo dużej amplitudzie ekologicznej i możliwościach adaptacyjnych dominuje w szerokim spektrum siedlisk. Jednak zmiana klimatu, a przede wszystkim susza, skutkuje osłabieniem kondycji drzew i coraz częstszym ich zamieraniem. Co może się wydać zaskakujące, szczególnie podatne na stres okazują się drzewa najstarsze i najwyższe, rosnące na najżyźniejszych i najwilgotniejszych



Ryc. 1. Podziemna architektura korzeni sosny – rekonstrukcja na podstawie skanu radarem wielokanałowym.



Ryc. 2. Zależność maksymalnej głębokości ukorzenienia sosny zwyczajnej od cech drzewa i warunków siedliskowych. Przedstawiono wpływ wieku, grubości drzewa (DBH), zagęszczenia drzewostanu (RSI) oraz typu gleby.

siedliskach. Jest to spowodowane tym, że duże drzewa mają najwyższe zapotrzebowanie na wodę. Drugim powodem jest ograniczona możliwość adaptacji do coraz suchszych warunków, szczególnie ważna na siedliskach, które wcześniej były silniej uwilgotnione. Drzewa dostosowują systemy korzeniowe do warunków, w jakich wzrastają w młodości, jednak wraz z wiekiem możliwość adaptacji do nowych warunków maleje. Dotyczy to w szczególności sosny zwyczajnej, która kształtuje budowę swojego systemu korzeniowego tylko do pewnego wieku (zakłada się, że około 30-40 lat). Wiele dzisiejszych, najstarszych drzewostanów wzrastało i kształtowało swój system korzeniowy w warunkach klimatycznych i wilgotnościowych znacznie odbiegających od obecnych. Jeśli – jak wskazuje praktyka i literatura – zasadniczą część architektury systemu korzeniowego formuje się w pierwszych dekadach życia drzewa, to oznacza, że drzewostany, które „zaprojektowały” swoje korzenie w innym klimacie, wykazują obecnie podwyższoną wrażliwość na suszę. Mimo kluczowej roli systemów korzeniowych dla kondycji drzew i adaptacji do zmiany klimatu, badania nad nimi są wciąż bardzo rzadkie, ponieważ bardzo trudno jest przeprowadzać je klasycznymi metodami. Wymagają bowiem wykopywania całych drzew wraz z systemem korzeniowym, co jest niezwykle pracochłonne i kosztochłonne, a przede wszystkim badania takie są z natury destrukcyjne, przez co nie pozwalają na powtarzanie pomiarów na tych samych osobnikach. Przełom w tym względzie przynosi połączenie ambicji

badawczych z najnowszą technologią, która umożliwia nieinwazyjne obrazowanie korzeni drzew.

Georadar nowej generacji – pionierskie mapowanie systemów korzeniowych

Na pilotażowe badania nad korzeniami drzew prowadzone z zastosowaniem multikanalowego systemu georadarowego GPR Stream C (IDS GeoRadar) otrzymałam grant NCN w programie MINIATURA. Rozwiązanie to umożliwiło wysokorozdzielcze zobrazowanie systemów korzeniowych w warunkach terenowych. W praktyce przeprowadziłam trójwymiarowe mapowanie systemów korzeniowych 27 drzew i identyfikację ich korzeni. Scharakteryzowałam ich architekturę, podając liczbę korzeni, maksymalną głębokość ukorzenienia i długość korzeni (Ryc. 1). Badania przeprowadziłam w drzewostanach sosnowych zróżnicowanych pod względem wieku i warunków siedliskowych – od siedlisk ubogich po bardzo żyzne.

Analizy wykazały wyraźne różnice w architekturze korzeni zależne od wieku drzew oraz warunków siedliskowych. W modelowaniu zmienności systemów korzeniowych wykorzystałam uogólnione modele addytywne (GAM), wskazując na silne, nieliniowe efekty wieku drzew, grubości (DBH), konkurencji (RSI) oraz typu gleby (Ryc 2).

W ujęciu funkcjonalnym przekaz jest czytelny: młodsze drzewa częściej wytwarzają głębsze i bardziej rozległe układy korzeniowe.



Wiek drzew a ich potencjał adaptacyjny

Wyniki analiz drzew w różnym wieku rosnących w różnych warunkach siedliskowych wykazały, że drzewa – zwłaszcza w młodszych fazach rozwoju – potrafią modyfikować swój system korzeniowy, tak by był dopasowany do dostępności wody. Zaobserwowałam jednak paradoks polegający na tym, że młodsze drzewa mają dłuższe korzenie niż drzewa starsze rosnące na tym podobnym siedlisku. Wskazuje to na bezpośrednie ograniczenia adaptacji systemów korzeniowych związane z wiekiem drzew. Adaptacja systemów korzeniowych jest możliwa, jednak w przypadku sosny zwyczajnej ograniczona do drzew najmłodszych. W praktyce oznacza to, że drzewostany, które dziś wchodzi w fazę najwyższej wrażliwości (duże rozmiary i wysokie zapotrzebowanie na wodę), nie są w stanie szybko skompensować ograniczeń wynikających z architektury korzeni ukształtowanych w odmiennych warunkach wilgotnościowych panujących przed

dekadami. Jednak w mojej ocenie często powtarzany scenariusz, w którym sosna zwyczajna miałaby w perspektywie kilku dekad stać się w Polsce gatunkiem „ustępującym”, jest w skali kraju mało prawdopodobny. Również zastępowanie sosny gatunkami bardziej wymagającymi, jak dąb czy buk nie wydaje mi się realne, ponieważ gatunki te mają znacznie większe wymagania siedliskowe niż sosna zwyczajna, zwłaszcza wymagają znacznie żyzniejszych gleb. Uwzględniając to, że znaczna część polskich lasów rośnie na siedliskach ubogich i stosunkowo suchych, sosna pozostaje jednym z nielicznych gatunków zdolnych do stabilnego wzrostu. Zatem zastąpienie sosny gatunkami o wyższych wymaganiach siedliskowych na wielu obszarach leśnych po prostu nie jest możliwe.

Z perspektywy adaptacji bardziej prawdopodobna jest strategia, w której sosna zwyczajna pozostaje głównym gatunkiem uboższych siedlisk borowych, ale jest prowadzona w sposób świadomy, zróżnicowany i adaptacyjny. W lasach



gospodarczych oznacza to m.in. planowanie wymiany pokoleń, ograniczanie presji konkurencyjnej przez stosowanie zabiegów pielęgnacyjnych oraz jeszcze bardziej powszechne stosowanie odnowienia naturalnego z uwzględnieniem lokalnych pochodzeń, lepiej adaptujących się do suszy.

Nowy standard w badaniach leśnych

Dyskusje o odporności lasów w warunkach zmian klimatu zbyt często zatrzymują się na tym, co łatwo dostrzegalne – na ocenie aparatu asymilacyjnego, zdjęciach satelitarnych i indeksach wegetacji. Są to narzędzia niezbędne, ale niewystarczające, jeśli chcemy kompleksowo zrozumieć mechanizmy odporności i adaptacji.

Pionierskie wdrożenie wykorzystania w badaniach leśnych wielokanałowego georadaru pokazuje, że można wreszcie badać korzenie drzew w sposób ilościowy, nieinwazyjny i porównywalny. To nie tylko postęp metodologiczny, ale potencjalnie

jeden z brakujących, kluczowych elementów, bez których nie da się prowadzić wiarygodnej, długoterminowej strategii adaptacji polskich lasów do suszy. Uzyskane niedawno finansowanie projektu w programie NCN SONATA umożliwi mi rozszerzenie tych badań do skali krajowej i przeprowadzenie pomiarów na znacznie większej próbie drzewostanów reprezentujących szerokie spektrum siedlisk i wieku. Pozwoli to zweryfikować obserwowane zależności w różnych regionach i typach siedlisk oraz zbudować solidniejszą podstawę do wnioskowania o odporności sosny zwyczajnej w warunkach narastającego ryzyka suszy. Można oczekiwać, że uzyskane wyniki będą miały duże znaczenie poznawcze, ale również wymiar praktyczny dla zarządzania lasami.

Dr Luiza Tymirńska-Czabańska, specjalistka w dziedzinie nauk leśnych, Katedra Zarządzania Zasobami Leśnymi, Wydział Leśny, Uniwersytet Rolniczy w Krakowie

Tadeusz Juliszewski

Drewno – kontrowersyjne paliwo

Kontrowersje wobec spalania drewna do celów grzewczych nigdzie w Europie i na świecie nie przybierają tak gwałtownej formy jak w Polsce. Argumenty przedstawiane są w środkach masowego przekazu bardzo często bez racjonalnego, naukowego uzasadnienia. Często adwersarzami nie są fachowcy z branży energetycznej czy przyrodniczej, lecz dyletanci.

Historia ludzkości to historia wszechstronnego wykorzystywania drewna. Domy, pomieszczenia inwentarskie, magazyny, mosty, wytapianie żelaza, gotowanie i pieczenie potraw, ogrzewanie pomieszczeń, materiał dla rzeźbiarzy – lista zastosowań drewna jest obszerniejsza niż listy zastosowań innych materiałów. Współcześnie drewno wykorzystuje się do wytwarzania ok. 30 000 różnych produktów, w tym także papieru, odzieży (wiskoza), a nawet kosmetyków i lekarstw (salicylany z brzozy i wierzby). Oczywiście budownictwo mieszkaniowe, meblarstwo, zabawkarstwo, sprzęt ogrodowy i górnictwo to główni odbiorcy drewna. Średnio kilkanaście procent objętości drewna pozyskiwanego co roku w Lasach Państwowych w Polsce wykorzystuje się do celów grzewczych. Drewno opałowe nie jest przydatne do innego zastosowania jak właśnie do spalania, a w konsekwencji zapewnienia komfortu cieplnego użytkowników.

Zwolennicy tego odtwarzalnego paliwa podkreślają, że wzmacnia ono bezpieczeństwo energetyczne kraju i przeciwdziała tzw. ubóstwu energetycznemu. Przeciwnicy wykorzystania 10% odpadowego drewna do celów grzewczych formułują opinie o: rabunkowym wycinaniu lasów, eliminacji lasu jako naturalnego pochłaniacza i magazynu CO_2 i skażeniu środowiska atmosferycznego szkodliwymi składnikami spalin z drewna. Polemiki zwolenników i przeciwników przyjmują często emocjonalny charakter z pominięciem elementarnej wiedzy. Spróbuję więc ją przypomnieć w nawiązaniu do współczesnych badań naukowych, które prowadziłem na Wydziale Inżynierii Produkcji i Energetyki Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, gdzie jeden z kierunków studiów nosi nazwę „odnawialne źródła energii i gospodarka odpadami”. Od lat współpracuję z krajowymi i zagranicznymi ośrodkami naukowymi, a także z Ogólnopolskim Stowarzyszeniem Producentów Kominków i Pieców oraz Cechem Zdunów Polskich.

Drewno w sensie chemicznym

Drewno składa się głównie z celulozy (ok. 50%), hemicelulozy (ok. 15%), ligniny (ok. 30%) oraz wody i popiołu. W świeżym ściętym drewnie jest ok. 50% wody, która oczywiście nie pali się i powinna zostać usunięta, by drewno stało się dobrym paliwem.

Drewno o wilgotności poniżej 20%, umiejętnie spalane, prawie nie daje śladu dymu. Widoczny niekiedy, krótkotrwanie po zainicjowaniu palenia, jasny dym to para wodna. Taka sama para wodna jest widoczna na niebie za przelatującym na dużej wysokości samolotem jako wynik spalania paliwa lotniczego w silniku.

Popiół to głównie tlenki wapnia, magnezu, potasu i fosforu. Zastosowane jako nawóz poprawiają kwasowość gleby i sprzyjają plonowaniu roślin. W odległej przeszłości – gdy nie było nawozów sztucznych – wypalanie lasu i ściernisk uważano za sposób pozyskania ziemi pod uprawy rolnicze i zwiększenie jej urodzajności. Dziś nikt nie uznaje tych sposobów za racjonalne, co nie oznacza jednak, że popiół ze spalonego drewna jest szkodliwy dla środowiska.

Celuloza o ogólnym wzorze $(\text{C}_6\text{H}_{10}\text{O}_5)_n$ składa się z węgla, wodoru i tlenu. Jak wiadomo, węglowodany powstają w procesie fotosyntezy, łącząc atmosferyczny dwutlenek węgla i glebową wodę. W jego wyniku powstaje też tlen, można zatem powiedzieć, że rzekomo szkodliwy CO_2 przyczynia się do wytwarzania życiodajnego gazu. Bez tlenu bowiem nie jest możliwe życie roślin, zwierząt i ludzi, gdyż nie byłoby czym oddychać. Spalanie drewna, czyli celulozy, hemicelulozy i ligniny, to ponowne chemiczne połączenie zawartego w nich węgla z atmosferycznym tlenem i przekształcenie w dwutlenek węgla, zaś połączenie wodoru z atmosferycznym tlenem wytworzy wodę (parę wodną). Cykl powstawania drewna i jego spalania zamyka się. Powtarza się on od milionów lat.

W drewnie pochodzącym z drzew iglastych są niewielkie ilości żywic (głównie terpenów) i tłuszczów, tj. związków organicznych, razem ok. 3%. Mimo, że są to substancje palne, uznaje się drewno z drzew iglastych jako mniej przydatne na opał. Przyjemny zapach takiego palonego drewna związany jest jednak z tworzeniem się sadzy w przewodach kominowych. Drewno zawiera także niepalne substancje mineralne w ilości 1-2%, tworzące popiół po spalaniu. Popiół, który nie opadnie na ruszcie, unosi się częściowo do komina i może być przyczyną zapylenia powietrza. Nowoczesne konstrukcje pieców i kominków redukują emisję takich pyłów.

Do Ziemi w naszej szerokości geograficznej dociera w ciągu roku na powierzchnię jednego metra kwadratowego ok. 1000 kWh energii promieniowania słonecznego. W zależności od gatunku rośliny, jej fazy rozwojowej i innych czynników, 1-3% tej energii, to znaczy ok. 10–30 kWh/m²/rok, zostaje zgmagazynowane w chemicznych wiązaniach biomasy wytworzonej w procesie fotosyntezy. Jest to ilość energii, jaka zawarta jest w 1,3–4 kg węgla kamiennego (o wartości opałowej 7,5 kWh/kg).

Drewno w sensie fizycznym

Drewno dzieli się na miękkie (np. z topoli czy wierzby) i twarde (np. z buka czy dębu). Kryterium podziału jest twardość określana metodą wciskania w drewno stalowej kulki. Cecha ta decyduje o odporności drewna na ścieranie (ważna dla parkietu i podłóg z desek), wytrzymałości konstrukcyjnej (stropy, konstrukcje dachowe) czy o obróbce mechanicznej (opory cięcia i zrubkowania). Gęstość drewna miękkiego to ok. 500 kg/m³, a drewna twardego ok. 750 kg/m³ (przy wilgotności 15%).

W handlu drewnem stosuje się tzw. metry przestrzenne (kubiki drewna). Metr przestrzenny drewna kawałkowanego ma masę mniejszą o ok. 35% niż wynika to z jego gęstości. Jeszcze mniejszą masę mają zrębki, tj. drewno rozdrobnione rębarką.

Podstawowym parametrem drewna opałowego jest jego wartość opałowa, wyrażana w kWh/kg lub kJ/kg. Wartość opałowa to ciepło spalania pomniejszone o energię, która zostaje zużyta na podgrzanie i odparowanie wody, zawartej w paliwie. Przykładowo: drewno z drzew liściastych o wilgotności ok. 50% (czyli świeżo ścięte) ma wartość opałową nieco ponad 2 kWh/kg, a wysuszone do 15% ma wartość opałową ok. 4 kWh/kg, tj. prawie dwa razy większą. Wysuszenie drewna powoduje więc duży wzrost jego przydatności jako opału. Uważa się, że drewno opałowe powinno mieć wilgotność nie większą niż 20%. Połupane na kawałki świeżo ścięte drewno, odpowiednio sezonowane (w przewiewnym, słonecznym miejscu, pod zadaszeniem), zmniejsza swoją wilgotność do ok. 20% w ciągu roku.

Odpady tartaczne, a także inne rodzaje biomasy, przetwarzane są na brykiety i pelety, których normowana wilgotność nie powinna przekraczać 10%. Wartość opałowa brykietów i peletów wynosi ponad 5 kWh/kg. Przydatność handlowa brykietów

i peletów jest normowana i obejmuje, między innymi, wartość opałową, wilgotność, twardość mechaniczną (czyli odporność na kruszenie) i zawartość popiołu. W szacunkowych obliczeniach przyjmuje się, że wysuszone drewno i pelety mają wartość opałową o ok. 35–40% mniejszą niż węgiel kamienny. Ta mniejsza wartość opałowa biomasy i jej mniejsza gęstość niż węgiel powodują, że zapas opału na sezon grzewczy wymaga większej objętości pomieszczeń magazynowych.

Źródła pozyskania drewna

Drewno opałowe pozyskuje się z lasów, a także plantacji drzewiastych roślin uprawianych w krótkiej, kilkuletniej rotacji (SRWC – Short Rotation Woody Crops). Leśnicy przekazują na opał średnio ok. 10% pozyskiwanego drewna, choć jest to zróżnicowane regionalnie. Na ogół jest to drewno nieprzydatne do innych celów. Nie przeznaczają się bowiem na opał drewna, za które można uzyskać większą cenę rynkową, sprzedając je na przykład na cele budowlane czy meblarskie. Opinia, iż „polskie lasy są spalane”, jest niezgodna z prawdą. Nb. powierzchnia lasów w Polsce systematycznie wzrasta (obecnie lesistość przekracza 30%), a objętość pozyskiwanego drewna rocznie jest mniejsza niż jej roczny przyrost (tzw. miąższość lasów wzrasta).

Odpady przemysłu tartaczno i meblarskiego (trociny, wióry) wykorzystywane są do produkcji brykietów i peletów. Do tej produkcji wykorzystuje się także biomasę pozyskiwaną z uprawy roślin zielnych (HEC – Herbaceous Energy Crops). Miskantus i malwa pensylwańska pozwalają w naszych warunkach klimatycznych pozyskać w ciągu roku zbiór ok. 15 ton suchej biomasy z powierzchni jednego hektara. Zbiór roślin zielnych jest stosunkowo łatwy i może być przeprowadzony przy użyciu maszyn stosowanych w rolnictwie. Wszelkie badania plonowania różnych gatunków roślin SRWC i HEC prowadził Instytut Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach w ramach projektu badawczego koordynowanego przed laty przez Instytut Energetyki w Warszawie. Brałem udział w realizacji tego projektu.

Rośliny drzewiaste uprawiane w naszym kraju w krótkiej rotacji na cele energetyczne to przede wszystkim wierzba i topola. Są nieliczne plantacje olszy i robinii akacjowej. Eksperymentuje się także z paulownią (np. w Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu). Eukaliptus jest rośliną energetyczną

uprawianą w cieplejszych regionach świata. Moim zdaniem plantacje roślin energetycznych to mało wykorzystywana w naszym kraju szansa pozyskania tego paliwowego surowca na cele energetyczne. Podobnie w niewielkim stopniu wykorzystywane są na cele energetyczne gałęzie i zrębki (rozdrobnione drewno) z plantacji roślin sadowniczych po przecince gałęzi, a także biomasa z pielęgnacji drzew w parkach i zieleniach miejskich. Szacunkowo, w naszych warunkach glebowo-klimatycznych, można pozyskać 12–15 ton suchej biomasy z powierzchni 1 hektara w ciągu roku. To równowartość około 8–10 ton węgla kamiennego lub ok. 6000–7500 m³ gazu ziemnego (przy założeniu, że wartość opałowa gazu ziemnego wynosi ok. 10 kWh/m³).



Wysuszone drewno, przygotowane do palenia

Wytwarzanie różnego rodzaju produktów analizowane jest obecnie w kontekście tzw. śladu węglowego. Jest to suma emisji gazów cieplarnianych, jakie powstają w procesach wytwarzania, transportu i użytkowania danego produktu. Raport pt. *Ślad węglowy produktów PGL Lasy państwowe* przedstawia porównanie ilości (masy) emitowanych spalin w uprawie lasu – od produkcji szkółkarskiej do zrywki (tj. ścinki i transportu drewna) – z ilością (masą) dwutlenku węgla skumulowanego w drewnie w procesie fotosyntezy. Ilości skumulowanego w drewnie gazu cieplarnianego, jakim jest CO_2 , są wielokrotnie większe niż emisje biogeniczne, przykładowo dla świerka 1281 razy większe, a dla buka 23 743 razy większe.

Spalanie drewna jako proces chemiczny

Drewno w istocie nie spala się; spalają się gazy, które powstają w procesie termicznego rozkładu drewna, tzw. pirolizy, która rozpoczyna się już w temperaturze ok. 300°C . W niższej temperaturze następuje odparowanie wody zawartej w paliwie. Powstające palne gazy to metan, wodór i tlenek węgla. Pod koniec spalania w piecu/kominku żarzy się węgiel drzewny. W palenisku widać wyraźnie zmiany barwy płomienia: na początek, gdy spalają się gazy powstałe z termicznego rozkładu drewna, płomień jest żółto-pomarańczowy, na koniec, nad żarzącym się węglem drzewnym, unoszą się małe niebieskawe, płomyki. Spalanie, tj. łączenie się tych gazów z atmosferycznym tlenem, wymaga wystarczającego dopływu powietrza do komory spalania. Temperatura w palenisku osiąga $500\text{--}700^\circ\text{C}$. Brak odpowiedniej objętości powietrza (tlenu) w komorze spalania powoduje niepełne spalanie i tworzenie się sadzy w przewodach kominowych i unoszenie się dymu nad kominem. Gdy dopływ powietrza do komory spalania jest wystarczający to nad kominem budynku nie widać najmniejszego śladu dymu. Typowe dwa błędy, wynikające często z niewiedzy użytkowników pieców i kominków, polegają na tym, że dławią dopływ powietrza do paleniska (komory spalania) w celu regulacji ilości wytwarzanego ciepła w danym urządzeniu. Tymczasem regulacja powinna polegać na regulacji ilości podawanego paliwa (tj. drewna, brykietów, peletów) do komory spalania. Drugim błędem jest rozpalanie ognia od dołu stosu drewna, podczas gdy ogień powinno rozniecać się od góry.

W wyniku spalania 1 kilograma biomasy uwalniana jest energia ciepła w ilości od ok. 4.0 kWh do 5 kWh , zależna głównie od zawartości wody w paliwie. Drewno drzew iglastych ma wartość opałową ok. 4 kWh/kg , a drzew liściastych ok. 3.8 kWh/kg (przy wilgotności 20%). Gęstość drewna z drzew iglastych jest mniejsza niż gęstość drewna z drzew liściastych, dlatego

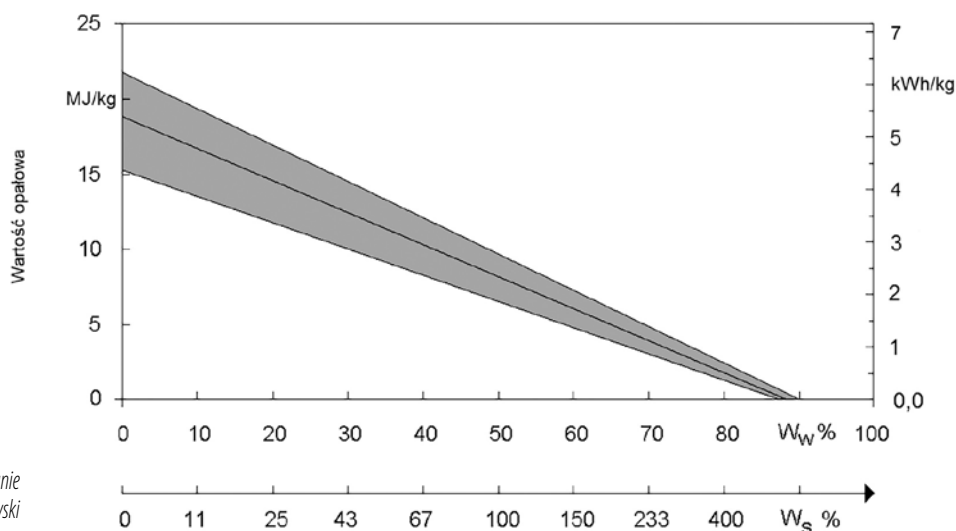
dla uzyskania tej samej ilości ciepła spala się większą objętość drewna sosny niż np. buka. Metr przestrzenny drewna opałowego z sosny o masie ok. 370 kg i wilgotności 20% pozwala uzyskać ok. 1500 kWh energii ciepła, a metr sześcienny drewna opałowego z buka lub dębu o masie ok. 470 kg pozwala uzyskać ok. 1800 kWh energii (ze spalania 370 kg drewna buka lub dębu można uzyskać ok. 1420 kWh energii ciepła).

Dwutlenek węgla i para wodna to główne składniki spalin. Inne składniki to tlenek węgla, tlenki azotu, niespalone węglowodory i pyły. Ważne podkreślenia jest to, że te wszystkie składniki spalin są biodegradowalne. Tlenki azotu powstają zasadniczo nie ze spalania paliwa (drewna), lecz w wyniku połączenia atmosferycznego azotu i atmosferycznego tlenu. Ta synteza zachodzi intensywnie w temperaturze powyżej 1000°C . W tej temperaturze, tj. powyżej 1000°C , powstaje też żużel, który okleja ruszt. To dlatego konstrukcja współczesnych, nowoczesnych kominków i pieców zapewnia w komorze spalania temperaturę $500\text{--}700^\circ\text{C}$.

Urządzenia do spalania drewna

Drewno i jego przetwory spala się obecnie przede wszystkim w nowoczesnych kaflowych kuchniach oraz piecach, kotłach i kominkach z zamkniętą komorą spalania. Są także kotły służące do zgaszania drewna, w których spalany jest gaz drzewny (Holzgas). Kuchnie kaflowe budowane są w Polsce przez specjalistów zrzeszonych w organizacjach branżowych takich jak cechy zduńskie czy branżowe izby gospodarcze. Tak samo kominki, piece i kotły budują specjaliści. Według mojej wiedzy usługi tych specjalistów znajdują ogromny popyt w całej Europie, a polskie kominki sprzedawane są do ponad 50 krajów na całym świecie.

Systematycznie stare piece, niezgodne z obowiązującymi przepisami (tzw. kopciuchy), wymieniane są na nowoczesne piece, kotły i kominki, co sprawia, iż emisje spalin są coraz mniejsze i nie zagrażają ludziom i środowisku. Niestety, są jeszcze użytkownicy starych pieców, którzy bądź to spalają niewysuszone drewno, bądź też drewno z chemiczną impregnacją, pozyskane ze starych mebli lub domów. Zdarza się, że „paliwem” są śmieci i inne odpady. Z tymi złymi, karygodnymi przyzwyczajeniami walczy się od lat, choć z niewystarczającą skutecznością. Warto podkreślić, że „kopciuchy” i nowoczesny piec czy komin to nieporównywalne urządzenia grzewcze, tak samo jak nieporównywalne są – pod każdym względem – silnik samochodu Syrena (produkowanego przez wiele lat w Polsce) i silnik współczesnego samochodu.



Nie należy rozpatrywać drewna jako paliwa bez powiązania go z urządzeniami do jego spalania. To tak jakby mówić o benzynie, nie łącząc jej parametrów użytkowych z konstrukcją silnika i jego układem wydechowym. Wzajemne dostosowanie urządzenia do spalania drewna i paliwa (drewna lub jego przetworów) zapewnia z jednej strony odpowiednią ilość energii ciepła do celów grzewczych, a z drugiej strony dopuszczalne, zgodne z normami emisje spalin. Certyfikacja urządzeń grzewczych jest gwarancją, że ich użytkowanie nie zagraża ludziom i środowisku. Badania wykonują autoryzowane instytucje badawcze według obowiązujących norm.

System dopuszczenia danego urządzenia grzewczego do eksploatacji różni się w naszym kraju od systemu certyfikacji, np. w Niemczech. W Polsce producent danego urządzenia grzewczego musi dostarczyć je do certyfikującego instytutu badawczego, gdzie przeprowadza się miarodajne pomiary i na ich podstawie uzyskuje lub nie uzyskuje wymagany atest. W Niemczech właściciel pieca kuchennego wybudowanego przed laty, a aktualnie zmodernizowanego dla ograniczenia emisji spalin może zlecić takie badanie u siebie w domu bez dostarczania tego urządzenia do jednostki certyfikującej. Wykonanie takich pomiarów urządzenia grzewczego w terenie, nie w instytucji, pozwala na dopuszczenie go do eksploatacji, jeśli emisje spalin nie przekraczają obowiązujących norm.

Znam polskich fachowców, którzy dysponując wiedzą i odpowiednimi umiejętnościami, potrafią tak usprawnić stare kotły i piece – niekiedy o mocy większej niż wymaganej do ogrzewania jednorodzinnej domu – iż emisja spalin spełni wszystkie wymagania normatywne. Procedura badawcza (certyfikacja) tak zmodernizowanego urządzenia grzewczego jest jednak w Polsce bardzo utrudniona.

Dopuszczone do sprzedaży i użytkowania urządzenia grzewcze na drewno spełniają wymagania emisji spalin

i wymagania energetyczne określane jako EKOPROJEKT (EKODESIGN). Normy emisji obejmują pyły, organiczne związki gazowe (OGC), tlenek węgla i tlenki azotu. Badania emisji przeprowadzane są w systemach odprowadzania spalin (w kominie) dla paliwa spełniającego normatywne wymagania. Wynik badań ma także określać tzw. sezonową sprawność energetyczną. Sezonowa sprawność energetyczna, różna od sprawności cieplnej podawanej przez producenta danego urządzenia na tabliczce znamionowej, wyraża przewidywany odsetek (%) pozyskiwanej energii ciepła z energii zawartej w paliwie – część tej energii tracona jest ze spalinami – w okresie grzewczym.

Normy emisji dla urządzeń grzewczych są zróżnicowane w zależności od mocy cieplnej i sposobu podawania paliwa (ręczne, czy automatyczne). Kominiek EKOPROJEKT powinien charakteryzować się następującymi parametrami: emisja pyłów poniżej 40 mg/m^3 , emisja tlenku węgla poniżej 1200 mg/m^3 , emisja tlenków azotu poniżej 200 mg/m^3 , emisja OGC poniżej 120 mg/m^3 , sezonowa sprawność co najmniej 65%. Masa (w mg) spalin mierzona jest na ich wylocie z komory spalania i odnosi się do 1 metra sześciennego objętości spalin. Spaliny z zamkniętej komory spalania nie przenikają w ogóle do wnętrza pomieszczeń, gdzie jest umieszczone urządzenie grzewcze.

Warto rozróżnić pojęcia emisji i ekspozycji, które oznaczają zupełnie coś innego, a często mylnie uważane są za tożsame. Emisja spalin jest ilościowym określeniem składników spalin w jednostce objętości spalin (zwykle w mg/m^3). Spaliny te ulegają rozcieńczeniu w powietrzu. Ekspozycja ludzi i zwierząt (ogólnie: środowiska) obejmuje więc nie tylko emisję ze spalanej paliwa (np. drewna), ale wszystkie inne emisje. Są one pochodzenia antropogenicznego (przemysł, komunikacja, ogrzewnictwo), ale także pochodzenia naturalnego (emisje



Świeżo ścięte drewno bukowe

wulkaniczne, naturalny rozkład biomasy w warunkach tlenowych i beztlenowych, eoliczna erozja gleb itd.). Rozróżnienie składników zanieczyszczenia powietrza według ich źródła pochodzenia, np. w środowisku miejskim, jest metodycznie bardzo trudne, a zatem udział danego źródła zanieczyszczenia w powietrzu (np. pył mineralny, CO czy NOx) można określać tylko szacunkowo. Dodajmy, że ekspozycję, np. dobową czy miesięczną, wyraża się w mikrogramach (jednostce tysiąckrotnie mniejszej niż miligram).

Krajowy Ośrodek Bilansowania i Zarządzania Emisjami (KOBIZE) oblicza (szacuje) emisje spalin w naszym kraju, m.in. na potrzeby handlu emisjami w Unii Europejskiej. Wynik obliczeń wielkości emisji spalin w zależności od rodzaju paliwa wyrażony jest masą danego składnika spalin w odniesieniu do ilości wytworzonej energii (w g/GJ). Obliczenia dotyczą emisji: pyłów, dwutlenku węgla, tlenku węgla, tlenków azotu, tlenków siarki i beznzo(a)pirenu. Wskaźniki emisji CO₂ ze spalania drewna są większe niż ze spalania węgla. Jest to nie zrozumiałe, gdy się wie, że drewno jest paliwem odtwarzalnym.

Gospodarstwa domowe w Polsce zużywają na opał ok. 10 milionów metrów sześciennych drewna, a przyrasta go w lasach ok. 86 milionów metrów sześciennych (średnio ok. 9 m³/ha/rok). Ilość pochłoniętego dwutlenku węgla w chemicznych procesach fotosyntezy jest więc większa niż uwalnianie tego gazu do atmosfery w procesach spalania drewna.

Kontrowersyjne opinie o spalaniu drewna

Kontrowersje wobec spalania drewna do celów grzewczych nigdzie w Europie i na świecie nie przybierają tak gwałtownej formy jak w Polsce. Zwolennicy i przeciwnicy nie zasiadają przy jednym stole aby przedstawić swoje argumenty i poszukiwać porozumienia. Argumenty przedstawiane są w środkach masowego przekazu bardzo często bez racjonalnego, naukowego uzasadnienia. Często adwersarzami nie są fachowcy z branży energetycznej czy przyrodniczej, lecz – muszą to tak nazwać – dyletanci. Dziennikarze i politycy wykorzystują instrumentalnie ten brak porozumienia – dziennikarze w poszukiwaniu sensacji, politycy aby sprzyjać określonym grupom swoich wyborców. Są zwolennicy poglądów, że drewna (i jego przetworów) nie można wykorzystywać w ogóle do celów grzewczych. Forują oni opinię, że jest to paliwo stałe, porównywalne z węglem. Elementarna wiedza, że te dwa paliwa różnią się zasadniczo pod

każdy względem, a łączy je jedynie fizyczny stan skupienia, nie jest brany pod uwagę.

Każde drzewo jest żywym organizmem i przychodzi na nie czas zamierania (usychania). Drzewa nie są wieczne. Człowiek rzadko żyje dłużej niż 100 lat, a przeciętna sosna w warunkach naturalnych osiąga wiek 200–300 lat. Jednak w dobie zmian klimatu i antropopresji wiek, którego dożywają drzewa, coraz bardziej się skraca. Drewno z uschniętego w lesie drzewa ulega mikrobiologicznemu rozkładowi na dwutlenek węgla i wodę (a w beztlenowych warunkach częściowo rozkładowi na metan). Las nie jest zatem trwałym magazynem dwutlenku węgla. Proces mikrobiologicznego rozkładu i spalania różni się tylko szybkością, lecz w sensie chemicznym emituje do atmosfery te same składniki i w takiej samej ilości.

Dla wielu aktywistów jest niezrozumiałym, że efekty pracy rolnika i leśnika są porównywalne, a różni te efekty, tj. pozyskanie roślinnych surowców biologicznych, jedynie czas. Rolnik uzyskuje plony z posianych lub posadzonych roślin po kilku miesiącach, a leśnik dopiero po kilkudziesięciu latach. Na ogół pozyskuje drewno nie ten leśnik, który posadził drzewa, lecz jego syn lub wnuk. Praca leśnika polega zatem na gospodarowaniu zasobami przyrodniczymi tak, aby było możliwe również pozyskanie drzew do celów gospodarczych. To fachowa wiedza, obecnie ściśle naukowa. Studiuje się ją na uniwersytetach, podobnie jak studiuje się medycynę, architekturę czy inżynierię jądrową. Tymczasem są osoby, które kwestionują naukową wiedzę z zakresu leśnictwa, uważając je za rodzaj enklawy, gdzie fachowa dbałość człowieka o stan zdrowotny i prawidłowy rozwój drzew powinien być ograniczony lub wręcz wyeliminowany. Przychodzi mi na myśl taka uwaga: mężczyzna, który ma problemy z prostatą (w pewnym sensie z układem hydraulicznym organizmu), nie udaje się po poradę do hydraulika, lecz do urologa. Tymczasem w odniesieniu do leśnictwa za ekspertów usiłują uchodzić fachowcy z zupełnie innych dziedzin lub zgola ludzie niewykształceni. Arbitralnie przyznają sobie prawo podejmowania decyzji w dziedzinie, w której w istocie są niekompetentni. Uważam, że jest to jedna z podstawowych przyczyn przeciwstawiania się racjonalnemu wykorzystaniu drewna do celów grzewczych.

Kluczowe dla spokojnej, racjonalnej dyskusji pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami wykorzystania drewna do celów grzewczych byłoby przyjęcie jako platformy porozumienia



Świeżo ścięte drewno świerkowe

elementarnej wiedzy przyrodniczej, a nie jej kwestionowanie. Nb. zwalczające się grupy „Zielonych” i leśników w Niemczech czy Austrii potrafiły dojść do porozumienia i wykorzystanie drewna (albo szerzej: biomasy) na cele grzewcze jest tam propagowane i wspierane przez administrację państwową. Z tych dobrych zagranicznych wzorów skonfliktowane strony w Polsce nie chcą jednak skorzystać.

Elementarna wiedza naukowa mówi że drewno jest w pełni odtwarzalnym paliwem. Utrzymuje obieg CO_2 (tzw. gazu cieplarnianego) w obiegu zamkniętym i jego energetyczne wykorzystanie nie ma wpływu na klimat. Spalane w nowoczesnych, certyfikowanych urządzeniach grzewczych nie zagraża ludziom i środowisku, jest natomiast paliwem zwiększającym bezpieczeństwo energetyczne i redukującym ubóstwo energetyczne.

Przeciwnicy wykorzystania drewna na opał podważają tę naukową wiedzę, twierdząc, że drewno nie jest odtwarzalnym paliwem, bo raz spalone zostanie odtworzone dopiero po kilkudziesięciu latach (nie dostrzegając, że istotny jest tu ogólny bilans spalania i przyrostu biomasy). Uważają, że drewno nie utrzymuje CO_2 w obiegu zamkniętym, bo uwolniony podczas spalania dwutlenek węgla nie powraca do tego samego lasu (tak jakby cząsteczki tego gazu były „znaczone” i musiały wracać w to samo miejsce). Sądzą też, że spalanie drewna przyczynia się do emisji spalin powodującej nowotwory, demencje, ograniczenie rozwoju umysłowego i inne schorzenia (bez wiarygodnych, naukowych danych, które potwierdzałyby taką opinię).

Warto pamiętać, że rokrocznie w Kanadzie w wyniku pożarów spaleni ulega powierzchnia lasów porównywalna z całą powierzchnią lasów w Polsce. W 2023 roku pożary spustoszyły w Kanadzie ponad 15 mln hektarów, czyli o ok. 6 mln hektarów więcej niż wynosi powierzchnia lasów w Polsce. O licznych pożarach lasów na wszystkich kontynentach corocznie donoszą agencje prasowe. Szczególnie wiele takich pożarów rozprzestrzenia się latem w Grecji, Turcji, Hiszpanii, Francji i Włoszech. Tragiczne pożary lasów zdarzają się także w Polsce. Krótko mówiąc: nie jesteśmy w stanie zaradzić temu, by drewno, nawet bez udziału człowieka, nie ulegało spaleni. Oczywiście nikt nie mówi o ilości spalin podczas takich pożarów ani o tym, jak te spaliny rozprzestrzeniają się (nie zważając na granice i normy emisji). Ograniczanie ryzyka pożarów

jest natomiast możliwe poprzez wykonywanie w lasach gospodarczych zabiegów pielęgnacyjnych polegających m.in. na przereźdzeniu drzew, czyli trzebieży.

Sprawa bezpieczeństwa energetycznego, nawet w świetle blackoutów energetycznych w krajach Europy, wojny na Ukrainie, zagrożeń terrorystycznych i katastrof pogodowych nie jest w ogóle poddawana pod rozważanie. Przeciwnicy wykorzystania drewna na cele grzewcze nie przyjmują także do wiadomości, że jest wielu ludzi w naszym społeczeństwie (niektóre szacunki mówią, że jest ich więcej niż 10%), dla których oferta zakupu pompy ciepła do ogrzewania jest szyderstwem z ich biedy, a nie sposobem poprawy egzystencji w chłodnej porze roku.

Owszem, drewno nie jest odpowiednim paliwem dla dużej energetyki, choćby dla bloków energetycznych o dużej mocy (np. 200 MW). Pozyskanie i transport drewna dla tak dużych bloków energetycznych jest nieracjonalne. Ale już ogrzewanie biomasą całych osiedli i wiosek jest jak najbardziej uzasadnione. Kto nie wierzy słowom autora tego artykułu, powinien wybrać się np. do Styrii (Austria), by znaleźć przykłady takich rozwiązań działające od lat i przekonać się, że np. centralna kotłownia na biomasę potrafi wytworzyć i rozprowadzić ciepło nawet do domów całego osiedla.

Wykorzystanie drewna na cele energetyczne nie rozwiąże wszystkich problemów energetycznych, ale nie rozwiąże tych problemów także energetyka jądrowa, wiatrowa, wodna czy fotowoltaika. W tzw. mikście energetycznym drewno powinno pełnić w naszym kraju rolę o wiele większą niż do tej pory.

Wykorzystanie drewna na cele energetyczne do ogrzewania pomieszczeń, a nawet szerzej na cele grzewcze i wytwarzanie prądu elektrycznego (w zestawach kogeneracyjnych), powinno być propagowane i wspierane. Kto wykorzystuje drewno jako paliwo w nowoczesnych urządzeniach grzewczych, jest przykładem rozsądnego działania oraz poczucia odpowiedzialności za swoją rodzinę i przyrodę. W świetle badań naukowych jest to jeden ze skuteczniejszych sposobów ograniczenia emisji CO_2 .

Prof. dr hab. inż. Tadeusz Juliszewski, emerytowany profesor Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, były dziekan Wydziału Inżynierii Produkcji i Energetyki, były prezydent CIOSTA (Commission Internationale de l'Organisation Scientifique du Travail en Agriculture) i prezydent CIGR (Internationale Commission of Agricultural and Biosystems and Engineering)



Niepielęgnowany las usycha

Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało

Od syna kasjera do wybitnego uczonego

Profesor bakteriologii Jan Antoni Rapczewski (1855–1939)

Lekarz, znany uczonej, profesor bakteriologii i higieny, jeden z założycieli sanitarii wojskowej w Imperium Rosyjskim, a później w odrodzonej Polsce. Jego los to wymowny przykład, jak własnymi zdolnościami zdobyć wysokie szczyty w nauce i pracy zawodowej.

Jan Antoni Rapczewski urodził się 25 grudnia 1855 r. w Białej Podlaskiej w rodzinie kasjera miejskiego Filipa i Pauliny Rapczewskich. W 1873 r., po ukończeniu miejscowego gimnazjum, podjął studia na Cesarskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej w Sankt Petersburgu. Jeszcze w trakcie studiów wykazał wielkie zdolności w nauce i był wyróżniony prestiżowym stypendium ufundowanym przez ówczesnego radcę stanu Aleksieja Iwanowa dla jednego lub dwóch najlepszych studentów petersburskich uczelni wyższych. W 1878 r. otrzymał dyplom lekarza z wyróżnieniem cum eximia laude.

Po ukończeniu studiów został przydzielony na stanowisko asystenta w klinikach chorób wewnętrznych na swojej uczelni. 23 maja 1881 r. w progach Alma Mater obronił doktorat poświęcony zmianom patologicznym błony śluzowej żołądka i uzyskał stopień doktora medycyny. Kolejne dwa lata przebywał w Charkowie, gdzie pracował jako lekarz w szpitalu wojskowym i w uzdrowisku Słowiańsk w guberni charkowskiej, gdzie do pracy w okresie letnim wyjeżdżali polscy lekarze z Charkowa. Ten dwuletni okres był czasem zdobywania praktycznego doświadczenia w zawodzie. Charkowska gazeta „Jużnyj Kraj” już po opuszczeniu miasta przez Rapczewskiego publikowała wiadomości, w których była mowa o różnych aspektach jego działalności, o jego nagrodach, udziale w ekspedycjach w celu zwalczaniu epidemii w miejscowościach Imperium Rosyjskiego, a także w innych krajach.

W latach 1884–1923 trwał petersburski okres życia Rapczewskiego, w którym rozwijał wielostronną działalność zawodową oraz naukową. Najpierw w 1885 r. habilitował się i pracował jako docent chorób wewnętrznych. W tym czasie przy klinice terapeutycznej pod kierownictwem prof. Wiaczesława Monasieina prowadził wykłady dla studentów i lekarzy, przeważnie z dziedziny bakteriologii. Pracował też na stanowisku kierownika laboratorium bakteriologicznego w Katedrze Patologii Ogólnej i Terapii.



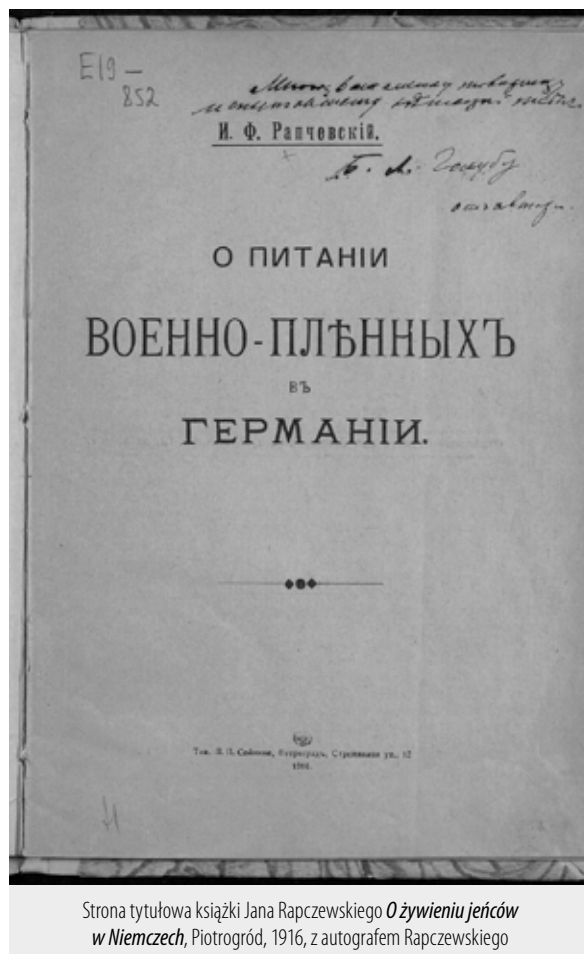
Portret Jana Rapczewskiego. Źródło: „Lekarz Wojskowy”, 1928, t. XI. № 3–4.

W walce z epidemiami

W latach 1885–1886 na polecenie władz rosyjskich Jan Rapczewski przebywał w Hiszpanii, gdzie szalała epidemia cholery. Badał przejawy patologiczne, zajmował się leczeniem i szczepieniem przeciwko cholerze. Podczas prowadzenia badań przebywał w wielu miejscowościach, narażając się nie tylko na ryzyko



Portret Jana Rapczewskiego. Źródło: Скорыходов Л. Я., *Материалы по истории медицинской микробиологии в дореволюционной России*, Москва 1948.



Strona tytułowa książki Jana Rapczewskiego *O żywieniu jeńców w Niemczech*, Piotrogród, 1916, z autografem Rapczewskiego

zakażenia, lecz także na wrogi stosunek ludności nieprzychylnie reagującej na prowadzone przez niego sekcje zwłok. W Hiszpanji pozostawał do końca epidemii. Jako wynik badań ukazało się kilka jego prac, opublikowanych w Rosji i za granicą. Po powrocie do Petersburga w 1886 r. został wydelegowany do guberni podolskiej w celu zorganizowania na tamtych terenach walki z epidemią cholery.

W latach 1899–1890 jako specjalny przedstawiciel rządu brał udział w badaniach i zwalczaniu epidemii cholery w guberni astrachańskiej i na stepach kirgiskich. W sierpniu 1904 r. zajmował się zwalczaniem cholery w regionie zakaspijskim i w okolicach kolei syberyjskiej. W latach 1887–1889 zwiedzał Okręg Zakaspijski, Turkiestan i Persję, stojąc na czele ekspedycji naukowej do zbadania etiologii i profilaksji panującej tam w garnizonach wojskowych „plagi Pendhe” (ulcus tropicum).

W 1913 r. został mianowany kierownikiem Komisji w celu stłumienia dżumy w Ziemi Wojska Dońskiego i osobiście kierował akcją na miejscu. W tymże roku zorganizował i wprowadził szczepienia ochronne przeciw tyfusowi brzusznemu w armii rosyjskiej.

Na wysokich stanowiskach

W 1890 r. Jan Rapczewski został wyznaczony na członka Głównego Zarządu Wojskowo-Sanitarnego Imperium Rosyjskiego. Był jednym z założycieli Laboratorium sanitarno-higienicznego i bakteriologicznego Wojskowo-Sanitarnego Komitetu Naukowego, którym kierował w randze generała dywizji w ciągu ponad 30 lat. Laboratorium od razu stało się jedną z najbardziej znanych instytucji o podobnym profilu. „W ciągu trzydziestu lat z pracowni prof. J. Rapczewskiego wyszło około 200 prac naukowych, z których znaczna część stanowiła rozprawy doktorskie, dla których wówczas wymagano poważnych badań

naukowych, oraz wykonano kilka tysięcy badań i analiz bieżących. Kierownik pracowni wykładał tutaj wojskowym lekarzom kurs bakteriologii. Wielu z uczniów prof. J. Rapczewskiego, po wykonaniu prac w jego laboratorium, wydelegowało zagranicę w celach udoskonalenia się, kilku z nich zajęło katedry bakteriologii i higieny (E. Szypelewski, L. Padlewski, K. Karaffa-Korbutt i inni) – tak wspominał o swoim nauczycielu specjalista higieny Kazimierz Wacław Karaffa-Korbutt.

Jednocześnie Rapczewski prowadził kurs bakteriologii dla lekarzy wojskowych, uprawiał bakteriologię praktyczną, często wyjeżdżając na ekspedycje naukowe w różne regiony Imperium Rosyjskiego i za granicę.

Pracując w Wojskowo-Sanitarnym Komitecie Naukowym, zajmował się rekrutacją do wojska, zaopatrzeniem go w żywność, zabezpieczeniem sanitarnym, opracowaniem projektów koszar wojskowych, nowych zakładów leczniczych i przebudową starych, opracowaniem regulacji prawnych w zakresie zwalczania chorób zakaźnych. W 1905 r., po rozpoczęciu wojny rosyjsko-japońskiej, na polecenie ministra wojskowego Aleksieja Kuropatkina Rapczewski nadzorował proces przyrządzania konserw dla wojska. Poza tym zakładał wytwórnię koncentratów kawy i mleka dla wojska mandżurskiej armii, czego nie było dotychczas w armii rosyjskiej. Po zakończeniu wojny Rapczewski brał czynny udział w sanitarnej reorganizacji armii, wypracował projekty nowych dużych szpitali wojskowych, sformułował nowe zasady odżywiania żołnierzy, które zostały przyjęte i wprowadzone w życie. Od 1910 r. został redaktorem organu Głównego Zarządu Sanitarnego Armii, czasopiśma „Wojskowo-Medicynski Żurnal”.

Jan Rapczewski prowadził obszerne badania naukowe, był bardzo ceniony wśród czołowych jednostek naukowych i zawsze oczekiwanym w nich badaczem. W latach 1890–1913 odwiedził

ośrodki naukowe w Berlinie, gdzie w 1890 r. prowadził studia nad metodami leczenia gruźlicy za pomocą tuberkuliny, wynalezionej przez Roberta Kocha. Pracował także w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Hamburgu, Budapeszcie i innych miastach, brał udział w wielu zjazdach międzynarodowych higienistów, bakteriologów, lekarzy medycyny wojskowej. W 1901 r. odwiedził zakłady wojskowo-sanitarne w Suezie i Aleksandrii.

W 1900 r. był organizatorem stoiska rosyjskiego poświęconego higienie wojskowej podczas Wystawy Światowej w Paryżu, a w 1911 r. na wystawie higienicznej w Dreźnie; na obu został wyróżniony nagrodami. W październiku 1901 r. Rapczewski był w gronie rosyjskiej delegacji w Berlinie podczas obchodów 80-lecia wybitnego uczonego Rudolfa Ludwiga Karla Virchowa, niemieckiego patologa, antropologa i higienisty, jednego z założycieli medycyny społecznej. 12 października w imieniu rządu Imperium Rosyjskiego Rapczewski złożył pozdrowienie w języku niemieckim, czym bardzo rozczulił jubilat.

Powrót do kraju

Niejasna jest sprawa powrotu Jana Rapczewskiego do Polski. Profesor Artur Kijas zauważył: „Po rewolucji Lutowej 1917 roku i przewrocie bolszewickim przez jakiś czas pracował w Rosji radzieckiej. W latach 1918–1923 przebywał na stanowisku profesora, kierował katedrą bakteriologii Państwowego Instytutu Szkolenia Lekarzy-Bakteriologów w Piotrogradzie. W latach 1920–1923 kierował katedrą bakteriologii wydziału techniki sanitarnej Instytutu Technologicznego”.

Natomiast w zbiorach Centralnego Archiwum Wojskowego w „Kolekcji Krzyża Zasługi” znajduje się sygnatura „Jan Rapczewski”, w której zachowuje się krótki jego życiorys. W nim zaznaczono, że powrócił do Polski w 1919 r.: „W roku 1919 po powrocie do kraju z Rosji został przyjęty do Państwowego Instytutu dla doskonalenia lekarzy bakteriolog. i higienistów w charakterze profesora-wykładowcy, gdzie pracował do roku 1923. Dnia 1 VIII 1923. został zakontraktowany jako kierownik naukowy pracowni higieny do Wojskowego Instytutu Sanitarnego, w VI.gr.up., a po przemianowaniu formacji na Centrum Wyszczolenia Sanitarnego pracuje dotychczas jako doradca fachowy i wykładowca”.

Ten wątek biografii uczonego potrzebuje dokładnego badania. Ale nie budzi wątpliwości sam fakt powrotu Rapczewskiego do kraju po przekształceniu Rosji w państwo bolszewickie. Był on wśród wielu innych Polaków, którzy zrobili błyskotliwą karierę zawodową w państwie zaborczym i przenieśli się do ojczyzny. Było to świadectwem zerwania, czasem bolesnego,



wszystkich więzi z dotychczasowym życiem i gotowości do podjęcia nowego losu.

Od 1 sierpnia 1923 r. został Rapczewski mianowany na kierownika naukowego pracowni higieny Wojskowego Instytutu Sanitarnego (później Centrum Wyszczolenia Sanitarnego). W latach 1923–1927 pracował na stanowisku profesora higieny, profesora technologii produktów spożywczych Wyższej Szkoły Intendentury. Brał też czynny udział w pracach związanych z higieną wojskową, jako członek licznych komisji wojskowych i komitetu redakcyjnego „Lekarza Wojskowego”.

W 1927 r. rząd Rzeczypospolitej Polskiej przyznał Rapczewskiemu emeryturę, ale on nadal pracował w Oddziale Higieny Wojskowej Centrum Wyszczolenia Sanitarnego. Instytucja ta znajdowała się przy ulicy Górnośląskiej 45 w Warszawie.

W 1928 r. obchodzono jubileusz uczonego: 50-lecie pracy zawodowej. Kazimierz Waclaw Karaffa-Korbitt opublikował w czasopiśmie „Lekarz Wojskowy” (1928, nr 3-4) artykuł pt. *Jan Antoni Rapczewski*. W tym miejscu oddajmy mu głos: „niech mi będzie wolno, jako jednemu z licznych uczniów prof. J. Rapczewskiego, dodać parę słów, charakteryzujących profesora, jako człowieka, nie tylko jako uczonego. Miałem szczęście dwadzieścia lat temu rozpocząć swe badania naukowe w dziedzinie bakteriologii i higieny właśnie w pracowni prof. J. Rapczewskiego, pod Jego bezpośrednim kierownictwem i od tego czasu nigdy nie traciłem łączności ze swym Nauczycielem. [...] prof. J. Rapczewski zawsze był nadzwyczaj wyrozumiały, cierpliwy i łagodny względem swych młodych współpracowników;

Wniosek o odznaczenie. Formularz wypełniony dla Jana Rapczewskiego. Zawiera dane osobowe, stanowisko, stopień służbowy oraz adres. Wskazano na 50 lat służby w zawodowej i 19 lat w państwowej służbie.

1. Nazwisko i imię RAPCZEWSKI Jan		2. Tytuł naukowy dr. medycyny / profesor		3. Stanowisko doradca fachowy	4. Kwalifikacje służbowe za r. 1937/38. bardzo dobry.
5. Zawód		6. Stopień służbowy (Grupa)	7. Adres dotychczasowy Centrum Wyszczolenia Sanitarnego Górnośląska 45.		
8. Rok służby (grupy)		9. Posiadane odznaczenia			
a) zawodowej . . . 50 lat		b) państwowej . . . 19 lat			

Wniosek o odznaczenie Jana Rapczewskiego. Źródło: Centralne Archiwum Wojskowe, Kolekcja Krzyża Zasługi. Jan Rapczewski. KZ 25-115, karta 2.



Nekrolog, „Kurier Warszawski”, 1939, nr 43, 12 lutego.

wymagał tylko rzetelnej i sumiennej pracy, bezlitośnie tłumiąc próby badań powierzchownych, lekkomyślnych i niesumiennych. Opiekę nad swym uczniem prof. J. Rapczewski rozciągał nie tylko w pracowni, lecz i poza nią, starając się ułatwić mu sprawy życiowe, możliwość dalszego kształcenia się np. zagranicą lub w ośrodku uniwersyteckim. [...] W pracowni prof. J. Rapczewskiego zawsze pracowało wielu Polaków, którzy znajdowali szczególną opiekę ze strony swego mistrza. To też nie spotykałem żadnego z byłych uczniów prof. Rapczewskiego, który by nie zachował do swego kierownika jak najlepszego, serdecznego uczucia szacunku i miłości; również w czasach bolszewickiego rozpasania moralnego i poniżenia wyższych uczuć ludzkich, szacunek do prof. J. Rapczewskiego został nie zachwiany nawet pośród przedstawicieli władzy sowieckiej.

My, uczniowie prof. J. Rapczewskiego szczerze i gorąco życzymy, obyśmy mogli jak najdłużej korzystać z niezmierzzonej skarbnicy wiedzy naszego Mistrza i w osobistym obcowaniu z Nim czerpać podniety do dalszej pracy naukowej!”

Jan Rapczewski, nie mając z żoną Aleksandrą własnych dzieci, otoczył ojcowską troską swoich uczniów, którym pomagał urządzić się w życiu po studiach. Wśród jego uczniów są znani polscy lekarze-bakteriolodzy Leon Padlewski i Kazimierz Karaffa-Korbitt, który zostawił ciepłe wspomnienia o nauczycielu.

Spuścizna naukowa

Jan Rapczewski w ciągu 30 lat działalności w Imperium Rosyjskim opublikował ponad 70 prac naukowych, głównie po rosyjsku, z zakresu bakteriologii, higieny, epidemiologii cholery, dżumy, febry, leczenia gruźlicy, tuberkuliny Kocha, profilaktyki duru brzuszkiego i cholery, przeprowadzania dezynfekcji parowej, odżywiania chorych konserwami, konserwowania mięsa, oceny dodatków spożywczych w wojsku, zarządzania i organizacji oddziału materiałów opatrunkowych fabryki wojskowo-sanitarnego wydziału opatrunkowego Zakładów Wojskowo-Sanitarnych zaopatrzenia wojskowego. Kolekcja jego prac dotychczas przechowywana jest w Petersburgu.

Wśród prac uczynionej opublikowanych w Polsce należy wymienić m.in.: *Krótkie streszczenie warunków, jakim odpowiadać powinny produkty spożywcze w wojskowych zakładach leczniczych* (Warszawa, 1927), *Krótki zarys towaroznawstwa materiałów żywnościowych* (Warszawa, 1928), *Technologia żywności* (Warszawa, 1933), *Namiastki herbaty i ich wyrób* (Warszawa, 1937). Publikacje napisane w Polsce uczony przekazał Oficerskiej Szkole Sanitarnej w Warszawie.

W okresie Imperium Rosyjskiego za swoją pracę naukową i organizatorską został odznaczony szeregiem wysokich nagród państwowych, jak: order św. Włodzimierza III stopnia (1896), order św. Stanisława I klasy (1901), order św. Anny I klasy (1904), order św. Aleksandra Newskiego (1915). Na początku grudnia

1914 r. został odznaczony orderem Białego Orła. Został też uhonorowany tytułem radcy tajny z wysoką w tabeli rang Imperium Rosyjskiego IV klasą.

W 1938 r. za swoją działalność na rzecz Polski został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, drugim pod względem starszeństwa polskim państwowym odznaczeniem cywilnym (po Orderze Orła Białego). 23 czerwca 1938 r. Komendant Centrum Wyszczolenia generał brygady dr Jan Kołłątaj-Szrednicki we wniosku o odznaczeniu w następny sposób wymienił zasługi Rapczewskiego: „Wybitny lekarz higienista, specjalista niezastąpiony zwłaszcza w dziale higieny żywienia. Oddał niezwykle cenne zasługi Wojskowej Służbie Zdrowia zwłaszcza w okresie jej organizacji. Obecnie mimo bardzo podeszłego wieku pracuje nadal z wytrwałością. Zasluguje bezwzględnie na odznaczenie Orderem Odrodzenia Polski”.

Jan Rapczewski zmarł 11 lutego 1939 r. w Warszawie. 12 lutego w „Kurjerze Warszawskim” żona i rodziny umieścili nekrolog: „Ś.P. Profesor Jan RAPCZEWSKI. Doktor Medycyny, KAWALER „ORDERU POLONIA RESTITUTA” opatrzoney św. Sakramentem, po krótkich cierpieniach zmarł dnia 11-go grudnia 1939 roku, przeżywszy lat 83. Ekspozycja zwłok z kaplicy szpitala Ujazdowskiego (Górnoślaska 45) nastąpi w poniedziałek 13 lutego o godz. 17-ej do kościoła św. Józefa przy cmentarzu Wojskowym na Powązkach. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w dniu 14 lutego o godz. 10-ej, po czym nastąpi pogrzeb na cmentarzu miejscowym”.

Jan Antoni Rapczewski to znany uczony i organizator, jeden z założycieli sanitarii wojskowej w Imperium Rosyjskim, a później w Polsce, do której wrócił po odzyskaniu przez nią niepodległości. Przeznaczył swoją wiedzę i doświadczenie na rzecz rozwoju nauki polskiej. Tylko dzięki tytanicznej pracowitości i wytrwałości syn kasjera miejskiego mógł wznieść się na szczyty kariery zawodowej, zdobyć znaczące osiągnięcia i zasłużone uznanie. Jednocześnie do końca życia pozostawał troskliwym i serdecznym nauczycielem dla swoich wybitnych uczniów.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchodźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej; historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało, profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski

Marcelina Smużewska

Badaczka, benedyktynka, humanistka

Niezwykła droga Anny Świderkówny

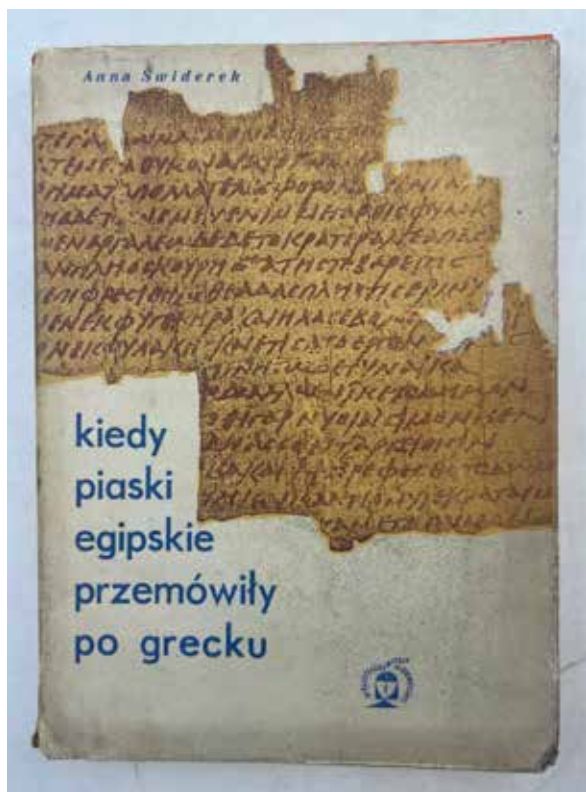
Niniejszy tekst dotyczy życia i dorobku wybitnej znawczyni antyku. Można tu przeczytać o detektywistycznej pracy nad papirusami, o podróżach, o pisaniu książek popularyzujących starożytność grecko-rzymską i o badaniu Biblii. Pani Profesor była silnie przekonana o zgodności wiary z nauką. W pewnym momencie jej wybory życiowe zaprowadziły ją nawet do klasztoru, a kolejne do współpracy z czołowymi przedstawicielami chrześcijańskiego humanizmu.



Anna Świderk (preferowała formę: Świderkówna) urodziła się 5 grudnia 1925 roku. Była córką chemików: Mariana Świderka (ur. 1897) i Haliny z domu Borkowskiej (ur. 1899). O swoim domu rodzinnym powiedziała, że wywarł na nią ogromny, wpływ, „ukszątałował jej życie we wszystkim, w różnych drobiazgach” (*Chodzić po wodzie. Z Anną Świderkówną rozmawia Elżbieta Przybył*, Znak, Kraków 2003). W dorosłym życiu Świderkówna starała się myśleć i postępować jak matka. Nie bez znaczenia była także postać ojca – profesora chemicznej technologii organicznej.

Rodzice nie byli specjalnie wierzący, a mówiąc bardziej precyzyjnie – praktykujący, choć uznawali się za katolików. Matka zresztą wychowała się w rodzinie protestanckiej i dopiero w wieku szkolnym przeszła na katolicyzm, bo nie chciała się wyróżniać. Pochodziła z zamożnej rodziny. Dziadek Borkowski założył w Warszawie fabrykę urządzeń elektrotechnicznych. Poza fabryką firma miała także sklepy. Produkowano lodówki elektryczne, a pierwszy całkowicie polski aparat rentgenowski „Promień X 1” był dziełem matki Świderkówny i inż. Chrzanowskiego. Dziadek od strony ojca był kolejarzem, natomiast babka miała korzenie szlacheckie. Pochodzili z Łodzi.

Rodzice Świderkówny poznali się na studiach chemicznych na Politechnice Warszawskiej. Pobrali się w 1921 roku i zamieszkali u rodziców panny młodej przy ul. Wspólnej. Mała Ania rozpoczęła naukę w szkole im. Cecylii Zyberk-Platerówny, ale potem przeszła na edukację domową. Dziadek kupił majątek pod Warszawą. Wieś nazywała się Siostrzeń i tam przeniosły się wraz z matką. Do czasu gimnazjum Świderkówna była kształcona przez guwernantkę. Potem była wzorową uczennicą. Jej piętą achillesową była jedynie gimnastyka, z której przeważnie dostawała oceny dostateczne. Pierwszą książką, która zrobiła na niej wrażenie, było *Quo vadis*. Czytała ją wielokrotnie, choć pomijała fragmenty będące



opisem scen intymnych, bo tak chciała nauczycielka. W wieku 13 lat napisała list do prof. Tadeusza Zielińskiego (1859-1944), który był autorem *Grecji niepodległej*. Odpisał jej sympatycznym tonem, dziękując za pochwały i przewidział, że za jakiś czas trafi na uniwersytet. Po tym liście Świderkówna zaczęła uczyć się greki. Najpierw z koleżanką, potem przy wsparciu ciotki i nauczycielki – łacinniczki. Mimo wybuchu wojny Świderkówna kontynuowała samodzielną naukę tego języka i szykowała się do matury, głównie ucząc się w domu. W 1941 roku zdała maturę na tajnych kompletach. Prace pisemne pisała z polskiego i francuskiego. Egzaminów ustne zdawała z łaciny, historii i polskiego.

Czasy wojenne

Po agresji Niemiec na Polskę Marian Świderek, który pracował w Wojskowym Instytucie Przeciwigazowym, został zmuszony do spalenia swoich prac badawczych. Zachowało się tylko *Vademecum obrony przeciwigazowej*, którego był współautorem. Początkowo sądzono, że ewakuował się z instytutem do Rumunii. On jednak próbował przedostać się na Węgry i został aresztowany przez bolszewików, a później osadzony w Sanoku. Stamtąd trafił do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie. Matka Ani próbowała go na różne sposoby wydostać. Jeździła nawet do gestapo w Berlinie. Po powrocie do Warszawy, pod koniec 1943 roku, Świderek zaangażował się w tajne nauczanie i organizację struktur politechniki. Ania natomiast pracowała w sklepie Borkowskich przy Alejach Jerozolimskich, na czym zależało matce. Fabryka także działała, choć była kontrolowana przez tzw. Rüstungskommando.

Świderkówna wstąpiła do AK na krótko przed powstaniem. Wszyscy chcieli walczyć, ale nie było czym. Pod kamienicami wydrążono korytarze, gdzie pełniło się dyżury. Pod domem Świdereków było skrzyżowanie Wspólnej z Hożą. Historyczka wspominała, że bała się działań zbrojnych, ale uspokajała ją nieuchronność śmierci. Ojciec zaczął pracować w powstańczej fabryczce amunicji i tam został ciężko ranny. Przerabiał niewybuchy na sprawne bomby. Jeden z takich uśpionych granatów

wybuchł mu w rękach. Lekarze ze szpitala polowego nie dawali Marianowi Świderekowi szans. Córka i matka przybyły do lazaretu, by być przy rannym. Niosły także pomoc innym chorym. To tam Anna Świderkówna zetknęła się pierwszy raz ze śmiercią. Mimo ofiar miała jednak przekonanie o nieuchronności i sensowności powstania. Po kapitulacji rodzina Świdereków opuściła Warszawę jako wojsko (zgodnie z rozkazem „Bora” mogli wybrać). Ewakuowali się wraz ze szpitalem polowym. Trafili do Zeithain w Saksonii, do szpitala jenieckiego należącego do obozu Müllberg-Stalag IVB, gdzie pozostawali do czasu wyzwolenia przez bolszewików. Potem rodzina Świdereków wyruszyła w drogę powrotną.

Nietypowy wybór

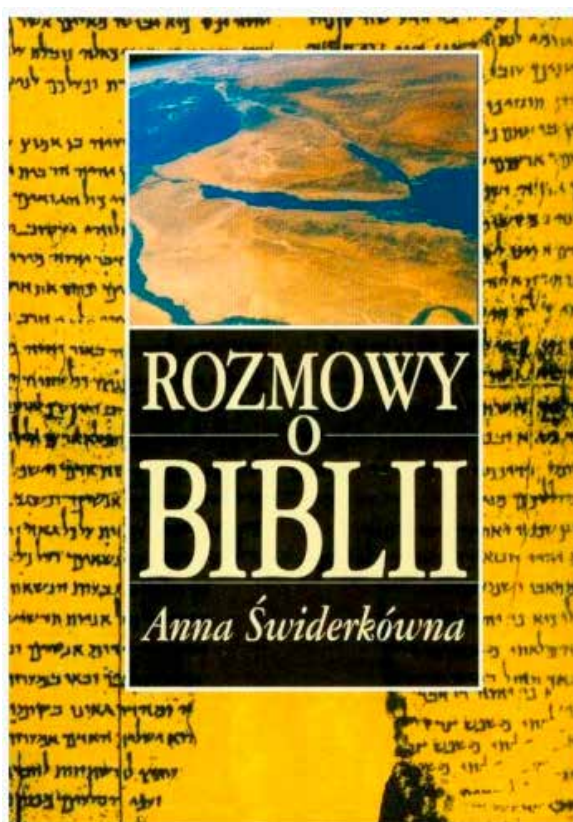
Po wojnie Anna poprosiła koleżankę z obozu Barbarę Wąsik (Filarską), żeby spytała prof. Kazimierza Kumanieckiego (1905-1977), czy przyjmie ją jako swoją uczennicę. Zgodził się, ale musiały najpierw zdać egzamin. Do wyboru była: gramatyka opisowa grecka lub tzw. wstęp do filologii klasycznej. Ania chciała zabłysnąć i zdecydowała się na pierwszą opcję. Zdała bardzo dobrze i w ten sposób rozpoczęła studia. Wielbicieli antyku było zaledwie troje. Na początek przewidziano lektorat z greckiego, ale Świderkówna już go знаła, więc od razu zaczęła chodzić na seminarium do prof. Kumanieckiego. W 1946 roku prof. Jerzy Manteuffel (1900-1954), szef katedry papirologii, zaproponował jej asystenturę. Wspominała: „poczułam się trochę tak, jakby mi się oświadczył król z bajki. Chciałam zostać na Uniwersytecie, ale w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie, że ktoś mi to proponuje na pierwszym roku!” (Tamże).

Marian Świderek został profesorem na Politechnice Warszawskiej i pierwszym dyrektorem Instytutu Chemicznego na Żoliborzu. Jego bezpośrednim przełożonym był prof. Golański, przedwojenny komunista i kolega sprzed wojny. Chciał, żeby Świderek wyjechał do Stanów i zrobił sobie protezę ręki. Inną równie ważną kwestią były zakupy dla nowego Instytutu. Ojciec z córką spędzili w USA 5 miesięcy. Anna nie wykorzystała jednak naukowo tego wyjazdu. Jak wspominała, była zbyt młoda i nieśmiała, żeby zgłosić się do amerykańskich profesorów filologii klasycznej, choć miała nawet listy polecające.

Magisterium musiało być skończone po 3,5 roku studiów. Tak chciał prof. Manteuffel, dlatego Świderkówna pisała w pośpiechu. Praca musiała być po łacinie. Wtedy przysięgła sobie, że już nigdy w życiu nie napisze nic w tym języku i słowa dotrzymała (Tamże).

Pierwsze zawodowe kroki

Magisterium obroniła na początku 1949 roku, a egzamin doktorski zdała już zimą 1951 roku. Praca dotyczyła legendy aitiologicznej w dziełach Kallimacha. Tego rodzaju opowieść wyjaśnia przyczynę pojawiania się poszczególnych nazw lub naturę jakiegoś zjawiska. Rozprawę napisała po francusku. Autorce wydawało się, że tak będzie łatwiej dostępna dla odbiorców. Śpieszyła się z przygotowaniem tekstu ze względu na stan zdrowia swojego mistrza i nadchodzące zmiany w szkolnictwie wyższym (w 1952 roku zniesiono doktorat, zastępując go kandydaturą nauk). Od 1950 roku oficjalnym przełożonym Świderkówny na UW był stryjeczny brat poprzedniego profesora prof. Tadeusz Manteuffel (1902-1970). W 1960 roku historyczka habilitowała się i uzyskała etat docenta. Praca habilitacyjna dotyczyła tzw. archiwum Zenona. Był to sekretarz Apolloniosa, pierwszego ministra Ptolemeusza II, a potem zarządcą jego majątku w Fajum. Miał taką pożyteczną cechę, że wszystkie dokumenty, które przechodziły przez jego ręce, zachowywał. W ten sposób



można było odtworzyć, jak wyglądało życie ówczesnego społeczeństwa. Praca ukazała się drukiem w 1959 roku pt. *W królestwie Apolloniosa. Społeczeństwo grecko-egipskie w Fajum w świetle archiwum Zenona*.

W pracy aspirującego papirologa Świderkównie brakowało praktyki, dlatego wyjechała na stypendium do Instytutu Papirologicznego na Sorbonie, którym kierował prof. André Bataille (1908-1965). Był to rok 1957. Tam dostała papiirusy do opracowania i wydania. Omówienie ukazało się w „Journal of Juristic Papirology”. Inną istotną osobą w karierze Anny Świderkówny był angielski profesor sir Eric Turner (1911-1983). Wspominała także prof. Herberta C. Youtie (1904-1980) z Michigan University. Konferencje papirologów były miejscem nabywania praktyki. Przez kilka tygodni pracowano w jednym miejscu, nad własnym materiałem, korzystając z pomocy uznanych autorytetów w dziedzinie.

W 1959 roku Świderkówna była także na stypendium w Egipcie. Spędziła tam łącznie 8 miesięcy, a opiekunem był tam prof. Kazimierz Michałowski (1901-1981), znany polski archeolog. Świderkówna nie pracowała jednak na wykopaliskach. Jak sama wspominała, nie nadawała się do tego, choć sam profesor uważał, że odczytywanie inskrypcji na miejscu mogłoby ułatwiać datowanie obiektów. Miejscem, gdzie spędziła najwięcej czasu, było Muzeum Grecko-Rzymskie w Aleksandrii. Zbiór tej placówki był bogaty, jednak słabo uporządkowany. Zadaniem Świderkówny było znalezienie papiirusów w muzeum i opracowanie ich. W swoich wspomnieniach nazwała to „wykopaliskami w muzeum” (Tamże). Wiele z tamtejszych papiirusów było źle zabezpieczonych, toteż były nie do odczytania. Na początku XX wieku i wcześniej zamykano je w szklanych szybkach, jednak nie zawsze dbano o szczelność. Wtedy papiirusy gniły. Niektóre podklejano współczesnym papierem, co powodowało, że dostawały się do nich szkodniki wyjadające substancję, która miała zażytek zabezpieczać. W efekcie starożytne dokumenty stawały się nieczytelne. To, co dało się opisać, Anna

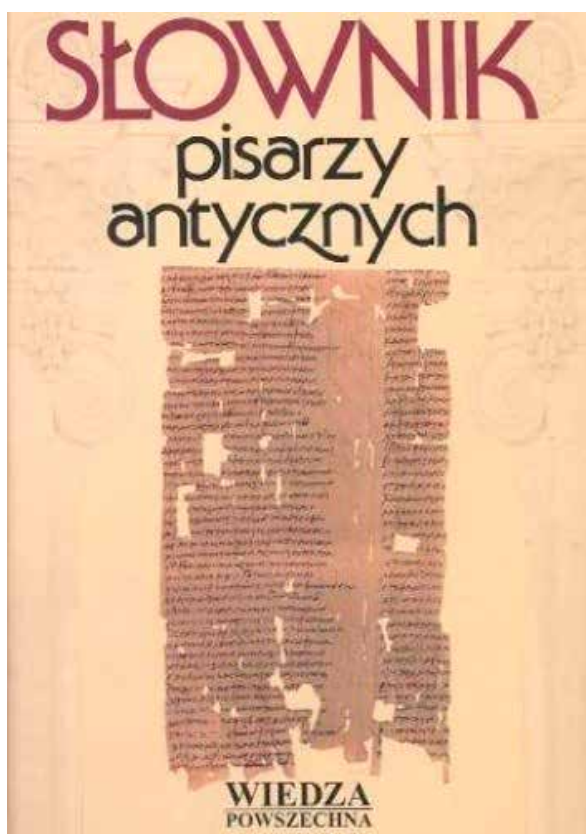
Świderkówna i Włoszka Mariangela Vandoni wydały w publikacji *Papiirusy aleksandryjskie*.

Choć większość z zachowanych papiirusów to były rachunki, sprawozdania sądowe czy umowy, można znaleźć też listy prywatne i inne ciekawe dokumenty. Dzięki temu wiadomo było, kto pisał, dlaczego i do kogo, co wiele mówi o człowieku sprzed wieków. Jednak losowi papirologa towarzyszy też frustracja. Jak już wspominałam, rzadko który dokument jest czytelny. To bardzo żmudna praca. Czasem, żeby zrozumieć jakiś dokument, trzeba szczegółowo wejść w temat, np. hodowlę bydła lub zagadnienia z zakresu architektury.

Alternatywna ścieżka kariery

Równoległe do badania papiirusów Świderkówna zajęła się pracą popularnonaukową. Pierwszą książką skierowaną do szerokiego grona odbiorców była *Kiedy piaski egipskie przemówiły po grecku*. Została wydana w 1959 roku i wznowiona 11 lat później. Wcześniej jeszcze autorka próbowała przekładu poezji greckiej i łacińskiej. Tomiki zostały docenione przez Tuwima i Parandowskiego, co było dla Świderkówny niezwykle miłe. Kolejne książki popularnonaukowe to: *Historie nieznanie historii* (1962), *Hellada królów* (1967, 1969), *Książka się rozwija* (wraz z Marią Nowicką, 1970), *Hellenika. Wizerunek epoki od Aleksandra do Augusta* (1974), *Papirologia i papiirusy* (1974), *Siedem Kleopatry* (1978), *Życie codzienne w Egipcie greckich papiirusów* (1983), *Bogowie zeszli z Olimpu. Bóstwo i mit w greckiej literaturze świata hellenistycznego* (1991). Spod pióra Świderkówny wyszła też powieść dla dzieci pt. *Koń, który trafił do historii* (w pierwszej wersji tytuł brzmiał: *Koń, który nazywał się Bukefalas*).

W 1969 roku otrzymała tytuł profesora nadzwyczajnego. Profesorem zwyczajnym została w 1986 roku, kiedy żaden z jej wcześniejszych opiekunów już nie żył. Katedrą, a potem Zakładem Papirologii kierowała przez 30 lat (1961-1991). Wyszła z niej następów, których uważała za lepszych od siebie.



Wiara jest siłą

Cechą charakterystyczną profesor Anny Świderkówny była silna wiara w Boga. Od dziecka regularnie praktykowała, a od 1947 roku wstąpiła także do Sodalicii. Organizacja wzmocniła jej wiarę i ukształtowała pasję do chodzenia po górach. Także tam poznała swojego stałego spowiednika, czyli „ojca duchowego” – ks. Bogdana Jankowskiego (później ojca Augustyna). Ta relacja, rodzaj kierownictwa duchowego, była dla niej ważna. Z czasem spotkania zmieniły się w korespondencję, ponieważ Świderkówna mieszkała i pracowała w Warszawie, a ojciec Augustyn przebywał w Tyńcu. Nigdy nie wyszła za mąż. Z jednej strony skupiała się na nauce i karierze. Z drugiej zazwyczaj zakochiwała się bez wzajemności. Matka nie naciskała na zamążpójście. Kiedyś nawet powiedziała córce: „Jeśli wyjdiesz, nie będziesz wiedziała, jak to jest, gdy się nie wyjdzie” (Tamże). Od 1959 roku Profesor nosiła się z myślą o wstąpieniu do klasztoru. W lutym 1961 roku złożyła uroczystą przysięgę swojemu spowiednikowi, że zrobi to, gdy tylko będzie to moralnie możliwe. Opiekowała się mamą i babcią, a zostawienie ich samych było dla historyczki nie do zaakceptowania. Na wstąpienie do klasztoru czekała 17 lat. Zrobiła to we wrześniu 1978 roku, dwa lata po śmierci matki.

Kolejny nietypowy wybór

Na uczelni wystąpiła o urlop. Oficjalnie niewielu współpracowników wiedziało o decyzji Świderkówny. Życie zakonne okazało się trudne, bo zawsze przebywa się w tej samej grupie. Poza tym sprawy drobne urastają we wspólnocie zakonnej do rozmiarów niewyobrażalnych. Trafiła do Żarnowca i pozwalano jej tam pisać. Zaskoczyła ją radość, która dominowała w życiu codziennym niemal na każdym kroku. Natomiast denerwował fałszujący chór. Choć to wydaje się błahe, naprawdę sprawiało jej przykrość, bo utrudniało modlitwę. Brakowało jej też milczenia. Klasztor i jego reguły uznała za bardzo zacofane. Odnosiła się też krytycznie do zagadnienia umartwiania się. Efekt był

taki, że przełożona Świderkówny uznała, że nie ma ona powołania. Władze klasztorne usunęły Panią Profesor z Żarnowca. Sytuację skomentowała następująco: „Bo nawet jeśli przełożony zakonny się myli, Bóg zawsze ma rację. Pan potrafi pisać prosto po naszych krzywych ścieżkach” (Tamże).

Nowa ścieżka

Po odejściu z zakonu Profesor wróciła do studiowania papiirusów, jednak nie szło jej to zbyt dobrze. Jej wzrok się pogorszył, więc z konieczności papirologia stała się przeszłością. Zajęła się natomiast studiami nad Biblią. Zaczęło się od prowadzenia grupy młodzieży w warszawskim kościele redemptorystów. Potem były kolejne parafie i wykłady dla polonistów na uniwersytecie. Z czasem prelekcje stały się dostępne dla studentów różnych kierunków. Przychodziły na nie tłumy.

Od 1961 roku przyjaźniła się z ks. Janem Twardowskim (1915-2006). Co tydzień przez 30 lat odwiedzała go i rozmawiała o Biblii. Uczyli się od siebie nawzajem. Intelktualne pasje dzieliła także z ks. Henrykiem Muszyńskim (ur. 1933), który później został arcybiskupem gnieźnieńskim i Prymasem Polski (w latach 2009-2010). W swoim życiu kierowała się mottem: „to, co mam – mam, żeby dać innym, a to, czego nie mam, żeby mi inni dali” (Tamże). Dlatego tak sumiennie poświęcała czas bliźnim i dzieliła się wiedzą. Z czasem zaczęły powstawać kolejne książki popularnonaukowe.

W 1994 roku ukazały się *Rozmowy o Biblii*, rok później przekład z greckiego *Ewangelii według św. Mateusza*, w 1996 roku *Rozmów o Biblii ciąg dalszy*, kolejny przekład z greckiego, tym razem *Ewangelii według św. Marka* (1997), *Rozmowy o Biblii: Nowy Testament* (2000) i *Prawie wszystko o Biblii* z 2002 roku, *Biblia a człowiek współczesny* (2005), *Rozmowy o Biblii: Opowieści i przypowieści* (2006) oraz książka *Nie tylko o Biblii* (2006). Pod redakcją Anny Świderkówny powstał też *Słownik pisarzy antycznych*. Przełożyła *Dzieje Grecji* Nicholas G.L. Hammonda. Publikowała krótsze teksty w „Znaku”, „Tygodniku

Powszechnym” i „Gazecie Wyborczej”. Miała stałą audycję w Radiu Józef. Występowała też na antenie Radia Maryja. Uczestniczyła w obozach dla zdolnej młodzieży, które były organizowane przez Krajowy Fundusz na rzecz Dzieci.

Apostolstwo

To, co Świderkówna odnajduje w Biblii, jest w dużej mierze oparte na analizie językowej. Jej filozofia jest prosta, podana klarownie, a jednocześnie podnosi na duchu. Bóg stworzył człowieka po to, żeby na świecie zaistniała miłość. Ludzka miłość może się skończyć, ale boża – nie. Biblia jest historią świętego Boga i bardzo nieświętych ludzi, z którymi ma on ciągle kłopoty. Słowo Boże nigdy się nie dezaktualizuje. Czasem po prostu potrzebujemy dojść do pewnego punktu w życiu, żeby je zrozumieć. Człowiek nie jest stworzony do samotności, ale do wspólnoty. Grzech to świadome wypowiedzenie posłuszeństwa Bogu. Cierpienie to tajemnica i ludzką miarą nie jesteśmy w stanie go zrozumieć. Próba racjonalizacji może doprowadzić do stawiania się na równi z Bogiem, a to grzech. Musimy pogodzić się z tym, że pewne rzeczy, czasem bardzo trudne, się nam przytrafiają. Cierpiąc, możemy zrobić jedno – spotkać się z Bogiem. Nie ma ludzi złych. Czasem jedynie dają się uwieść złu. Wiedza nie jest najważniejsza w życiu, ale miłość. Łatwiej jest poznać Boga niż człowieka, bo ten drugi się czasem broni. Jeśli się coś udowodni, to już nie trzeba w to wierzyć. Wiary samej w sobie nie da się udowodnić. Wiedza jest czymś ulotnym i szybko się zmienia. Z wiary musi wynikać postawa człowieka wierzącego. Z mocy zawierzenia wynika, co możemy od Boga otrzymać. Trzeba nie patrzeć na siebie i o sobie nie myśleć, a mieć oczy utkwione w Boga. Stwórca należy do wszystkich

i nie można go zamknąć ani niczym ograniczyć. Im większe przeszkody przed człowiekiem, tym większa miłość Boga. Na starość Świderkówna patrzyła optymistycznie: to proces, w którym się wiele traci, ale też wiele zyskuje. Zbliżamy się do życia wiecznego, co powinno cieszyć i musimy być w gotowości. Nie ma czegoś takiego jak śmierć przedwczesna, bo Bóg zawsze wie, kiedy mamy odejść. Jeśli zostaniemy obdarzeni łaską świadomej śmierci, to trzeba z niej skorzystać. Przejdziemy przez śmierć w życie zupełnie nowe. Świętość to oczyszczanie drogi przed Bogiem. Zgoda na to, żeby działał przez nas.

Szacunek i pamięć

Pani Profesor należała do Międzynarodowego Stowarzyszenia Papirologów. Zasiadała w Komitecie Nauk o Kulturze Antycznej PAN. Była członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Należała do Rycerskiego Zakonu Grobu Bożego w Jerozolimie. W 1999 roku wyróżniło ją Towarzystwo Naukowe KUL za całokształt dorobku humanizmu chrześcijańskiego. W 2006 roku dostała „Złotego Feniksa”, a rok później nagrodę literacką polskiego PEN Clubu. Pośmiertnie otrzymała Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Na temat Pani Profesor ukazały się następujące publikacje: *Anna Świderkówna: z Aten do Jerozolimy. Wspomnienia przyjaciół* (2013), wywiad *Od bogów pogańskich do Boga żywego. Z profesorem Anną Świderkówną rozmawia o. Włodzimierz Zatorski* (2007), wywiad-rzeka *Chodź po wodzie. Z Anną Świderkówną rozmawia Elżbieta Przybył* (2003).

Profesor Anna Świderkówna zmarła 16 sierpnia 2008 roku. W grudniu tegoż roku skończyłaby 83 lata. Pochowano ją w Warszawie na Cmentarzu Powązkowskim.

Książki nadesłane

Edyta GRYKSA-PAJĄK, *„Cynegetica” Gracjusza Faliskusa czyli polowania w czasach antycznych*, Wyd. UŚ, 2024, seria: Classica.

Anna KUCZ, *Kobiety i milczenie w „Pervigilium Veneris”*, Wyd. UŚ, 2024, seria: Classica.

Anna BUDZANOWSKA, *Muślinowa rebelia. Kobiety liberalizmu erudycyjnego oświeceniowej Francji i jego tropy w tradycji feministycznej*, Wyd. UŚ, 2025.

Dariusz PAWELEC, *Wirpsza po słowie*, Wyd. UŚ, 2025, seria: Inventio.

Barbara KALINOWSKA-WÓJCIK, *W Katowicach się urodziła miłość do Syjonu. Konferencja Katowicka protosyjonistów w 1884 roku – źródła, wydarzenia, postacie, rocznice*, Wyd. UŚ, Muzeum Historii Katowic 2024.

Quentin SKINNER, *Podstawy nowożytnej myśli politycznej. Tom I. Renesans*, tłum. Agnieszka Kuczkiewicz-Fraś, Renata Czechalska, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2024, seria: Biblioteka Myśli Politycznej.

Jarosław SYRNYK, *Łemkowskie rozdroże*, Wyd. UW, Wrocław 2024.

Linda NOCHLIN, *O ciele*, tłum. Agnieszka Nowak-Młynkowska, Wyd. Smak Słowa, Sopot 2024.

Dariusz PAWELEC, *Sztuka (w) realizacji wielokamerowej*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Magdalena OCHWAT, *Więcej-niż-tylko-ludzkie lekcje języka polskiego. Edukacja polonistyczna w czasach kryzysu klimatycznego*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Rejestr przyjęć do prawa miejskiego w Sieradzu 1475-1539, wyd. i oprac. Karol NABIAŁEK, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Katarzyna MALISZEWSKA, *Teatr egzystencjalny w perspektywie biograficznej. Konteksty pedagogiczno-andragogiczne*, Wyd. UŚ, Katowice 2024.

Bogdan RUDNICKI, *Hłasko. Nasz nie-współczesny, czyli nowy wspaniały żywot starej manipulacji*, Wyd. Universitas, Kraków 2024.

Anna PEKANIEC, *Uskoki i kontynuacje. Literatura kobiet w pierwszych dekadach XX wieku*, Wyd. UJ, Kraków 2023.

Jan OŁASZEK, *Opozycyjność naukowców. Studia z dziejów Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w PRL*, IPN, Warszawa 2024, seria: Dziennikarze. Twórcy. Naukowcy.

Carl ABBOTT, *Planowanie miast*, tłum. Mariusz E. Sokołowicz, Wyd. UŁ, Łódź 2024, seria: Krótkie wprowadzenie.

Megan SUMERACKI, Althea Need KAMINSKE, *Psychologia pamięci*, tłum. Joanna Witkowska, Wyd. UŁ, Łódź 2025, seria: Psychologia wszystkiego.

Harriet GROSS, *Psychologia ogrodnictwa*, tłum. Katarzyna Piszczek, Wyd. UŁ, Łódź 2024, seria: Psychologia wszystkiego.

Przemysław GÓRECKI, *Krucze jest piękne. Męskość w polskiej prozie emancypacyjnej po 1989 roku*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024, seria: Monografie FNP.

Robert PIOTROWSKI, *Diabeł tkwi w szczegółach. Znaki świata nadprzyrodzonego w życiu codziennym wsi polskiej XIX i początku XX wieku*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2024, seria: Paralele. Folklor, literatura, kultura.

Wystąpienia i wykłady inaugurujące rok akademicki 2024/2025, Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji im. Marka Dietricha, Warszawa 2025.

Nowa szkoła – szkoła wyższa. Pytania – odkrycia – działania, red. nauk. Marta GRZEŚKO-NYCZKA, Monika KOŚCIELNIAK, Akademia Nauk Stosowanych im. Jana Amosa Komeńskiego w Lesznie, Leszno 2025.

Mini złudzenia

Ekonomia. Nauka i edukacja. Polityka

Można znać definicje, modele, nurty i klasyków. Można mieć świetną pamięć, doskonały aparat pojęciowy, imponujący warsztat, a jednak nie rozumieć. Rozumienie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wiedza przestaje być cytatem a zaczyna być myśleniem i zostaje sprawdzona w realnych sytuacjach.

Niektóre złudzenia są wielkie i mają w sobie rozmach obietnicy. Mini złudzenia nie robią wokół siebie hałasu. Odnoszą się do drobnych, często pozornie racjonalnych uproszczeń poznawczych i narracyjnych. Mini złudzenia pojawiają się na poziomie codziennego języka gospodarki, polityk publicznych i praktyk instytucjonalnych, budując złudne poczucie kontroli, skuteczności lub postępu. Ich siła nie wynika z intensywności, lecz z powtarzalności i społecznej akceptowalności. Mogą uspokajać obywateli, łagodzić lęk i napięcia oraz dawać złudne poczucie sprawczości. Mogą też tworzyć całe kultury tzw. unikania, w których ważniejsze niż dotknięcie prawdy staje się to, by nie czuć dyskomfortu.

Mini złudzenia „przebierają się” w różne języki. Pokazują, jak gospodarczy pragmatyzm może być formą psychicznego znieczulenia, jak nauka potrafi stać się produkcją pozoru oraz jak polityczne hasła potrafią udawać diagnozę. I wreszcie, jak wszystkie te warianty spotykają się w jednym punkcie, który jest bezdyskusyjny i nieodwracalny – w czasie.

Złudzenie, które nie wygląda jak złudzenie. Mini złudzenie przychodzi często w postaci myśli, która brzmi z pozoru racjonalnie, mądrze, a nawet dojrzałe: „jeszcze tylko dziś”, „najpierw uporządkuję to jedno”; „to nie jest dobry moment”; „jak będę mieć więcej czasu, zrobię to porządnie”; „nie ma sensu zaczynać, jeśli nie mogę zrobić tego idealnie”. To są zdania, które nie „pachną” porażką. Przeciwnie, wskazują na dobrą organizację, odpowiedzialność oraz samokontrolę.

Psychologiczna sztuczka – mózg lubi małe przesunięcia. Nie potrzebujemy wielkich kłamstw, żeby się pogubić. Wystarczy, że mózg dostanie możliwość drobnej korekty interpretacji. To jest mechanizm prawie niezauważalny: (1) pojawia się napięcie (zwykle, codzienne zmęczenie, lęk, przeciążenie); (2) pojawia się myśl, która ma to napięcie zmniejszyć; (3) napięcie faktycznie spada; (4) mózg zapamiętuje: „to działa”. W taki sposób tworzy się nawyk psychiczny: nie zmieniam rzeczywistości, tylko jej znaczenie. To jest jednak podstępny mechanizm. W krótkim okresie przynosi ulgę, a ulga jest walutą, którą mózg przyjmuje natychmiast, nawet jeśli w długim okresie kosztuje nas bardzo dużo.

Mini złudzenie: „jestem w drodze”, choć stoję w miejscu. To jedno z moich ulubionych mini złudzeń, bo jest wyjątkowo

inteligentne. Można mieć poczucie, że się rozwijamy, kiedy czytamy o zmianie, zamiast ją robić; rozmawiamy o projekcie, zamiast go kończyć; dopracowujemy szczegóły, zamiast podjąć decyzję; planujemy nową wersję siebie, zamiast spotkać się z obecną. To nie jest lenistwo ani brak ambicji. To jest inna strategia przetrwania: pozostać w ruchu, ale bez ryzyka kontaktu z prawdą. Dlatego mózg tak chętnie wybiera mini złudzenie „jestem w procesie”.

Mini złudzenie uprzejmości: „nie chcę nikomu przeszkadzać”. To złudzenie jest szczególnie popularne wśród osób, które są odpowiedzialne, kompetentne i przyzwoite. Brzmi szlachetnie: „nie będę się narzucać”; „nie będę robić problemu”; „nie chcę być wymagająca”; „nie ma co o tym mówić, ludzie mają swoje sprawy”. Tylko, że ono czasem ukrywa coś mniej wygodnego, np. strach przed byciem naprawdę widzianą. Bo jeśli poprosisz, możesz usłyszeć „nie”. Jeśli powiesz, możesz zostać zignorowana. Jeśli pokażesz potrzebę, ktoś może ją umniejszyć. Pojawia się więc mini złudzenie: „jestem niezależna, dam radę”. A potem przychodzi moment, który ma w sobie ciszę większą niż zwykła cisza. W tej ciszy nie słychać już dumy, słychać tylko zmęczenie.

Mini złudzenie produktywności: „jeszcze tylko dopracuję”. To złudzenie lubi osoby perfekcyjne, ambitne i przywiązujące wagę do wysokich standardów. Uwielbia ludzi, którzy wiedzą, że umieją zrobić coś dobrze. Brzmi jak profesjonalizm: „jeszcze to sprawdzę”; „jeszcze poprawię styl”; „jeszcze dodam źródła”; „jeszcze dopracuję strukturę”. I tak rodzi się dzieło, które może być idealne, tylko, że... nigdy nie powstaje.

Najbardziej zaskakujące mini złudzenie: „tak już mam”. Jest takie zdanie, które brzmi jak akceptacja, a czasem jest rezygnacją: „ja tak mam”. Jest wygodne, ponieważ kończy rozmowę, domyka temat, redukuje napięcie. Jednak w środku jest miękkie, jak poduszka. „Tak już mam” oznacza, że nie trzeba próbować inaczej; nie trzeba podjąć trudnej decyzji; nie trzeba skonfrontować się z tym, co boli; nie trzeba ryzykować porażki. Mini złudzenie „tak już mam” chroni nas przed bólem przejścia, ale jednocześnie zamyka drzwi do zmiany.

Dlaczego mini złudzenia pojawiają się częściej u ludzi silnych? Wydaje mi się, że mini złudzenia częściej pojawiają się u tych, którzy muszą działać, czyli u ludzi, którzy mają

odpowiedzialność, nie mogą sobie pozwolić na chaos, są dla innych punktem odniesienia, a także nie chcą zawieść oraz mają reputację do utrzymania. Silni ludzie nie mogą „rozpaść się na kawałki”. Uczą się więc rozszczelniać napięcie inaczej. Nie krzykiem, nie ucieczką, ale właśnie mini złudzeniem. To jest mała szczelina w psychice, przez którą uchodzi ciśnienie. Czasem to jest potrzebne. Problem zaczyna się wtedy, gdy mini złudzenie staje się sposobem na życie.

Ekonomia codziennych usprawiedliwień

Gospodarka jest jednym z tych obszarów życia, w których mini złudzenia mają szczególnie dobre warunki do rozwoju. Gospodarka z jednej strony jest twarda, są to liczby, budżety, inflacja, kredyty, produktywność. Z drugiej strony ma wiele wspólnego z psychologią. W dużej mierze opiera się na oczekiwaniach, wyobrażeniach, nastrojach i zbiorowych emocjach. Ekonomia jest nie tylko nauką o wyborach i zasobach, ale także o tym, jak ludzie potrafią nazywać swoje pragnienia rozsądkiem, a swój strach ostrożnością. Właśnie w tej szczelinie rodzi się mini złudzenie gospodarcze – małe przekonanie, które brzmi, jak pragmatyzm, ale często jest po prostu wygodną formą samoznieczulenia.

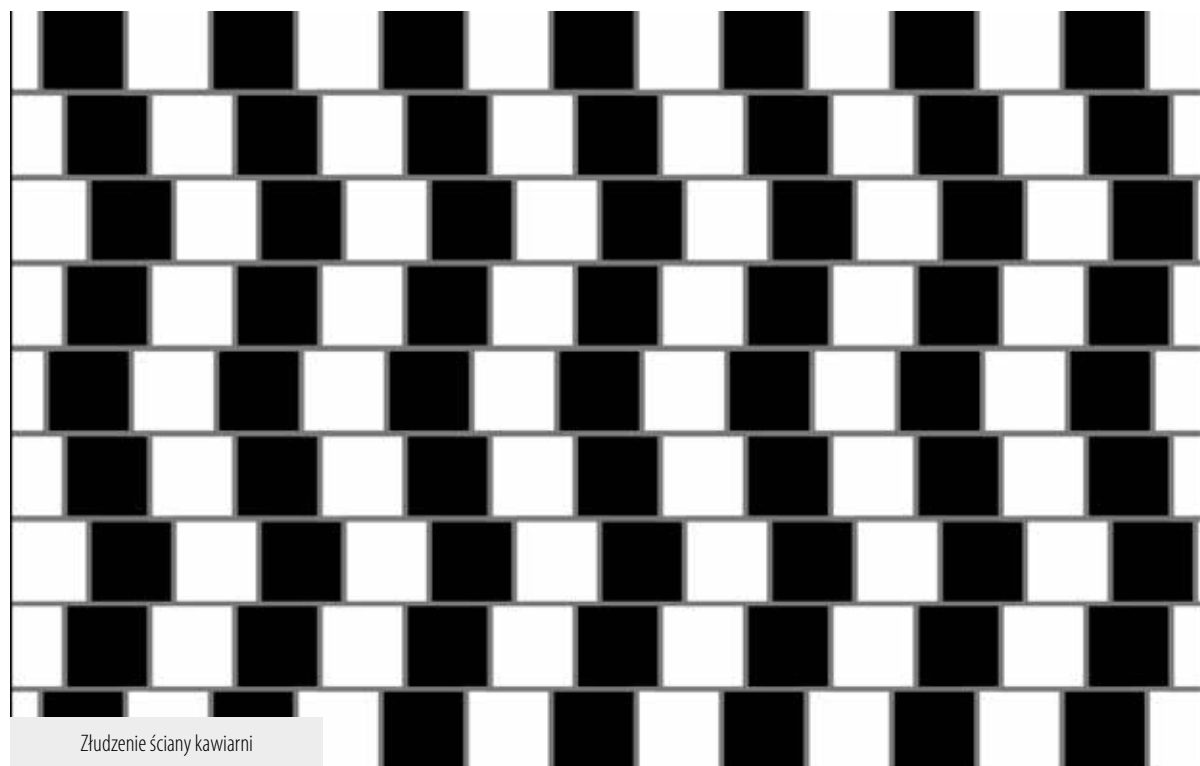
Mini złudzenie oszczędności: „to rozsądne, więc dobre”. Oszczędność ma świetną reputację. Jest cnotą i oznaką odpowiedzialności oraz dowodem dojrzałości. Tylko, że ekonomiczna cnota bywa psychologiczną pułapką. Mini złudzenie oszczędności polega na tym, że człowiek zaczyna często wierzyć, iż wszystko, co jest tańsze, jest automatycznie mądrzejsze. A potem kupuje rzeczy, których nie potrzebuje, „bo była promocja”; wybiera rozwiązania krótkoterminowe, które później kosztują więcej; nie inwestuje w zdrowie, jakość, relacje, rozwój, bo „to nie jest konieczne”. To jest paradoks ekonomii codziennej. Można oszczędzać tak, że w efekcie płaci się więcej. Płaci się tylko inaczej, czyli później lub w kosztach ukrytych. Mini złudzenie oszczędności nie jest więc tylko o pieniądzu, jest także o lęku przed stratą.

Mini złudzenie racjonalnego wyboru: „rynek wie lepiej”. Rynek bywa przedstawiany jak organizm, który wszystko

reguluje: ceny, popyt, podaż, konkurencję. Mini złudzenie polega na tym, że człowiek zaczyna wierzyć, iż rynek ma nie tylko logikę, lecz także moralność. Niestety, rynek moralności nie ma. Rynek jest mechanizmem, nie sumieniem. Rynek potrafi nagradzać efektywność, ale nie troskę. Potrafi premiovować skalę, ale nie sens. Potrafi wzmacniać najsilniejszych i systemowo marginalizować tych, którzy nie mają kapitału wejścia. Mini złudzenie „rynek wie lepiej” działa jak wytrych – zwalnia nas z odpowiedzialności społecznej. Jeśli coś się dzieje, widocznie tak „musi” być.

Mini złudzenie wzrostu: „jak rośnie PKB, to rośnie jakość życia”. Wzrost gospodarczy ma znaczenie, a PKB jest ważnym wskaźnikiem. Pokazuje dynamikę i potencjał. Bez niego nie ma podatków, inwestycji, innowacji na masową skalę. Tyle że mini złudzenie polega na tym, że zaczynamy traktować wzrost jak synonim dobrostanu, a to nie jest to samo. PKB potrafi rosnąć, gdy rośnie konsumpcja, koszty leczenia, liczba wypadków i napraw, ceny usług oraz intensywność pracy. PKB nie ma w sobie miary sensu, jakości relacji społecznych, zaufania ani miary stabilności psychicznej. Mini złudzenie wzrostu działa jak prosta narracja: „jest dobrze, bo rośnie”. Tylko że człowiek nie żyje w tabeli, żyje w rytmie. Paradoksalnie rytm życia potrafi być dramatycznie rozchwiany w gospodarce, która „jest w świetnej formie”.

Mini złudzenie kredytu: „to jest rozwiązanie, nie ryzyko”. Kredyt pozwala przesunąć przyszłość do teraźniejszości. Daje dostęp do mieszkania, edukacji, rozwoju biznesu. Jest instrumentem budowania kapitału. Mini złudzenie polega na tym, że kredyt zaczyna być traktowany jak magiczny sposób na życie „na poziomie”. Wtedy pojawia się psychologiczna pułapka. Życie na kredyt staje się nie tyle narzędziem, co tożsamością. Człowiek nie kupuje już rzeczy, lecz poczucie, że „jest jak inni”. Prawdziwe koszty przychodzą później. Są to nie tylko raty, ale także poczucie presji, napięcie, strach przed utratą płynności oraz brak swobody decyzji. Innymi słowy, mini złudzenie kredytu polega na tym, że mylimy dostęp z posiadaniem, a bezpieczeństwo z pozorem bezpieczeństwa.



Złudzenie ściany kawiarni

Źródło: Wikipedia

Mini złudzenie inflacji: „to nie ma sensu, więc po co się starać”. Inflacja to nie tylko wskaźnik. Inflacja jest nastrojem. Potrafi zmienić ludzi w bardzo specyficzny sposób: podnosi nerwowość, skraca horyzont planowania oraz produkuje myślenie natychmiastowe. Wtedy rodzi się mini złudzenie rezygnacji: „po co oszczędzać, skoro pieniądź traci wartość?; „po co planować, skoro wszystko się zmienia?; „po co budować, skoro i tak zaraz to zjedzą koszty?”. To jest ekonomiczna wersja psychologicznego odrętwienia. Mini złudzenie polega na tym, że człowiek zaczyna żyć tak, jakby przyszłość była z definicji przegrana. I wtedy sam skraca sobie przyszłość, nie polityka, nie rynek, nie globalizacja, ale on sam.

Najbardziej nieoczywiste mini złudzenie gospodarcze: „mam wpływ, bo wybieram”. W gospodarce konsumpcyjnej człowiek jest karmiony poczuciem, że jest suwerenem: wybiera produkty, usługi, styl życia, markę, aplikację, konto, subskrypcję. To daje wrażenie wolności. A jednak... Mini złudzenie polega na tym, że wybór konsumenta zaczyna zastępować wybór obywatelski i moralny. Kupujemy „rodzime produkty” i czujemy, że zrobiliśmy coś ważnego. Wybieramy „zrównoważony produkt” i mamy poczucie, że naprawiamy system. Tylko że system rzadko zmienia się od etykiet. System zmienia się od instytucji, standardów i zbiorowych decyzji. To nie znaczy, że wybory konsumenckie nie mają znaczenia. Mają znaczenie, ale mini złudzenie polega na nadaniu im roli większej niż są w stanie unieść.

Nauka i edukacja – eleganckie usprawiedliwienia

Nauka i edukacja należą do tych obszarów, które budzą naturalny szacunek. I słusznie. Są jedną z najpiękniejszych form ludzkiej ambicji: próbą zrozumienia świata, uporządkowania chaosu, przekazywania sensu. To one tworzą język, którym opisujemy rzeczywistość i narzędzia, którymi ją zmieniamy. Właśnie dlatego nauka i edukacja są podatne na szczególny typ mini złudzeń, które nie wyglądają jak pomyłka. One wyglądają jak profesjonalizm, jak akademicka dojrzałość, jak standard. Mini złudzenie w nauce nie musi być cyniczne. Często jest po prostu wygodne i bywa zaskakująco dobrze uargumentowane.

Mini złudzenie wiedzy: „skoro wiem, to rozumiem”. To złudzenie jest fundamentem wielu karier i wielu rozczarowań. Można znać definicje, modele, nurty i klasyków. Można mieć świetną pamięć, doskonały aparat pojęciowy, imponujący warsztat, a jednak nie rozumieć. Rozumienie zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wiedza przestaje być cytatem a zaczyna być myśleniem i zostaje sprawdzona w realnych sytuacjach. Mini złudzenie wiedzy polega na tym, że człowiek myli akumulację informacji z przemianą sposobu widzenia. W edukacji to widać boleśnie: student potrafi „zaliczyć” temat, a nie potrafi go zastosować. Naukowiec potrafi „opisać” zjawisko, a nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ono jest istotne. Wiedza bez rozumienia jest jak mapa bez orientacji w terenie: formalnie istnieje, ale nie prowadzi do celu.

Mini złudzenie prestiżu: „jak jest tytuł, to jest autorytet”. To złudzenie dotyczy nie tylko społeczeństwa, także samej akademii. Tytuł naukowy jest osiągnięciem. Zwykle oznacza lata pracy, dyscyplinę i konsekwencję. Mini złudzenie pojawia się wtedy, gdy tytuł zaczyna być traktowany jak gwarancja jakości w każdej sytuacji, a przecież autorytet nie jest jednorazowym aktem awansu. Autorytet jest relacją. Buduje się go codziennie: rzetelnością, uczciwością, pokorą poznawczą, gotowością do korekty oraz kulturą argumentu. Mini złudzenie prestiżu jest niebezpieczne, bo łatwo zamienia się w hierarchię, w której nie najważniejsze jest, kto ma rację, tylko kto ma rangę.

Mini złudzenie publikowania: „jak opublikowane, to zrobione”. To mini złudzenie jest szczególnie współczesne.

Powstało w świecie, w którym naukę mierzy się wskaźnikami. Artykuł opublikowany, punkty zdobyte, projekt rozliczony, konferencja zaliczona. Pozornie wszystko się zgadza. Tylko, że nauka nie polega na produkcji tekstów. Nauka polega na produkcji znaczeń. Mini złudzenie publikowania mówi: „Zrobiłam naukę, bo mam output”. A prawda jest bardziej wymagająca: „Zrobiłam naukę, jeśli zmieniłam choćby o milimetr rozumienie zjawiska”. To różnica fundamentalna. Można pisać dużo i nie wnieść niczego. Można pisać mało i zmienić perspektywę dyscypliny. Mini złudzenie jest wygodne, bo daje mierzalność, a mierzalność daje iluzję kontroli.

Mini złudzenie dydaktyki: „jak wykład był dobry, to student się nauczył”. To złudzenie jest bardzo akademickie. Wykład może być świetny: logiczny, błyskotliwy, erudycyjny, poprawnie zbudowany. I to ma wartość. Tyle że edukacja nie jest sztuką prezentacji. Jest sztuką zmiany człowieka. Student nie uczy się od tego, co zostało powiedziane, ale od tego, co zostało zrozumiane, przeżyte, przeciwione i zastosowane. Mini złudzenie dydaktyki polega na tym, że nauczyciel myli jakość przekazu z jakością transformacji. Można mówić perfekcyjnie i nic nie uruchomić. Można powiedzieć jedno zdanie, ale trafiające i zmieniające sposób myślenia na lata.

Mini złudzenie reformy: „zmienimy program, będzie lepiej”. Edukacja ma w sobie coś z wiary w mechanikę. Wierzymy, że wystarczy zmienić element konstrukcji, a całość zacznie działać: nowa podstawa programowa, nowe sylabusy, nowe regulaminy, nowe nazwy kierunków, nowe efekty uczenia się. To wszystko bywa potrzebne, ale mini złudzenie polega na tym, że traktujemy reformę jak substytut kultury. Tymczasem edukacja żyje w kulturze akademickiej, czyli w relacji mistrz–uczeń, w jakości dyskusji, w etosie, w szacunku dla prawdy. Jeśli kultura jest słaba, program nie pomoże. Jeśli kultura jest silna, program jest tylko narzędziem. Mini złudzenie reformy jest jak przemalowanie ścian w domu, w którym pękają fundamenty.

Mini złudzenie technologii: „AI rozwiąże problem edukacji”. To jedno z najbardziej kuszących współczesnych mini złudzeń i jedno z tych, które brzmią jak przyszłość. Sztuczna inteligencja może wspierać dydaktykę, personalizować uczenie, przyspieszać dostęp do wiedzy, pomagać w analizie danych edukacyjnych. Może być rewolucją w narzędziach, ale mini złudzenie polega na tym, że mylimy narzędzie z relacją. Edukacja nie jest tylko transferem informacji. Jest formowaniem nawyków poznawczych, krytycznego myślenia, charakteru intelektualnego, odpowiedzialności za słowo, odporności na manipulację. AI nie zastąpi autorytetu w sensie moralnym. Nie zastąpi rozmowy, w której student widzi, że profesor sam myśli, sam wątpi i sam szuka. Mini złudzenie technologii daje nadzieję na rozwiązanie problemu bez bólu. A edukacja nie jest dziedziną bez bólu. Uczenie się jest trudne, ponieważ wymaga wysiłku i cierpliwości. Czasami też wymaga przyznania się, że się po prostu nie wie.

Edukacja i nauka nie psują się od błędów – psują się od ułatwień. W nauce rzadko dochodzi do nagłej katastrofy. Częściej spotyka się w niej powolne przesuwanie granic: trochę mniej wymagań, trochę mniej odwagi w stawianiu tez, trochę mniej krytycyzmu, trochę więcej autopromocji, trochę więcej punktów, trochę mniej sensu. Mini złudzenie mówi wtedy: „To tylko drobna zmiana. Tak trzeba. Takie czasy”. A prawda jest taka, że uniwersytet ginie nie wtedy, gdy go atakują, lecz wtedy, gdy sam zaczyna wierzyć, że nie musi być sobą. Edukacja to nie jest „produkcja” absolwentów. To jest „produkcja” wolnych umysłów. A nauka to nie jest zbiór publikacji, to umiejętność mówienia prawdy w świecie, który woli „wygodne” opowieści.

Polityczne lustro

Polityka ma w sobie szczególną zdolność. Potrafi nadać prywatnym emocjom publiczne uzasadnienie i odwrotnie – publicznym zdarzeniom potrafi nadać osobisty ciężar. Polityka działa jak zwierciadło zbiorowej psychiki, ale też jak soczewka, która powiększa lęki, pragnienia i frustracje pojedynczego człowieka. W tej soczewce mini złudzenia nie znikają. One się mnożą. Stają się bardziej eleganckie, „mądrzejsze”, czasem nawet patriotyczne. A ponieważ nie wyglądają jak kłamstwa, tylko jak rozsądne wnioski, trudno je odróżnić od realizmu.

Mini złudzenie stabilności: „ktoś wreszcie to ogarnie”. Jest taki moment w życiu społecznym, kiedy ludzie zaczynają tęsknić nie za wolnością, nie za wizją, nawet nie za rozwojem, ale za czymś o wiele prostszym: żeby ktoś wreszcie nad tym zapanaował. I wtedy pojawia się mini złudzenie stabilności, przekonanie, że istnieje człowiek, partia, układ, który „ma plan”, że chaos można zamknąć w gabinecie, że świat jest jak spółka – wystarczy porządny zarząd i twarda ręka. To złudzenie jest wygodne, bo redukuje niepokój, ale jednocześnie jest niebezpieczne, bo przesuwając punkt ciężkości z obywatela na opiekuna. Zaskakujące jest to, jak często to złudzenie rodzi się nie z naiwności, tylko ze zmęczenia, z przeciążenia, z poczucia, że „ja już nie mam siły tego analizować”.

Mini złudzenie sprawczości: „wystarczy wymienić ludzi”. To złudzenie jest szczególnie popularne w momentach kryzysu, kiedy społeczeństwo ma dość. Kiedy narasta gniew, a cierpliwość się kończy. Wtedy pojawia się prosta idea: „wystarczy wymienić ludzi, a system zacznie działać”. To brzmi sensownie, nawet logicznie. Tylko że polityka jest przede wszystkim systemem zależności, instytucji, procedur, interesów, budżetów, czasu i kompetencji. Człowiek jest ważny, ale nie jest cudotwórcą. Mini złudzenie sprawczości jest kuszące, bo obiecuje szybki efekt bez kosztu strukturalnej zmiany. Nie trzeba reformować tego, co trudne, wystarczy „przewietrzyć”. A gdy efekt nie przychodzi, winny jest znów człowiek, nigdy mechanizm. To złudzenie jest jak wiara w to, że jeśli zmieni się kapitana, statek sam przestanie przeciekać.

Mini złudzenie neutralności: „ja się nie interesuję polityką”. To zdanie jest często mówione z dumą, jakby było dowodem niezależności i jakby trzymanie dystansu było moralną higieną. Tylko, że to jest właśnie mini złudzenie. Bo polityka

interesuje się nami, nawet jeśli my nie interesujemy się polityką. Jej decyzje zapisują się w: jakości usług publicznych, poziomie wynagrodzeń, bezpieczeństwie, standardach edukacji i nauki, możliwościach rozwoju, pozycji kraju. Neutralność w polityce nie jest neutralnością. Jest oddaniem pola, a oddanie pola nigdy nie jest bezkosztowe.

Najbardziej nieoczywiste mini złudzenie: „to się samo ułoży”. W wielu społeczeństwach, także i w naszym, jest ukryta wiara, że historia ma jakąś wrodzoną tendencję do porządku, czyli, że „jakoś to będzie”. To złudzenie jest „piękne”, bo jest łagodne. Ma w sobie trochę melancholii i trochę polskiej szkoły przetrwania. Tylko że w polityce „jakoś to będzie” oznacza najczęściej: „ktoś poniesie koszt, żeby ktoś inny nie musiał go widzieć”. Koszty „jakoś to będzie” ponoszą zwykle ci, którzy nie mają głosu, czyli młodzi, słabsi, wykluczeni oraz instytucje, które „nie krzyczą”.

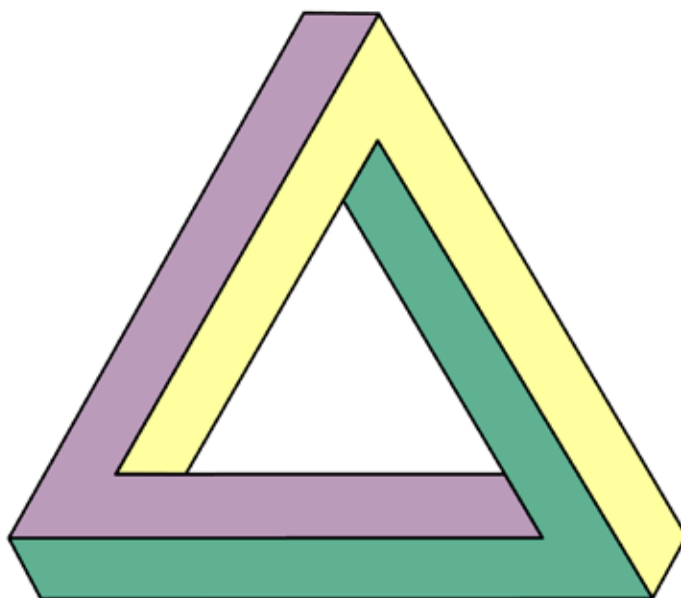
Epilog

Mini złudzenia powstają tam, gdzie systemy przestają odpowiadać na pytania o sens, odpowiedzialność i koszty. W gospodarce przybierają postać pragmatyzmu, który uspokaja, lecz nie naprawia. W nauce i edukacji – języka wskaźników, który zastępuje myślenie. W polityce – narracji, która imituje działanie, unikając decyzji. Łączy je jedno: **odwracają uwagę od przyczyn i kierują nas ku formom zastępczym**. Zamiast o finansowaniu mówić się o reorganizacji. Zamiast jakości liczyć się ilość. Zamiast odpowiedzialności państwa pojawia się przetrwanie kosztów na instytucje i ludzi. Mini złudzenia działają tu jak miękka zasłona. Pozwalają utrzymać pozór racjonalności bez ponoszenia politycznego i ekonomicznego ciężaru zmiany.

Ten esej nie jest próbą formułowania recept ani projektowania kolejnych rozwiązań systemowych. Jest raczej zaproszeniem do zatrzymania się na poziomie pytań, które zbyt często są omijane lub upraszczane. Pamiętajmy: tam, gdzie nie nazywa się przyczyn, reformy tracą sens i stają się jedynie ich imitacją. Wtedy system zaczyna żywić się mini złudzeniami, wygodną, uspokajającą narracją prowadzącą długofalowo do stagnacji.

Prof. dr hab. inż. Celina Olszak,
ekonomistka, rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach

Trójkąt Penrose'a



Źródło: Wikipedia

Struktury wykluczenia



Książka stanowi egzemplifikację historycznych źródeł i mechanizmów przemocy. Choć podtytuł zawęża obszar analizy do zjawisk zachodzących w środowiskach studenckich Warszawy i Wiednia, autorka konsekwentnie go poszerza. Uwzględniła środowiska wileńskie, lwowskie i poznańskie oraz wydarzenia z udziałem studentów niemieckich. W dwudziestolecie międzywojennym na uczelniach ścierały się ideologie „lewicowe” i „prawicowe”, jednak Mrzygłód zasadniczo śledzi programy ideowe i działania masowych organizacji studenckich pod kątem

poglądów nacjonalistycznych. Dlatego w centrum jej uwagi znajdują się dwie kluczowe organizacje: Bratnia Pomoc oraz Związek Studentów Niemieckich.

Radykalnie nastawionych studentów austriackich i polskich łączył krytyczny stosunek do żydowskich kolegów. W Wiedniu dodatkowo negatywnie odnoszono się do studentów z krajów słowiańskich. Podłoże tych napięć było złożone. W Austrii wiązało się z upadkiem dynastii Habsburgów, klęską w I wojnie światowej oraz zapisanym w postanowieniach traktatu wersalskiego zakazem Anschlussu. W społeczeństwie budującym zręby odradzającego się państwa polskiego zmagano się z materialnymi i mentalnymi konsekwencjami wojny bolszewicko-polskiej, która utrwaliła stereotyp „żydokomuny”. Łęki społeczne wywołane szerzeniem się komunizmu były powszechne, a kryzys gospodarczy sprzyjał dalszym podziałom i uprzedzeniom.

Autorka pokazuje, że stopień radykalizacji po stronie austriackiej i polskiej był zróżnicowany. Studenci II Rzeczypospolitej inspirowali się ideami narodowej demokracji: wypracowywali zasady funkcjonowania wspólnoty narodowej, określali kształt tożsamości młodego przedstawiciela polskiej inteligencji, dążyli do integracji i urzeczywistnienia wizji państwa narodowego. Austriaccy studenci znajdowali się natomiast na drodze formułowania nowej niemieckiej tożsamości, budowanej na gruzach wielonarodowej monarchii austro-węgierskiej. Zdaniem Mrzygłód studenckie ugrupowania prawicowe nie opowiadały się za tradycjonalizmem czy konserwatyzmem, lecz postrzegały siebie jako awangardę zmian.

Autorka przypomina fakty, które antagonizowały środowiska studenckie. Jednym z nich była „afera trupia”. Protestowano przeciwko temu, by w prosektoriach wydziałów medycznych dokonywano sekcji zwłok wyłącznie chrześcijan, podczas gdy medycynę studiowali również wyznawcy judaizmu (jego prawo religijne zakazywało ingerencji w ciało po śmierci). Jak pokazuje autorka, uprzedzenia na tle narodowym i religijnym nie były podsycane wyłącznie w sposób irracjonalny.

Najciekawsze są jednak zgromadzone świadectwa: dokumenty oraz parafrazy relacji świadków wydarzeń takich jak strajki, manifestacje czy bójki. Niedosyt budzi natomiast brak szerszego omówienia głosów studentów żydowskich, którzy stali się ofiarami agresji. W II Rzeczypospolitej istniała przecież bogata prasa środowisk żydowskich. Autorka przywołuje okoliczności i propagandowe konsekwencje poniesionych podczas zamieszek śmierci Jana Grotkowskiego i Stanisława Waclawskiego. A czy skrzywdzeni żydowscy zacy muszą pozostać anonimowi?

Mrzygłód uwidacznia proces kształtowania się schematów mobilizowania do przemocy. Uświadamia, że istotną rolę odgrywa w nim język opisu problemów i zająć. Wiadomo, informacja odpowiednio podana eskaluje antagonizmy i wprowadza mechanizmy dyskryminacji. Ich najbardziej wyrazistym symbolem stały się „getta ławkowe” na uczelniach w latach 1937–1939. Warto jednak pamiętać, że liczne grono profesorów i studentów czynnie sprzeciwiało się tej formie segregacji. Autorka kończy książkę pytaniem retorycznym: jak to się dzieje, że rękę do legalizowania przemocy i „struktur wykluczenia” niekiedy masowo przykładają ludzie inteligentni?

Zbigniew Chojnowski

Dobrze, że był



Truizmem jest mówienie, że Kazimierz Wyka to jedna z najważniejszych postaci w historii naszego literaturoznawstwa. Zasadniczo wszyscy się tu zgadzają. Co ważniejsze, nie jest to ktoś przywoływany z lamusa, ale wciąż mocno obecny w polskim obiegu literaturoznawczym i krytycznoliterackim. Przykładem może być książka Małgorzaty Krakowiak *Literatura ze stanowiska potrzeb życia. O świadomości krytycznoliterackiej Kazimierza Wyki i jego kręgu*, którą chciałbym nieco szerzej omówić. Zanim do tego przystąpię, napomknę, że

jest to publikacja przygotowana na pięćdziesiąt rocznicę śmierci Kazimierza Wyki.

Krakowiak związana jest z Uniwersytetem Śląskim i od lat zajmuje się problematyką krytyki literackiej, w tym działalnością autora *Łowów na kryteria*. Już w 2001 ukazała się jej praca *Katastrofizm – personalizm – realizm. O krytyce literackiej Kazimierza Wyki w latach 1932–1948*, która została bardzo dobrze przyjęta w środowisku polonistów. Bardzo dobrze się stało, iż jej najnowsza publikacja ukazała się nie w wydawnictwie stricte naukowym. Wydaje się, że oficyna LTW może zwiększyć krąg odbiorców i zapewnić, że publikacja dotrze nie tylko do polonistów-naukowców, ale do wszystkich miłośników rodzimej kultury, ze wszystkimi jej fluktuacjami, kontynuacjami i przełomami. Wyka podkreślał, że uważa się za „stróża tradycji” i jego obowiązkiem jest „przy magazynie pilnować w sposób rozumny naszego chleba na przyszłość”. Jak pojmował tradycję, co uznawał w niej za godne kultywowania, w jaki sposób rozumiał swą misję w zmiennych okolicznościach losu – o tym wszystkim przekona się czytelnik omawianej książki. Już sam tytuł sporo wyjaśnia, a jak wiadomo „świętemu wszystkich czarnych parasoli Krakowa” (określenie Jerzego Harasymowicza) wypadło funkcjonować w dwudziestolecie międzywojennym, w okresie hitlerowskiej niewoli (ponadczasowe rozpoznanie w *Życiu na niby*), no i w PRL-u.

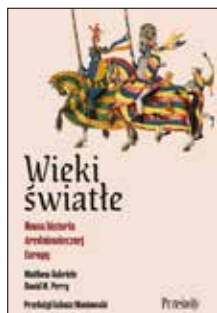
Monografistka nie zachwyca się bezkrytycznie bohaterem swojej książki, unika też raczej słów potępienia i to nawet w sytuacjach, które budzą co najmniej wątpliwości. Tu przede wszystkim chodzi o epizod stalinowski. A konkretnie: postępujące upolitycznienie „Twórczości” (oczywiście głównym jego realizatorem był Adam Ważyk, ale Wyka zwłaszcza w latach 1948–1949 też ma już coś na sumieniu); dogmatyczne początki IBL-u, które zupełnie nie wróżyły niesamowitego rozkwitu tej instytucji po 1956 roku; i jeszcze ten marksizm jakiś nieszczerzy, słabo motywowany, trudno oprzeć się wrażeniu, że wymuszony „potrzebami życia”. Autorka nawet, gdy się nie zgadza i polemizuje, to stara się zrozumieć tamten czas i uwikłanie jednego z najwybitniejszych literaturoznawców, krytyków literackich i eselistów. Przypomnijmy słowa Janusza Sławińskiego o Wyce: „Ten niezwykle utalentowany i ambitny człowiek musiał zdać sobie w pewnym momencie wyraźnie sprawę, że nadchodząca niepowstrzymanie sowietyzacja życia umysłowego w Polsce stawia go – i jemu podobnych – wobec bardzo prostego wyboru: albo zabierze się z nią (bo na przeczekanie mało kto wtedy liczył) i w ten sposób uzyska szansę działania na scenie publicznej odpowiadającą jego aspiracjom, albo pogrąży się w egzystencji marginesowej, bez perspektyw na jej odmiannę”. Krakowiak napisała znakomitą historię człowieka, który z „duchologa” i personalisty przekształcił się w ekspozowanego uczestnika życia literackiego PRL-u. Czy rzeczywiście było to tylko „przekształcenie się”, czy swoista synteza starych i nowych czasów? W każdym razie efekty były wspaniałe i to takie, którymi zapewnił sobie na zawsze miejsce w naszej humanistyce.

Tomasz Klusek

Izabela MRZYGLÓD, **Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym**, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2025, seria: Monografie FNP.

Małgorzata KRAKOWIAK, **Literatura ze stanowiska potrzeb życia. O świadomości krytycznoliterackiej Kazimierza Wyki i jego kręgu**, Wydawnictwo LTW, Łomianki, 2025.

Droga do światła przez mrok



Opowieść amerykańskich mediewistów rozpoczyna się w Rawennie około roku 430 ery kalendarzowej, kiedy to artyści zatrudnieni przez Gallę Placydię, siostrę rzymskiego cesarza i żarliwą chrześcijankę, weszli do małej kapliczki, by namalować błękit nieba. Użyli rozgniecionych szklanych mozaik barwionych na niebiesko, aby przeobrazić sufit w niebiański błękit ze szklanymi gwiazdami barwionymi na złoto. Przestrzeń lśniła, rozświetlała mrok.

Książka ma swoje zakończenie dokładnie w tym samym miejscu. Niemal tysiąc lat później,

w 1321 roku, autorzy kończą epokę średniowiecza, przechadzając się znów po kościele w Rawennie, tym razem z poetą Dantem Alighierim poszukującym inspiracji pośród migocących mozaik, by napisać *Boską komedię*. Dzieło to, zanurzone jednocześnie w mroku, śmierci, ale i pięknie, czystej światłości, osadzone jest głęboko w politycznym i kulturowym kontekście czasów poety. Badacze wybierają ten moment graniczny jako jeden z możliwych, tym samym stosując poetycką klamrę, w którą wpisują pozostałą treść książki. Wszystko bowiem, jak twierdzą, musi mieć swój koniec, inaczej nie ma średniowiecza.

Autorzy toczą walkę z „mrokami średniowiecza”. Mit ten nieustannie przenika współczesne społeczeństwo, jednak jego stereotypowy obraz jest zupełnie inny od znanego historykom. Książka zadaje kłam wielu wyobrażeniom na temat epoki „zacofania”, ale też jej nie lukruje. Autorzy piszą, że ich opowieść jest dużo bardziej zagmatwana. I rzeczywiście, pokazują momenty prawdziwego piękna, oddania i poświęcenia, by chwilę później zderyżyć z szokującą ignorancją i okrucieństwem. Bo średniowiecze zawiera w sobie wszystko: światło i mrok, człowieczeństwo i brutalność, z wyjątkiem może dużej liczby smoków.

Wyruszamy zatem w długą podróż. Od wspomnianej Rawenny, przez Cesarstwo Rzymskie, które się przeobrażało, lecz zdaniem autorów nigdy nie upadło. Następnie przybывamy do małego miasteczka rybackiego w rzymskiej prowincji Azji, znanego jako Bizancjum, które zostało przemianowane na Konstantynopol i w ciągu następnych kilkuset lat stało się wielkim dziełem sztuki symbolizującym ogromne bogactwo, kulturą dominację i burzliwą politykę. Zmierzamy potem do Jerozolimy, najważniejszego świętego miejsca świata, by za chwilę wraz z misjonarzami wysłanymi przez Grzegorza Wielkiego przybyć do Brytanii – mieszkanki różnorodnych państw, ludzi i przekonań. Do Rzymu Karola Wielkiego wkraczamy wraz z kilkutonowym afrykańskim słoniem sprowadzonym z Konga, symbolem władzy i potęgi nowego biblijnego Dawida. Podążamy za wikingami, Majmonidesem (jedną z największych postaci średniowiecza), za dominikanami i franciszkanami. Śledzimy budowę katedry Notre-Dame, przyćmionej wkrótce budowlą zwaną później jako Sainte-Chapelle, i przemieszczamy się dalej ku wschodniej Azji, niczym Marco Polo, w poszukiwaniu bogactwa, sławy, wiedzy, świętości lub ucieczki, by na koniec, z przerażeniem, spojrzeć w oczy „czarnej śmierci”.

Wiek światła starają się pokazać świat średniowieczny jako pełen blasku. Blask jednak nie jest tu pojęciem jednoznacznym. Słońce przechodzące przez witraże kościołów zbliża do Boga, jednak ogień pożera całe miasta lub księgi uznane za herezje. Średniowieczne teksty, wiedza o antyku, muzyka, sztuki piękne inspirują, lśnią, zachwycają zmysły i umysł, jednak rytualnie zgwałcona niewolnica na pogrzebie zmarłego przywódcy Rusinów również otoczona jest blaskiem, tyle że stosu, na którym spłonęła. Średniowiecze Gabriele'a i Perry'ego nie jest tylko proste i czyste, jest brudne, bo ludzkie. I zdaje się, że taka wersja jest bliższa prawdy.

Małgorzata Pawełczyk

Matthew GABRIELE, David M. PERRY, *Wiek światła. Nowa historia średniowiecznej Europy*, tłum. Łukasz Muniowski, Wydawnictwo Przeświły, Warszawa 2025.

Gombro dla wszystkich



Doskonale już wiemy, że „Słowacki wielkim poetą był”. A co z Gombrowiczem? Na to pytanie stara się pośrednio odpowiedzieć klasyk-literaturoznawca Włodzimierz Bolecki, specjalista nie tylko od Gombrowicza. Książka jest zbiorem szkiców pisanych na przestrzeni ostatnich trzech dekad, część z nich została poszerzona i zaktualizowana. Rozpiętość tematyczna zebranych tekstów, które łączy osoba i dzieło autora *Ferdynandurke*, pozwala chyba użyć terminu (rzecz jasna trochę na wyrost) „kompendium”. Czegoż w tych szkicach nie ma: wątki filozoficzne i biograficzne,

krytycznoliterackie i interpretacje, sfera lingwistyczna dzieł Gombrowicza przenika się z refleksjami natury epistemologicznej. Można by rzec, że w tym przekrojowym podejściu odbija się cały, par excellence, *Kosmos*. Miłośników Gombrowicza może to nie zdziwi, ale wiele osób z przyjemnością dowie się, że był on również aforystą: „Ludzkość wszystko zamienia na pieniądze i wydaje resztę” albo „Świat istnieje tylko dzięki temu, że zawsze za późno się cofać”.

Gombrowicz „od zawsze” chciał stać się częścią historii literatury, pisarzem-pomnikiem, z jednej strony zależało mu na tym, aby pozostać osobnym, z drugiej marzył o wielkiej popularności. Bez wątpienia zazdrościł jej Henrykowi Sienkiewiczowi i chociaż deprecjonował dokonania autora *Trylogii*, nazywając go „pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym” i twierdząc, że jego kiepskie powieści mają fatalny wpływ na polskie społeczeństwo, to widać w tym kompleks pisarza niespełnionego i podążającego za masową sławą, którą w swym wysublimowanym guście na pozór gardził. Jednakże w polemice z Czesławem Miłoszem staje, zaskakująco, po stronie konserwatywnego sarmatyzmu, którego ostrze wymierza w „uparty rewizjonizm Zachodu”. Swoją drogą Gombrowicz zawsze uciekał od historii, tak bliskiej i niezbędnej Miłoszowi, chociaż żył w czasach (niestety?) obfitujących w historyczne wydarzenia. Na nazizm i stalinizm mógł patrzeć z dystansem człowieka zamieszkującego drugi kraniec świata.

Jak w innym miejscu pisze Bolecki: „Dla Gombrowicza przeciwieństwem nauki była sztuka, przeciwieństwem uczonego – artysta. Ale nie tylko przeciwieństwem – także wrogiem”. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że pomimo ośmieszania koncepcji „sztuka dla sztuki” Gombrowicz zbudował oparty na filozoficzno-literackich podwalinach kościół własnej sztuki, w którym pełnił rolę jednego i najwyższego kapłana. Wszak nie stronił od autokomentarzy, a w wywiadach chętnie wyjaśniał meandry swojej twórczości, aby odbiorcy nie pokusili się o błędne interpretacje. W jednym z artykułów Boleckiego pojawia się także triumwirat Schulz – Witkacy – Gombrowicz, próba pokazania wspólnoty i jednocześnie odrębności tak wyraziście indywidualnych postaci międzywojennej literatury.

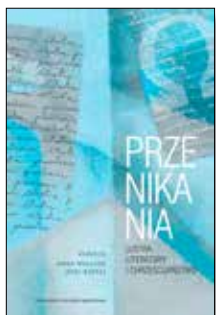
Wracając do początku zapytamy: A co ze Słowackim? Może Gombrowicz miał obsesję na punkcie wieszczu? Może katowany w dzieciństwie anielskimi wersami postanowił po latach odplacić mu pięknym za nadobne? Nic bardziej mylnego. Autor szkiców wręcz twierdzi, że Słowacki wcale nie zajmował Gombrowicza, a już na pewno nie był figurą skupiającą w sobie jego literackie niechęci. Biograficzne relacje potwierdzają coś przeciwnego, że „Gombro” fascynował się samotnymi romantykami. Jako przykład Bolecki podaje chociażby szereg podobieństw na linii Słowacki – Gombrowicz: bliska relacja z matką, problemy zdrowotne czy konflikt z ojcem.

Nigdy nie należałem do admiratorów dokonań Gombrowicza i w odniesieniu do tej spuścizny bliskie mi jest zdanie „jak zachwyca, jeśli nie zachwyca”. Jego ahistoryczna filozofia wydawała mi się zbyt wydumana, a koncentracja sensów i znaczeń trochę na wyrost. Ale to tylko czytelnicza opinia, która nie zmienia faktu, że Witold Gombrowicz jest jednym z filarów literatury polskiej, co znakomicie egzemplifikuje Włodzimierz Bolecki.

Jacek Hnidiuk

Włodzimierz BOLECKI, *Czy Gombrowicz miał oczy?*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2024.

Literackie przejawy chrześcijaństwa



Książka jest podzielona na cztery uporządkowane tematycznie działy: *Średniowieczna mistyka i epos rycerski, Święci na drogach Europy, Wspomnienia, dzienniki duszy, listy oraz Bóg w poezji i dramacie*. Niemniej jest to podział niedefinitywny i umowny. Teksty są uporządkowane chronologicznie, obejmując czasy od średniowiecza do XX wieku. Po każdym z nich wymieniono stosowną bibliografię. Na końcu publikacji podano abstrakty tekstów, szkoda jednak, że wyłącznie w języku angielskim. Jak podano we wstępie, publikacja jest efektem

naukowych spotkań, dyskusji oraz wymiany myśli w ramach Pracowni Studiów nad Dziedzictwem Chrześcijańskim w Literaturze, powstałej przy Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autorzy rozważań, z jednym wyjątkiem, to naukowcy z krakowskiej uczelni.

Kluczem interpretacyjnym jest tytułowa metafora luster literatury, odbijających zarówno makroświat (obiektywny czas i przestrzeń), jak i mikroświat (subiektywne wnętrza oraz doświadczenia jednostki). Redaktorzy twierdzą, że – niezależnie od poglądów – nie można wykluczyć wpływu religii na kulturę europejską, co znajduje odpowiednik w literaturze, w której swój przejaw mają treści chrześcijańskie.

Opracowania dotyczą literatury francuskiej, angielskiej i rosyjskiej. Ukazują różne wcielenia doświadczenia religijnego w tekstach kultury: od mistycznej niewyraźności (powieści o świętym Graalu), przez figurę świętych (święta Katarzyna ze Sieny), po wiarę indywidualną (Fryderyk Chopin). Problematyka rozważań jest specjalistyczna, a co za tym idzie dokładnie określona. Przytoczone są m.in. kwestie przenikania chrześcijaństwa do kultury czy kształtowania kościoła i cywilizacji europejskiej. Rozważania sięgają także literatury dydaktycznej dla dzieci, w której autorka analizuje wpływ narracji na najmłodszych odbiorców – treści artykułów sięgają zarówno mistycznej hermetyczności, jak i moralnych aspektów wychowawczych.

Na szczególną uwagę zasługuje analiza przypadku ojca Josepha Surina ze względu na specyfikę jego indywidualnego, ekstremalnie destrukcyjnego doświadczenia wiary. Według legend, zapisków i pism autobiograficznych, mistyk padł ofiarą długotrwałego udręczenia przez siły piekielne. Jak wskazuje Marcuk, występuje bowiem różnica między *obsessio* – nękanieniem demonicznym, a *possessio* – opętaniem. Tym samym przytoczone są procesy opętania w tradycji chrześcijańskiej. Doznanie wiary o. Surina było przejawem skrajnie niebezpiecznym – jezuita podjął próbę samobójczą, dręczyły go obsesyjne myśli o potępieniu, nie mógł wykonywać samodzielnie podstawowych czynności życiowych. Sądzę, że wszystkie zachowania odstające od normy wynikały wyłącznie ze wspomnianych w rozważaniach zaburzeń psychopatologicznych. Niemniej sytuacja o. Surina jest dobrym przykładem przenikania literatury, teologii i psychologii.

Rozważania w głównej mierze opierają się na teologii i literaturoznawstwie. Tłumaczony jest także szerszy kontekst historyczny, co pozwala zapoznać się lepiej z uwarunkowaniem badania. Książka jest publikacją odpowiednią dla konkretnego środowiska naukowego ze względu na specjalistyczną specyfikę tekstów. Analizując rozważania, można odnieść wrażenie, jakoby autorzy nie utrzymywali dystansu badawczego, tym samym afirmując chrześcijaństwo. Pozytywnym aspektem jest objęcie badaniem różnorodnych form literackich (od powieści po dramat), co pozwala na interpretację z rozmaitych perspektyw. Redaktorzy podkreślają, że książka nie ujmuje całkowicie swojej tematyki. Mają nadzieję, że lektura pomoże otworzyć perspektywę na obecność treści chrześcijańskich w kulturze.

Weronika Zuzanna Jabłońska

Przenikania. Lustra literatury i chrześcijaństwo, red. Anna WALCZUK, Józef KUFFEL, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2024.

Oczy lalek



Gdy Karolina Kostyra referuje początkową recepcję filmów Stevena Spielberga czy Joego Dantego w latach osiemdziesiątych, nie musi nawet zbytnio jej komentować. Pobrzmiwając wyraźnym poczuciem intelektualnej wyższości głosy ówczesnych krytyków brzmią jak komunikaty z odległej epoki, choć przecież byli to ludzie, za którymi dziś tęsknimy – właśnie krytycy (pomagający rozumieć filmy), a nie jedynie recenzenci (skupiający się głównie na ocenianiu, niekoniecznie nawet dobrze uzasadnionym). Choć wciąż trafiają się poglądy, że

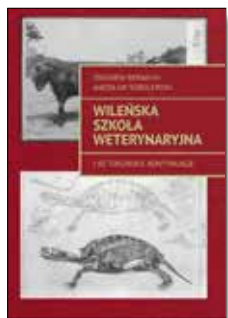
Hollywood (i jego ewentualni naśladowcy) to z definicji „papak”, analizy różnych aspektów produkowanego tam kina jasno pokazują, że potrafiło ono i potrafi zarówno prezentować złożone artystycznie wizje (w atrakcyjnym opakowaniu gatunkowym), jak i w nieoczywisty często sposób oddać przemiany społeczne, polityczne i kulturowe. Ważne jest natomiast, aby refleksja odbywała się w uporządkowany metodologicznie sposób, a nie śladami (wspominanego przez Kostyrę) amerykańskiego komika Chrisa Farleya, który w programie *Saturday Night Live* w latach 1991–1993 przeprowadzał absurdalne „wywiady” ze sławami, długo i zawile opowiadając o powierzchownych aspektach ich występów, a potem kwitując: „That was awesome!” Wtedy nie będzie to refleksja, lecz nostalgia, a tej mamy we współczesnej kulturze (szczególnie popularnej) stanowczo zbyt wiele.

Dla autorki element porządkujący to nie abstrakcyjne pojęcia, lecz konkretne miejsce: pokój dziecięcy, a w mniejszym stopniu także cały dom, w którym mieszka niedoroslą bohater. Analizowane jest zaś szeroko pojęte kino fantastyczne (baśnie, fantastyka naukowa, horror), co sprawia, że przestrzeń ta zawsze ulega jakiemuś przekształceniu, jednak mniej lub bardziej nieoczywistemu. Jej spojrzenie wymusza koncentrację na szczególe, widać to w części publikacji koncentrującej się na obecnych w tych pokojach zabawkach, a szczególnie w rozdziale na temat zapomnianego dziś debiutu Rolanda Emmericha (*Joey* z 1985 r.). W tej partii książki można się przekonać nie tylko o naukowym, ale i czysto narracyjnym talencie autorki: jej spostrzeżenia są ważne, ale też wciągające i nastrojowe, podczas gdy *Joey* to film ciekawy tylko momentami, fabularnie chaotyczny, estetycznie wtórny i wizualnie przeładowany. Koncentracja na szczególe zawsze jednak pozwala na mądre uogólnienia zarówno w kontekście innych omawianych obrazów, jak i relatywnie zwężone omówienie kontekstu społeczno-kulturowego Ameryki czasów prezydentury Reagana, a nie sprowadza się do wyliczania i katalogowania, charakterystycznego dla wzmiankowanych w książce popularnych podcastów poświęconych dzieciństwu w latach 80. Autorka wyraźnie nie przepada za czterdziestym prezydentem USA, ale nie próbuje w związku z tym dopatrywać się na siłę w analizowanych filmach subwersyjnych treści – widzi w nich teksty kultury na tyle bogate, że coś nadpisywać byłoby jedynie stratą.

Refleksja autorki jest szczególnie inspirująca, gdy pisze o środkach formalnych, które twórcy stosowali, aby nadać światu przedstawionemu konkretne cechy. Widz podlega takiemu oddziaływaniu podczas seansu, ale często nawet wyrobiony kinoman potrzebuje wyjaśnień specjalisty, jak to się stało, że film był tak sugestywny. W książce dotyczy to przede wszystkim omówienia roli oświatlenia i posługiwania się barwą w *Duchu* (1982) Tobe’a Hoopera oraz scenografii i kadrowania w *Powrocie laleczki Chucky* (1990) Johna Laffi. Magia kina pozostaje, warto jednak zdawać sobie sprawę, że kino, które fascynowało niektórych w czasach ich młodości (lub fascynuje nadal) jest artystycznie (a przynajmniej warsztatowo) dopracowane i nie była to jedynie magia czasu i miejsca.

Marek Misiak

Karolina KOSTYRA, **Tajemne życie przedmiotów. Topografia pokoju dziecięcego w kinie fantastycznym lat osiemdziesiątych**, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2025.



Historia polskiej nauki i szkolnictwa weterynaryjnego sięga Wilna, gdy u progu XIX wieku w murach Uniwersytetu Wileńskiego, założonego w 1579 roku przez króla Stefana Batorego, rozpoczęła działalność pierwsza szkoła weterynaryjna. O trudnych losach placówki edukacyjnej, jej twórcach, współczesnej weterynarii toruńskiej jako spadkobierczyni tradycji wileńskiej piszą autorzy książki *Wileńska szkoła weterynaryjna i jej toruńskie kontynuacje*.

Opracowanie jest wynikiem współpracy dwóch autorów, którzy w dorobku mają **liczne publikacje z zakresu weterynarii oraz historii tej nauki**. Doktor nauk weterynaryjnych Zbigniew Bernacki to były pracownik m.in. Instytutu Weterynarii w Puławach, Inspekcji Sanitarnej przy Toruniu, Sławęcinku i Grudziądzu, a doktor habilitowany Jarosław Sobolewski, prof. UMK, jest historykiem medycyny i weterynarii. Książka powstała we współpracy z Wydawnictwem Naukowym ANIMALIUM, Sekcją Historii Medycyny Weterynaryjnej Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych i Toruńskiej Fundacji Nauki i Edukacji Weterynaryjnej.

Chronologicznie książka obejmuje dwa bardzo odległe okresy. W pierwszym autorzy sięgają od połowy XVIII wieku do 1842 roku, gdy z carskiego rozkazu została zamknięta Wileńska Akademia Medyko-Chirurgiczna, i dalej, do lat 60. XIX wieku omawiają losy kadry naukowej po likwidacji uczelni. Drugi okres to XX–XXI wiek – autorzy zwracają uwagę na odrodzony w 1919 roku Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie, na którym nie udało się założyć Wydziału Weterynarii i przerzucają most do Torunia, gdzie po II wojnie światowej, dzięki kadryze profesorskiej z byłego Uniwersytetu Stefana Batorego, został założony uniwersytet. Właśnie na tym polega kontynuacja tradycji weterynarii wileńskiej, gdy na jej podwalinach w 2018 roku w Toruniu została założona najmłodsza w Polsce placówka edukacyjna w dziedzinie weterynarii – Instytut Medycyny Weterynaryjnej Wydziału Nauk Biologicznych i Weterynaryjnych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

W krótkim Wstępie autorzy zasygnalizowali, że w swej pracy uwzględnił m.in. dokumenty „zgrupowane w Bibliotece Uniwersyteckiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika oraz materiały źródłowe od pierwszej połowy XIX wieku do czasów współczesnych”. W rozdziale *Początki nauczania weterynarii* przeanalizowano pierwsze próby nauczania weterynarii na ziemiach polskich. Zaprezentowano w osobnych rozdziałach sylwetki twórcy Szkoły Weterynaryjnej w Wilnie Ludwika Henryka Bojanusa (1776–1827), autora pierwszych praz z historii weterynarii Adama Ferdynanda Adamowicza (1802–1881), absolwenta Medyko-Chirurgicznej Akademii, dyrektora Szkoły Weterynaryjnej w Warszawie, profesora Szkoły Weterynaryjnej w Charkowie Edwarda Feliksa Wincentego Ostrowskiego (1816–1859). W rozdziałach *Szkoła Weterynaryjna i Edukacja* omówiono początki Wileńskiej Akademii Medyko-Chirurgicznej, założenie Szkoły Weterynaryjnej, naświetlono proces nauczania, „infrastrukturę fakultetu”, program studiów Szkoły Wileńskiej. Na osobną uwagę zasługuje wykaz nazwisk absolwentów lekarzy weterynarii w latach 1835–1842. O działaniach podejmowanych w celu założenia placówki weterynaryjnej w Toruniu czytelnik zapoznaje się w rozdziale *Historia najnowsza, związki Wilna z Toruniem*.

Na 163 stronach wydawnictwa umieszczono 27 ilustracji – strony tytułowe książek z dziedziny weterynarii, portrety twórców polskiej weterynarii, widoki Wilna i budynki Szkoły Weterynaryjnej. Szczególnie należy wymienić współczesne fotografie, które ilustrują założenie toruńskiej weterynarii. Niewątpliwie źródła wizualne wzbogaciły treść wydawnictwa. Książka z pewnością znajdzie wdzięcznych czytelników wśród miłośników historii polskiego lecznictwa zwierząt i biografistyki polskiej.

Łubow Żwanko

Zbigniew BERNACKI, Jarosław SOBOLEWSKI, *Wileńska szkoła weterynaryjna i jej toruńskie kontynuacje*, Ridero, Kraków, 2025.

Marek HENDRYKOWSKI, *Dawne i nowe metafory Internetu*, Wyd. Nauk. UAM, Poznań 2024.

Maria BANAŚ, *Ewolucja dystopii. Kobieta i mężczyzna kilka dekad później*, Wyd. PŚ, Gliwice 2024.

Stuart RITCHIE, *Science fictions. Oszustwa, uprzedzenia, zaniedbania i szum informacyjny w nauce*, tłum. Fabian Tryl, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2024.

Sławomir JARMUŻ, *Mądrość złotego środka*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2025.

Przemysław URBAŃCZYK, *Korzenie Polski*, Wyd. Nauk. PWN, Warszawa 2024.

Marcin GIERCZYK, *Uniwersytet w Oksfordzie. Socjalizacja, selekcja i sukces społeczny. Studium teoretyczno-empiryczne*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Katarzyna NIEMCZYK-WIŚNIEWSKA, *Stosunki polsko-moldawskie w kontekście relacji z Węgrami i Turcją na przełomie XV i XVI wieku*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Barbar ORZEŁ, *Kryzysy, media i emocje. Modelowanie nastrojów opinii publicznej w dobie fake newsów i sztucznej inteligencji*, Wyd. UŚ, Katowice 2025, seria: Oikos. Komparatystyka literacka i kulturowa.

Marta PLES-BĘBEN, *Wyobrażenia i nieświadomość. Nie-psychoanaliza Gastona Bachelarda*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Agnieszka TURSKA-KAWA, *Podmiotowość polityczna w erze depolityzacji*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Maurycy i Kamil MOCHNACCY, *Listy emigracyjne do rodziców (z dołączeniem listów Michała Podczaszynskiego) 1832-1834*, oprac. Mirosław Strzyżewski, oprac. edyt. Agnieszka Markuszczyńska, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2025.

Ewa A. KOZIK, *Mity w świecie postprawdy. O dyskursie antymedycznym*, Wyd. UŚ, Katowice 2025, seria: Oikos.

Tomasz WITKOWSKI, *Zawracanie statku głupców i inne eseje*, przedm. Roy F. Baumeister, Bez Maski, Wrocław 2025.

Izabela MRZYGLÓD, *Uniwersytety w cieniu kryzysu. Nacjonalistyczna radykalizacja studentów Warszawy i Wiednia w okresie międzywojennym*, Wyd. Nauk. UMK, Toruń 2025, seria: Monografie FNP.

Beata STUCHLIK-SUROWIAK, *Szkice o zbrodni w kulturze staropolskiej (XV-XVII wiek). Między faktem, historią a literaturą*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Marta CEBERA, *Sztuka aktorska Aleksandry Śląskiej*, Wyd. UG, Gdańsk 2021, seria: Dissertationes Laudatissimae Universitatis Gedanensis.

Karolina KOSTYRA, *Tajemne życie przedmiotów. Topografia pokoju dziecięcego w kinie fantastycznym lat osiemdziesiątych*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Ks. Leszek SZEWCZYK, *Wielcy mówcy diecezji katowickiej (1925-1975)*, Wyd. UŚ, Katowice 2025.

Filip NAWROT, *Górnictwo transgraniczne w świetle prawa polskiego*, Wyd. UŚ, Katowice 2025, seria Kairos.

E. Taylor ATKINS, *Historia kultury popularnej w Japonii. Od XVII wieku do współczesności*, tłum. Joanna Gilewicz, Wyd. UJ, Kraków 2025, seria: Ex Oriente.

Martyna SIUDAK, *Opowiem ci Warmię, opowiem Mazury. Praktykowanie reportażu*, Wyd. UWM w Olsztynie, Olsztyn 2025.

Włodzimierz BOLECKI, *Czy Gombrowicz miał oczy?*, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2024, seria: Wokół literatury.

Przenikania. Lustra literatury i chrześcijaństwo, red. Anna WALCZUK, Józef KUFFEL, Wyd. UJ, Kraków 2024.

Hans-Jürgen BÖMELBURG, *Łódź. Historia wielokulturowego miasta przemysłowego w XX wieku*, tłum. Łukasz Marek Płes, Wyd. UŁ, Łódź 2024.

Fareed ZAKARIA, *Czas rewolucji. Postęp i opór od 1600 roku do współczesności*, tłum. Łukasz Muniowski, Wyd. Przesej, Warszawa 2025.

Matthew GABRIELLE, David M. PERRY, *Wiek światła. Nowa historia średniowiecznej Europy*, tłum. Łukasz Muniowski, Wyd. Przesej, Warszawa 2025.

Rewolucja czy reforma?

W naszych rozmowach o języku nie sposób nie odnieść się do zmian w pisowni zadekretowanych w połowie 2024 roku przez Radę Języka Polskiego z mocą obowiązującą od 1 stycznia bieżącego roku. Na przełomie starego i nowego roku po raz pierwszy od wielu lat ortografia, niezbyt atrakcyjny temat, dostała się – wprawdzie na krótko, ale jednak – na salony popularnych portali internetowych. Pojawiły się klasyczne internetowe wabiki (Anglosasi nazywają je click baits) wieszczące przewrót, prawdziwą rewolucję w polskiej ortografii. Bez wątpienia spotkało się to z dużym zainteresowaniem tej części narodu, która ma już dość rozróżniania rz od ż, ó od u i ch od h. Wprawdzie ja należą do tej drugiej części, ale zdarzało mi się, że z zwykłej ciekawości, kliknąć w taki wabik.

Ale do rzeczy. Faktycznie, jest to pierwsza od dawien dawna stosunkowo poważna reforma polskiej pisowni, ale w żadnej mierze nie jest to rewolucja. Co więcej: żadnej rewolucji jak ta z pozbyciem się rz, ó i ch w ogóle nie należy oczekiwać (są osoby, które nad tym boją, choć mnie nie mieści się to w głowie). Ta reforma upraszcza pewne zasady, dostosowuje normę językową do uzusu, czyli zwyczaju językowego, a także wprowadza możliwości alternatywne tam, gdzie do tej pory reguły na to nie pozwalały.

Komunikat wydany przez RJP 10 maja 2024 roku opatrzony jest, poza kompletnym dokumentem referencyjnym, krótkim jedenastopunktowym zestawieniem zmian. Tak naprawdę tylko kilka z tych zmian jest istotnych dla szeregowego użytkownika języka polskiego chcącego pisać poprawnie. Jedną z tych ważnych jest ujednolicenie łącznej pisowni części *nie* z przymiotnikami i przysłówkami, niezależnie od stopnia. Do tej pory pisaliśmy *niedobry*, ale już *nie lepszy* i *nie najlepszy*. Teraz jest prościej: *niedobry*, *nielepszy*, *nienajlepszy* itp. Podobnie jest z przysłówkami: teraz poprawnie napiszemy *niedobrze*, *nielepiej* i *nienajlepiej*. Gwoli prawdy trzeba dodać, że z przysłówkami sytuacja jest nieco bardziej złożona: wśród przysłówków są takie, które nie mają swoich odpowiedników w przymiotnikach, i one nie stosują się do tej zasady. Napiszemy więc: *nie bardzo*, *nie najbardziej*, *nie dość*, *nie inaczej* itp.

Zasada pisowni łącznej *nie* z przymiotnikami została przeniesiona na imiesłowy odmienne. Nie wnikając w subtelności gramatyczne, wyjaśnię to na przykładach. Do tej pory można było napisać: *praca jest nie skończona* (ale zapewne się skończy), jak i *praca jest nieskończona* (nie ma szans, by się kiedykolwiek skończyła), *człowiek jest nie palący* (teraz), jak i *człowiek jest niepalący* (w ogóle) itp., w zależności od kontekstu lub upodobania autora. Aktualna reforma eliminuje tę dowolność, dopuszczając wyłącznie pisownię łączną: *praca jest nieskończona*, a *człowiek*

jest niepalący. Wyjątkiem są wyrażenia zawierające zaprzeczenia i przeciwstawienia, na przykład: *miejsce nie siedzące, ale leżące; człowiek nie palący, ale żujący gumę; jestem bynajmniej nie zmartwiony* itp. W istocie nie są to żadne wyjątki od tej reguły – pisownia rozdzielna wynika ze znaczenia tego typu zwrotów.

Drugą istotną zmianą jest wprowadzenie pisowni wielką literą mieszkańców miast, dzielnic, osiedli, wsi itp. A więc obecnie jesteśmy już nie tylko dumnymi Pomorzanami, ale także Gdańszczanami (a nie jak dotąd mikrymi gdańszczanami), Lublinianami (niezależnie od tego, czy mieszkańcami Lubelskiego czy Lublina), Nowohucianami (mieszkańcami Nowej Huty, dzielnicy Krakowa) itp. Zasadę pisowni wielką literą przeniesiono też na wszystkie nazwy obiektów przestrzeni publicznej z wyjątkiem ulic. I tak na przykład do tej pory w Gdańsku mieliśmy zwykłą aleję Zwycięstwa, a jedynie Warszawa miała dumne Aleje Jerozolimskie. Teraz mamy już dumną Aleję Zwycięstwa, a także Plac Zebrań Ludowych czy Most Sienicki. Ta zasada to zapewne powód do zmartwień dla władz samorządowych – trzeba będzie zmienić sporo tabliczek, oznaczeń, pieczętek i innych atrybutów lokalnej administracji. Skądinąd wiem, że samorządy bardzo różnie podchodzą do tego aspektu reformy.

Ustępstwem wobec uzusu jest dopuszczenie pisowni rozdzielnej popularnych przedrostków, takich jak *super*, *ekstra*, *eko*, *mega* itp. W praktyce językowej stosowane są one często przymiotnikowo, jako samodzielne wyrazy, np. *ekstra zarobki* (wysokie zarobki), *super pomysł* (doskonały pomysł), *mega wrażenia* (wspaniałe wrażenia), *eko żywność* (żywność ekologiczna) itp. Jednak nadal możemy stosować pisownię łączną: *ekstrazarobki*, *superpomysł*, *megawrażenia*, *ekożywność* itp. Ale nie dotyczy to przedrostków *quasi* i *niby*. Nowa norma wprowadza ich jednolitą pisownię bez łącznika, czyli tylko *quasinauka*, *quasiliniowy*, *nibyartyści*, *nibyludowo* itp. (ale oczywiście *niby-Polak*, *quasi-Holandia* itp.; łącznik jest konieczny z uwagi na nazwę własną w drugim członie wyrazu). To samo dotyczy popularnego przedrostka *pseudo*; a więc tylko: *pseudonauka*, *pseudosportowiec* i *pseudo-Polak*.

Pozostałe punkty reformy mają charakter marginalny. Dotyczą m.in. pisowni nazw lokali (hotele, restauracje, apteki...), nazw nagród i odznaczeń, nazw osobowych, a nawet nazw komet. Nie chcąc zniechęcić Szanownych Czytelników do moich felietonów językowych, nie będę wchodził w szczegóły, a ewentualnych zainteresowanych odsyłam pod adres rjp.pan.pl.



rys. Sławomir Małach



GALA NAUKI POLSKIEJ

20 lutego 2026

Fot. MNiSW



Lem Next Gen Science Forum

28-29 kwietnia 2026 r.



Politechnika
Wrocławska

Udział bezpłatny

Forum dla młodych naukowców i studentów

- Jeśli chcesz kształtować przyszłość nauki i technologii – dołącz do nas!
- Zgłębiaj śmiało, interdyscyplinarne idee, które mają znaczenie dla Twojego pokolenia.
- Spotkajmy się w miejscu, gdzie powstają innowacje i nowoczesne rozwiązania.

lemforum.pwr.edu.pl

